

a

HONOUR GUARD

DAN ABNETT

IV tom sagi „Duchy Gaunta”

Monumentalna imperialna krucjata mająca wyzwolić spod jarzma Chaosu Światy Sabbat trwała już od półtora dekady, kiedy marszałek wojny Macaroth rozpoczął uderzenie na strategicznie ważny system Cabal. Ta faza rekonkwisty zajęła lojalistom dwa lata ukazując w pełni brawurowy plan Macarotha. Imperialne wojska zaatakowały równocześnie dziewiętnaście kluczowych planet, w tym trzy otoczone złą sławą światy forteczne, wypierając z zajmowanych pozycji liczniejszego, ale gorzej wyszkolonego i wyekwipowanego nieprzyjaciela.

Dzięki lekturze pamiętników marszałka wojny Macarotha wiemy, iż głównodowodzący Krucjatą zdawał sobie w pełni sprawę ze znaczenia swego planu. Powodzenie operacji zdecydowałoby o całkowitym zwycięstwie wojsk imperialnych, porażka zaś oznaczałaby narażenie całej krucjaty, liczącej prawie miliard ludzkich istnień, na zagładę. Przez dwa krwawe, obfitujące w zaciekle walki lata los Światów Sabbat wisiał na włosku.

Analizy działań wojennych datujących się na ten okres skoncentrowano w większości na teatrach bitewnych związanych ze światami fortecznymi, zwłaszcza zaś na trwającej osiemnaście miesięcy wojnie o świat forteczny Morlond. Niemniej jednak doszło w tym czasie do kilku mniej znanych wydarzeń militarnych, które zasługują na bliższą analizę, w szczególności wyzwolenie Hagii i ciąg związanych z tą kampanią wydarzeń...

- fragment Historii Późnych Krucjat Imperialnych

Rozdział I – Dzień bohaterów

„Uwięzione pomiędzy nurtem rzeki i powiewem wiatru, niechaj grzechy me przeistoczą się w cnoty” – Katechizm Hagii, Księga I, rozdział 3, wiersz XXXII.

Króla powieszono na drucie koleczastym na placu położonym po północnej stronie rzeki. Miejsce owo nosiło nazwę Placu Niebiańskiego Spokoju – osiemnaście hektarów wyłożonych blokami różowego bazaltu, otoczonych pełnymi mozaik murami Universitariate Doctrinus. Niewiele spokoju zaznał ten plac w przeciągu ostatnich dziesięciu dni, pielgrzymi Ojca już o to zadbali.

Ibram Gaunt rzucał na bazaltową posadzę wielki, przywodzący na myśl nietoperza cień. Komisarz pobiegł w kierunku najbliższej osłony, jego czarny płaszcz furkotał na wietrze. Słońce stało w zenicie, potworny ukrop prażył powierzchnię ziemi. Gaunt wiedział, że słoneczne promienie parzą jego skórę, ale nie czuł niczego prócz chłodnego wiatru.

Przypadł do bazaltowych płyt tuż za przewróconym na burtę, wypalonym wrakiem Chimery. Szybkim ruchem palców wyciągnął z pistoletu pusty magazynek. Z oddali dobiegł go dźwięk stłumionych trzasków i w poczeriałym kadłubie transportera pojawiło się kilka wgnieceń. Wiatr porwał ze sobą huk wystrzałów.

Daleko za swoimi plecami komisarz dostrzegł sylwetki żołnierzy Imperialnej Gwardii w czarnych mundurach. Jego ludzi, gwardzistów służących w Pierwszym i Jedynym Regimente Tanithu. Oszacował wzrokiem ich rozproszony szyk, po czym spojrział ponownie na króla. Wielkiego króla – tak o nim mówiono. Nie potrafił sobie przypomnieć nazwiska tego człowieka.

Gnijące, groteskowo wzdęte ciało dostojnika zwisało ze szubienicy zbudowanej z metalowych szyn i pordzewiałych samochodowych osi. Większość członków rodziny króla oraz jego świty kołysała się na wietrze po bokach swego pryncypała.

Kolejne trzaski. Tuż przy głowie komisarza blacha wraku wyrzuciła się niebezpiecznie, posypały się z niej kawałki nadpalonej farby.

Mkoll runął na kolana tuż obok dowódcy ściskając w rękach laser.

- Gdzie się włóczył? – uśmiechnął się kącikami ust komisarz.

- Ha! Za dobrze cię wyszkoliłem, pułkownikukomisarzu, to wszystko.

Obaj mężczyźni wyszczerzyli do siebie zęby.

Kolejni gwardziści dobiegli do Gaunta pokonując odkrytą przestrzeń placu. Jeden nie zdołał dopiąć swego, zgął się wpół i upadł na ziemię. Jego nieruchome ciało miało tkwić na placu jeszcze przez co najmniej godzinę.

Larkin, Caffran, Lillo, Vamberfeld i Derin znaleźli się za wrakiem przyciskając ciała do blach transportera wokół komisarza i sierżanta zwiadowców. Gaunt zaryzykował rzut okiem ponad krawędzią burty pojazdu.

Cofnął się na ułamek chwili przed nadlatującymi pociskami.

- Czterech strzelców. W północnozachodnim narożniku.

Mkoll uśmiechnął się i pokręcił przecząco głową niczym zdeprymowany ojciec.

- Co najmniej dziewięciu. Czyś ty kiedykolwiek słuchał moich wskazówek, Gaunt ?

Larkin, Derin i Caffran roześmiali się głośno. Wszyscy byli Tanithijczykami, prawdziwymi Duchami, weteranami.

Lillo i Vamberfeld śledzili wymianę uszczypliwości z nieskrywanym zdumieniem. Oni dla odmiany byli Vervuńczykami, nowym nabytkiem regimentu. Tanithijczycy nazywali ich „świeżą krwią”, kiedy chcieli być uprzejmi; „złomiarzami”, gdy sądzili, że nikt ich nie słyszy; a „miejskim mięsem armatnim” w chwilach okrutnej złośliwości.

Vervuńscy rekruci nosili te same matowoczarne kombinezony polowe i kamizelki przeciwodłamkowe co Tanithijczycy, ale ich aparycja i zachowanie odróżniały nowych rekrutów od rodzimych Duchów. Podobnie zresztą jak ich nowiutkie laserowe karabiny o metalowych kolbach i srebrne emblematy w postaci oskardów przyczepione do kołnierzy.

- Nie martwcie się – pocieszył ich Gaunt wyczuwając zmieszanie i niepokój swych nowych podkomendnych – Mkoll często pozwala sobie na bezczelne docinki. Jak uporamamy się z naszym zadaniem, surowo go ukarzę.

Kolejne trzaski wystrzałów, kolejny dźwięk uderzających w pancerz transportera kul.

Larkin wyjrzał zza boku pojazdu opierając swój świetnie utrzymany snajperski karabin o kawałek postrzępionej blachy. Powszechnie uważano go za najlepszego strzelca w całym regimencie.

- Masz coś na celowniku ? – zapytał go Gaunt.

- Och, możesz pójść o to w zakład, szefie – odparł ze zmarszczonym czołem Larkin poprawiając nieznacznie ustawienie broni.

- To bądź tak łaskaw i odstrzel im te cholerne łby.

- Nie ma sprawy.

- Gdzie... jak on ich widzi ? – sapnął Lillo wyglądając zza wraku. Caffran złapał go za rękaw i pociągnął w dół ratując przed niechybną śmiercią. W powietrzu śmignęła laserowa wiązka.

- Najostrzejsze oczy wśród Duchów – uśmiechnął się Caffran.

Lillo skinął niemo głową, ale w myślach poczuł się urażony zawadiacką postawą Caffrana. Marco Lillo był zawodowym żołnierzem o dwudziestoletnim stażu w garnizonie Vervun Primary, a ten dzieciak tuż przed dwudziatką zgrywał się przed nim na wiekowego weterana.

Wystawił głowę zza Chimery wysuwając przed siebie lufę broni.

- Chcę tego króla, wielkiego króla, jak on tam się zwał ? – odezwał się Gaunt pocierając machinalnie starą bliznę biegnącą wzdłuż wewnętrznej strony prawej dłoni – Chcę, żebyście go zdjęli. Nie powinien tak wisieć na tej szubienicy.

- W porządku – mruknął Mkoll.

Lillo uznał, że widzi jakieś poruszenie i posłał w kierunku drugiej strony dziedzińca długą serię z lasera. Przyciemnione okna w ścianach Uniwersytetu rozpadły się w deszczu odłamków, ale silny wiatr stłumił całkowicie ich brzdęk.

Gaunt położył dłoń na lufie karabinu Lillo i pociągnął broń żołnierza w dół.

- Nie marnuj amunicji, Marco – poradził.

On zna moje imię ! On zna moje imię ! Lillo oniemiał ze zdumienia i wlepił wzrok w Gaunta szukając potwierdzenia tego niebywałego faktu w rysach jego twarzy. Pułkownikkomisarz Gaunt był dla Vervuńczyka nieomal bogiem. Dziesięć miesięcy temu poprowadził Vervunhive ku zwycięstwu w pozornie najczarniejszej godzinie tego miasta. Nosił przy sobie miecz, który był naocznym dowodem tego wyczynu.

Lillo spojrział na swego dowódcę: wysokiego, silnie zbudowanego, o krótko przyciętych jasnych włosach wystających spod czapki komisarza i szczupłej twarzy. Gaunt miał na sobie czarny mundur z narzuconym na ramiona płaszczem o naszytej na wierzch kamuflującej pelerynie Tanithijczyków. Może i nie był do końca bogiem, tylko człowiekiem z krwi i kości, ale z pewnością bohaterem.

Larkin zaczął strzelać, szybkim regularnym rytmem.

Sypiące się w kierunku wraku kule stały się wyraźnie rzadsze.

- Na co czekamy ? – zapytał Vamberfeld.

Mkoll pociągnął go za rękaw i wskazał palcem rząd budynków za plecami Duchów.

Vamberfeld ujrzał wielkiego... bardzo wielkiego mężczyznę... wychylającego się zza rogu budowli z naramienną wyrzutnią raket. Ciągąca za sobą warkocz dymu rakiet przecięła powietrze nad placem i uderzyła w jeden z ozdobnych filarów po jego drugiej stronie.

- Powtórz, Bragg ! – krzyknęli niemal jednocześnie Mkoll, Larkin i Derin, po czym wybuchnęli śmiechem.

Kolejny raketowy pocisk gwizdnął w powietrzu i zdemolował odległy budynek, na płyty placu posypały się wielkie bryły gruzu.

Gaunt zerwał się na nogi i popędził do przodu, towarzyszyli mu Mkoll, Caffran i Derin. Larkin pozostał na swym miejscu za Chimera, nie przerywając ostrzału stanowisk wrogich snajperów.

Vamberfeld i Lillo rzucili się w ślad za Duchami.

Lillo dostrzegł Derina wyginającego się gwałtownie i padającego na plac, ugodzonego laserową wiązką. Vervuńczyk przypadł do Ducha chcąc udzielić mu pomocy. Klatka piersiowa Tanithijczyka zbryzgana była krwią, on sam szarpał się tak spazmatycznie, że Lillo nie potrafił utrzymać go w miejscu. Mkoll pojawił się u boku Lillo, razem pociągnęli Derina za stertę metalowych sztab umykając przed deszczem krech laserowej energii.

Gaunt, Caffran i Vamberfeld dotarli do przeciwnego krańca placu.

Komisarz wpadł do budynku przez dziurę wyrwaną rakietą Bragga, jego energetyczny miecz buczał basowo. Broń ta należała niegdyś do Heironymo Sondara, jednego z najbardziej wpływowych dostojników Vervunhive, w ręce Gaunta trafiła zaś w uznaniu jego bohaterstwa i poświęcenia podczas obrony metropolii.

Pokryte niebieskimi łukami energii ostrze śmigało w powietrzu tnąc mroczne kształty poruszające się w ciemności po drugiej stronie dziury. Caffran wpadł do budynku w ślad za dowódcą, strzelając z biodra. Niewielu Duchów mogło mu dorównać w sztuce walki na bezpośrednim dystansie. Działał błyskawicznie i bezwzględnie.

Ubezpieczał plecy komisarza.

Niceg Vamberfeld przed Aktem Konsolidacji pełnił funkcję księgowego w komercyjnej dzielnicy Vervunhive. Ćwiczył ciężko i zawzięcie, ale bitewne doświadczenia wciąż były dla niego boleśnie obce. Skoczył w ślad za parą towarzyszy broni wchodząc do świata półmroku, ciemnych kształtów i rozbłysków energetycznych broni.

Potykaç się na gruzie wypalił z przystawienia do jakiejś postaci. Ktoś inny wyrósł przed żołnierzem śmiejąc się maniakalnie, mężczyzna pchnął przeciwnika bagnetem. Nigdzie nie widział komisarzapułkownika ani młoa

dego Tanithijczyka. Mówiąc szczerze, nie widział prawie nic. Ktoś wystrzelił do niego z bliska, wiązka energii śmignęła obok ucha gwardzisty.

Pociągnął ponownie za spust, wciąż oślepiiony nagłym rozbłyskiem, usłyszał dźwięk przewracającego się ciała.

Ktoś pochwycił go od tyłu w uścisk ramion.

Vamberfeld poczuł silne uderzenie, w powietrzu rozprysnęły się krople krwi. Żołnierz upadł na podłogę przygnieciony ciężarem ludzkiego ciała. Z twarzą wciśniętą w grubą warstwę ciepłego kurzu Duch zaczął odzyskiwać władzę w oczach. Jego otoczenie skąpane było w migotliwym niebieskim blasku.

Odsuwając w bok swój energetyczny miecz Ibram Gaunt pochwycił żołnierza za mundur i pomógł mu podnieść się na nogi.

- Dobra robota, Vamberfeld, udało nam się zrobić wyłom – wydyszał komisarz.

Vamberfeld milczał oszołomiony. Na jego kombinezonie krzepła krew.

- Panuj nad nerwami – dodał Gaunt – Z czasem będzie ci łatwiej...

Znajdowali się w niewielkiej kaplicy, takie przynajmniej odnosił wrażenie zdezorientowany Vervuńczyk. Jaskrawe snopy słonecznych promieni wpadały do środka przez kolorowe witraże umieszczone pod sufitem, ale główne okna komnaty zasłonięte były bogato ornamentowanymi drewnianymi okiennicami. Powietrze było suche i nieruchome, pełne zapachu ozonu i świeżej krwi.

Vamberfeld dostrzegł Gaunta i Caffrana, przemieszczających się wzdłuż komnaty. Caffran przycisnął się do najbliższej ściany szukając śladu zagrożenia, Gaunt przyglądał się w międzyczasie ciałom zabitych wrogów.

Ciałom zabitych. Przeróżających Infardi.

Łądujący na Hagii czciciele Chaosu przyjęli imię Infardi, oznaczające w lokalnej mowie pielgrzymów, zaczęli też nosić zielone mundury będące bluźnierczą drwiną ze strojów miejscowego duchowieństwa. Nazwa przyjęta przez heretyków była zniewagą samą w sobie; wykorzystanie bowiem w taki sposób słowa pochodzącego z hagiańskiego dialektu w opinii wielu wręcz plugawiło ów język. Od sześciu tysięcy lat świat ten był miejscem poświęconym kultowi świętej Sabbath, jednej z najbardziej ukochanych członkiń panteonu imperialnych świętych; półbogini, której imieniem ochrzczono cały sektor wszechświata. Zajmując Hagię i obwołując się Pielgrzymami wrogowie dokonali niewyobrażalnej profanacji. Groza bluźnierczych rytuałów i ceremonii, jakich najeźdźcy dopuścili się na tej świętej ziemi nie mieściła się lojalistom w głowach.

Vamberfeld dowiedział się wszystkiego o Ojcu Sinie i jego renegatach z materiałów edukacyjnych rozdawanych żołnierzom w trakcie tranzytu, lecz inną sprawą było czytanie opracowań, a inną oglądanie tego wszystkiego na własne oczy. Gwardzista zerknął na najbliższego trupa: wielkiego barczystego mężczyznę w zielonym uniformie. W miejscach, gdzie strój heretyka został rozdarty, Vamberfeld dostrzegał odrażające tatuaże: świętą Sabbath spółkującą z demonami, obrazy piekła, plugawe runy zniekształcające kształt religijnych symboli.

Mężczyzna czuł rosnące zawroty głowy. Pomimo miesięcy wojskowego treningu wciąż wiele w nim pozostawało z księgowego bawiącego się w żołnierza.

Panika Vamberfelda zaczęła się pogłębiać.

Caffran ponownie otworzył ogień, półmrok kaplicy rozświetliły błyski jego broni. Vamberfeld nie dostrzegał nigdzie Gaunta. Runął płasko na brzuch i przycisnął kolbę karabinu do ramienia w sposób, który pokazał mu podczas treningu sam pułkownik Corbec. Zaczął strzelać w głąb korytarzyka biegnącego od jednej ze ścian kaplicy, tuż obok przyciśniętej do ściany sylwetki Caffrana.

Korytarzem nadciągała gromada postaci w zielonych uniformach, strzelając w biegu z laserów i broni automatycznej. Vamberfeld usłyszał ich śpiew.

Gwardzista uświadomił sobie po chwili, że właściwie dźwięk ten nie ma wiele wspólnego ze śpiewem. Szarżujący heretycy mamrotali długie, zawile frazy nakładające się na siebie wzajemnie. Na karku Vamberfelda pojawiły się krople potu. Naciskał gorączkowo na spust. Ci ludzie to Infardi, elita Ojca Sina ! Imperatorze, ratuj mnie, ugrzęzłem w tym piekle po szyję !

Gaunt przyklęknął tuż obok Vamberfelda ujmując oburącz swój boltowy pistolet. Trzech strzelców zasypało korytarz strumieniami światła i stali.

Coś błysnęło w połowie przejścia, rozległ się stłumiony huk i do wnętrza budowli wpadło słoneczne światło. Grupa Duchów wdarła się do środka przez nowy wyłom wybijając w pień przeciwników.

Gaunt podniósł się z kolan. Gdzieś z przodu dobiegały dźwięki sporadycznej wymiany ognia. Komisarz przyłożył palce do wiszącego przy wargach komunikatora przeszukując

zarezerwowane częstotliwości. Vamberfeld usłyszał we własnym uchu cichy trzask modułu łączności.

- Jedyńka, tu trójka. Oczyszczamy wyznaczony obszar – krótka przerwa, huk wystrzałów – Potwierdzam oczyszczenie obszaru.

- Jedyńka do trójki. Dobra robota, Rawne. Walcie do przodu i zabezpieczcie a

rektorat Uniwersytetu.

- Trójka, potwierdzam odbiór.

Gaunt spojrział w dół, na Vamberfelda.

- Możesz już wstać – powiedział.

a

Oszołomiony Vamberfeld, kroczący chwiejnie z bijącym niczym młot sercem, wypadł przez dziurę na zalany słonecznymi promieniami plac. Bał się, że zaraz zemdleje albo co gorsza, zwymiotuje sobie na mundur. Przycisnął się plecami do nagrzanej kamiennej ściany budynku i zaczął głęboko oddychać, zdumiony faktem, że jego skóra była dla odmiany bardzo zimna.

Desperacko szukał wzrokiem czegoś, na czym mógłby skoncentrować swą uwagę. Ponad kopułami uniwersyteckich dachów, na licznych ozdobnych wieżyczkach, łopotały na nieustającym nigdy hagiańskim wietrze tysiące flag, chorągwi i proporców. Gwardzista usłyszał wcześniej, że zwyczajem wiernych było wypisywanie na flagach swych grzechów w przekonaniu, iż wiatr uniesie je ze sobą oczyszczając ludzkie dusze. Było ich tak wiele... tak wiele barw, kształtów, wzorów...

Vamberfeld odwrócił głowę w bok.

Plac Niebiańskiego Spokoju był pełen Duchów, ponad setka tanithijskich żołnierzy przetrząsała okoliczne budynki w poszukiwaniu niedobitków wroga. Spora grupa gwardzistów zebrała się wokół szubienicy, na której Mkoll odcinał zwłoki powieszonych.

Vamberfeld osunął się wzdłuż ściany w dół, dopóki nie usiadł na płycie dziedzińca. Jego ciało zaczęło drżeć w konwulsyjny sposób.

Wciąż jeszcze dygotał, kiedy znaleźli go sanitariusze.

a

Kiedy Gaunt podszedł do szubienicy, Mkoll, Lillo i Larkin opuszczali właśnie ciało zamordowanego króla. Pułkownikkomisarz spojrział ze smutkiem na noszące ślady tortur zwłoki. Królów było wielu na Hagii, bo na świecie tym panował ustrój feudalny, a władzę dzielili między siebie przywódcy miastpaństw rządzących w imię Boga Imperatora. Lecz król Doctrinopolis, pierwszego założonego na Hagii miasta, był najbardziej poważaną na tym świecie osobą, porównywalną z planetarnym gubernatorem. Widok tak wysokiego imperialnego dostojnika okaleczonego i uśmierconego w bestialski sposób budził głęboki smutek w sercu komisarza.

- Infareem Infardus – mruknął Gaunt przypominając sobie w końcu imię króla, poznane w trakcie lektury materiałów operacyjnych. Zdjął z głowy swą czapkę i skłonił głowę – Niech twoja dusza spoczywa w blasku Imperatora.

- Co z nimi zrobimy, sir ? – spytał Mkoll wskazując dłonią rząd zdjętych z szubienicy ciał.

- Postąpimy zgodnie z lokalnym obyczajem – odparł Gaunt rozglądając się wokół – Hej, żołnierzu ! Do mnie !

Szeregowiec Brin Milo, najmłodszy gwardzista w tanithijskim regimencie, podbiegł karnie do swego dowódcy. Jedyńcy cywil uratowany z Tanith, uratowany osobiście przez samego

Gaunta, służył u boku dowódcy regimentu w roli adiutanta do chwili osiągnięcia pełnoletności. Wszystkie Duchy respektowały jego szczególną więź z komisarzem, toteż będący szeregowym żołnierzem Milo otaczany był przez współtowarzyszy broni specyficznymi względami.

W głębi serca Brin szczerze nienawidził swej roli maskotki regimentu.

- Sir ?

- Chcę, abyś odnalazł miejscowych przedstawicieli władz, najlepiej kapłanów, i dowiedział się, w jaki sposób mamy potraktować te szczątki. Życzyłbym sobie, abyśmy uczynili to zgodnie z lokalnym rytuałem, Brin.

- Tak jest, sir – Milo skinął głową i zasalutował krótko.

Gaunt odwrócił głowę w drugą stronę. Ponad majestatyczną bryłą Uniwersytetu i kopulastymi dachami Doctrinopolis wznosiła się Cytadela – pałac z białego marmuru zbudowany na skalistym płaskowyżu ponad stolicą. Ojciec Sin, bluźnierczy prowodyr heretyckiej armii okupującej Doctrinopolis, przywódca rebelianckich sił na całej Hagii, znajdował się gdzieś w obrębie białych murów pałacu. Cytadela była głównym celem lojalistów, ale krwawe walki uliczne znacznie spowalniały postępy imperialnych żołnierzy, zmuszonych oczyszczać miasto dom po domu i zaułek po zaułku.

Gaunt przywołał swojego oficera radiowego, Raglona, polecił mu otworzyć połączenia radiowe z drugim i trzecim frontem szturm. Żołnierz zdążył wywołać pułkownika Farrisa, dowódcę breviańskich gwardzistów wdzierających się klinem w północne dzielnice miasta, kiedy od strony Uniwersytetu dobiegły dźwięki silnej kanonady. Oddział majora Rawne ponownie wszedł w kontakt z nieprzyjacielem.

a

Cztery kilometry dalej na wschód, w wąskich krętych uliczkach dzielnicy zwanej Starym Miastem, tanithijski drugi front uwikłał się na dobre w zaciekle walki miejskie. Stare Miasto stanowiło istny labirynt uliczek łączących małe komercyjne ryneczki i liczne place targowe. Spora grupa Infardich, wyparta z zajmowanych nad rzeką pozycji przez wstępne uderzenie imperialnych czołgów, ukryła się w tym wymarzonej do obrony obszarze.

Lojaliści mieli przed sobą ciężkie zadanie, musieli oczyszczać z wroga dom po domu, ulicę po ulicy – lecz tanithijskie Duchy, mistrzowie infiltracji i skrytego działania, świetnie sprawdzali się w walkach miejskich.

Pułkownik Colm Corbec, drugi najwyższy rangą oficer regimentu, był potężnym, świetnie zbudowanym mężczyzną szczerze kochanym przez swoich podwładnych. Poczucie humoru i pasja pułkownika podnosiły morale żołnierzy, dawany przez niego przykład inspirował ich niezmiennie do jeszcze cięższych wysiłków. Sprawował komendę niemalże wyłącznie dzięki roztaczanej przez siebie aurze charyzmy, niemal przewyższającej siłę autorytetu Gaunta, z pewnością zaś znacznie silniejszej od respektu, jakim darzono trzeciego w hierarchii oficera jednostki, cynicznego i bezwzględniego majora Rawne.

Lecz w tym konkretnym momencie Corbec nie potrafił w żaden sposób wykorzystać swej charyzmy ani autorytetu. Przyciśnięty do ziemi ciężkim ostrzałem z laserów, ukryty za rogiem wąskiej uliczki, kłął siarczyście i bez zażenowania. Słuchawkowy moduł łączności noszony przez wszystkie Duchy był ekranowany lub silnie zakłócany obecnością wysokich budynków Starego Miasta.

- Dwójka ! Mówi dwójka ! Do wszystkich jednostek, zgłóście się ! – warknął do mikrofonu poprawiając palcem tkwiącą w uchu słuchawkę – Odbiór ! Odbiór !

Grad laserowych wiązek uderzył z trzaskiem w kamienną cembrowinę kanału odpływowego, odłupane kawałki budulca rozprysnęły się na wszystkie strony. Corbec przykucnął w miejscu.

- Dwójka ! Mówi dwójka ! Zgłoście się !

Pułkownik przyłożył głowę do cembrowiny, wciągnął w nozdrza charakterystyczny zapach wilgoci i zgnilizny. Kilka cali od swych oczu dostrzegał małe pajęczki kołyszące się na srebrnych nitkach uczepionych kamiennych bloków cembrowiny.

Czuł jak ciepły kamień wibruje nieznacznie w rytm uderzeń krech laserowej energii.

W radiokomunikatorze coś zatrzeszczało ledwie zrozumiale, ale zniekształcone ludzkie głosy utonęły w nagłym trzasku spadających na ulicę kamiennych fragmentów budowli.

- Powtórzcie ! Powtórzcie !

- ...szefie, jes...

- Jeszcze raz ! Tu dwójka ! Powtórzcie jeszcze raz !

- ...na zachód, zach...

Corbec zmełł w ustach przekleństwo i uderzył palcami w słuchawkę. Unosząc się na kolanach wyjrzał ostrożnie ponad krawędź cembrowiny i natychmiast ponownie rzucił się płasko na ziemię. Pojedyncza laserowa wiązka przemknęła tuż nad jego głową uderzając z trzaskiem w ścianę budynku za plecami pułkownika. Gdyby nie instynktowna reakcja oficera, ładunek przepaliłby mu na wylot czaszkę.

Przekręcił się na plecy opierając łopatki o cembrowinę, po czym sprawdził swój karabin. Zakrzywiony akumulator lasera był w dwóch trzecich wyczerpany, toteż mężczyzna wyjął go ze slotu zakładając w puste miejsce pełną baterię. Elastyczne paski na ochraniaczu prawego uda oficera wypchane były częściowo zużyтыми akumulatorami. Kiedy tylko miał ku temu okazję, wymieniał w połowie wystrzelane baterie na pełne. Częściowo wyczerpane magazynki przydawały się podczas akcji defensywnych. Corbec znał przynajmniej kilku gwardzistów, którzy zginęli w samym środku ostrej wymiany ognia nie mając czasu na odskok i zmianę zużytego do końca akumulatora.

Dobiegająca z przodu kanonada przybrała na sile. Corbec uniósł głowę słysząc nagłą zmianę w tonacji wystrzałów. Niski trzask broni Infardich zmieszał się z wyższymi, bardziej szczekliwymi dźwiękami imperialnych laserów.

Ponownie wystawił głowę ponad cembrowinę odpływu. Kiedy nikt mu jej nie odstrzelił, zerwał się na równe nogi i popędził w dół wąskiej uliczki.

Z przodu toczyły się zaciekle walki. Pułkownik przeskoczył ponad rozciągniętym ciałem heretyka, pobiegł szybko pomiędzy ciasnymi ścianami budynków skacząc od jednej plamy cienia do drugiej. Niemał wpadł na plecy trzech Duchów ostrzeliwujących wściekle rozległy plac targowy. Jednego z nich rozpoznał z miejsca, mimo iż dostrzegał tylko jego plecy.

- Kolea !

Sierżant Gol Kolea był niegdyś vervuńskim górnikiem, członkiem paramilitarnej jednostki ochotniczej tworzącej obronę Vervunhive. Żaden, nawet najbardziej cyniczny i zahartowany w bojach Tanithijczyk, nie żywił wobec tego człowieka czegokolwiek innego oprócz szczerego podziwu i szacunku, Verghastyci zaś wręcz go czcili. Był masywnym cichym olbrzymem, doaaaa

Pułkownik wślizgnął się za osłonę tuż obok Kolei.

równującym posturą samemu Corbecowi.

Pułkownik wślizgnął się za osłonę tuż obok Kolei.

- Jakies nowe wieści, sierżancie ? – wyszczerzył zęby próbując przekrzyczeć trzask wystrzałów.

- Nic nowego – odparł przecząco Kolea. Corbec niezmiernie lubił milkiwego sierżanta, ale musiał przyznać, że były górnik nie miał w sobie nawet szczypty poczucia humoru. W

przeciągu miesięcy treningu podstawowego dla nowych rekrutów Colm wielokrotnie usiłował wciągnąć Koleę w prywatną rozmowę, nigdy się to mu jednak nie udało i podejrzewał, że inni również nie odnieśli w tej kwestii powodzenia. Wiedział też jednak, że w bitwie o Vervunhive śmierć poniosła żona Kolei i dwójka jego dzieci, toteż musiał przyjąć do wiadomości fakt, że potężny sierżant nie znajdował w swym życiu zbyt wielu powodów do śmiechu.

Kolea wyciągnął dłoń ponad skrzynkami pełnymi zepsutej żywności, tworzącymi prowizoryczną barykadę dla czwórki Duchów.

- Jesteśmy tu uziemieni. Sukinsyny siedzą w budynkach po drugiej stronie targowiska i w uliczkach na zachód od placu.

Jakby punktując słowa sierżanta, grad laserowych wiązek i ołowianych kul zaczął siec drewniane skrzynki sypiąc na wszystkie strony strzępami zgniłej żywności.

- Feth – westchnął Corbec – Tamto miejsce się od nich aż roi.

- To chyba siedziba kupieckiej gildii. Najwięcej drani siedzi przy oknach na czwartym piętrze.

Corbec wyłamał z trzaskiem palce obu dłoni.

- Szturm do przodu mamy z głowy. Co z uderzeniem na boki ?

- Już próbowałem, sir – odezwał się jeden z pozostałych Duchów, kapral Meryn – Odskokczyłem na lewo, żeby znaleźć jakąś boczną alejkę.

- Efekt ?

- Prawie mi odstrzelili dupę.

- Dzięki, że przynajmniej próbowałeś.

Meryn zachichotał, po czym przyłożył broń do ramienia i posłał serię w stronę pozycji heretyków. Corbec przeczołgał się wzdłuż barykady omijając trzeciego Ducha, szeregowca Whelna, wślizgnął pod metalowy dwukołowy wózek używany przez handlarzy warzyw. Przywierając płasko do bruku zaczął lustrować wzrokiem plac targowy. Kolea, Meryn i Wheln zabezpieczali wąską alejkę za jego plecami, natomiast trzy dalsze drużyny Duchów trzymały pozycje w budynkach po obu stronach uliczki. Przez jedno z rozbitych okien pułkownik dostrzegł na ułamek chwili postać sierżanta Braya i jego podwładnych.

Po przeciwnej stronie targowiska silna grupa Infardich obsadziła cały ciąg budynków. Corbec przyjrzał się uważnie pozycjom przeciwnika, notując w myślach rozmieszczenie sił wroga. Pułkownik wierzył głęboko w to, że trzeźwy umysł wygrywa wojny szybciej od artyleryjskiej nawały, ale i nie odżegnywał się od bezpośredniego udziału w walce.

Jesteś skomplikowanym człowiekiem, powiedział mu kiedyś sierżant Varl. Stroił sobie wtedy rzecz jasna żarty, a zresztą obaj byli nieźle wstawieni po kilku butelkach sacry. Na samo wspomnienie tamtej pijatyki Corbec uśmiechnął się pod nosem.

Pochylając głowę rzucił się biegiem w stronę sąsiedniego budynku, drogerii. Szczątki porcelanowych naczyń i kawałki ozdobnych zwierciadeł błyszczały zarówno wewnątrz sklepu jak i pod jego witrynami. Przywarł do ściany tuż obok wielkiej dziury.

- Hej tam w środku ! To ja, Corbec ! Wchodzę, nie odstrzelcie mi łba !

Wślizgnął się do środka. Szeregowcy Rilke, Yael i Leyr tkwili przy opuszczonych do połowy żaluzjach okien. Żaluzje sprawiały wrażenie podziurawionych niczym reszoto, a wpadające przez nie promienie słonecznego światła tworzyły urzekającą pajęczynę jasnych linii rozświetlających półmrok zadymionego sklepu.

- Dobrze się bawicie, chłopcy ? – zapytał Corbec. Gwardziści wymamrotali w odpowiedzi kilka niecenzuralnych opinii na temat matki pułkownika oraz innych kobiet związanych z dowódcą bliższymi lub dalszymi więzami krwi.

- Miło słyszeć, że humory wam dopisują – odparł oficer i zaczął uderzać podeszwami po pełnej rozbitego szkła i porcelany podłodze.

- Co pan robi, szefie, do cholery ? – syknął Yael. Był młodym człowiekiem, niespełna dwudziestodwuletnim, z charakterystyczną dla swego wieku stonowaną niesubordynacją. Corbec bardzo go lubił.

- Korzystam ze swojej głowy, synku – odparł tajemniczo, po czym wskazał palcem na swoje wojskowe buty. Rozrzucił szybkim ruchem stopy stertę porcelanowych szczątków i schylił się łapiąc rękami za uchwyt niewielkiej kłapy.

- Piwnica – oświadczył z tryumfalną miną. Trójka Duchów jęknęła z rozczerowaniem.

Pułkownik wypuścił z dłoni uchwyt pozwalając, by kłapa spadła z trzaskiem na podłogę, po czym podkradł się do jednego z okien.

- Pomyślcie dobrze, moi dzielni tanithijscy synkowie. Wyrzycie uważnie na zewnątrz.

Szeregowcy ostrożnie wystawili głowy ponad parapety okien.

- Popatrzcie na tamto... podwyższenie na środku targowiska. Tam przy stercie beczek. To mi wygląda na właz. Daję w zakład cały żołd, że pod targowiskiem ciągną się piwnice... i pod tamtym budynkiem gildii pewnie też.

- Daję w zakład cały żołd, że wykończysz nas wszystkich trzech do pory obiadu – burknął Leyr, trzydziestopięcioletni weteran wywodzący się z szeregów milicji Tanith Magna.

- Czy wykończyłem was do tej pory ?

- Nie, ale to nie ma...

- No to morda na kłódkę i słuchać. Jeśli nie dokonamy jakiegoś przełomu, będziemy tutaj tkwili do usranej śmierci. Rozegrajmy to w sprytny sposób. Wykorzystajmy fakt, że całe to przekłete miasto liczy sobie tysiące lat i pełne jest krypt i katakumb.

Corbec poprawił swój mikrokomunikator przekręcając elastyczną rączkę mikrofonu tak, by dotykała kącika jego ust.

- Mówi dwójka. Szóstka, słyszysz mnie ?

- Szóstka do dwójki. Słyszę, sir.

- Bray, trzymaj swoich ludzi na dotychczasowych pozycjach i daj ogień zaporowy na frontową ścianę tamtej gildii za... za dziesięć minut. Zrozumiałeś ?

- Szóstka potwierdza. Ogień zaporowy za dziesięć.

- Dzięki. Dwójka do dziewiątki !

- Dwójka, tu dziewiątka – w słuchawce rozległ się twardy głos Kolei.

- Sierzancie, jestem w sklepie z porcelaną tuż obok was. Zostaw Meryna i Whelna i chodź tu szybko do mnie.

- Się robi, sir.

Kolea wpadł przez dziurę w bocznej ścianie sklepu kilka sekund później, wprost na Corbeca, świecącego latarką w głąb odkrytej przez siebie piwnicy.

- Znasz się na tunelach, prawda ?

- Znam się na kopalniach, sir. Jestem górnikiem.

- Żadna różnica, i to i to jest pod ziemią. Przygotuj się, schodzimy na dół – pułkownik odwrócił się w stronę pozostałych Duchów – Który ma w sercu żądzę przygody, a w plecaku pakiety wybuchowe ?

Wszyscy trzej jęknęli ponownie.

- Ciebie to nie dotyczy, Rilke. Chcę, żebyś przydusił ogniem tych sukinsynów w górnych oknach – Rilke był jednym ze strzelców wyborowych regimentu, ustępującym w swym fachu jedynie mistrzowi Larkinowi. W rękach trzymał snajperską wersję lasera zupełnie nieprzydatną w zwarciu bezpośrednim – Oddaj wszystkie swoje ładunki burzące tym oto dzielnym ochotnikom.

Leyr i Yael stanęli przy otwartej kłapie. Każdy z nich, podobnie jak Corbec i Kolea, dźwigał na sobie dwadzieścia kilogramów matowocznego pancerza osobistego. Większą część tego ciężaru stanowiły przytroczone do kamizelek i ochraniaczy magazynki, latarki, pochwy z nożami, zestawy łączności, zwinięte liny, pakiety medyczne, kajdanki, flary

sygnałowe, podręczniki, modlitewniki i cała reszta sprzętu wchodzącego w skład standardowego wyposażenia każdego imperialnego gwardzisty.

- Będzie ciasno – burknął Leyr spoglądając w głąb wejścia do piwnicy.
- Owszem – skinął głową Kolea, po czym zdjął z ramion swój płaszcz kamuflujący – Wywalcie wszystko, co nie jest niezbędne.

Leyr i Yael poszli w ślady sierżanta, chwilę potem zrobił to samo Corbec. Na podłogę spadły płaszcze, na nich wylądowały elementy niepotrzebnego ekwipunku. Cztery kopie „Podręcznika Imperialnego Gwardzisty” uderzyły w posadzkę niemal w tym samym momencie.

Żołnierze spojrzeli na pułkownika z wyrazem zmieszania w oczach.

- W porządku, wszystko i tak jest tutaj – Corbec stuknął czubkiem palca w skroń.

Sierżant Kolea wbił w podłogę hak i przywiązał do niego koniec swej liny do wspinaczki, po czym zrzucił ją w piwniczny otwór.

- Kto idzie pierwszy ? – zapytał.

Corbec najchętniej puściłby przodem Koleę, ale pomysł infiltracji podziemi był jego pomysłem i chciał, by jego ludzie pokładali w planie dowódcy niewzruszone zaufanie. Chwycił koniec liny, zarzucił na plecy swój laser i zjechał do piwnicy.

Kolea poszedł w jego ślady, potem Leyr. Yael stanowił tylną straż grupy.

Piwnica miała osiem metrów wysokości. Jeszcze zjeżdżając w dół liny Corbec poczuł potworny zaduch i gorąco. Pomimo pozbycia się znaczącej części ekwipunku pułkownik z miejsca zaczął się pocić, uwięziony w ciasnej grubej kamizelce.

Wylądował na pogrążonej w ciemnościach podłodze i włączył swą latarkę.

Powietrze było gęste i stęchłe. Pułkownik znalazł się w pomieszczeniu szerokim na cztery metry, okropnie zawilgoconym i cuchnącym zgnilizną. Jego buty pogrążyły się z mlaśnięciem w lepkiej breji.

- Kurwa mać – syknął Leyr lądując z chlupotem na ziemi.

Z piwnicy wychodził wąski tunel, na niecały metr wysoki i zaledwie pół szeroki. Z niezbędnym sprzętem i bronią, gwardziści zmuszeni byli poruszać się w nim gęsiego, zgarbieni, nieledwie na czworakach. Breja pod ich nogami mlaskała odrażająco w rytm kroków.

Corbec przymocował latarkę do zaczepu pod lufą karabinu. Oświetlił przejście tak daleko jak tylko zdołał, po czym zgiął się wpół i wślizgnął się do tunelu.

- To nie był najlepszy pomysł, żebyśmy obaj tutaj włązili – burknął Kolea.

Było to najbliższe żartu stwierdzenie, jakie Corbec miał okazję usłyszeć z ust małomównego sierżanta. Z wyjątkiem Bragga Colm i Kolea należeli do największych fizycznie mężczyzn wśród Duchów. Ani Leyr ani Yael nawet nie dorastali do dwóch metrów wzrostu. Pułkownik uśmiechnął się kącikiem ust.

- Więc jak sobie radziłeś wcześniej ? W kopalniach ?

Kolea wyminął dowódcę dziwacznym ruchem, nienaturalnie wygięty w bok.

- Kiedy trzeba było, czołgaliśmy się na brzuchach. Ale są też inne sposoby. Popatrzcie.

Corbec oświetlił postać sierżanta snopem światła rzucanym przez latarkę, by zarówno on sam jak i dwaj żołnierze tłoczący się z tyłu mogli przyjrzeć się ruchom Kolei. Były górnik oparł się plecami o jedną ze ścian i osunął się po niej w dół niemalże do pozycji siedzącej. Następnie przesunął się w bok wzdłuż ściany dotykając jednocześnie wyciągniętą nogą przeciwnej ściany, by uniknąć poślizgu w zdradliwym błocie.

- Spryciarz – mruknął pod nosem Corbec.

Pułkownik poszedł w ślady Kolei, podobnie uczynili Leyr i Yael. Cała czwórka przyśpieszyła pokonując wąski mroczny tunel.

Z góry, poprzez grubą warstwę kamieni i cegieł, dobiegł ich uszu stłumiony huk wystrzałów. Wyznaczone dziesięć minut właśnie minęło i Bray rozpoczął obiecaną kanonadę.

A oni tkwili wciąż w tunelu, poruszając się zdecydowanie zbyt wolno w stosunku do pierwotnego planu.

Przejście poszerzyło się nieoczekiwanie przechodząc w obszerny korytarzyk. Śmierząca breja też się pogłębiła, sięgała teraz żołnierzom do kolan. Snopy światła rzucanego przez latarki odkryły schowane w mroku płaskorzeźby przedstawiające podobizny starożytnych świętych.

Ku uldze wszystkich mężczyzn sufit tunelu znalazł się znacznie wyżej niż w pierwszym przejściu. Poprawiając paski laserów czwórka Duchów rzuciła się do przodu rozchlapując błoto. Corbec założył, że grupa znalazła się gdzieś pod środkowym fragmentem targowiska.

Pułkownik odkrył kolejny tunelik, odchodzący w kierunku, gdzie niewątpliwie wznosił się gmach handlowej gildii. Corbec przejął prowadzenie od Kolei, ślizgając się wzdłuż ściany przejścia w sposób zaprezentowany przez sierżanta.

Dotarł do szybu z metalową drabinką tkwiącą w jednej ze ścian.

Szyb zbudowany został z cegieł, był wąski i ciasny, liczył jakiś metr kwadratowy. Posługując się mięśniami łydek i ud można było w miarę szybko wspiąć się w jego górę. Prowadzenie objął ponownie Corbec.

Pochrzakując i mrugając zalepionymi potem oczami pułkownik dotarł w końcu do drewnianej kłapy zamykającej szczyt szybu. Przekreślił głowę w dół spoglądając na Koleę. Yael i Leyr wlepili w Corbeca pytający wzrok.

- Dobra, zaczynamy – oświadczył pułkownik.

Pchnął klapę. W pierwszej chwili nawet nie drgnęła, ale po kilku sekundach ustąpiła nieoczekiwanie. Do wnętrza szybu wpadło światło. Corbec zamarł w bezruchu nasłuchując jakiegokolwiek zdradzającego zagrożenie dźwięku, nic jednak nie usłyszał. Napiął mięśnie i wystawił głowę przez otwór na podłogę pomieszczenia.

Leżał na posadzce podziemi gildii. Komnata była pusta, o ile nie zwracało się uwagi na kilka nieruchomych ludzkich ciał spoczywających w różnych jej miejscach. Krążące wokół nich muchy brzęczały irytująco.

Pułkownik wyturlał się z otworu, reszta gwardzistów poszła w jego ślady. W brudnych, ociekających breją butach, z gotową do użycia bronią, wszyscy czterej mężczyźni zgasili swoje latarki.

Gdzieś z góry docierał do nich dźwięk laserowej palby.

Yael sprawdził szybko ciała.

- Parszywi Infardi – splunął na najbliższego trupa – Ranni, zostawiono ich tutaj, żeby zdechli.

- Pomóżmy ich kumplom dołączyć do tego towarzystwa – wyszczerzył zęby Corbec.

Podkradli się do ceglanych schodów w jednym z kątów piwnicy. Podniszczone drewniane drzwi zagradzały im wejście na parter budynku.

Pułkownik uniósł jeden ze swych ciężkich butów przygotowując się do wyłamania drzwi z zawiasów. Zerknął poprzez ramię na trójkę towarzyszy.

- I co powiecie ? Oto dzień bohaterów ?

Gwardziści skinęli niemo głowami. Corbec kopnął w drzwi.

Rozdział II – Słudzy Slaina

„Bądź powitany w niebiosach, tam bowiem zamieszkują Imperator i jego święci” – powiedzenia św. Sabbat.

Brin Milo przedzierał się poprzez uliczne korki z zawieszonym lufą w dół karabinem na ramieniu. Oddziały Tanithijczyków i lekkie wozy pancerne Ósmego Pancernego Regimentu Pardusu przemieszczały się do dystryktu uniwersyteckiego z zadaniem wsparcia szturm komisarza. Chłopiec wsuwał się co chwila w progi zamkniętych drzwi budynków ustępując drogi gąsienicowym transporterom i samobieźnym bateriom Hydr oraz maszerującym w równych szeregach drużynom piechoty.

Przyjaciele i znajomi wymieniali z młodym gwardzistą pozdrowienia, kilku wyłamało się z szyku, by wymienić z nim uściski dłoni. Mundury większości żołnierzy pokrywała cienka warstewka różowego pyłu, a na ich skórze lśniły kropelki potu, ale samopoczucie wszystkich było wysokie. Stoczone w nocy walki okazały się wyjątkowo zaciekle, lecz imperialne wojska coraz silniej przechylały szalę zwycięstwa na swoją stronę.

- Hej, Brinny ! Co tam słysząc z przodu ? – zawołał sierżant Varl. Żołnierze z jego drużyny złamali szyk tarasując ulicę.

- Niewielki opór, komisarz już sobie z tym poradził. Sporo drani siedzi za to w Uniwersytecie. Rawne już tam uderzył.

Varl pokiwał głową. Niektórzy z jego ludzi zaczęli o coś pytać, ale ich głosy utonęły w dźwięku donośnego klaksonu.

- Ruszać się, z drogi ! – krzyknął pardusycki oficer wychylony do pasa ze swej Salamandry. Za jego wozem tłoczyła się kolumna samobieźnych miotaczy ognia i haubic. Powietrze przeszło wycie innych klaksonów, pracujące na jałowych biegach silniki krztusiły się różowym pyłem, strzelały kłębami spalin.

- Dalej, z drogi !

- Już, już, psiakrew ! – odkrzyknął Varl nakazując swym żołnierzom odskoczyć pod ściany budynków. Pojazdy ruszyły w dalszą drogę przetaczając się obok Duchów z łoskotem gąsienic.

- Spróbuję zostawić coś dla ciebie, Varl ! – zawołał pardusycki oficer stając na baczność przy burcie swego transportera i salutując w lekko drwiący sposób.

- Za parę minut będziemy ratować twoją dupę, Horkan ! – odciął się Varl i uniósł w odpowiedzi na salut pancerniaka wystawiony palec prawej dłoni. Jego gest natychmiast powtórzyli wszyscy pozostali Tanithijczycy.

Brin Milo uśmiechnął się szeroko. Pardusyci byli dobrymi towarzyszami broni, a rubaszny charakter ich kontaktów z Tanithijczykami dobitnie obrazował sympatię panującą w stosunkami pomiędzy członkami obu regimentów.

W ślad za transporterami zaczęły nadjeżdżać ciągniki siodłowe typu Trojan ciągnące wielkie przyczepy z amunicją oraz jaszczce i polowe działa małego kalibru. W tyle kolumny maszerowali inni Tanithijczycy, ciągnący kołowe wózki wyładowane pudłami pełnymi baterii do laserów i butlami paliwa dla miotaczy ognia. Ludzie Varla szybko zostali zagonieni do pomocy przy wyciąganiu ze studzienki odpływowej wózka, który wpadł tam przez nieuwagę pchających. Milo ruszył w swoją stronę.

Omijając ustawicznie kolumny żołnierzy i jadące wolno pojazdy, młody gwardzista dotarł w końcu do kamiennego mostu łączące brzegi stołecznej rzeki. Powierzchnia starożytnej budowli pełna była śladów po trafieniach artyleryjskich pocisków, a grupy pardusyckich saperów opuszczały się na linach wzdłuż filarów mostu szukając ewentualnych ładunków wybuchowych nieprzyjaciela. W tej części Doctrinopolis rzeka płynęła głębokim, wykonanym ludzkimi rękami kanałem o bazaltowych ścianach stanowiących jednocześnie fundamenty nadrzecznych budynków. Woda miała ciemnozieloną barwę, ciemniejszą od koloru heretyckich uniformów. Milo miał już okazję usłyszeć, że miejscowi postrzegali tę rzekę za świętą.

Zasięgnawszy porady u kierującego ruchem na pobliskim skrzyżowaniu tanithijskiego kaprała Milo zszedł z głównej drogi i zbiegł po niskich schodkach na kamienny wał biegnący

pod wjazdem na most. Niewielkie fale uderzały z pluskiem w nadbrzeże trzy metry niżej, odbijając od zielonej powierzchni zagładające pod most słoneczne promienie.

Stawiając ostrożnie kroki żołnierz dotarł w końcu do kolistego otworu w wale. Było to wodne wejście do jednej z pomniejszych stołecznych świątyń. Zmęczeni, wynędzniali ludzie w cywilnych ubraniach tłoczyli się na wale wokół sakralnego przybytku.

Świątynia została we wczesnej fazie szturmie przeistoczona przez lokalnych lekarzy i kapłanów w polowy szpital, obecnie jednak kontrolę nad lazaretem zaczynał przejmować personel Gwardii. Żołnierze i cywile leżeli obok siebie, bez względu na narodowość i szarżę.

- Lesp ? Gdzie jest doktor ? – zapytał Milo zagłębiając się w półmrok świą- ss

tyni i odnajdując wzrokiem tanithijskiego sanitariusza zszywającego rozciętą skórę na głowie pardusyckiego gwardzisty.

- Gdzieś z tyłu – odparł Lesp omywając zszytą ranę wacikiem nasączonym wodą destylowaną. Noszowi biegali tam i z powrotem, w większości przypadków wnosząc rannych i chorych mieszkańców stolicy. Świątynia zapełniała się z każdą mijającą chwilą, Lesp sprawiał wrażenie całkowicie zaaferowanego pracą.

- Doktorze ? Doktorze ? – zaczął wzywać podniesionym głosem Milo. Przesunął wzrokiem po hagiańskich kapłanach i ochotnikach w kremowych szatach, pracujących ramię w ramię z imperialnymi medykami, świadczących swym ziomkom posługę wedle lokalnego zwyczaju. Wojskowi kapelani z naszywkami Ministerium na rękawach wspierali na duchu żołnierzy Gwardii.

- Kto potrzebuje doktora ? – zapytała jakaś postać podnosząc się z klęczek i wygładzając rękami pomięty czerwony fartuch.

- Ja – odezwał się Milo – Szukam doktora Dordena.

- Jest w terenie. W Starym Mieście – poinformowała chłopca Ana Curth – Chwilowo ja tutaj dowodzę.

Curth była Verghastyką, która dołączyła do tanithijskiego regimentu na mocy Aktu Konsolidacji wraz z wieloma vervuńskimi ochotnikami. Zdołała poradzić sobie z wstrząsem psychicznym, jakim okazała się dla każdego cywila wojna o Vervunhive, a główny oficer medyczny Dorden nie skrywał swego zadowolenia z jej decyzji.

- A ja nie zdołam ci pomóc ? – zapytała kobieta.

- Komisarz mnie przysłał – odpowiedział Milo – Znaleźliśmy... - zniżył głos i ujął lekarkę pod ramię odciągając ją delikatnie w bardziej ustronne miejsce – Znaleźliśmy miejscowego władcę. Króla, jak mi się zdaje. Nie żyje. Gaunt chce, by jego ciałem zajęto się zgodnie z tutejszym obrządkiem. Ceremonialny pochówek i te sprawy.

- To nie wchodzi niestety w moje kompetencje – pokręciła głową Curth.

- Wiem, ale pomyślałem, że pani albo doktor mogą znać miejscowych notabli. Najlepiej kapłanów.

Lekarka potarła czubkami palców powieki i poprowadziła gwardzistę poprzez zatłoczoną świątynię do miejsca, gdzie hagiańska dziewczyna w powłóczyстых szatach studentki zmieniała opatrunek na rozciętej szyi jakiegoś rannego.

- Sanian ? – słysząc swe imię dziewczyna uniosła w górę głowę. Miała wysokie kości policzkowe i ładne rysy twarzy oraz ciemne oczy ocienione ślicznie wykrojonymi brwiami. Jej głowa była niemal całkowicie ogolona do skóry, wieńczył ją jedynie kruczoczarny warkocz opadający wdzięcznie na jedno z ramion.

- Doktor Curth ? – zapytała miłym dla ucha głosem.

Nie jest wcale starsza ode mnie, pomyślał Milo, ale z powodu ogolonej głowy nie potrafił precyzyjnie odgadnąć wieku studentki.

- Towarzyszący mi szeregowiec Milo przybył tu z rozkazu swego dowódcy, aby odnaleźć osobę obeznaną z lokalnymi ceremoniałami.

- Chętnie pomogę, jeśli tylko zdołam.
- Powiedz jej, czego potrzebujesz, Milo – poleciła Curth.

a

Milo i towarzysząca mu hagiańska studentka opuścili szpital wchodząc na oświetlony słonecznymi promieniami rzeczny wał. Dziewczyna złożyła dłonie oddając pokłon rzece i słońcu, po czym odwróciła się w stronę żołnierza.

- Jesteś doktorem ? – zapytał Milo.
- Nie.
- Należysz do kapłanek ?
- Nie. Jestem słuchaczką na Uniwersytecie – wskazała dłonią swój długi warkocz - Te włosy wskazują obraną przez nas drogę. Zwiemy się esholi.
- Co takiego studiujesz ?
- Wszelkie dziedziny. Medycynę, muzykę, astrografię, święte teksty... czyż nie w taki sposób naucza się na twoim świecie ?

Milo pokręcił przecząco głową.

- Mojego świata już nie ma. Ale kiedy chodziłem jeszcze do szkoły, starsi studenci specjalizowali się w wybranych dziedzinach.

- To takie... dziwne.
- A kiedy skończysz studia, kim zostaniesz ?

Dziewczyna zerknęła na niego marszcząc nieznacznie czoło.

- Kim zostanę ? Już się stałam, jestem esholi. Nasza nauka trwa przez całe życie.

- Och – wciągnął powietrze Brin, po czym umilkł na chwilę. Po wznoszącym się ponad wałem moście przejechała z hukiem kolumna Trojanów – Słuchaj, mam dla ciebie złe wieści. Twój król nie żyje.

Hagianka podniosła dłonie do ust, pochyliła nisko głowę.

- Przykro mi – oświadczył zmieszany Milo – Mój dowódca chce wiedzieć, co należy uczynić z... jego szczątkami.

- Musimy odnaleźć ayatani.
- Kogo ?
- Kapłanów.

a

Zawodzący dźwięk sprawił, że Rawne zawirował w półobrocie spoglądając błyskawicznie za swe plecy. Podmuch wiatru.

Major poczuł na twarzy jego chłodne dotknięcie, strumień powietrza omiatający kamienne korytarze i aule Uniwersytetu. Większość okien w monumentalnym budynku została rozbita, a jego ściany znaczyły wielkie dziury po artyleryjskich pociskach, toteż hagiańskie wiatry hulały bez żadnych przeszkód w całym gmachu.

Mężczyzna zastygł na moment w bezruchu, z kamuflującym płaszczem zarzuconym na jedno ramię i laserem przyciśniętym kolbą do biodra, wpatrując się uważnie w...

Cóż, nie miał pojęcia, na co takiego właściwie patrzy. Miał przed sobą wielki pokój, okopcony, poznaczony śladami pożaru. Czarne resztki nadtopionych mebli przywierały do ścian i podłogi niczym zdeformowane pająki. Miliony drobnych kawałków szkła błyszcząły na posadzce. W kątach pomieszczenia żołnierz dostrzegł kawałki strawionych płomieniami dywanów.

Rola, jaką pełnił niegdyś ten pokój nie miała już żadnego znaczenia. Był pusty. Był czysty. Tylko to się teraz liczyło.

Rawne wycofał się na korytarz i ruszył w głąb wąskiego przejścia. Wiatr nadal zawodził, wciskając się do budynku poprzez liczne dziury. Za plecami majora pojawili się jego podkomendni: Feygor, Bragg, Mkillian, Waed, Caffran... oraz kobiety.

Major Rawne wciąż jeszcze nie określił jasno swego stosunku do służących w regimencie kobiet. Spora ich grupa w rezultacie Aktu Konsolidacji zdecydowała się dołączyć właśnie do tanithijskiej formacji. Potrafiły walczyć, tego akurat majorowi nie trzeba było udowadniać! Wszystkie przeszły chrzest bojowy w trakcie obrony Vervunhive, z robotnic i rzemieślniczek stały się wytrawnymi żołnierzkami.

Lecz zarazem wciąż pozostawały kobietami. Rawne próbował porozmawiać na ten temat z Gauntem, ale pułkownik-komisarz niezmiennie rozpoczynał tyradę traktującą o chwalebnej historii rozmaitych żeńskich lub mieszanych jednostek gwardyjskich bla bla bla, toteż Rawne szybko darował sobie próby podjęcia konkretnej dyskusji.

Majora nie interesowała historia, interesowała go przyszłość. Oraz odpowiednio długi żywot, by mógł się naocznie przekonać o jej biegu.

Obecność kobiet w regimencie pociągała za sobą istotne kłopoty, już doszło do kilku incydentów. Major wiedział o bójkach na pokładzie statku transportowego, o Verghastytach broniących „honoru” swych towarzyszek, mężczyznach nagabujących żołnierki, kobietach używających siły fizycznej do zniechęcenia natrętów...

W regimencie znalazła się beczka prochu i już wkrótce jej konsekwencje mogły wykroczyć dalece ponad rozcięte wargi i wybite zęby. Ze swej strony, Rawne nigdy nie ufał kobietom, a z pewnością nigdy nie zawierzyłby mężczyźnie pokładającym zbytnią ufność w kobiecie.

Przykładem mógłby zostać chociażby Caffran. Jeden z najmłodszych wiekiem Duchów: silny, szybki, świetnie wyszkolony. Na Verghaście zaangażował się w emocjonalny związek z lokalną kobietą i od tej pory oboje stali się praktycznie nierozłączni. Stali się parą. A Rawne wiedział jeszcze o dwójce małych dzieci znajdujących się pod opieką cywilnych pracowników regimentu stacjonujących obecnie na pokładzie statków transportowych.

Dziewczyna nazywała się Tona Criid. Miała osiemnaście lat, szczupłą, zgrabną sylwetkę, jasnopopielate włosy i gangsterskie tatuaże, które świadczyły o trudach życia w przedwojennym Vervunhive. Rawne obserwował ją, kiedy stąpała ostrożnie ramię w ramię z Caffranem poprzez opustoszały korytarz Uniwersytetu, ubezpieczając się wzajemnie z partnerem, sprawdzając kolejne drzwi i okna. Poruszała się z wrodzoną gracją i zwinnością. Doskonale wiedziała, co robi. Czarny uniform Duchów doskonale leżał na jej ciele. Wyglądała w nim... bardzo ponętnie.

Rawne oderwał od niej wzrok i podrapał się za uchem. Te kobiety doprowadzą w końcu do czyjejś śmierci.

Drużyna skradała się poprzez budynek przestępując ponad rozbitym szkłem i zniszczonymi meblami. Rawne spostrzegł, że przemieszcza się tuż obok innej żołnierki. Nazywała się Banda, była niegdyś robotnicą przemysłową walczącą w Vervunhive w sławnej ochotniczej kompanii pod rozkazami Gola Kolei. Ładna, miła, pełna temperamentu, o nierówno przyciętej krótkiej blond grzywie i figurze dalece bardziej zaokrąglonej i kobiecej od szczupłej Criid.

Rawne posłał jej krótki sygnał za pomocą ruchów palców. Skinęła w odpowiedzi głową, po czym mrugnęła do niego jednym okiem.

Mrugnęła!

Nie wolno puszczać oka do swego przełożonego!

Rawne właśnie walczył z zamiarem potrząśnięcia dziewczyną i wykrzyczenia jej tego w twarz, kiedy idący z przodu Waed nadał ostrzegawczy sygnał.

Wszyscy natychmiast wtopili się w cienie, przyciskając ciała do ścian korytarza. Kilka metrów z przodu można było dostrzec zakręt. Trochę wcześniej widniały drewniane, pomalowane czerwoną farbą drzwi, zaś w głębi, na wysokości zakrętu łukowata arkada. Rozłożony na posadzce korytarza dywan pełen był dziur i plam po zakrzepłej krwi.

- Waed ?

- Jakiś ruch. Za arkadą – wyszeptał Waed.

- Feygor ?

Adiutant majora skinął bezgłośnie głową potwierdzając słowa szperacza.

Rawne uniósł dłoń wydając za pomocą ruchów palców kilka poleceń. Feygora i Waed przeskoczyli na drugą stronę korytarza, zgięci w pół przycisnęli się do ściany. Bragg przyłgął do muru po przeciwnej stronie, oparł lufę swego karabinu maszynowego o wystającą ze ściany cegłę. Banda i Mkillian schronili się za drewnianym biurkiem, porzuconym przez kogoś w głębi korytarza.

Caffran i Criid zawiesili na ramionach karabiny, wyjęli z kabur swe pistolety i podkradli się do czerwonych drzwi. Jeśli ukryte za nimi pomieszczenie połączone było innym przejściem z przestrzenią za arkadą, wchodząc tam Duchy zyskałyby poszerzone pole ostrzału. A kontrola obiektu była rutynowym zabiegiem wymuszonym względami bezpieczeństwa.

Całkowita cisza. Wszyscy żołnierze byli Duchami, wszyscy poruszali się w bezgłośny sposób.

Caffran ujął w lewą dłoń klamkę i przekręcił ją delikatnie, ale nie otworzył drzwi. Przytrzymując klamkę z całej siły przesunął się nieco w bok umożliwiając Criid przyłożenie ucha do powierzchni drzwi. Rawne widział jak dziewczyna przesuwając jedną dłonią swe blond włosy, by jej nie przeszkadzały. Wiedział...

Wiedział, że musi się skoncentrować na czymś zupełnie innym niż jej wdzięki, cholera !

Criid obejrzała się przez ramię i pokazała majorowi otwartą dłoń oznajmiając, iż nic za drzwiami nie usłyszała. Rawne potwierdził ruchem głowy odbiór przekazu, skontrolował wzrokiem pozycje swych ludzi, po czym wystawił trzy palce swej dłoni i zaczął je zginać jeden po drugim.

Kiedy trzeci palec oficera zniknął, Caffran i Criid wpadli do pomieszczenia za czerwonymi drzwiami. Znaleźli się w wielkiej sali zapewne pełniącej rolę skryptorium do czasu, gdy raketowe pociski rozwały frontową ścianę obracając w perzynę drewniane ławki i półki. Gwardziści przypadli do podłogi chowając się za szczątkami mebli, z głębi pozbawionego drzwi przejścia w prawej ścianie posypały się w ich kierunku laserowe wiązki.

Słyszając odgłos wystrzałów ogień otworzyli pozostali podkomendni Rawne, mierzący na chybił trafił w głąb arkady przedzielającej korytarz. Niewidoczny jeszcze przeciwnik odpowiedział chaotycznym ostrzałem.

- Caffran ! Co tam masz ?! – sarknął do mikrokomunikatora major.

- Pokój nie ma bezpośredniego przejścia za waszą arkadę, ale jest tu droga okrężna !

Caffran i Criid zaczęli przedzierać się poprzez pokój kryjąc ciała za stertami zniszczonych mebli i posyłając okazyjne wiązki energii w stronę drugiego wyjścia z pomieszczenia. Podłoga zalana była różnobarwnym atramentem i dłonie obojga gwardzistów szybko nabrały tęczy barw. Dziewczyna przesunęła wzrokiem po ścianach skryptorium zauważając po raz pierwszy znaczące je kolorowe plamy, pozostałość po wybuchu rakiet.

Caffran otworzył jedną z kieszeni na udzie i wyszarpnął z niej niewielki pakiet burzący.

- Przygotować się na detonację ! – krzyknął do mikrofonu, zerwał foliowy kapturek na chemicznym zapalniku ładunku i cisnął metalową tubą za drzwi.

Głuchy grzmot wstrząsnął podłogą, przez przegradzającą korytarz arkadę posypał się deszcz odłamków i buchnęły kłęby dymu. Feygor przesunął się kilka kroków do przodu, by skontrolować bieżącą sytuację.

Criid i Caffran podnieśli się z klęczek i podkradli do drzwi. W powietrzu unosił się ostry gryzący zapach kordytu. Przystając opodal progu dziewczyna wyjęła z kieszonki na piersi niewielki krążek metalu, wypolerowany niczym lustro. Zamocowała przedmiot na lufie karabinu i wsunęła broń za futrynę drzwi. Mały ruch dłoni odwrócił prowizoryczne lustro w bok, w jego powierzchni odbijał się obraz pomieszczenia za progiem.

- Czysto – oświadczyła.

Przeskoczyli przez próg wpadając do małego przedpokoju sąsiadującego ze skryptorium. Pod przeciwną ścianą ciągnął się rząd metalowych pras drukarskich, natomiast ciała trzech zabitych odłamkami Infardich leżały tuż przy drzwiach prowadzących na korytarz. Zwłoki były skąpane w kolorowych tuszach strąconych wybuchem z drewnianych półek.

Rawne wślizgnął się do przedpokoju przez wejście wiodące na korytarz.

- A co jest tam ? – zapytał wskazując lufą broni zasłoniętą ciemną kotarą aa wnetę po drugiej stronie pokoiku.

- Jeszcze nie sprawdziłem – odpowiedział Caffran.

Major doskoczył do wnetki i szarpnął wolną ręką za kotarę. Laserowa wiązka omal go nie przeszła, przepaliła na wylot fragment munduru.

- Feth ! – krzyknął rzucając się za leżące na boku biurko. Wystrzelił w ruchu ze swojego karabinu i jakaś postać w zielonym uniformie poleciała w tył z rozrzuconymi szeroko rękami, pociągając na siebie ścienną szafkę pełną szklanych pojemników.

Rawne i Caffran zajrzeli do wnetki, która okazała się miniaturowym magazynkiem pozbawionym innych wejść i okien. Na podłodze leżał martwy Infardi.

Strzelanina wciąż trwała. Rawne odwrócił się w miejscu – kanonada dobiegała z głównego korytarza.

- Mamy tutaj... – w komunikatorze rozległ się urwany wpół głos Mkilliana.

- Feth ! – wrzasnął Feygor.

Rawne, Criid i Caffran przedostali się pod wyjście prowadzące na korytarz, ale krzyżujące się tam wiązki energii były zbyt liczne, by którekolwiek z trójki odważyło się wystawić na zewnątrz głowę. Jakiś pocisk zrykoszetował o przeciwną ścianę, wpadł do przedpokoju skryptorium ocierając się o policzek majora.

- Kurwa ! – syknął Rawne, cofnął się o kilka kroków i przycisnął do ust mikrofon – Feygor, ilu ich tam jest ?!

- Dwudziestu, może dwudziestu pięciu ! Zabarykadowali się w sali w głębi korytarza ! Boże, ależ do nas walą !

- Oddajcie im z cekaemu !

- Bragg próbuje ! Podajnik się zaciął ! Och, nie...

- Co jest ? Co ? Powtórz !

Przez chwilę w eterze rozbrzmiewało wyłącznie echo wystrzałów, potem odezwał się zdyszany Feygor.

- Straciliśmy Bragg. Dostał. Feth, przygwoźdź nas ogniem !

Rawne rozejrzał się wokół z grymasem desperacji na twarzy. Criid i Caffran przebiegli w międzyczasie do skryptorium, doskoczyli do jednego z rozbitych okien. Dziewczyna wyrzała na zewnątrz.

- A co z tym ? – zawołał do majora Caffran.

Rawne przebiegł do drugiego pokoju zauważając, że Criid zdążyła już przejść na drugą stronę okna i zaczęła balansować na kamiennym parapecie.

- Chyba żartujecie... – zaczął major.

Caffran nie był w nastroju do żartów. Przełożył nogi przez futrynę okna i stanął na parapecie obok Criid, po czym odwrócił się wyciągając rękę w stronę przełożonego. Major zarzucił karabin na ramię i pochwycił dłoń szeregowca przechodząc ostrożnie na drugą stronę okna.

Zaklął bezgłośnie. Powietrze na zewnątrz było dziwnie chłodne. Kamienna ściana Uniwersytetu biegła dziewięćdziesiąt metrów w dół, prosto w zielone, opalizujące hipnotycznie wody rzeki. Ponad dachem skryptorium w niebo wystrzeliwały pokryte dachówkami kopuły i wieżyczki innych budynków. Major zakołysał się na moment tracąc równowagę.

Parapet biegł na całej długości ściany, Criid i Caffran stąpali po nim ostrożnie uważając na wilgotne odcinki. Rawne ruszył powoli śladami swych podwładnych. Wykute w kamieniu płaskorzeźby, przedstawiające starożytnych świętych i gargulce, w wielu miejscach przegradzały parapet utrudniając poruszanie się. Rawne zauważył, że najwygodniej pokonywało się drogę idąc twarzą do ściany, a rękami trzymając wystające elementy płaskorzeźb.

Poczuł jak jego stopa traci oparcie i zacisnął ramiona na karku jakiegoś świętego zamykając jednocześnie kurczowo oczy. Serce majora waliło niczym kowalski młot.

Kiedy otworzył je ponownie, dostrzegł znajdującego się dziesięć metrów dalej Caffrana, nigdzie natomiast nie widział dziewczyny. Feth, czyżby spadła? Nie, jej jasna grzywka pojawiła się nieoczekiwanie w pobliskim oknie. Zamachała rękami ponaglając obu mężczyzn, po czym znikła ponownie za parapetem.

Caffran pomógł majorowi przedostać się przez rozbite okno. Oficer podarł sobie ochraniacze na kolanach o wystające niczym zęby kawałki szkła, potrzebował też kilkunastu sekund na odzyskanie galopującego szaleńczo oddechu. Rozejrzał się wokół siebie.

Jakiś pocisk ciężkiego kalibru trafił bezpośrednio w pokój, do którego dotarły Duchy. Wpadł przez okno i eksplodował zarywając podłogę i demolując całkowicie pomieszczenie znajdujące się piętro niżej. Pod ścianami pokoju sterczały elementy zbrojeń i wsporników otaczając ziejącą pośrodku pustkę. Poruszając się ostrożnie gwardziści dotarli do wyłamanych z zawiasów drzwi wiodących na korytarz. Odgłosy wystrzałów dobiegały teraz z drugiej strony.

Pierwszy na korytarz wychynął Caffran. Wydarte eksplozją drzwi przeleciały na drugą stronę przejścia i stały lekko przechylone, oparte o ścianę. Trzy Duchy zawróciły w przeciwną stronę korytarza przedostając się od tyłu do sali okupowanej przez heretyków ostrzeliwujących resztę drużyny.

Dwudziestu dwóch Infardich ukrywało się za prowizorycznymi barykadami wykonanymi z połamanych mebli. Strzelali jak szaleni w stronę grupy Feygora zupełnie nie zwracając uwagi na to, co działo się za ich plecami.

Rawne i Caffran wyjęli z pochew srebrne tanithijskie ostrza, Criid zaś sięgnęła po łańcuchowy nóż, pamiątkę z lat spędzonych w jednym z gangów Vervunhive. Wpadli jednocześnie na plecy kultystów i nim którykolwiek z heretyków zorientował się w naturze nagłego zagrożenia, ośmiu z nich już nie żyło.

Rozgorzała zaciekle walka wręcz, bezpardonowa i dzika. Rawne i Criid zaczęli strzelać z opartych o biodra laserów prosto w szarżujących na nich obrońców, Caffran użył swego pistoletu.

Jakiś wymachujący bagnetem Infardi rzucił się na majora. Rawne strzelił mu w udo i brzuch, ale napastnik zdążył uderzyć swym ciałem w Ducha przewracając go na podłogę.

Major zaczął szarpać się szaleńczo próbując zrzucić z siebie drgające jeszcze ciało heretyka. Inny Infardi wyrósł ponad nim zamachując się ciężką siekierą.

Laserowa wiązka przestrzeliła mu na wylot czaszkę.

Rawne pozbierał się z podłogi. Infardi zginęli co do jednego, reszta drużyny wpadła w pośpiechu do sali.

- Feygor?

- Świetna robota, szefie – oświadczył adiutant.

Rawne nie skomentował pochwały; nie widział przyczyny, dla której miałby wspominać, że cała przeprowadzona akcja była pomysłem Tony Criid.

- Co z wami ? – zapytał.

- Waed draśnięty, wszystko z nim w porządku. Gorzej z Braggiem, dostał postrzał w ramię. Musimy ściągnąć noszowych, żeby go stąd ewakuowali.

Rawne skinął głową wyrażając zgodę.

- Świetny strzał – pochwalił Feygora – Ten skurwiel zdążyłby mnie wykończyć.

- To nie ja – zaprzeczył adiutant wskazując jednocześnie brudnym palcem Bandę.

Dziewczyna błysnęła zębami w uśmiechu poklepując jednocześnie znacząco kolbę karabinu.

I mrugnęła porozumiewawczo.

- Cóż... niezły strzał – wymamrotał Rawne.

a

Kapitan Dan Baur kontrolował właśnie ruch pieszych na modlitewnym placu na wschód od Uniwersytetu, kiedy za plecami usłyszał głos pułkownikakomisarza wypowiadającego jego imię.

Drugi front Colma Corbeca wdarł się do Starego Miasta i cywile ukrywający się przez ostatnie trzy tygodnie w piwnicach i kanałach tej części stolicy umykali teraz w panice ze strefy walk.

Poprzez ciasny plac przesuwiała się w monotonnym tempie rzeka wynędzniałych, brudnych i obdartych ludzkich ciał.

- Daur ?

Ban Daur odwrócił się i oddał swemu dowódcy salut.

- Są ich tysiące, sir. Zablokowali ruch ze wschodu na zachód. Próbuję skierować przynajmniej część do bazyliki na końcu tamtej ulicy. Już się tam zainstalowali miejscowi lekarze i wolontariusze przysłani przez Administratum.

- Dobrze.

- Mam inny problem – Daur wskazał palcem rząd ciągników siodłowych należących do pardusyckiej baterii Hydr, zaparkowanych pod przeciwną ścianą placu – Przy tym tłoku kierowcy nie mają szans na wydostanie się z miejsca postoju.

Gaunt skinął w milczeniu głową. Chwilę wcześniej wysłał sierżanta Mkolla i grupę innych Duchów do pobliskiej kaplicy i teraz patrzył jak rozstawiają na placu przyniesione z sanktuarium drewniane ławki czyniąc z nich prowizoryczne barierki.

- Daur.

- Sir ?

- Idź do bazyliki. Dowiedz się, czy ktoś nie mógłby udostępnić uchodźcom kilku domów obok świątyni.

- Zamierzałem poprowadzić kilka drużyn na Stare Miasto, sir. Pułkownik Corbec prosił o wsparcie piechoty w komercjalu.

Gaunt uśmiechnął się pod nosem. Daur miał na myśli dzielnicę targową, ale nieświadomie użył w stosunku do niej terminu stosowanego w Vervunhive.

- Jestem pewien, że Corbec potrzebuje pomocy, ale dostanie ją z innego źródła. Ty dobrze się sprawdzasz w kwestiach organizacyjnych, Ban. Załatw to dla mnie, a potem możesz sobie pójść postrzelać.

Daur pokiwał z rezygnacją głową. Cenił ogromnie i považał swego dowódcę, nie poczuł jednak żadnej radości na wieść o powierzonym sobie zadaniu. Zbyt przypominało mu wszystkie wcześniejsze misje wykonane od chwili wstąpienia do tanithijskiego regimentu.

Mówiąc szczerze, Daur czuł się wypalony i pozbawiony sensu życia. Wojna o Vervunhive zniszczyła jego młodzieńczą osobowość, do Duchów przystąpił w głównej mierze dlatego, że nie potrafiłby znieść ani dnia dłużej widoku zrównanej z ziemią metropolii, niegdyś będącej domem kapitana. Dzięki swemu stopniowi okazał się najwyższym rangą vervuńskim oficerem wstępującym do Gwardii i w rezultacie otrzymał trzecią pozycję w strukturze dowódczej regimentu, na równi z majorem Rawne – przez co odpowiadał wyłącznie przed Gauntem i Corbecem jako przełożony vervuńskiego kontyngentu.

Bardzo nie lubił tej roli. Uważał, że takie stanowisko powinien był objąć Kolea albo Agun Soric – człowiek, który od podstaw wypracował swą charyzmę w piekle kompanii ochotniczych. Większość Verghastytów przyjętych do Pierwszego i Jedynego nie miało wojskowej przeszłości, rekrutowało się spośród miejskich robotników. Żaden z nich nie żywił wobec Daura takiego samego szacunku, jaki czuli wobec chociażby Gola Kolei.

Lecz w Gwardii obowiązywały inne reguły i zasady postępowania. Zmuszony zaakceptować je Daur znalazł się zatem w dowódczej sekcji regimentu - piastując stanowisko, którego nie lubił; wydając rozkazy ludziom, którzy de facto powinni wydawać rozkazy jemu; próbując utrzymać w ryzach dyscypliny narastający konflikt pomiędzy Verghastytami i Tanithijczykami. Próbując zdobyć szacunek podwładnych.

Chciał uczestniczyć w walce. To była jedyna droga wiodąca do wypracowania sobie szczerzego uznania.

W zamian spędzał większość czasu rozliczając kwestie administracyjne, pisząc rutynowe raporty i zestawienia, protokoły inwentaryzacyjne. Był w tym dobry i na jego nieszczęście fakt ten znany był również Gauntowi. Z tego właśnie powodu pułkownikkomisarz za każdym razem zrzucał problemy administracyjne na barki swego kapitana. Czasami Ban odnosił wręcz wrażenie, że Gaunt nie postrzega go za autentycznego żołnierza, tylko urzędnika. Biurokratę. Kadrowego jednostki.

Huk wystrzałów wyrwał mężczyznę z głębokiej zadumy. Najbliżsi uchodźcy rozpierzchli się w panice, kilka osób zaczęła przeraźliwie krzyczeć. Część rozstawionych przez Mkolla ławek runęła na ziemię z głuchym trzaskiem, przewrócona napierającym na nie tłumem. Daur obrzucił spojrzeniem plac wypatrując gorączkowo śladu snajpera czy ukrytego wśród cywilów zamachowca...

Jeden z pardusyckich żołnierzy stał na dachu swego pojazdu i strzelał ze służbowego pistoletu do wotywnych flag łopoczących ponad placem. Pasy kolorowego materiału powiewały na cienkich linkach przywiązanych do metalowych obręcz wmurowanych w ściany pobliskiej świątyni. Pardusyta zestrzeliwał je na ziemię ku uciechu reszty obsady baterii.

- Co ty robisz, do cholery? – krzyknął Daur podbiegając do Hydry. Mężczyźni w piaskowych mundurach i czapkach z daszkiem spojrzeli na kapitana ze zdziwieniem na twarzach.

- Ty tam! – wrzasnął Daur wskazując palcem gwardzistę z pistoletem w rękę – Chcesz tu panikę wywołać?!

Żołnierz wzruszył niepewnie ramionami.

- To dla zabicia czasu. Pułkownik Farris kazał nam asystować przy szturmie na Cytadelę, ale stąd i tak nigdzie nie wyjedziemy.

- Złaż na dół – warknął kapitan.

Zerknąwszy na swych towarzyszy mężczyzna schował do kabury pistolet i zeskoczył z ciągnika. Był wyższy od Daura, o jasnej skórze i blond włosach. Nawet jego brwi i rzęsy miały jasny kolor.

- Stopień i nazwisko.

- Sierżant Denil Greer, pardusycka Ósma Kompania Przeciwlotnicza.

- Czy ty masz jakiś mózg, Greer, czy całe życie szczerzyłeś tylko zęby w tym głupawym uśmiešku ?

- Sir.

Niczym spod ziemi przy oficerach pojawił się Gaunt. Greer z miejsca stracił buńczuczny wyraz twarzy, jego uśmiešek zgasł natychmiast.

- Wszystko w porządku, kapitanie Daur ?

- Nadmiernie wysokie morale, komisarzu. Wszystko pod kontrolą.

Gaunt przeniósł spojrzenie na Greera.

- Proszę słuchać poleceń kapitana i okazywać mu respekt. Lepiej, żeby on udzielił ci reprimendy niż ja.

- Tak jest, sir.

Gaunt odszedł w inną stronę. Daur spojrzał na Greera.

- Ściągnij na dół swoich ludzi, pomożecie mi wyprowadzić stąd wszystkich tych ludzi w miarę normalnym porządku. Dzięki temu szybciej stąd odjedziecie.

Greer zsalutował gestem, w którym niewiele można było dostrzec przekonania czy respektu, po czym zwołał swych podwładnych. Mkoll i Daur natychmiast zapędzili ich do roboty przy kontroli ruchu uchodźców.

Kapitan z trudem przepychał się przez ciasnotę tłumu. Nikt z mijających aa

go ludzi nie próbował spojrzeć na żołnierza, wszyscy w desperacki sposób unikali kontaktu wzrokowego. Daur rozpoznawał charakterystyczny wyraz ich twarzy, wykrzywiony szokiem, bólem, zmęczeniem. On sam nosił tę przerażającą maskę w Vervunhive.

Jakaś stara kobieta, niewielka i namacalnie wręcz krucha, potknęła się i upadła upuszczając tobolek, z którego z miejsca wysypała się cała zawartość. Nikt nie przystanął, aby jej pomóc; idący monotonnym krokiem uchodźcy po prostu wymijali kobietę przestępując ponad jej zbierającymi dobytek rękami.

Daur pochwycił staruszkę pomagając jej wstać. Nie ważyła pewnie więcej niż jej wypakowany kłopotami tobolek. Miała szokująco białe włosy, związane w koński ogon.

- Tutaj – powiedział schylając się ku ziemi i podnosząc kilka przedmiotów: wotywny świeczki, małą ikonę, jakieś kartki, starą fotografię młodego mężczyzny. Zauważył, że kobieta spogląda na niego zamglonymi oczami. Nigdy dotąd nikt jeszcze na niego nie spoglądał.

- Dziękuję – odezwała się mówiąc w pełnym antycznych naleciałości niskim gothicu – Lecz ja się tutaj nie liczę. Nikt z nas się nie liczy. Ważna jest tylko święta.

- Słucham ?

- Będiesz jej chronił, prawda ? Myślę, że będziesz.

- Idź już, matko, idź tam, gdzie reszta tych ludzi.

Kobieta wcisnęła coś do jego dłoni. Spojrzał w dół. Była to mała figurka odlana ze srebra; tak starta, że nie sposób już było określić, kogo właściwie przedstawiała.

- Nie mogę tego wziąć, to...

- Strzeż jej. Uczyni to, a Imperator będzie strzegł ciebie.

Pojął, że kobieta nie weźmie z powrotem figurki. Sam nie wiedział, czemu tak go zirykowało to zajście, ale omal nie odrzucił prezentu. Rozejrzał się wokół, ale staruszka znikła z nienacką wtapiając się w tłum uchodźców. Zmieszany Daur nie potrafił jej nigdzie dostrzec. Wsunął statuetkę do kieszeni munduru i ruszył w stronę dostrzeżonego kawałek dalej sierżanta Mkolla. Zamierzał zapytać zwiadowcę, czy ten aby nie widział, dokąd poszła kobieta o śnieżnych włosach.

Jakaś dziewczyna runęła na kapitana, osunęła się po jego boku. Mężczyzna idący zaledwie kilka kroków z przodu zgiął się wpół, upadł na kolana. Ktoś znajdujący się obok eksplodował z nienacką obłoczkami gorącej krwi.

Daur usłyszał huk wystrzałów.

Niecałe dwadzieścia metrów dalej kapitan dostrzegł stojącego pośrodku tłumu zamachowca, strzelającego z premedytacją w otaczających go ludzi z ukrywanego wcześniej pod ubraniem laserowego karabinu. Zabójca zrzucił okrywające go brudne szmaty odsłaniając zielony uniform Infardi. Wkradł się do kontrolowanej przez lojalistów dzielnicy niczym wilk w owczej skórze.

Daur wyszarpnął z kabury pistolet, ale tłum krzyczących przerażonych ludzi omal go nie stratował, całkowicie zasłaniając pole widzenia. Usłyszał trzask kolejnych wystrzałów.

Przewrócił się o jedno z ciał i wylądował na brzuchu, desperacko wypatrując wśród ludzkich nóg śladu zielonych szat. Morderca zastrzelił kolejnych kilka osób czyniąc na moment lukę w tłumie.

Ściskając oburącz pistolet Daur pociągnął trzykrotnie za spust trafiając zamachowca w tors. Niemal jednocześnie sierżant Mkoll przestrzelił mu głowę otwierając ogień z innego miejsca placu.

Zabójca runął na ziemię targany spazmami, wyciekająca z jego dymiących ran krew rozlewała się po płytach dziedzińca. Wszędzie wokół leżały ciała ofiar.

- Dobry Boże – jęknął Mkoll przeciskając się poprzez uciekający dalej tłum. Inni Tanithijczycy przebiegali z boku, przedzierając się pomiędzy cywilami w stronę północnowschodniego krańca placu. Słuchawki modułu łączności wypełniał dziki trzask i syk radiowych zakłóceń.

Kolejna kanonada, dobiegająca od strony promenady prowadzącej do Starego Miasta.

Daur i Mkoll przepychali się poprzez oszalały z przerażenia tłum. W rogu placu, skąd dobiegały strzały, wykonany z brył piaskowca tunel prowadził na długą aleję ocienioną z obu stron marmurowymi kolumnami zdobionymi frontowe ściany świątyń. Duchy przyciskały się do murów tunelu lub krótkimi skokami przemieszczały się w kierunku ochrony zapewnianej masywnymi kształtami kamiennych kolumnad.

Wiązki energii krzyżowały się wzdłuż całej alei niczym ognista nawałnica. Długa promenada zasłana była ciałami hagiańskich uchodźców, leżących w niektórych miejscach na makabrycznych stertach. Za plecami kapitana zatupały czyjeś buty. Nadbiegali kolejni gwardziści, niektórzy z nich mieli mundury Pardusytów i pistolety w dłoniach. Daur dostrzegł kątem oka sierżanta Greera.

- Biegiem ! Biegiem na lewo ! – krzyknął do Daura Mkoll, po czym wystrze strzelił co sił w nogach w stronę najbliższego kamiennego podestu zasłaniającego wejście do świątyni po prawej stronie alei. Czterech ludzi z jego drużyny osłaniało go ogniem, dwóch innych rzuciło się w ślad za sierżantem. Krechy laserowego światła żłobiły powierzchnię polerowanych kamiennych bloków.

Daur popędził w lewo, sekundę po rozpoczęciu ruchu czując na wysokości szyi powiew gorącego powietrza spowodowany przelatującą kulą. Omal nie rzucił się na brzuch wpadając w cień rzucany przez podest. Po piętach deptały mu inne Duchy: Lillo, Mkvan i jakiś Tanithijczyk, którego Daur nie znał. Jeden z pardusyckich kierowców próbował pójść w ślady Duchów, ale zaraz po wychynięciu z tunelu dostał kulę w kolano i z krzykiem bólu odczołgał się z powrotem w bezpieczne miejsce.

Daur pozwolił sobie na błyskawiczny rzut oka ponad krawędzią podestu. Dostrzegł zielone kształty poruszające się w głębi promenady. Najcięższy ostrzał heretyków pochodził z wielkiego budynku po lewej stronie, najprawdopodobniej miejscowego urzędu meldunkowego.

- Lewa strona, dwieście metrów ! – warknął do mikrofonu.

- Widzę – potwierdził Mkoll wystawiając głowę zza kamiennego bloku po drugiej stronie alei. Daur patrzył jak dowódca zwiadowców i jego podwładni próbują przeskoczyć o jeden

podest do przodu. Przygniatająca kanonada wroga zmusiła ich do natychmiastowego odwrotu na początkowe pozycje.

Daur wyskoczył zza swej osłony próbując dostać się za kolejny w rzędzie podest. Laserowe wiązki śmignęły mu nad głową nadlatując gdzieś z góry, od prawej strony promenady. Kapitan poderwał w górę głowę i dostrzegł sylwetki dwóch Infardich przesuujące się okrakiem po pochyłych dachówkach najbliższego budynku i strzelające nieporadnie w ruchu. Daur przyłożył kolbę karabinu do ramienia i zaczął strzelać w stronę intruzów. Lillo i Nessa przypadli do pleców kapitana, otworzyli ogień ponad jego ramionami. Nie trafili co prawda żadnego heretyka, ale zmusili ich do ucieczki na drugą stronę pochyłego dachu. Zniszczone dachówki sypały się niczym deszcz na promenadę, roztrzaskując się z głuchym łomotem na kamiennych płytach.

Do trójki Duchów dołączył Mkvan. W powietrzu śmigwały krzyżujące się szaleńczo laserowe wiązki, ale grupa Daura wciąż znajdowała się dobre dwadzieścia metrów bliżej urzędu meldunkowego od drużyny Mkolla.

- Tędy – rozkazał Daur poruszając jednocześnie dłońmi w języku migowym. Nessa była wcześniej członkiem ochotniczych kompanii miejskich w Vervunhive i podobnie jak wielu innych verghastyckich rekrutów straciła w trakcie tamtej wojny słuch. Rozkazy wydawane za pomocą języka migowego były podstawą komunikacji w oddziałach pospolitego ruszenia. Dziewczyna skinęła głową potwierdzając odbiór polecenia, jej piękne, elfie rysy twarzy stężały, kiedy zatrzaśkiwała w komorze snajperki nową baterię.

Poruszając się krótkimi skokami, zgięci w pół, gwardziści oddalili się od promenady przemykając poprzez półmrok najbliższej świątyni. Zarówno ten budynek jak i następny – do którego Duchy dostały się przez wąską ciemną uliczkę – były puste. Wszystkie dekoracje i ozdoby, których wierni nie zdążyli ukryć przed inwazją, padły ofiarą plądrujących miasto Infardich. Na posadzce poniewierały się pogięte świeczniki i kupki popiołu znaczące miejsca, w których najeźdźcy spalili sakralne kobierce i ikony. Wszędzie można było dostrzec szczątki połamanych ławek i modlitewnych klęczników. Pod jedną ze ścian, w blasku wpadających przez wysokie okna promieni słońca, kapitan dostrzegł stertę szmat i metalowe skrobaczki świadczące o wysiłkach hagiańskich wiernych próbujących zetrzeć ze świętych murów obsceniczne slogany wymalowane przez heretyków.

Czwórka żołnierzy poruszała się w parach, ubezpieczając się wzajemnie – jedna dwójka omiatała trasę lufami karabinów, druga w międzyczasie przeskakiwała do następnego punktu marszruty. Tylne wejście świątyni prowadziło na niewielki ogrodzony murem placyk, który sąsiadował z tyłami urzędu meldunkowego. Ściany dziedzińca pokryte były misternymi płaskorzeźbami z czarnego kamienia, ale jacyś nadgorliwi Infardi posłużyli się ciężkimi młotami z zamiarem zniszczenia jak największej liczby ornamentów.

Heretycy zostawili kilku strażników w tylnej części budynku. Mkvan spostrzegł ich na czas i czterej gwardziści znikli za kamiennymi podestami w tej samej chwili, kiedy w ich stronę padły pierwsze strzały. Nessa wychyliła się z kryjówki i oddała dwa strzały. Dwaj strażnicy na tyłach urzędu meldunkowego znikli za futrynami okien odrzuceni impetem laserowych wiązek. Daur uśmiechnął się pod nosem. Utalentowani snajperzy regimentu – w szczególności Szalony Larkin i Rilke – od dłuższego czasu obawiali się uszczerbku reputacji w pojedynku z niektórymi verghastyckimi dziewczynami.

Daur i Mkvan wyskoczyli jednocześnie na środek placyku, cisnęli pakietami burzącymi w otwarte tylne drzwi budynku. Rząd małych okienek ponad drzwiami eksplodował szkłem i kłębam dymu. Przez otwór drzwi sypnął deszcz odłamków. Cztery Duchy założyły bagnety na lufy swych karabinów i skoczyły w zadymiony korytarz wejściowy urzędu, strzelając w biegu.

Wdarli się na pozycje Infardich od tyłu i dzika kanonada wypełniła swym trzaskiem dostojne mury wiekowej budowli.

a

Rajd Daura przełożył się natychmiast na redukcję siły ognia obrońców we frontowej części urzędu i przygwożdżeni dotąd do osłony imperialni żołnierze zyskali w końcu szansę ruchu do przodu. Trzy drużyny rzuciły się biegiem w stronę budynku, wśród nich grupa Mkolla.

Za plecami sierżanta pojawił się znieca Gaunt.

- Mkoll ?

- Fronton jest silnie obsadzony, sir – zameldował zwiadowca – Właśnie udało się odwrócić ich uwagę od promenady... sędzę, że to zasługa Daura.

Gaunt przykucnął za marmurową kolumną i uniósł dłoń posyłając kilka sygnałów rzędom kłęczących po obu stronach kolumnady Duchów. Odpowiadając na wezwanie szeregowiec Brostin podkraść się ostrożnie do dowódcy, w niesionych na plecach zbiornikach jego miotacza przelewało się z chlupotem paliwo.

- Gdzieś się tak długo błąkał ? - zapytał Gaunt.

- To trema, sir. Pewnie z powodu całej tej strzelaniny – odparł bez cienia zmieszania Brostin. Pułkownikomisarz wskazał ręką fasadę urzędu meldunkowego.

- Przypał to trochę, jeśli łaska.

Brostin, rosnący mężczyzna o niedźwiedzich barach i kędzierzawej brodzie, która zawsze roztaczała zapach promethium, uniósł w górę lufę miotacza i nacisnął spust broni. Zbiorniki paliwa zbulgotały, struga płynnego ognia wystrzeliła w powietrze omiatając frontową ścianę budynku. Pomarańczowe języki płomieni przyłgnęły do ściany, w górę buchnęły kłęby gryzącego dymu. Farba pokrywająca drewniane tablice informacyjne uległa natychmiastowemu zwęgleniu, deski zaczęły płonąć z trzaskiem.

Brostin postąpił kilka kroków do przodu i omiótł strumieniem płomieni niektóre z okienek zajmowanych przez obrońców urzędu. Gaunt zawsze lubił obserwować pracę Brostina. Gwardzista wydawał się rozumieć żywioł ognia, przewidywać sposób, w jaki płomienie tańczyły na powierzchni celu. Z posługiwania się miotaczem uczynił prawdziwą sztukę – wiedział doskonale jaki materiał będzie się palić szybko, a jaki wolno; co eksploduje feerią płomieni, a co będzie się przez wiele minut dymić; wiedział jak wykorzystać kierunek i siłę wiatru, by zwiększyć skuteczność działania swej broni. Brostin nie zalewał nieprzyjacielskich pozycji ogniem – on w artystyczny sposób budował prawdziwe piekło.

Sierżant Varl wspominał kiedyś, że umiejętności te Brostin nabył w czasach, kiedy był strażakiem leśnym w Magna Tanith. Gaunt chętnie wierzył w te zapewnienia, woląc nie słuchać jednocześnie tego, co czasami mówił Larkin. Snajper twierdził, że Brostin był piromanem z dziesięcioletnim wyrokiem za podpalenia na koncie.

Płomienie, niemal oślepiająco białe, przeskoczyły ze ściany urzędu na dach. Spory fragment pierwszego piętra wyleciał z hukiem w powietrze rozrzucając wokół kawałki cegieł – najwyraźniej języki ognia dosięgły jakiegoś wrażliwego na wysoką temperaturę obiektu, zapewne pasa z granatami. Trzej ubrani w zielone szaty mężczyźni wypadli przez główne wejście urzędu strzelając na oślep w dół promenady, ubranie jednego z nich stało w płomieniach. Duchy odpowiedziały z miejsca ogniem, zabijając w ułamku sekundy wszystkich trzech heretyków. Martwe ciała runęły na kamienne schody przed wejściem.

Przez zadymione drzwi wyleciały dwa granaty, uderzyły w środek ulicy i eksplodowały z hukiem. Chwilę później z płonącego budynku wyskoczyli dwaj następni Infardi. Mkoll zabił ich obu dwoma celnymi strzałami pół kroku za progiem.

Gwardziści razili deszczem laserowych wiązek fasadę palącego się coraz silniej urzędu. Z głębi ulicy nadjechała ze szczękiem gąsienic Hydra, na jej obrotowej platformie i lufach działek powiewały wstęgi zerwanych w trakcie przejazdu modlitewnych proporczyków. Pojazd zatrzymał się z metalicznym chrzęstem tuż za plecami Gaunta.

Pułkownikkomisarz wspiał się zwinnie na platformę wozu i klepnął strzelca w ramię nakazując mu opuścić cztery lufy przeciwlotniczych działek do pozycji horyzontalnej.
- Ćwiczenia – oświadczył krótko.

Strzelec przytknął czubki palców do skroni oddając pośpieszny salut, po czym przeorał fronton budynku długą serią artyleryjskich pocisków.

a

W tylnej części urzędu, na końcu przestronnego holu, Daur i jego towarzysze wycofywali się pośpiesznie na dziedziniec, którym wdarli się do środka budynku. Kłęby czarnego dymu snuły się wszędzie praktycznie pozbawiając żołnierzy widoczności. Krztuszący się spazmatycznie Daur poczuł zapach promethium i domyślił się, że ktoś od strony głównego wejścia skorzystał z miotacza ognia. Z kierunku promenady docierał też ryk broni znacznie cięższego kalibru i raczej nie były to ręczne granatniki.

- Wiejemy stąd ! - krzyknął kapitan machając rękami w stronę Nessa, Lillo i Mkvana. Cała czwórka parła biegiem poprzez zadymione piekło kaszląc i ocierając łzy. Wszyscy byli na wpół osłepieni i Daur modlił się w duchu, by Mkvan nie stracił swej wrodzonej orientacji przestrzennej.

Z rajdu na urząd meldunkowy grupka Daura wyszła jak dotąd praktycznie nietknięta. Mkvan miał podrapany wierzch jednej dłoni, a Lillo rozciętą skórę na czole, ale w zamian nagłym uderzeniem niemal złamali pozycje zaskoczonych Infardich.

Kanonada od strony promenady przebrała na sile. Kilka ciężkich smugowych pocisków przebiło ścianę holu, zawyło ponad głowami gwardzistów i przeszło sufit w rogu sali punktując strukturę budynku niczym igła papier.

- Gak ! - krzyknął Lillo – Co to było, czołg ?!

Daur otworzył usta, ale nie zdążył odpowiedzieć. Nessa krzyknęła krótko i zgięła się wpół. Kapitan odwrócił się w miejscu spoglądając do tyłu, rozpaczliwie mrugając pełnymi łez oczami. Z głębi holu biegło ku nim pięciu Infardich. Dwaj trzymali w rękach laserowe karabiny. Inny, chwiejący się na nogach, był całkowicie nagi – płomienie poparzyły go straszliwie spopielając całe odzienie.

Oficer pociągnął za spust przyklękając jednocześnie w miejscu. Poczul zmianę temperatury powietrza, kiedy wroga laserowa wiązka otarła się o jego ramię na wysokości barku. Zdążył zastrzelić dwóch heretyków, obaj runęli na plecy. Trzeci Infardi rzucił się z wyciem na Mkvana. Tanithijczyk zasłonił się karabinem, nabił napierającego przeciwnika na ostrze bagnetu. Śmiertelnie raniony, szarpiący się spazmatycznie mężczyzna podniósł uzbrojoną w pistolet dłoń, przyłożył lufę swej broni do czoła Mkvana i pociągnął za spust. Oba ciała upadły na posadzkę znikając za kurtyną dymu.

Lillo został zбитy z nóg przez dwóch innych heretyków. Nieuzbrojeni, szarpali go i drapali brudnymi paznokciami. Jeden zdołał chwycić za karabin gwardzisty i próbował mu go wydrzeć, ale pasek broni zaplątał się o rękę Lillo. Daur rzucił się do przodu szczupakiem, staranował rebelianta i przewrócił na podłogę. Szczepieni razem, obaj mężczyźni wtoczyli się przez najbliższe drzwi do płonącego pokoju.

Potworny żar pozbawił kapitana oddechu. Infardi kopał i tłukł pięściami niczym szaleniec, lizany żarłocznymi płomykami. Jego gmerające palce zdołały zacisnąć się na gardle Daura. Vervuńczyk pomyślał w desperacji o swym nożu, ale ostrze wisiało pod lufą karabinu, który spoczywał teraz w sąsiednim pomieszczeniu tuż przy ciele Mkvana.

Kapitan przewrócił się na grzbiet pozwalając przeciwnikowi na przyduszenie do podłogi, a potem błyskawicznie zgiął nogi i wierzgnął nimi przerzucając zaskoczonego heretyka ponad swą głowę. Kultysta odbił się od płonącego stołu, runął na podłogę rozsiewając wokół deszcz

iskier. Infardi pozbiarał się szybko na nogi, mamrocząc jakieś niezrozumiałe bluźnierstwa ujął oderwaną nogę krzesła dzierżąc ją niczym pałkę.

Dach zarwał się z ogłuszającym hukiem. Wazący dobre pięć ton fragment sufitu spadł na rebelianta grzebiąc go bezpowrotnie.

Kapitan zerwał się z podłogi, po jego mundurze skakały małe niebieskie ogniki liżące żarłocznie materiał rękawów i kołnierza. Wytoczył się za próg drzwi tłukąc jednocześnie rękami po ciele w nadziei zduszenia płomieni. Od dobrych dwóch czy trzech minut nie oddychał, jego płuca sprawiały wrażenie wypełnionych płynnym ogniem.

W mniejszym holu sąsiadującym z tylnym wyjściem urzędu Lillo ciągnął po posadzce Nessę. Pod sufitem kłębił się dym, a powietrze było tak przesycone odorem spalenizny, że praktycznie nie dawało się nim już oddychać.

Daur rzucił się z pomocą przeskakując wykręcone nienaturalnie trupy Infardich, pochwycił Nessę pod ramię ułatwiając chwyt Lillo. Dziewczyna została postrzelona w brzuch na wysokości żołądka. Wyglądało to źle, ale Daur nie znał się zbyt na medycynie. Nie miał pojęcia, jak ciężka była jej rana.

Przez ogarnięty płomieniami hol przetoczył się donośny huk, wieszczący zarwanie kolejnej sekcji piętra. Podmuchał gorącego powietrza, pełnego dymu i iskier, omiótł ciała zdyszanych mężczyzn. Kiedy obaj przeskakiwali przez próg tylnego wyjścia, Daur poczuł jak coś wypada mu z kieszeni i uderza ze szcękami o posadzkę holu.

Statuetka. Podarunek starej kobiety.

Oddychając ciężko wywlekli Nessę na środek placu. Lillo położył się na boku przy nieprzytomnej dziewczynie, kaszląc i krztusząc się próbował jednocześnie wywołać przez radio kogoś z ekipy medycznej.

Daur zawrócił w stronę urzędu, zdzierając w biegu swoją dymiącą kurtkę. Płomienie zdołały nadwęglić w wielu miejscach materiał munduru, jedna z kieszeni rozpruła się wisząc na kilku nitkach. Z niej właśnie wypadła srebrna figurka.

Spoglądając ponad progiem kapitan spostrzegł statuetkę, leżącą na podłodze tuż za futryną drzwi. Zgiął się wpół pochylając głowę poniżej pozio-

mu unoszącego się w holu dymu, wyrzucił przed siebie rękę zaciskając palce na figurce. Metal statuetki był boleśnie gorący.

Coś uderzyło kapitana z ogromną siłą, powaliło go na kolana. Mężczyzna poderwał w górę głowę i ujrzał potwornie poparzonego Infardi, zataczającego się na oślep. Machając pełnymi pęcherzy rękami kultysta zaczął bić oficera po całym ciele. Daur wyszarpnął z kabury pistolet i strzelił heretykowi dwukrotnie w serce.

A potem runął na posadzkę.

Lillo rzucił się biegiem w stronę kapitana, ale do Daura nie docierały wykrzywane z grozą słowa Ducha.

Vervuńczyk przekręcił głowę spoglądając wzdłuż swego ciała. Spomiędzy żeber kapitana sterczała ornamentowana rękojeść ceremonialnego sztyletu, materiał munduru nasiąkał błyskawicznie krwią. Infardi nie był bynajmniej bezbronny.

Daur zaczął śmiać się z sarkazmem, ale śmiech natychmiast uwiązał mu w gardle zduszony krwią. Gapił się na wbite w pierś ostrze, dopóki jego pole widzenia nie zwęziło się do wąskiego ciemnego tunelu, a potem świat nie zniknął całkowicie.

Rozdział III – Ojciec Sin

„Niech dziewięć świętych ran przyniesie ci szczęście” – błogosławieństwo ayatanich.

Ojciec odwrócił się od roboczego stołu, odłożył narzędzia na bok i z uśmiechem zadowolenia wytarł ręce w zatłuszczoną szmatę. Warsztat wypełniały zapachy oleju, smarów, paliwa i zimnego metalu.

Chłopiec uniósł trzymany w dłoniach kubek kawy – tak duży, że dziecko ścisnęło je niczym wielką czarę – i ojciec zabrał naczynie z jego rąk. Był wczesny poranek, promienie letniego słońca prześlizgiwały się po koronach strzelistych drzew nał rosnących wzdłuż brzegu rzeki i wokół warsztatu ojca.

Goście przybyli o zmierzchu poprzedniego dnia – ośmiu mężczyzn o spracowanych dłoniach, pracowników tartaku położonego piętnaście staj w dole rzeki. Otrzymali duże zamówienie na obrobione drewno w Tanith Magna, a główna piła wysiadła jeszcze przed rozpoczęciem pracy. To była naprawdę krytyczna sytuacja... czy najlepszy mechanik w Pryze County mógłby im pomóc ?

Tracze przywieźli zepsutą pilę na drewnianym wozie, pomogli mistrzowi wnieść ją do warsztatu. Mężczyzna poprosił syna, by ten zapalił wszystkie świece w pomieszczeniu. Czekala go praca do późnych godzin nocnych.

Chłopiec przykucnął w progu warsztatu obserwując ruchy kończącego składać silnik piły ojca. Mężczyzna założył metalową osłonę zamykając urządzenie zatrzasnąwszy ją silnie. Ze szczelin w korpusie piły wysypały się drobinki trocin i w powietrzu rozszedł się znieczarna charakterystyczny zapach drzewa nał.

Widząc przygotowującego się do testu piły ojca chłopiec poczuł, że jego serce bije z każdą sekundą szybciej. Jak długo sięgał pamięcią, zawsze odczuwał zachwyt na widok ojcowskiej magii. Uwielbiał patrzeć na składającego martwe kawałki metalu tate, obdarzającego je życiem za pomocą szybkich ruchów dłoni. Miał nadzieję, że kiedyś on nauczy się tych magicznych sztuczek i będzie pracował we własnym warsztacie. Kiedy sam stanie się mechanikiem.

Jego serce biło teraz tak szybko, że aż sprawiało to chłopcu ból. Ból wydawał się promieniować z całej klatki piersiowej. Malec złapał kurczowo za futrynę drzwi.

Ojciec przerzucił dźwignię w bocznej obudowie piły i urządzenie ożyło z przeciągłym warkotem. Warsztat zadrżał w rytm tego dźwięku.

Ból w piersi chłopca urósł do nieznosnego poziomu. Promieniował teraz z jednego miejsca, z lewej strony klatki piersiowej, spod żeber. Próbował zawołać ojca, ale jego słaby głos tonął w skowycie tartacznej piły.

Umieram, uświadomił sobie chłopiec. Umieram na progu warsztatu mojego ojca, w lasach Pryze County, z zapachem drewna nał w nozdrzach, skowycem piły w uszach i potwornym kluciem w piersiach...

a

Colm Corbec otworzył oczy i dodał sobie trzydzieści pięć lat. Nie był już chłopcem, tylko podstarzałym żołnierzem o bardzo poważnej ranie i wyjątkowo nieciekawej sytuacji.

Ktoś rozebrał go do pasa, chociaż resztki podartego podkoszulka wciąż oplatały muskularne barki pułkownika. Jeden but zniknął bez śladu. Gdzie się podział cały ekwipunek i przenośny zestaw łączności, Colm nie miał najmniejszego pojęcia.

Ciało Ducha pokrywała warstwa zakrzepłej krwi, wielkie siniaki i zadrapania. Próbował podnieść się z miejsca i z miejsca poraziła go fala silnego bólu. Lewa strona klatki piersiowej przypominała wołową tuszę, groteskowo wręcz purpurową wokół oparzeliny spowodowanej postrzałem z lasera.

- Nnie się pan nie rusza, szefie – powiedział czyjś głos.

Corbec przekręcił głowę i ujrzał siedzącego obok Yaela. Młody Tanithijczyk był śmiertelnie blady; siedział oparty plecami o ceglana ścianę. On też okazał się rozebrany do spodni, skórę jego torsu pokrywała zaschnięta krew.

Pułkownik potoczył wkoło wzrokiem. Znajdował się w pustym, od dawna nie używanym kominku rozległego pokoju. Na ścianach pomieszczenia wciąż wisiały resztki zdewastowanej boazerii i podniszczonych obrazów. Eleganckie okna zabite były deskami, wąskie promienie słonecznego światła przeciskały się do środka poprzez szczeliny w drewnie. Ostatnią rzeczą, jaką Corbec pamiętał był szturm na siedzibę kupieckiej gildii. Pokój, w którym się obecnie znajdował nie wyglądał na pomieszczenie gildii.

- Gdzie jesteśmy ? Co...

Yael pokręcił nieznacznie głową, ścisnął palcami ramię pułkownika.

Corbec podążył za spojrzeniem żołnierza i zagryzł usta dostrzegając Infardich. Było ich kilkunastu, weszli do pomieszczenia przez jakieś drzwi w aa ścianie po lewej, znajdujące się poza polem widzenia Duchów. Niektórzy zajęli pozycje przy oknach, z odbezpieczoną bronią w rękach. Inni wnosili do pokoju skrzynki z amunicją i wypakowane po brzegi plecaki. Czterech taszczyło podłużny i bez wątpienia ciężki stół, jego szerokie podpory drapały hałaśliwie kamienną posadzkę. Wszyscy rozmawiali cichymi głosami.

Powoli zaczynał sobie wszystko przypominać. W czterech wdarli się do głównego holu gildii. Boże! Imperatorze, ależ to była szaleńcza akcja ! Kolea walczył niczym demon w ludzkiej skórze, Leyr i Yael u jego boku. Corbec pamiętał jak ruszył z Yaelem w głąb budynku, jak krzyczał do Kolei, by ten poszedł w jego ślady. I wtedy...

I wtedy w jego klatce piersiowej eksplodował nieopisany ból. Udający zabitego Infardi, leżący pośród gruzu, strzelił do pułkownika niemalże z przyłożenia, z minimalnej odległości.

Corbec usiadł z trudem, posykurając z bólu, oparł się o ścianę kominka.

- Pokaż no to – wyszeptał próbując zbadać ranę na głowie chłopaka. Yael drżał nieznacznie, a jedna z jego źrenic była nienaturalnie powiększona. Spoglądając na potylicę szeregowca Colm zastygł w pełnym grozy bezruchu. Jakim cudem ten dzieciak jeszcze żył ?

- Kolea ? Leur ?

- Chyba udało im się zwiać. Nie widziałem... – odszepnął Yael. Chłopak chciał powiedzieć coś jeszcze, ale zniecka zeszywniał.

Pułkownik wyczuł raczej zmianę w zachowaniu heretyków niż ją zobaczył. Infardi umilkli, wycofali się w kąty pokoju z pochylonymi ku posadzce głowami.

Coś pojawiło się w pomieszczeniu – coś przypominającego swym zarysem wielkiego człowieka, jeśli tylko człowiek mógł być okryty czapką niewidką. Powietrze okrywające kształt falowało i drżało zauważalnie w rytm niskiego pomruku, przywodzącego na myśl dźwięk wydawany przez rój szerszeni.

Corbec nie odrywał wzroku od tego kształtu. Podświadomie wyczuwał załamania pomiędzy rzeczywistością i Immaterium, czuł dziwny zapach mogący kojarzyć się z Osnową. Obiekt był jednocześnie przejrzysty i solidny; zwiewny, ale twardy niczym pancerz siłowy klasy Imperator. Im dłużej się w niego wpatrywał, tym więcej drobnych detali dostrzegał. Małe kształty poruszały się w rozmytym powietrzu zmieniając błyskawicznie położenie, pomrukując niczym miliard insektów.

Generator pola siłowego wyłączył się z przeciągłym sykiem i tarcza zgasła odsłaniając wysoką postać okrytą zielonymi szatami. Pudełko generatora wisiało na skórzanej uprzęży oplatającej ciało przybysza. Obcy podszedł do kominka spoglądając na dwóch gwardyjskich więźniów rzuconych w popiół paleniska.

Miał ponad dwa metry wzrostu, świetnie umięśnione ciało. Jego odkryta gdzieś skóra pokryta była bluźnierczymi tatuażami kultu Infardich.

Ojciec Sin uśmiechnął się do Colma Corbeca.

- Wiesz, kim jestem ? – zapytał.
- Domyślam się – odparł oficer.

Sin skinął głową, jego uśmiech jeszcze się poszerzył. Na jego lewym policzku widniał tatuaż w postaci Imperatora, torturowanego i konającego. Wykonano go w taki sposób, by przekrwione lewe oko Sina tworzyło zarazem otwarte w krzyku usta władcy Imperium. Zęby heretyka zostały zastąpione zaostrozonymi stalowymi implantami. Pachniał potem, cynamonem, rozkładem. Przykucnął tuż przed Corbecem. Pułkownik poczuł, że siedzący za nim Yael dygocze z przerażenia.

- Jesteśmy do siebie podobni, ja i ty.
- Nie sędzę... – odrzekł pułkownik.
- Ależ tak. Ty jesteś synem Imperatora, służącym jego sprawie. Ja jestem Infardim, pielgrzymem oddanym czci jego świętej. Świętej Sabbat, błogosławione niech będą jej kości. Przybyłem tutaj, by oddać jej hołd.
- Jesteś tu, by ją zbecześcić, przekłety skurwysynu.

Uśmiech na twarzy Sina nie zniknął. Heretyk zamachnął się nogą i kopnął Corbeca w żebra. Pułkownik natychmiast stracił przytomność. Kiedy ocknął się ponownie, leżał pośrodku pokoju otoczony kultystami. Infardi śpiewali coś monotonie, wybijając rytm na meblach lub kolbach karabinów. Colm nigdzie nie dostrzegł Yaela. Ból w piersiach przybrał na sile.

W polu widzenia Corbeca pojawił się Ojciec Sin. Za jego plecami stał wniesiony wcześniej przez Infardich stół. Pułkownik dopiero teraz zauważył, że był to stół roboczy, z przymocowanym do blatu ciężkim świderem. Świder zawył przeciągle. Wydawał taki sam dźwięk jak tartaczna piła w śnie Corbeca.

- Dziewięć świętych ran Sabbat – powiedział Sin – Uczcijmy je ponownie, każdą z nich, jedną po drugiej.

Jego ludzie rozciągnęli Yaela na blacie stołu. Świder wył na wysokich obrotach. Corbec nie mógł nic zrobić.

a

W swej północnej części Stare Miasto pięło się delikatnie w górę szczytu wzniesienia, na którym zbudowano Cytadelę. Główna promenada starówki, nosząca dość irytującą w obecnej sytuacji nazwę Infardi Mile, rozpoczynała się na Placu Studni i biegła poprzez targi zwierzęce ku gęściej zabudowanemu dystryktowi kamieniarzy.

Jeden rzut okiem na fasady świątyń, kolumnady, pomniki, wystarczał, by przyjezdny obserwator uświadomił sobie ogromne znaczenie gildii kamieniarzy w stołecznym mieście. Wielkie bloki nieobrobionego sarsenu czy grandioritu były dostarczane do Doctrinopolis rzeką z kamieniołomów położonych w pobliskich górach, ale to miejscowi rzemieślnicy czynili z nich dzieła sztuki, tworząc w swych warsztatach na zboczach Cytadeli posągi gargulców, ornamentowane bloki budowlane, sakralne płaskorzeźby.

Główny oficer medyczny Tanithijczyków, Tolin Dorden, urządził polowy punkt opatrunkowy na dolnym krańcu Infardi Mile, w wyłożonym ceramicznymi płytkami budynku publicznej łaźni. Część jego ludzi użyła bukłaków i hełmów, by zaczerpnąć z fontann na Placu Studni wodą splukać posadzki i ściany łaźni. Dorden obrał za stanowisko robocze jedno z pomieszczeń administracyjnych, relatywnie czystych. W powietrzu unosił się zapach stęchlizny i wilgoci, przemieszany z ostrym odorem środków dezynfekujących.

Doktor kończył zszywać rozcięcie na kciuku szeregowca Gutesa, kiedy przez drzwi łaźni wszedł do środka jakiś verghastycki Duch. Z oddali dobiegał stłumiony huk pardusyckich

moździerzy ostrzeliwujących Cytadelę. Za progiem Dorden dostrzegął wyraźnie gromadę Tanithijczyków odpoczywających przy fontannach.

Skończył zakładać opatrunek i odesłał Gutesa na zewnątrz.

- Co z tobą ? – zapytał przybysza, mężczyznę około trzydziestki o szerokiej twarzy i masywnej szczęce.

- Chodzi o moje ramię, doktorze – odparł Duch, z akcentem pełnym metropolitalnych zmiękczeń Verghastu.

- Pozwól mi spojrzeć. Jak się nazywasz ?

- Szeregowiec Tyne – oświadczył mężczyzna podwijając jednocześnie rękaw. Górna część jego lewego ramienia przypominała krwawą masę, naznaczoną pierwszymi śladami infekcji.

Dorden sięgnął po swój przyborek.

- Rana jest zakażona, powinieneś być zgłosić się do mnie wcześniej. Co to właściwie jest, trafienie szrapnelem ?

- Nie do końca – pokręcił głową żołnierz, krzywiąc się nieznacznie pod wpływem zwilżającego ranę alkoholu, którym nasączona była trzymana przez Dordena szmatka.

Zmywając zakrzepłą krew lekarz spostrzegł jakieś zielone linie i ślady po rozcięciach dokonane ostrym narzędziem. Zrozumiał, co takiego widzi, kiedy oczyścił resztę rany.

- Czy komisarz nie wydał oficjalnego oświadczenia w sprawie tatuaży ?

- Powiedział, że możemy je sobie robić, jeśli wiemy jak.

- Ty raczej tego nie wiesz. Jest pewien człowiek w jedenastym plutonie, jeden z waszych, nazywa się... szeregowiec Cuu ? Ludzie mówią, że jest w tym dobry.

- Cuu ma zryty beret, to psychol. W życiu nie dałbym mu się tknąć.

- Więc sam sobie zrobiłeś tatuaż ?

- Mm.

Dorden oczyścił ranę najdokładniej jak tylko umiał, potem dał żołnierzowi zastrzyk. Wszyscy służący w regimencie Tanithijczycy byli wytatuowani. Większość z nich nosiła na ciele symbole rodzinne – był to nierozzerwalny element tanithijskiej kultury. Sam Dorden też taki znak posiadał. Lecz wśród verghastyckich ochotników tatuaże nosili tylko gangsterzy i robotnicy z najniższych poziomów społecznych. Całą resztą nowego naboru desperacko chciała nosić na skórze jakiś charakterystyczny znak – oskard, emblemat Duchów, symbol Imperialnego Orła.

Jeśli nie masz tatuażu, głosiła popularna plotka, nie możesz się uważać za pełnowartościowego Ducha.

To była siedemnasta infekcja spowodowana tatuowaniem domową metodą i Dorden uznał, że czas najwyższy porozmawiać na ten temat z Gauntem.

Na zewnątrz łaźni ktoś zaczął głośno krzyczeć. Szeregowiec Gutes wpadł ponownie za próg.

- Doktorze ! Doktorze !

Odpoczywający na placu żołnierze zerwali się na równe nogi. Grupa tanithijskich Duchów biegła od strony ogarniętego ulicznymi walkami dystryktu handlowego, niosąc na prowizorycznych noszach szeregowca Leyra. Gol Kolea pędził tuż obok rannego.

Zewsząd dobiegały zmieszane okrzyki i grad pytań. Zachowując spokój na twarzy Dorden przecisnął się przez tłum ludzkich ciał i gestem dłoni nakazał opuścić nosze na ziemię. Pochylił się nad Leyrem.

- Co się stało ? – zapytał Koleę zaczynając jednocześnie zakładać opatrunek na przypalone wiązka lasera udo Leyra. Mężczyzna był poobijany, posiniaczony, jego skórę znaczyły dziesiątki pomniejszych rozcięć i zadrapań, ale aaa żadna z odniesionych ran nie była śmiertelna.

- Straciliśmy pułkownika – odpowiedział krótko Kolea.

Ręce Dordena zastygły w bezruchu, lekarz podniósł wzrok spoglądając w twarz wielkiego Verghastyty. Tłoczący się wokół ludzie umilkli w ułamku chwili.

- Co zrobiliście ?

- Corbec zabrał mnie, Yaela i Leyra do podziemi handlowej gildii. Przedostaliśmy się do środka, ale tamtych było zbyt wielu. Ja i Leyr wydostaliśmy się z powrotem na zewnątrz, ale pułkownik i Yael... Dorwali ich. Żywych. Kiedy wybijaliśmy sobie drogę odwrotu, Leyr zauważył, że te sukinsyny ciągnęły ich w stronę przeciwnego wyjścia.

Przez tłum żołnierzy przetoczył się zduszony pomruk.

- Musiałem zabrać Leyra do punktu medycznego. Zrobiłem to. Teraz zamierzam wrócić po Corbeca. Corbeca i Yaela. Potrzebuję ochotników.

- Nigdy ich nie znajdziemy ! – krzyknął z rozpaczą szeregowiec Domor.

- Dranie powlekli ich na północ. Do górnej części Starego Miasta, pod Cytadelę. Tam się zapewne okopali. Myślę, że będą chcieli naszych przesłuchać. A to znaczy, że ciągle jeszcze są żywi.

Dorden pokręcił przecząco głową. Nie mógł zaakceptować oświadczenia walecznego Verghastyty, miał dużo bogatsze doświadczenie w wojnach ze sługami Chaosu.

- Ochotnicy ! Zgłaszać się ! – warknął Kolea. W powietrzu pojawił się las ludzkich rąk. Sierżant wyznaczył błyskawicznie ośmiu żołnierzy i odwrócił się w stronę starówki.

- Zaczekaj ! – zawołał Dorden. Lekarz podbiegł do sierżanta, przesunął palcami po skaleczeniach na jego twarzy i klatce piersiowej – Będiesz żył. Ruszajmy.

- Pan z nami, doktorze ?!

Corbec był szczerze kochany przez wszystkich żołnierzy, ale ze starym lekarzem łączyła go szczególna więź. Dorden przytaknął ruchem głowy kwitując pytanie Kolei. Odwrócił się w stronę szeregowca Rafflana, radiooperatora.

- Wyślij sygnał komisarzowi. Poinformuj go, co zamierzamy zrobić i gdzie się udajemy. Poproś o przysłanie do punktu opatrunkowego ekipy medycznej i oficera dyżurnego.

Dorden pozbierał szybko swoje instrumenty i torbę z pakietami medycznymi, po czym rzucił się biegiem za zmierzającymi w górę Starego Miasta żołnierzami.

a

- Masz opóźnienie, Gaunt – z głośnika dobiegł zniekształcony głos. Usta lorda generała Kugo dostrzegalne na trójwymiarowej holograficznej projekcji poruszały się w pozbawiony synchronizacji z obrazem sposób. Lugo rozmawiał poprzez holonadajnik z imperialnego punktu dowodzenia w Ansiparze, jakieś sześćset czterdzieści kilometrów na południowy zachód od Doctrinopolis. Anomalie atmosferyczne silnie zakłócały czystość przekazu.

- Przyznaję się, sir. Lecz zarazem jesteśmy już w Świętym Mieście, cztery dni przed wyznaczonym w pańskim planie terminem.

Gaunt i inni towarzyszący mu oficerowie czekali w milczeniu, aż nadajnik przekaże słowa pułkownikakomisarza w drugą stronę. Siedzący w oplecionych uprzężami fotelach za obudową projektora astropaci mamrotali coś cichymi głosami. Wizerunek Lugo podskoczył, przygasł na moment, a potem przemówił ponownie.

- Wiem. Wysłałem już do pułkownika Fursta pochwałę pod adresem pardusyckich czołgistów za to, że otwarli ci drogę do miasta.

- Pardusyci wykonali świetną robotę – skinął głową Gaunt nie okazując cienia irytacji – Sądzę jednak, że sam pułkownik gotów jest przyznać, iż nieprzyjaciel praktycznie nie stawiał nam w pierwszej fazie operacji czoła. Infardi nie mieli zamiaru ścierać się z czołgami na obrzeżach stolicy. Wycofali się do Doctrinopolis, gdzie gęsta zabudowa działa zdecydowanie na ich korzyść. Rozpoczęły się walki z udziałem piechoty, ulica po ulicy, a to z konieczności bardzo spowolniło nasze postępy.

- Dwa dni – zatrzeszczał głośnik – Takie były założenia. Oświadczyłem, że po wejściu w mury Świętego Miasta będziesz potrzebował dwóch dni na oczyszczenie stolicy. A wyście się nawet jeszcze nie zbliżyli do Cytadeli !

Gaunt westchnął cicho i spojrzął na swych towarzyszy: majora Kleopasa, niskiego pulchnego zastępcy pułkownika Fursta z pardysuckiej brygady pancernej; kapitana Herodasa, pardusyckiego oficera łącznikowego; majora Szabo z brewiańskich brygad piechoty. Żaden z oficerów nie sprawiał wrażenia uszczęśliwionego konferencją z lordem generałem Lugo.

- Ostrzeliwujemy Cytadelę z moździerzy – zaczął Szabo nie wyjmując dłoni z kieszeni swego musztardowego munduru.

- To prawda – włączył się do rozmowy Herodas – Przemieszczamy średnie czołgi na starówkę. Ciężkie wozy wejdą do walki, kiedy piechota zabezpieczy najbardziej niebezpieczne dzielnice. Oświadczenie komisarza Gaunta

na temat obecnej sytuacji jest całkowicie zgodne z faktami. Weszliśmy do miasta cztery dni przed wyznaczonym terminem. Złamanie obrony będzie trwało dłużej od pierwotnych założeń.

Gaunt podziękował młodemu oficerowi porozumiewawczym spojrzeniem. Wspólny front był jedyną metodą walki z ogarniętymi taktyczną manią sztabowcami pokroju Lugo.

Holograficzny obraz zamigotał, przybrał na jaskrawość. Lord generał Lugo spoglądał na swych podwładnych niczym złożone z zielonej mgiełki widmo.

- Pozwólcie, że opowiem wam, co takiego dzieje się w Ansiparze. Miasto płonie, wszystkie świątynie są już nasze. W trakcie tej rozmowy moi żołnierze rozstrzelują wziętych do niewoli zdrajców. Pułkownik Cerno zameldował, że jego ludzie do końca dnia zabezpieczą całkowicie Hylophan. Pułkownik Paquin już wczoraj wciągnął imperialny sztandar na dach królewskiego pałacu w Hetshapsulis. Tylko Doctrinopolis pozostaje w nieprzyjacielskich rękach. Zleciłem ci to zadanie, Gaunt, przez wzgląd na twoją reputację. Czyżbym się mylił ?

- Miasto zostanie zdobyte, lordzie generale. Nie zawiodę pańskiego zaufania.

Wymuszona transferem danych pauza.

- Kiedy ?

- Mam nadzieję, że rozpoczniemy szturm na Cytadelę o zachodzie słońca. Będę informował na bieżąco o naszych postępach.

- Mam nadzieję. Dobrze zatem. Imperator strzeże.

Czterej oficerowie powtórzyli formułę półgłosem, odrywając wzrok od gasnącej holoprojektacji.

- Niech go diabli – syknął Gaunt.

- Wezmą go już niedługo – odparł pocieszającym tonem major Kleopas. Pardusyta opuścił jedno z metalowych krzeseł wmontowanych w ścianę mobilnego punktu dowodzenia, usiadł na nim wygodnie i potarł palcem wskazującym skórę wokół optycznego implantu zastępującego mu lewe oko. Herodas nalewał w tym czasie kawę do kubków ustawionych na niewielkim stoliku w tylnej części pomieszczenia.

Gaunt zdjął z głowy czapkę, położył ją na krawędź stołu taktycznego, przykrył rzuconymi niedbale skórzanymi rękawiczkami. Wiedział dobrze, co Kleopas miał na myśli. Lugo był nowym członkiem sztabu generalnego krucjaty, jednym ze świeżych nabytków lansowanych przez marszałka wojny Macarotha w ramach czystki sztabowej przeprowadzonej po śmierci Slaydo sześć lat temu. Niektórzy z nowych generałów, chociażby wielki Urienz, ujawnili budzący podziw talent i zmysł taktyczny porównywalny z umiejętnościami zdymisjonowanych sztabowców Slaydo. Inni okazali się podręcznikowymi analitykami mającymi za sobą lata kampanii w wojskowych bibliotekach i zerowe doświadczenie polowe. Lord generał Lugo desperacko pragnął osiągnąć sukces, Gaunt zdawał sobie z tego sprawę. Popęłił masę błędów w swej pierwszej kampanii, na Oscilli IX, zamieniając niemal pewne błyskawiczne zwycięstwo w dwudziestomiesięczną wojnę; podobno zgłoszono też szereg

zarzutów wobec niego po serii rajdów na miastakopce Karkariadu. Potrzebował spektakularnego zwycięstwa – i odpowiedniego medalu na piersi – i to szybko: zanim Macaroth zdecyduje, że tak nieudolny dowódca w niczym mu się nie przyda.

Misję wyzwolenia Hagii otrzymał lord Militant generał Bulledin. Przez wzgląd na jego osobę Gaunt bez zastrzeżeń zaaprobował decyzję o wyznaczeniu Duchów do udziału w tej operacji. Lecz w ostatniej chwili, bez wątpienia wskutek zakulisowych nacisków wpływowych protektorów Lugo, Macaroth odebrał zwierzchnictwo nad kampanią hagiańską Bulledinowi i przekazał ją nowemu członkowi sztabu. W opinii wojskowych analityków Hagia miała być szybką i bezproblemową kampanią, dlatego Lugo bardzo starał się uzyskać prawo do kierowania inwazją.

- I co robimy ? – zapytał major Szabo ujmując w dłonie kubek kawy wręczony mu przez Herodasa.

- To, co powiedziałem – odparł Gaunt – Szturmujemy Cytadelę. Wycofam swoich ludzi ze Starego Miasta, a Pardusyci rozniosą je w drobny pył. Oczyszczą nam drogę, a wtedy uderzymy na Cytadelę.

- Nie jest to metoda, którą ochoczo pan aprobuje – powiedział Kleopas – Na starówce wciąż mogą być cywile.

- Owszem – przyznał Gaunt – lecz wszyscy słyszeliśmy polecenie lorda generała. On domaga się, abyśmy zajęli Doctrinopolis w przeciągu kilku następnych dni. Powiesi nas za genitalia w przypadku dalszego poślizgu w harmonogramie. Wojna jest brutalna, panowie, musimy ten fakt zaakceptować.

- Dokonam odpowiednich przygotowań – zgodził się bez entuzjazmu Kleopas – Pardusycy czolgiści przewalą się przez Stare Miasto do południa.

Od strony wjazdu wyjściowego dobiegł metaliczny dźwięk pukania. Stojący przy nim tanithijski wartownik otworzył kłapę i zaczął rozmawiać półgłosem z osobami znajdującymi się na zewnątrz. Przez otwarty wjazd sączyło się do środka jaskrawe światło słonecznego dnia.

- Sir ? – wartownik spojrział przez ramię w kierunku Gaunta.

Pułkownikkomisarz podszedł do wjazdu, przeszedł przez niego i stanął na trapie prowadzącym z mobilnego centrum dowodzenia na wybrukowaną kostkami kamienia ulicę. Masywny pojazd wielkości sporego budynku, wznoszący się na czterech gąsienicowych sekcjach, tkwił tuż przy stołecznej bazylice, okupowanej obecnie przez tłumy wynędzniałych uchodźców. Gaunt przesunął wzrokiem po kolumnach Hagian nadciągających wciąż od strony Starego Miasta, kierowanych do punktów rejestracyjnych przez uzbrojonych Tanithijczyków patrolujących ulice miasta.

Przed trapek stał Brin Milo, towarzyszyła mu młoda dziewczyna w kremowej sukni i czterech starszych wiekiem mężczyzn w luźnych niebieskich szatach.

- Prosiłeś o rozmowę ? – Gaunt zatrzymał swój wzrok na gwardziście.

Młody Duch skinął twierdząco głową.

- Oto ayatani Kilosh, ayatani Gugai, ayatani Hiliash i ayatani Winid – przedstawił stojących przy nim mężczyzn.

- Ayatani ? – nie zrozumiał Gaunt.

- Lokalni kapłani, sir. Czczyciele świętej. Prosił mnie pan, żebym znalazł...

- Już sobie przypomniałem. Dziękuję ci, Milo. Panowie. Mój podwładny bez wątpienia wyjaśnił już powód, dla którego zmuszony byłem panów wezwać. Proszę przyjąć moje szczere kondolencje z powodu śmierci króla Infareema Infardusa.

- Przyjmujemy twoje słowa współczucia, żołnierzu – odrzekł ayatani Kilosh. Był wysokim mężczyzną o gładko ogolonej czaszce i niewielkiej, starannie wypielęgnowanej brodzie. W jego oczach kryło się niewyobrażalne zmęczenie.

- Jestem pułkownik-komisarz Ibram Gaunt, dowódca Pierwszego Tanithijskiego oraz głównodowodzący operacji militarnej w Doctrinopolis. Życzę sobie, aby wasz król, tak haniebnie zamordowany przez wrogów, został pochowany z wszelkimi należnymi mu honorami.

- Chłopiec już o tym wspomniał – skinął głową Kilosh. Gaunt spostrzegł grymas irytacji na twarzy Brina – Doceniamy pańskie wysiłki oraz szacunek dla naszych obyczajów.

- Hagia to święty świat, ojciec. Cześć wobec świętej Sabbath leży u podstaw całej naszej krucjaty. Musimy odzyskać Jej światy. Honorując wasze zwyczaje oddaję hołd Bogu Imperatorowi.

- Imperator strzeże – odpowiedzieli jednocześnie czterej kapłani.

- Cóż zatem należy uczynić ?

- Nasz król musi spocząć w pobłogosławionej ziemi – oświadczył Gugai.

- Co zaliczamy do tego statusu ?

- Jest kilka takich miejsc. Do najważniejszych zalicza się Świątynię, lecz tutaj, w Doctrinopolis, należy wskazać w pierwszej kolejności Cytadelę.

Przysłuchując się słowom Kilosha Gaunt odwrócił głowę spoglądając w stronę górującej ponad Starym Miastem budowli. Mury Cytadeli spowite były kłębamii dymu, w powietrzu pojawiały się białe smugi znaczące tor lotu wystrzelonych z ciężkich moździerzy pocisków.

- Właśnie przygotowaliśmy plan odbicia Cytadeli, ojciec. To nasz obecny imperatyw.

Kiedy tylko oczyścimy ją z nieprzyjaciela, będziecie mogli rozpocząć żałobne nabożeństwa.

Kapłani podziękowali umiarkowanymi ukłonami.

I stało się, pomyślał Gaunt. Do diabła z Lugo i jego żądaniami. Musimy zdobyć Cytadelę jak najszybciej, teraz nie ma już odwrotu. Kleopas, Herodas i Szabo wyszli po trapie na zewnątrz pojazdu, toteż Gaunt przywołał ich do siebie krótkim gestem ręki, wezwał też przez komunikator swego oficera radiowego.

- Ruszamy na Cytadelę – oświadczył Gaunt – Przygotujcie czołgi. Chcę, by bombardowanie rozpoczęło się równo za godzinę. Beltayn ?

Radiooperator postąpił kilka kroków do przodu.

- Przekaż wszystkim tanithijskim jednostkom w Starym Mieście, że mają się natychmiast wycofać. To bezwzględny rozkaz. Za godzinę rozpocznie się natarcie pancerne.

Szeregowiec Beltayn skinął głową i zaczął stukać palcami po klawiaturze swojego nadajnika szyfrując komunikat.

a

- Czy ten człowiek jest twoim dowódcą ? - zapytała Brina Sanian. Oboje stali w cieniu rzucanym przez masywną bryłę centrum dowodzenia.

- Tak, to on.

Dziewczyna przyjrzała się oficerowi w pełnym zadumy milczeniu.

- To jego droga – oświadczyła po chwili.

- Słucham ?

- Jego droga. Pasuje do niego. A ty, żołnierzu Milo, czy masz swoją drogę ?

- Nie wiem, co masz na myśli...

- Pojęciem drogi esholi określają obraną ścieżkę życia, chłopcze – wyjaśnił ayatani Gugai przystając u boku młodego Ducha. Sanian opuściła wzrok w ss

geście szacunku. Milo spojrział pytająco na wiekowego kapłana.

Gugai był bez wątpienia najstarszym spośród ayatani sprowadzonych przez Sanian. Jego sucha skóra naznaczona była siatką głębokich zmarszczek, oczy sprawiały wrażenie

zamglonych i niewidzących, a ciało – ukryte pod niebieskimi szatami – miało zgarbiony, powykęcany kształt, który świadczył o długim i ciężkim życiu.

- Przykro mi, ojcze. Z całym szacunkiem, ale nadal nie rozumiem...

Gugai zerknął na pozostającą w pokornym ukłonie Sanian.

- Wyjaśnij to obcoświatowcowi, esholi.

Dziewczyna podniosła wzrok spoglądając na Mila. Żołnierz zdumiał się ponownie na widok czystości jej mądrego spojrzenia.

- My, mieszkańcy Hagii, wierzymy, że każdy mężczyzna i każda kobieta zrodzeni w łasce Imperatora...

- Los niechaj go strzeże, dziewięć ran niech mu przyniesie szczęście – zaintonował Gugai. Sanian skłoniła się ponownie.

- Wierzymy, że każdy ma wyznaczoną w życiu ścieżkę. Że przeznaczenie kształtuje ich życie. Musimy nią podążać. Niektórzy rodzą się przywódcami, inni królami, jeszcze inni sługami.

- Rozumiem... - zaczął z wahaniem Milo.

- Nie rozumiesz – przerwał mu Gugai – To podstawowy dogmat wiary, przekazany nam przez samą świętą. Każdy z nas ma przeznaczoną w życiu rolę. Prędzej czy później rola ta staje się dla takiej osoby jasna i zrozumiała. Moją ścieżką życia okazała się służba w szeregach ayatani. Dla oficera Gaunta jest nią droga wojownika i przywódcy.

- To dlatego esholi studiują tajniki wszelkich dziedzin wiedzy. Chcemy być odpowiednio przygotowani na chwilę, w której przeznaczenie objawi nam naszą rolę w życiu.

Milo pojął w końcu to, co starzec i dziewczyna chcieli mu przekazać.

- Zatem wciąż jeszcze nie znasz swojej ścieżki ? - zapytał Sanian.

- Nie – odparła studentka – Wciąż pozostaję esholi.

Gugai usiadł ostrożnie na pustej skrzynce po amunicji i westchnął cicho.

- Święta Sabbat była nisko urodzoną Hagianką, córką pasterza chelonów z górskich pastwisk w masywie, który zwiemy obecnie mianem Świętych Szczytów. Lecz przecież wspięła się tak wysoko pomimo swego niskiego stanu, wiodąc dzieci Imperium w misji przywrócenia utraconych światów za pomocą ognia i miecza.

W przeciągu sześciu lat od chwili rozpoczęcia krucjaty Milo zdążył już poznać podstawowe fakty z biografii świętej Sabbat. Wiedział, że sześć tysięcy lat temu patronka tego sektora porzuciła życie pasterki i stanęła na czele imperialnej armii unicestwiającej hordy wyznawców Nieprzyjaciela. Oglądał obrazy, na których kroczyła z odkrytą głową, w tonsurze, okryta pancerzem siłowym, ścinając swym płonącym mieczem demony zgnilizny i śmierci.

Milo uświadomił sobie, że starzec i dziewczyna spoglądają na niego wyczekująco.

- Nie mam pojęcia, jaka jest moja ścieżka – odparł szybko – Jestem rozbitkiem, muzykantem... i wojownikiem, a przynajmniej taką mam nadzieję.

Gugai popatrzył w jego twarz jeszcze przez chwilę, a potem pokręcił przecząco głową. W geście tym było coś bardzo dziwnego.

- Nie, nie wojownik. Nie tylko wojownik. Ktoś inny.

- Co chcesz przez to powiedzieć, ojcze ? - zapytał zmieszany Milo.

- Twoje przeznaczenie objawi się za kilka lat... - zaczął Gugai, ale zaraz przerwał nieoczekiwanie.

- Odgadniesz je sam, kiedy przyjdzie odpowiedni czas – stary kapłan podniósł się ze skrzynki i oddalił się w kierunku swych trzech braci, rozmawiających cicho w połowie schodów wejściowych bazyliki.

- Co on chciał powiedzieć ? - sarknął zirytowany Milo odwracając się w stronę Sanian.

- Ayatani Gugai to najstarszy mędrzec w Doctrinopolis, święty człowiek – odparła obronnym tonem studentka.

- To jakiś szaleniec. Dlaczego twierdził, że nie jestem wojownikiem ? Czy to było jakieś proroctwo ?

Sanian spojrzała na żołnierza wzrokiem sugerującym, że chłopak zadał właśnie najgłupsze pytanie pod słońcem.

- Oczywiście, że to proroctwo – potwierdziła.

Milo otworzył usta szykując odpowiedź, ale wtedy właśnie zapisał jego mikrokomunikator. Nasłuchiwał przez chwilę, a jego twarz niemal natychmiast sposepniała, przybrała zaciętą minę.

- Zostań tutaj – polecił studentce i pobiegł w stronę stojącego przy trapie pojazdu Gaunta, wiodącego dyskusję z resztą oficerów. Promienie słońca prześlizgiwały się pomiędzy szpicami wysokich dachów tworząc plamy światła na bruku pograżonej w cieniu uliczki. Żyjące w obrębie miasta ptaki, małe szare stworzenia o brudnym upierzeniu, kręciły się na gzymsach budynków lub przetrząsały z głośnym pokrzykiwaniem śmietniki.

Zmierzając w stronę pułkownikakomisarza Milo spostrzegł, że tanithijski dowódca też przyłożył dłoń do słuchawki modułu łączności.

- Słyszał pan, sir ?

Gaunt skinął twierdząco głową.

- Dopadli pułkownika Corbeca. Kolea dowodzi grupą ratunkową.

- Słyszałem.

- Więc trzeba przerwać odwrót. Odwołać czołgi.

- Zachowuj się, żołnierzu.

- Słucham ?

- Powiedziałem: zachowuj się, żołnierzu.

- Ale... - Milo ugryzł się w język dostrzegając mroczny błysk w oczach Gaunta.

- Milo... jeśli istniałaby jakakolwiek szansa na uratowanie Corbeca, wstrzymałbym całą tę przeklętą krucjatę. Lecz jeśli pułkownik wpadł w ręce Infardi, już nie żyje. Lord generał życzy sobie, abyśmy jak najszybciej zdobyli to miejsce. Nie mogę wstrzymać ataku łudząc się nadzieją na ocalenie Colma. Kolea i jego drużyna muszą się wycofać wraz z resztą jednostek. O zmierzchu uderzamy na Cytadelę.

Brin Milo chciał coś powiedzieć. Na końcu języka miał dużo słów, większość z nich wiązała się z osobą Colma Corbeca. Jedno spojrzenie na twarz pułkownikakomisarza sprawiło, że tylko zacisnął usta.

- Corbec nie żyje. Takie są koleje losu. Wygrajmy tę bitwę w jego imię.

a

- Wyślij negatywną odpowiedź – polecił Kolea.

- Sir ? - zdumiał się szeregowiec Rafflan.

- Nadaj “nie”, kurwa mać ! Nie wycofamy się !

Rafflan klęknął w rogu zrujnowanego sklepiu gdzieś na starówce. Szeregowiec Domor i czterej inni członkowie grupy ratunkowej przypadli do wybitych okien, wysunęli z nich lufy karabinów. Dorden, obciążony torbą z medykamentami, wbiegł do pomieszczenia jako ostatni.

- Nie mogę, sir, przepraszam – wykrztusił Rafflan – Pułkownik autoryzował osobiście ten rozkaz, kodem Falchion, poprawnym szyfrem. Musimy natychmiast opuścić Stare Miasto. Natarcie pancerne rozpocznie się za czterdzieści sześć minut.

- Nie ! - warknął Kolea. Tkwiący przy oknach gwardziści zerknęli w jego stronę. Dorden przykucnął obok sierżanta opierając się plecami o ścianę pod jednym z okien sklepiu.

- Goł, nie podoba mi się to tak samo jak tobie, ale Gaunt wydał rozkaz.

- Nigdy żadnego nie złamałeś ?

- Rozkazu Gaunta ? Żarty sobie robisz ?
- Nawet na Nacedonie, kiedy kazał ci opuścić tamten polowy szpital ?
- Feth ! Kto się wygadał ?
Kolea milczał przez chwilę.
- Corbec mi powiedział – przyznał w końcu.
Dorden opuszczył głowę, przeczesał palcami rzadkie siwe włosy.
- Corbec ? Psiakrew...
- Jeśli zaczną strzelać, rozwałą nas nasze własne działa – mruknął szeregowiec Wheln.
- To chodzi o życie Corbeca – powiedział krótko lekarz.
- Nic nie sygnalizuj – zdecydował Kolea łapiąc dłonią za wtyczkę słuchawek tkwiącą w obudowie nadajnika i wyciągając ją z cichym trzaskiem – Po prostu nic nie sygnalizuj, jeśli w ten sposób uspokoisz swoje sumienie. Nigdy nie usłyszałeś tego rozkazu.
Mkvenner i sierżant Haller wrócili z ulicy informując, że najbliższa okolica jest czysta. Grupa znajdowała się na skraju dystryktu kamieniarzy.
- I co ? - Dorden spojrzał pytająco na Koleę.
- Ruszamy !

a

Dwie godziny po tym jak tuzin zegarowych wież wokół Uniwersytetu wybił południe, parduscy pancerniacy ruszyli do akcji.

Szturm poprowadził osobiście pułkownik Furst, jadący na pokładzie legendarnego Shadow Sworda Castigatus. Towarzyszyło mu pięćdziesiąt Leman Russów typu Conqueror, trzydzieści osiem oblężniczych Thundererów i dziesięć stygiańskich Vanquisherów. Czołgi ruszyły z południowego krańca Starego Miasta.

Bombardowanie wstępne przeprowadzone przez baterie Bazyliiszków rozstawionych na błoniach pod miastem rozpoczęło się dwadzieścia minut przed natarciem. Parduscy ustawiali się w tym czasie na pozycjach wyjściowych. Pożary zaczęły trawić całą starówkę, od targów bydłych na północ od Palisady Haemon począwszy, aż po Infardi Mile.

Szwadrony czołgów potoczyły się do przodu strzelając z dział. Vanquishery i Conquerory ruszyły ciasnymi uliczkami pod kopułą utworzoną z czarnego dymu, cięższe Thunderery przebijały się natomiast prosto przez budynki mieszkalne i ozdobne wieżycy niszcząc ich ściany spychaczami. Z a

nieba z hukiem spadał deszcz cegieł, rur i dachówek. Ryk czołgowych armat niósł się po całym Doctrinopolis. Duchy wycofały się ze Starego Miasta na południowe peryferia stolicy, Brevianie umknęli na północ, za Uniwersytet. Oficerowie radiowi zgłosili zaginięcie jednej drużyny, dowodzonej przez sierżanta Koleę.

Ściana ognia i stali przeorała Stare Miasto, zrównała je z ziemią od jednego krańca po drugi. Zniszczeniu uległo dwadzieścia tysięcy domostw i sklepów. Słynna Kaplica Kiodrusa rozsypała się w proch rozbita pociskami. Publiczne kuchnie i studia ikonografów przestały istnieć, ich pozostałości zmiażdżyły czołgowe gąsienice. Ayatani Scholum i sąsiadujące z zakonem kwatery esholi spłonęły doszczętnie, ich jaskrawe dachówki powpadały w nurt rzeki. Starożytny most Indehar Sholaan Sabbath został zniszczony, fragmenty jego przeszły wyleciały na dobre sto pięćdziesiąt metrów w powietrze.

Poczynaniami pardusyckich czołgistów kierowali pułkownik Furst i major Kleopas. Ich jednostka uchodziła za elitarną w wojskach pancernych tego segmentum.

Stare Miasto i znajdujący się w nim ludzie nie mieli najmniejszych szans.

Rozdział IV – W poszukiwaniu pułkownika

„Rozpal ogień w swej duszy i drugi taki sam w swych dłoniach i spraw, by stały się twoją bronią. Jednym z nich jest bowiem wiara, drugim zaś zwycięstwo. Potrzebujemy obu” – powiedzenia św. Sabbat.

Pomieszczenie zadrżało w posadach, ze ścian i sufitu posypały się drobinki tynku. Ustawione na półkach butelki z wody zastukały dźwięcznie.

Początkowo nikt nie zwrócił na to uwagi. Nikt oprócz Corbeca. Pułkownik leżał rozciągnięty na podłodze, toteż czuł jak kamienna posadzka wibruje ledwie zauważalnie pod jego ciałem.

Podniósł głowę rozglądając się uważnie, ale Infardi nie zdradzali śladu niepokoju. Zbyt byli zajęci Yaelem. Chłopak zdążył już umrzeć, za co Corbec gorąco dziękował opatrznosci pomimo faktu, iż śmierć szeregowca oznaczała jego kolej na stole. Heretycy wciąż jeszcze odprawiali odrażający ceremoniał, ozdabiając okaleczone ciało swymi symbolami i mamrocząc jakieś zakazane wersety.

Pokój zadrzał ponownie. Butelki zaszczękały ostrzegawczo. Z sufitu sypanął się pył.

Pomimo grozy swej sytuacji, a może właśnie na przekór, Colm Corbec uśmiechnął się szeroko.

Na jego twarz padł cień.

- Dlaczego się uśmiechasz? – spytał Ojciec Sin.
- Śmierć nadchodzi – odrzekł Corbec spluwając pełną krwi śliną na posadzkę.
- Jesteś gotów ją powitać? – pułkownik odniósł wrażenie, że przywódca heretyków wręcz wstrzymał oddech. Jego metalowe zęby były tak ostre, że rozcinały od wewnątrz dźwiska Sina.
- Śmierci się nie boję – oświadczył Colm unosząc się nieco na łokciach – Przynajmniej mnie od ciebie raz na zawsze uwolni. Ale uśmiecham się, bo wiem, że tym razem nie po mnie przychodzi.

Pokój zadygotał. Ojciec Sin poczuł to w końcu i rozejrzał się uważnie wokół. Jego kultysty zastygli w bezruchu oczekując rozkazów. Posługując się językiem gestów i krótkimi komendami Sin odesłał trzech z nich z pokoju.

Corbecowi niepotrzebne były wyjaśnienia. Miał już kilkakrotnie okazję obejrzeć z bliska szturm wojsk pancernych i znał na pamięć towarzyszące mu zjawiska akustyczne. Wstrząsy wywołane eksplozjami, drzenie ziemi w rytm łoskotu gąsienic...

Pomieszczenie zatrzęsło się znów nieznacznie, lecz tym razem do uszu zebranych w nim ludzi dotarł w końcu stłumiony huk detonacji. Infardi zaczęli zbierać rozstawioną wokół stołu broń, Sin zaś przywołał heretyka z modułem łączności i zaczął konferować z dowódcami podległych sobie jednostek.

Kiedy skończył, huk wybuchów był już przeciągłym jednostajnym grzmotem. Kultysta spojrzał na Corbeca.

- Oczekiwałem tego, prędzej czy później. Ty pewnie myślisz, że to dla mnie zaskoczenie, ale nie... w rzeczywistości dokładnie coś takiego... – heretyk urwał w pół zdania, jakby nie chciał się dzielić jakimś sekretem z umierającym imperialnym żołnierzem.

Z jego ust wydobyło się kilka gardłowych pomruków – Corbec uznał, że musiały to być słowa kodowe pochodzące z języka bitewnego Infardich – i przebywający w pokoju strzelcy zaczęli go natychmiast opuszczać. Czterech z nich złapało Corbeca i powlokło ze sobą. Tors pułkownika przenikał silny ból, ale mężczyzna zacisnął tylko zęby nie chcąc okazać prześladowcom cierpienia.

Heretycy poprowadzili swego więźnia długim brudnym korytarzem, na znajdujący się z tyłu budynku duży dziedziniec. Promienie słoneczne oślepiły Corbeca, mężczyzna przymknął oczy chroniąc je przed uciążliwym blaskiem. Wiatr niósł ze sobą wyraźne odgłosy

imperialnego szturmu: nakładające się na siebie dźwięki eksplozji, wizg tnących powietrze pocisków, szcęk gąsienic, huk walących się kamiennych budynków.

Corbec z całych sił starał się dotrzymać kroku swym strażnikom, wleczony niemal biegiem przez poszturchujących go nieustannie Infardich. Czterej strażnicy najwyraźniej nie byli zadowoleni z opóźnienia w ruchu spowodowanego złą kondycją więźnia, a przy tym konieczność trzymania go jedną ręką sprawiała, że drugą obciążoną mieli nadmiernie bronią i torbami z resztą ekwipunku.

Wpadli do ciasnego warsztatu kamieniarza, gdzie podłogę i meble pokrywała cienka warstwa białego pyłu; tylnym wyjściem wydostali się na wąską brukowaną uliczkę biegnącą pod ostrym kątem w górę.

W górze, jakieś dwa kilometry od warsztatu kamieniarza, wznosiła się majestatycznie Cytadela. Corbec nie miał jeszcze okazji znaleźć się tak blisko świątynnego kompleksu jak teraz. Jasne mury Cytadeli, pokryte pęda-ami winorośli i bluszczu, wystrzeliwały w niebo górując ponad dachami Starego Miasta i wschodnimi dzielnicami Doctrinopolis, zamieszkanymi przez arystokratyczne rody stolicy. Monumentalne budowle skrzyły się różowymi barwami na tle lazurowego nieba. Kultysty Sina musieli przetrzucić Colma i Yaela spory kawał drogi na północ, skoro Cytadela zdawała się znajdować na wyciągnięcie ręki.

Pułkownik przekreślił głowę spoglądając w dół uliczki, biegnącej pomiędzy rzemieślniczymi warsztatami i sklepami w stronę koryta rzeki. Niebo ponad Starym Miastem tonęło w czarnym dymie, rozjaśnianym łunami pożarów. Corbec widział serie detonacji rozbłyskujące pośród budynków i labiryntu uliczek. Ziemia i bryły gruzu spadały z nieba niczym upiorny deszcz.

Opracownicy zacisnęli ręce na ciele pułkownika, pociągnęli go w górę ulicy. Większość Infardich zdążyła już zniknąć w pobliskich budynkach. Strażnicy otworzyli żelazną furtkę w murze sąsiadującym z uliczką, wlekli Corbeca na niewielkie podwórko zastawione ułożonymi na paletach blokami kamieni i workami z murarską zaprawą. Po jednej stronie podwórka tkwiły niewielkie metalowe beczki, po drugiej stali dwaj starzy wyłączeni serwitorki.

Strażnicy pchnęli Ducha na beczki każąc mu na nich usiąść. Ojciec Sin pojawił się na podwórku w asyście ośmiu innych rebeliantów, wynurzając się bez ostrzeżenia z drzwi sąsiedniego budynku. Heretycy zaczęli dyskutować na jakiś temat.

Corbec siedział czekając na rozwój wydarzeń. Beczki były pokryte warstewką cementu, opodal na niskim stole leżały zabrudzone narzędzia: cztery wielkie młoty, jakieś dłuta, wiertło o diamentowej końcówce. Żaden z przedmiotów nie był dostatecznie mały, by pułkownik zdołał go schować przy sobie.

Podwórko wypełnił przeciągły skowyt rozdieranego powietrza, nad głowami heretyków przeleciał pocisk ciężkiego kalibru. Sąsiedni budynek wyleciał z hukiem w powietrze, z nieba posypał się grad kamiennych odłamków. Corbec przycisnął głowę do wierzchu beczki, wtulił twarz w leżącą na niej płachtę materiału.

Wyczuł coś dotykiem skóry pod materiałem, wsunął pod spód palce.

Był to mały metalowy obciążnik używany przez murarzy, z przywiązaną do krańca linką. Wielkością przywodził na myśl dziecięcy palec. Poruszając się ostrożnie mężczyzna wsunął obciążnik w dłoń i zacisnął palce.

Ojciec Sin rzucił kilka krótkich rozkazów i uruchomił swój generator energii znikając w ułamku chwili. Colm widział tylko rozmazany przejrzysty kształt wzbijający obłoczki pyłu w miejscach, gdzie stopy Sina dotykały zakurzonej ziemi. Przywódca Infardich opuścił podwórko w towarzystwie pozostałych heretyków zostawiając na miejscu trzech strzelców.

Wszyscy trzej stali odwrócenymi plecami do pułkownika, rozmawiając między sobą półgłosem.

Czołgowa salwa zawyła w powietrzu spadając z hukiem na pobliską uliczkę. Corbec uświadomił sobie, że gdyby kilka minut wcześniej jego strażnicy nie wciągnęliby więźnia na podwórze, wszyscy czterej byłiby teraz martwi, rozerwani szrapnelami na bruku. Trzej rebelianci runęli na ziemię zaskoczeni bliskimi eksplozjami, w przeciwieństwie do bardziej doświadczonego w tym względzie Corbeca, który kilka sekund wcześniej usłyszał wizz spadających pocisków i był na wybuch przygotowany.

Zerwał się na równe nogi spoglądając w stronę pierwszego podnoszącego się z ziemi Infardi, obracającego się w stronę więźnia z karabinem w dłoni.

Duch zakręcił obciążnikiem ściskając w dłoni linkę, wypuścił ją po trzecim obrocie. Obciążnik uderzył z głośnym trzaskiem w policzek strzelca oszalałając go i przewracając z powrotem na ziemię. Corbec szarpnął ponownie linką, zakręcił obciążnikiem ponad głowę. Zdołał rozpedzić ciężarek dostatecznie silnie, by w chwili drugiego wypuszczenia linki z ręki zawinęła się ona czterokrotnie wokół szyi drugiego heretyka.

Charcząc spazmatycznie mężczyzna runął na kolana, próbując wcisnąć palce pod dławiący go sznurek i rozluźnić morderczy ucisk na szyi. Corbec pochwycił jego karabin, obrócił w rękach, wsunął palec w osłonę spustu i strzelił dwukrotnie do pierwszego strażnika, zrywającego się z ziemi z posiniaczoną twarzą. Obie wiązki trafiły mężczyznę w klatkę piersiową, powaliły go na plecy.

Nie wypuszczając z rąk zdobyczej broni pułkownik podniósł się z ziemi. Kolejne pociski rozerwały się tuż przy podwórku, po drugiej stronie muru. Duch doskoczył do rebelianta walczącego z zaciśniętą na gardle linką i przestrzelił mu głowę. Trzeci strażnik leżał martwy, kawałek wyrzuconej eksplozją w powietrze ceramicznej płytki wbił mu się w bok czaszki.

Grzmot bombardowania zbliżał się z każdą sekundą. Colm czuł, że nie ma czasu, by przetrząsnąć kieszenie zabitych w poszukiwaniu amunicji ani zdjąć ze zwłok brakującego buta. Uznał, że najlepszym rozwiązaniem, dającym przynajmniej niewielkie szanse na przeżycie, będzie ucieczka w górne części Starego Miasta, w kierunku wzgórza, na którym wznosiła się Cytadela. Większość Infardich pewnie już uciekła w tamtym kierunku.

Wbiegł przez otwarte drzwi w ścianie podwórka – te, za którymi zniknął aa wcześniej Sin. Stawiał ostrożnie kroki, bo kawałki gruzu i szkła na podłodze boleśnie raniły go w pozbawioną buta stopę. Trafił na długi korytarz o wybitych podmuchem eksplozji szybach, przedostał się nim do hali załadunkowej pełnej metalowych skrzyń.

Pomiędzy kolejnymi detonacjami, odległymi i tymi niepokojąco bliskimi, usłyszał ludzkie głosy. Przykucnął, prześlizgnął się między skrzyniami. Zewnętrzne wrota garażu - masywne, wykonane z grubego drewna – były szeroko otwarte, przy rampie załadunkowej tkwiły dwie ośmiokołowe ciężarówki. Tuzin Infardich ładował na ich paki jakieś owinięte materiałem paczki i drewniane skrzynki.

Nigdzie nie było widać Ojca Sina.

Corbec sprawdził poziom naładowania akumulatora swej broni. Wskaźnik baterii wskazywał trzy czwarte pojemności.

Wystarczająco dużo, by zepsuć rebeliantom dzień.

a

Płonące ulice tętniły przerażonym życiem. Ludzie, mieszkańcy stolicy, umykali ze swych zdewastowanych domostw i kryjówek w podziemiach ściskając w rękach zebrany naprędce dobytek, pędząc przed sobą wynędzniałe domowe zwierzęta.

I szczury... prawdziwe mrowie szczurów uciekających z ognistego piekła, w jakie przeistoczyło się Stare Miasto, zmierzających w stronę rzeki.

Drużyna Kolei parła w przeciwną w stronę, pod prąd.

Biegąc z założonymi na twarze respiratorami w górę wzniesienia, na którym zbudowano starówkę, gwardziści próbowali ominąć główną linię pancernego natarcia, a przy tym zmniejszać dystans dzielący ich od dzielnicy rzemieślników.

Chwilami pociski rozrywały się tak blisko, że fala uderzeniowa eksplozji przewracała żołnierzy na ziemię. Płonące budynki rozsypywały się w gruzy tarasując im drogi marszu, zmuszając do szukania obejścia. Czasami musieli pokonywać piszczące stada gryzoni, miażdżąc pod wojskowymi butami ciała szczurów.

Ośmiu mężczyzn przesadziło błyskawicznie niewielkie skrzyżowanie i wpadło do warsztatu garbarza. Niewielki budynek został dosłownie wypatroszony bezpośrednim trafieniem, nietknięte pozostały w nim tylko zewnętrzne ściany.

Dorden ściągnął z twarzy respirator i zaczął oddychać szybkimi haustami. Kucający przy jego boku szeregowiec Mkvenner próbował wyciągnąć z uda wbity pod skórę kawałek szkła.

- Daj mi to zrobić – syknął z wysiłkiem Dorden. Wyjętymi z torby szczypczykami usunął szklany odłamek i przemył głęboką ranę antyseptycznym płynem. Potem usiadł pod ścianą ocierając pot z czoła.

- Dzięki, doktorze – szepnął żołnierz – Z panem wszystko w porządku ?

Dorden skinął twierdząco głową. Czuł się żywcem upieczony, ledwie potrafił oddychać. Bijący od płonących wokół budynków żar wydawał mu się nie do zniesienia.

Stojący przy wyrwanych wybuchem drzwiach Kolea i sierżant Haller wyglądali uważnie na zewnątrz.

- To oczywiście, że musimy iść w tamtą stronę – oświadczył Kolea wskazując obrany kierunek palcem.

- Jak na razie – zgodził się Haller, po czym przywołał do siebie szeregowców Garonda i Cuu nakazując im zabezpieczyć drzwi kolejnego w rzędzie budynku.

Dorden zauważył, że Haller – rodowity Verghastyta i weteran regimentu Vervun Primary – preferował przy tego rodzaju zadaniach swoich pobratymców: Garonda i Cuu. Obaj szeregowcy też pochodzili z Verghastu.

Haller był ostrożnym i wyważonym człowiekiem, ale oficer medyczny nie mógł się wyzbyć wrażenia, że żywił zbyt silny szacunek dla tanithijskich Duchów – zbyt silny, by wydawać im bezpośrednie rozkazy.

Lekarz przesunął wzrokiem po pozostałych członkach drużyny. Mkvenner, Wheln, Domor i Rafflan byli rodzimymi Tanithijczykami. Harjeon pochodził z Verghastu. Niskiego wzrostu blondyn o wąskich ustach tkwił w kącie warsztatu.

Dorden dostrzegł również rozkład sił wewnątrz drużyny. Kolea dowodził oddziałem, a że był prawdziwym wojennym bohaterem, nikt nie miał nic przeciwko. Haller był już wcześniej żołnierzem, podobnie jak Garond. Cuu... ten człowiek sam sobie stanowił prawa będąc gangsterem z najniższych poziomów metropolii, ale żaden Duch nie kwestionował jego talentu do zabijania ani odwagi.

Harjeon... były cywil. Dorden nie kojarzył zbyt wcześniejszej profesji Harjeona. Był bodajże nauczycielem. Jaki by nie był jego zawód, posiadał najniższą wartość bojową w drużynie. Jeśli uda się ująć z tej akcji z życiem, pomyślał Dorden, muszę porozmawiać z Gauntem o spuściznie, jaką nowy nabór rekrutów wniósł ze sobą do regimentu.

Seria pocisków rozerwała się na końcu ulicy, z nieba spadł deszcz od- aaa

- Ruszamy ! – krzyknął Haller i wypadł z warsztatu w ślad za Garondem i Cuu.

Dorden zatrzymał się przy drzwiach, spojrzął na Koleę chwytając jednocześnie swój respirator.

- Naprawdę powinniśmy zawrócić – oświadczył.

łanków.

- Ruszamy ! – krzyknął Haller i wypadł z warsztatu w ślad za Garondem i Cuu.

Dorden zatrzymał się przy drzwiach, spojrzął na Koleę chwytając jednocześnie swój respirator.

- Naprawdę powinniśmy zawrócić – oświadczył.

- Niby gdzie, doktorze ? - zapytał sierżant wskazując dłonią lunę pożarów trawiących Stare Miasto – Przykro mi to mówić, ale nie mamy już wyboru. Chcąc przeżyć musimy ścigać się z pociskami. Trzeba uciekać w stronę Cytadeli i przy okazji szukać śladu Corbeca.

Obaj mężczyźni pobiegli przez upiorny żar w stronę ruin kolejnego budynku. Dorden czuł poparzenia pojawiające się na odkrytej skórze dłoni i przedramion.

Wpadli do niewielkiego budynekczku. Dom okazał się stosunkowo nienaruszony, a powietrze w nim kryło błogi chłód. Zerkając przez okno lekarz dostrzegł rozrywające się kilkadziesiąt metrów w tyle artyleryjskie pociski. Budynek po przeciwnej stronie ulicy złożył się nagle niczym domek z kart, zawalając się całkowicie w chmurze ceglanego pyłu.

- Blisko było, Tanithijczyku ?

Dorden odwrócił głowę i spojrzął w oczy szeregowca Cuu.

Szeregowiec Cuu. Lijah Cuu. Człowiek stający się powoli jedną z żywych legend regimentu. Prawie dwumetrowego wzrostu, szczupły, ale silnie umięśniony. O twarzy przywodzącej na myśl brzydkie kłamstwo. Tak mawiał o nim Corbec.

Cuu był przed wojną vervuńskim gangsterem. Niektórzy żołnierze twierdzili, że zabił więcej ludzi w porachunkach mafijnych i ulicznych starciach niż w trakcie obrony metropolii. Jego ciało pokrywały liczne tatuaże, chętnie też sprzedawał zainteresowanym Verghastytom umiejętność radzenia sobie z igłą i tuszem. Długa blizna znaczyła twarz mężczyzny przecinając ją od skroni po podbródek.

Szeregowiec mówił do każdego oryginalnego Ducha “Tanithijczyku”, a zwrot ten nabierał w jego ustach niemile sarkastycznego brzmienia.

- Wystarczająco blisko jak dla mnie – odparł wymijająco Dorden.

Cuu obejrzał się przez ramię, sprawdził stan swojego karabinu. Jego ruchy były szybkie i pewne, przypominające kota. Tym właśnie był w rzeczywistości, pomyślał lekarz. Pokrytym bliznami drapieżnym kotem, aż po te swoje lodowate zielone oczy. Dorden spędził kilka ostatnich lat w towarzystwie wyjątkowo niebezpiecznych ludzi: majora Rawne, bezwzględnego węża... Feygora, pozbawionego sumienia zabójcy... ale Cuu...

Ten człowiek był podręcznikowym przykładem socjopaty. Uczynił sednem swego życia gangsterskie mordy na długo przed tym, kiedy Krucjata w legalny sposób wykorzystwała jego talent do odbierania ludziom życia. Już samo towarzystwo Cuu, widok jego tatuaży i zielonych oczu mroził krew w żyłach Dordena.

- Co się dzieje, doktoru ? Żołądek się buntuje ? - Cuu zachichotał wyczuwając niepokój lekarza – Nie lepiej było zostać w tym bezpiecznym, cichym punkcie opatrunkowym ?

- Zdecydowanie tak – oświadczył Dorden i zmienił miejsce kucając pomiędzy Domorem i Rafflanem.

Szeregowiec Domor stracił swoje oczy na Menazoidzie Epsilon, ale lekarze uratowali mu wzrok wszczepiając w oczodoły wojskowy model implantów optycznych. Tanithijczycy szybko ochrzcili mężczyznę przezwiskiem “Shoggy” twierdząc, że po operacji ludzko zaczął przypominać niewielkiego płaza o wielkich oczach zamieszkującego mokradła Tanith.

Dorden znał dobrze Domora, zaliczał go do grona swoich przyjaciół. Wiedział też, że implanty szeregowca potrafią rejestrować sygnatury termiczne i poruszenia obiektów nawet poprzez grube ściany.

- Co widzisz ?

- Z przodu pusto – odparł Domor. Obracające się obiektywy implantów warczały cichutko – Kolea powinien był mnie puścić przodem. Mnie i Mkvennara.

Dorden potwierdził ruchem głowy. Mkvennar był jednym z najlepszych zwiadowców regimentu, szkolonym przez osławionego sierżanta Mkolla. Dzięki jego talentowi i

optycznym implantom Domora grupa mogłaby przemieszczać się znacznie szybciej niż do tej pory.

Lekarz zdecydował porozmawiać na ten temat z Koleą i sierżantem Hallerem. Podniósł się z klęczek zmiierzając w stronę wielkiego górnika oraz szczupłego Hallera, wciąż noszącego na głowie szpiczasty hełm Vervun Primary zachowany w charakterze pamiątki po służbie w metropolitalnym garnizonie.

Fala uderzeniowa wybuchu cisnęła oficerem medycznym w ścianę, tynk popękał pod wpływem zderzenia, posypał się na podłogę.

Przez krótką chwilę lekarz ujrzał swą żonę i córkę, utracone bezpowrotnie dawno temu na Tanith, oraz syna Mikala, poległego kilka miesięcy temu na Verghaście.

Mikal uśmiechnął się szeroko umykając z uścisku swej siostry i matki, aaa postąpił kilka kroków do przodu.

- Męczeństwo Sabbat – powiedział.

- Co ? - wykrztusił Dorden. Jego usta i nos pełne były krwi, mężczyzna nie potrafił oddychać. Szczęście i ból na widok zmarłego syna poraziły go jednocześnie nieznośną wręcz falą emocji – Co takiego mówiłeś ?

- Męczeństwo Sabbat. Nie umieraj, tato. To nie twój czas.

- Mikal...

- Doktorze ! Doktorze !

Dorden otworzył oczy. Potworny ból promieniował w całym jego ciele. Nic nie widział.

- Och, feth – wycharczał spluwając krwią.

Czyjeś ręce zdarty mu z twarzy maskę, usłyszał jak respirator uderza w trzaskiem w gruz. Zamrugął rozpaczliwie.

Wheln i Haller klęczeli nad nim z przerażonymi twarzami.

- Cco ? - wymamrotał lekarz.

- Myśleliśmy, że nie żyjesz ! - wrzasnął Wheln.

Obaj gwardziści pomogli mu usiąść. Dorden przetarł dłonią twarz i ujrzał na palcach świeżą krew. Uświadomił sobie, że z nosa tryska mu strumień krwi, który wypełnił maskę zalepiając wylot respiratora i wąskie wizjery.

- Feth ! - syknął próbując się podnieść. W głowie mu się zakręciło i natychmiast opadł z powrotem na ziemię.

- Kogo straciliśmy ? - zapytał słabym głosem.

- Nikogo – odparł Haller.

Dorden rozejrzał się wokół. Wybuch unicestwił zachodnią ścianę budynku, ale żaden ze znajdujących się w środku żołnierzy nie odniósł obrażeń.

- Fuksiarze – zachichotał Cuu.

Z pomocą Whelna i Hallera Dorden podniósł się chwiejnie na nogi. Doktor miał wrażenie, że eksplozja wydusiła z niego wszystkie siły życiowe.

- Wszystko w porządku ? - zapytał z troską w głosie Kolea.

Dorden splunął ponownie krwią, wytarł raz jeszcze twarz.

- Tylko niewielkie zawroty głowy – powiedział – Jeśli mamy iść dalej, lepiej ruszajmy w drogę.

Kolea przytaknął, uniósł pięść nakazując zewrzeć szyk drużyny.

Pożary szalały po obu stronach ulicy, kolejne spadające z nieba pociski tylko je pogłębiały. Omijając na wpół zrujnowany budynek gwardziści odkryli rozerwany eksplozją kanał odpływowy, biegnący poniżej poziomu ulicy.

Kolea i Mkvennar skoczyli na dno kanału pierwsi. Mętna woda, prawdopodobnie spływająca do rzeki, omywała z chlupotem ich buty.

Dorden zeskoczył w dół w ślad za pierwszą parą. W kanale było znacznie chłodniej niż na ulicy, a spływająca wartko woda wydawała się zabierać ze sobą kłęby uciążliwego dymu.

- Pójdziemy w głąb – zdecydował Kolea. Nikt nie zaproponował. Siedmiu żołnierzy pobiegło w ślad za sierżantem dnem kanału.

Zdołali pokonać jakieś sto metrów, zanim szeregowiec Cuu nie podniósł ostrzegawczo zaciśniętej pięści. Na jego kciuku widniał prymitywny tatuaż w postaci czaszki i skrzyżowanych piszczeli.

- Słyszycie ? - syknął – Wystrzały z laserów !

a

Wiązki energii wystrzelone z karabinu Corbeca przeszły przestrzeń hangaru. Dwaj Infardi uderzyli ciałami o burtę ciężarówki, osunęli się po niej bezwładnie na podłogę. Trzeci heretyk runął na plecy przygniatając sobie pierś ścisną kurczowo skrzynią.

Rebelianci niemal natychmiast odpowiedzieli ogniem, wyciągając zza pasów automatyczne pistolety albo chwytając za ustawione pod ścianą laserowe karabiny. Migotliwe krechy światła i metalowe kule zaczęły stębnować spiętrzone pudła stanowiące kryjówkę Ducha.

Pułkownik nie zamierzał się chować. Przeskakując przez skrzynie rzucił się biegiem wzdłuż tylnej ściany garażu, strzelając z biodra. Kolejny Infardi złapał się za gardło, runął na pakę ciężarówki i z łomotem spadł przez uchyloną tylną klapę na podłogę hali.

Pocisk zadrasnął Corbecowi triceps, wiązka lasera spaliła fragment materiału na spodniach.

Duch schował się za jednym z szerokich wsporników dachowych garażu. W pomieszczeniu zapadła nie wróżąca nic dobrego cisza, powietrze przesycił swąd spalenizny i prochu. Corbec leżał na brzuch starając się zapanować nad oddechem i nasłuchując jednocześnie czujnie. Jego słuch zarejestrował dźwięk ostrożnych kroków.

Infardi wyskoczył zza wspornika i z miejsca dostał wiązką lasera w środek twarzy. Kanonada wybuchła ze zdwojoną siłą. Tanithijski oficer zaczął czołgać się wzdłuż ściany kuląc ciało, drewniane panele nad jego głową rozlatywały się w drzazgi niszczone pociskami. Wpadł do krótkiego korytarzyka, poczołgał się szybciej w jego głąb.

Po lewej dostrzegł jakieś drzwi. Wtoczył się do środka i podniósł z podaaa łogi. Jego ręce drżały niczym w delirium, a klatka piersiowa bolała tak silnie, że mężczyzna niemal odchodził od zmysłów.

Pokój był pomieszczeniem administracyjnym, stały w nim regały na książki i duże biurko. Podłogę zaścierały kartki papieru, szeleszczące cicho w podmuchach wiatru wpadającego przez niewielkie okienko w tylnej ścianie.

Z pokoju nie było ucieczki. Okienko miało tak małe rozmiary, że Corbec zdołałby co najwyżej wysunąć przez nie ramię.

- Feth... – wymamrotał gładząc dłonią brudną brodę. Skrył się pośpiesznie za biurkiem opierając o jego krawędź lufę swego lasera. Bateria broni była już w trzech czwartych wyczerpana. Corbec wszedł w posiadanie starego, solidnie wyeksploatowanego lasera z metalową kolbą w kształcie litery L, boleśnie ugniatając posiniaczony bark Ducha. Starając się zignorować ból oficer skupił się na celowaniu w przestrzeń za drzwiami, przywołując jednocześnie z pamięci wszystkie wskazówki na ten temat wysłuchane w przeszłości z ust Larkina.

Postać w zielonym uniformie przeskoczyła obok drzwi, zbyt szybko, by pułkownik zdołał ją trafić. Krecha niecelnie wystrzelonej energii uderzyła w trzaskiem w odległą ścianę garażu. Drugi napastnik stanął w progu strzelając z pistoletu maszynowego. Seria małokalibrowych pocisków gwizdnęła nad głową Corbeca niszcząc jeden z bibliotecznych regałów. Pułkownik strzelił heretykowi w gardło, rebeliant runął na plecy lądując gdzieś poza polem widzenia gwardzisty.

- Zadarliście z niewłaściwym człowiekiem, skurwysyny ! – wrzasnął – Powinniście byli mnie wykończyć, kiedy mieliście okazję ! Rozwalę łeb każdemu, kto spróbuje przejść przez te drzwi !

Mam tylko nadzieję, że się wam skończyły granaty, dodał w myślach.

Kolejny Infardi wychynął do połowy zza futryny, wypalił dwa razy ze swego lasera i odskoczył. Nie dość szybko. Wiązka Corbeca nie zdołała go zabić, ale przepaliła na wylot ramię rebelianta. Zza progu dobiegło pułkownika zdławione pojękiwanie ofiary.

Teraz zza futryny wysunął się sam laser, trzymany dość nieporadnie przez próbującego pozostać w ukryciu strzelca. Broń wypaliła dwukrotnie, trafiając w biurko z siłą wystarczającą go przesunięcia go o kilka centymetrów. Corbec pociągnął spust i karabin zniknął.

Duch wciągnął w nozdrza powietrze wyczuwając znieczulający silny zapach chemikaliów.

Płynne promethium.

Ktoś tam na zewnątrz miał miotacz ognia.

a

Gol Kolea zgiął do połowy palce i wykonał dłońmi kilka szybkich ruchów.

Mkvennar, Haller i Harjeon skoczyli na lewo, zajmując pozycje wzdłuż ściany warsztatu kamieniarskiego. Domor, Rafflan i Garond pobiegli na prawo, w stronę otwartych wrót dużego garażu wychodzącego na ulicę. Cuu wybił się na ugiętych kolanach, wskoczył na zbiornik odpływowy, a z niego wślizgnął się na pochyły dach hali.

Mając za plecami skulonego Dordena Kolea postąpił kilka kroków w kierunku budowli. Huk dobiegającej z wnętrza garażu kanonady wydawał się górować ponad coraz bliższym rykiem czołgowych dział.

Domor, Rafflan i Garond wpadli przez wrota do środka hali, strzelając z przestawionych w tryb ognia seryjnego laserów. Pół tuzina Infardich odwróciło się z zaskoczeniem na twarzach w ich stronę i zginęło niemal na miejscu ściętych krechami jaskrawej energii. Mkvennar, Harjeon i Haller roztrzaskali kolbami wielkie okna we frontowej ścianie garażu i zastrzelili trzech innych rebeliantów, próbujących zająć pozycje opodal otwartych wrót.

Cuu rozwalił kopniakiem lufcik i zaczął strzelać z góry do próbujących się kryć Infardich.

Wyłamując silnym kopnięciem boczne drzwi Kolea dostał się do garażu od lewej strony, dwoma szybkimi strzałami zwałił z nóg heretyka próbującego pierzchnąć z pułapki tą właśnie drogą.

Dorden obserwował działania Duchów z nieskrywanym podziwem. To był istny pokaz taktycznego talentu i doskonale skoordynowanego działania, z którego Tanithijski Pierwszy zdążył już zasłynąć. Zaatakowani jednocześnie z kilku kierunków rebelianci wpadli w panikę. Ginęli nie potrafiąc stawić skutecznego oporu.

Silnik jednej z ciężarówek ryknął donośnie, szerokie opony zabuksowały na podłodze garażu. Domor i Rafflan, stojący pomiędzy wozem i wrotami wyjazdowymi, zaczęli punktować wiązkami przyłożonych do ramion laserów kabinę kierowcy. Znajdujący się z boku Garond obracał się wraz z mijającym go samochodem strzelając w biegu w drzwiczki. W metalowej karoserii pojawiły się dymiące otwory, okna rozprysnęły się w deszczu szklanych odłamków. Ciężarówka zaczęła szybko odbijać w bok, roztrzaskała aaaa krańcem zderzaka gotową do załadunku skrzynię, przetoczyła się z odrażającym młaśnięciem po nieruchomych ciałach dwóch zastrzelonych Infardich.

Rafflan i Domor odskoczyli na boki w ostatniej sekundzie. Rozpędzający się coraz bardziej pojazd wystrzelił z rykiem silnika przez wrota garażu, przeleciał przez uliczkę i wyrznął z metalicznym łoskotem w ścianę budynku po przeciwnej stronie.

Rafflan i Domor dołączyli do Garonda, podbiegli w trójkę do Kolei i Dordena. Formując defensywny krąg żołnierze zaczęli oddawać profilaktyczne strzały w zadymione kąty pomieszczenia.

Oficer medyczny czuł, że jego serce bije coraz mocniej. Odnosił wrażenie, iż jest niebezpiecznie odsłonięty, lecz zarazem ogarnęła go fala dziwnej ekscytacji. Poczul się zniechęconym uczestnikiem obserwowanych wydarzeń. Czerpana z tej świadomości przyjemność tak dalece kojarzyła mu się z potępianymi na co dzień okropnościami wojny, że nie mógł otrząsnąć się z poczucia głębokiej winy i wstydu, ale zrozumiał zarazem, dlaczego ludzka rasa tak chętnie celebrowała wojnę i czciła żołnierzy ponad przedstawicieli wszystkich innych profesji. W chwilach takich jak ta potrafił zrozumieć samego Gaunta. Widok doskonale wyszkolonych gwardzistów – chociażby tych służących w drużynie Kolei – stawiających czoła przeważającemu liczebnie nieprzyjacielowi w zdyscyplinowany sposób...

- Sprawdź drugi samochód – syknął Kolea i Rafflan odłączył się od grupy biegnąc w stronę ciężarówki. Domor przemieścił się do przodu omiatając lufą broni niewielki korytarzyk znajdujący się w bocznej ścianie garażu.

- Miotacz ! – krzyknął ostrzegawczo i rzucił się w tył. Sekundę później struga płynnego ognia skąpała wejście do korytarzyka.

Kolea wepchnął Dordena za zapewniający względną osłonę wspornik sufitu i przytknął palce do mikrofonu komunikatora.

- Haller ?

- Jesteśmy w środku, sir. Idziemy w waszą stronę od wschodu. Niewielki opór ze strony wroga – zza beczek po drugiej stronie hangaru dobiegały odgłosy wystrzałów z broni laserowej.

- Posuwajcie się ostrożnie. Mamy tu gościa z miotaczem ognia.

- Przyjąłem.

- Mogę go zdjąć. Pewnie, że pewnie – w słuchawkach zatrzeszczał głos Cuu.

- Zrób to – polecił Kolea.

Szeregowiec Cuu przebiegł zwinnie po dachu i zajrzał do następnego w rzędzie lufcika. Z nowej pozycji dostrzegł wyraźnie Infardi trzymającego miotacz płomieni, kryjącego się z parą innych strzelców przy wejściu do niewielkiego biura.

Cuu wyczuwał charakterystyczny zapach promethium.

Otwierając ogień z dystansu trzydziestu metrów przestrzelił czaszkę operatora miotacza, a potem zabił dwóch podrywających w górę głowy strzelców.

- Teren czysty ! – zameldował z zadowoleniem i schylił się w głąb lufcika.

- Kto tam ? – z biura dobiegł czyjś chrapliwy głos.

- To pan, pułkowniku ?

- Kto tam ? Lillo ?

- Nie, Cuu.

- Teren zabezpieczony ?

- Pewnie, że pewnie.

Corbec wykuśtykał z biura ściskając karabin i rozglądając się czujnie na boki.

- Gak, ale cię poturbowali, Tanithijczyku – uśmiechnął się Cuu, po czym włączył komunikator.

- Znalazłem pułkownika Corbeca. Co wygrałem ?

a

- Na czas powrotu do punktu opatrunkowego to powinno wystarczyć – oświadczył Dorden zakładając na ramię Corbeca ostatnią opaskę uciskową – Możesz zapomnieć o dalszym

udziale w tej wojnie, mój drogi pułkowniku. Nie wypuszczę cię ze szpitalnego łóżka przez przynajmniej dwa tygodnia.

Zmęczony i obolały, Corbec pokiwał jedynie głową. Dowódca regimentu i główny oficer medyczny siedzieli na skrzynkach pośrodku garażu podczas gdy reszta grupy zabezpieczała obiekt. Cuu i Wheln sprawdzali ciała zabitych.

- Znaleźliście Sina ? – zapytał Corbec.

Kolea pokręcił przecząco głową.

- Naliczyliśmy dwadzieścia dwa trupy. Żadnego śladu po Ojcu, zwłoki nie pasują do podanego przez ciebie opisu.

Dobiegający z zewnątrz łoskot gąsienic i huk wystrzałów przybrał na sile.

- Co takiego Gaunt zamierzał osiągnąć puszczając piechotę przodem pod lufami pancernego szturmowego ? – spytał Colm.

Kolea nic nie odrzekł, Rafflan odwrócił głowę w bok wyraźnie zakłopotany.

- Sierzancie ?

- To nieoficjalna operacja – oświadczył Dorden wyręczając Koleę – Szukaliśmy cię.

- Wbrew rozkazom ? – pokręcił głową Corbec.

- Pardusyci równają Stare Miasto z ziemią. Zaczął się szturm na Cytadelę. Komisarz nakazał wycofać się ze starówki wszystkim jednostkom piechoty.

- A wyście zostali, żeby mnie szukać ? Feth ! Kolea, to był twój pomysł ?!

- Nasz wspólny – oświadczył Dorden.

- Myślałem, że ty masz więcej rozumu w głowie, doktorze – burknął Corbec – Pomóż mi wstać.

Dorden wsparł Corbeca ramieniem, pomógł mu podnieść się ze skrzynki i podejść do wrót garażu. Pułkownik ogarnął wzrokiem ogniste piekło pożerające znajdujące się w dole wzniesienia budynku starówki.

- Jeśli tu zostaniemy, zginiemy – stwierdził niepotrzebnie.

- Racja – skwitował Mkvenner – Myślę, że możemy wykorzystać drugą ciężarówkę.

Wjedźmy nią na wzgórze.

- Tam jest terytorium Infardich ! - zaprotestował Garond.

- Owszem, lecz mimo to wyżej oceniam nasze szanse, jeśli udamy się w tamtym kierunku. Zresztą myślę, że rebelianci znajdują się teraz w dość panicznym odwrocie.

- O co chodzi, pułkowniku ? - zapytał Dorden dostrzegając grymas na twarzy Corbeca.

- Ojciec Sin – oświadczył oficer – Nie rozumiem tego. Byliśmy przekonani, że siedzi cały czas w Cytadeli. Co robił w Starym Mieście ?

- Kierował swymi ludźmi z pierwszej linii, tak jak Gaunt ?

Corbec pokręcił przecząco głową.

- Nie, tu chodziło o coś innego. Prawie mi to powiedział.

Haller wsiadł do kabiny ciężarówki i uruchomił jej silnik. Stojący na pace Harjeon podważył bagnetem wieko jednej ze skrzynek, zajrzał do środka.

- A to co ? - zawołał machając ręką w stronę towarzyszy.

Skrzynia pełna była modlitewników, ikon, statuetek świętych, relikwiarzy. Otwierając pozostałe załadowane na ciężarówkę pudła żołnierze odkryli, że są one pełne sakralnych artefaktów.

- Skąd to wszystko pochodzi ? - zapytał Rafflan.

Kolea wzruszył ramionami.

- Z ołtarzy Cytadeli. Najpewniej wszystkie je obrabowali doszczętnie – oświadczył Corbec zaglądając do najbliższej skrzyni.

- Ale dlaczego ? Po co im to ? Czemu tego po prostu nie rozwalili albo spalili ? Przecież dla nich to żadna świętość, prawda ?

- Później o tym pomyślimy.

Duchy usadowiły się na pace ciężarówki – z wyjątkiem Whelna, który usiadł ze strzelbą w rękach w kabinie kierowcy, obok prowadzącego wóz Hallera.

Samochód wyjechał z garażu, ominął ostrożnie ciężarówkę wbitą w przeciwległy do wrót mur, a potem przyspieszył kierując się w stronę szczytu wzniesienia.

a

Tuż po godzinie osiemnastej czasu lokalnego brygada brewiańskich żołnierzy pod komendą majora Szabo weszła do Cytadeli nie napotykając żadnego oporu ze strony heretyków. Pancerny walec Pardusytów złamał linię obrony wroga w Doctrinopolis. Szesnaście kilometrów kwadratowych Starego Miasta stało w ogniu, odarte z wszelkiego życia. Oddziały rozpoznawcze uznały, że niedobitki Infardich opuściły pośpiesznie miasto kierując się na północ, w pobliskie deszczowe lasy.

Zwycięstwo, pomyślał Gaunt wsłuchując się w składane regularnie meldunki Szabo. Lojaliści zdobyli Doctrinopolis, przepędzili nieprzyjaciela. Tu i ówdzie okopały się co prawda resztki rebeliantów i uliczne walki w pozostałych dzielnicach wciąż jeszcze trwały, a wyłapanie wszystkich zdrajców ukrywających się w lasach mogło potrwać kilka miesięcy, ale nikt nie mógł zakwestionować imperialnego zwycięstwa. Lord generał Lugo miał powody do radości. A przynajmniej zadowolenia. Za kilkadziesiąt minut ludzie majora Szabo wciągną imperialny sztandar na szczycie Cytadeli i Hagia znów znajdzie się pod władzą Terry. Stanie się kolejnym wyzwolonym z jarzma Nieprzyjaciela światem.

Gaunt wysiadł z centrum dowodzenia i zaczął spacerować wzdłuż wąskiej ulicy. Czuł się dziwnie zawiedziony, niewiele satysfakcji przyniosła mu ta kampania. Jego ludzie wykazali się rzeczą jasną profesjonalizmem i z przyjemnością obserwował postępującą integrację pomiędzy rodzimymi Tanithijczykami i Verghastytami.

Przygnębienie pułkownikakomisarza budził sposób, w jaki zwycięstwo zostało osiągnięte. Być może kosztowałyby to więcej czasu i ludzi, ale bez aa ustawicznych nacisków Lugo Gaunt zdołałby przejąć Stare Miasto bez wyrządzenia poważnych szkód. Pardusyci byli profesjonalistami w każdym calu i bez kłopotu zlikwidowali ukrytych na starówce heretyków, ale w wyniku ich działania niepotrzebnie ucierpiało miasto.

Duch stał przez dłuższą chwilę pośrodku placu modlitewnego, wsłuchując się w łopot targanych wiatrem proporczyków. Kamienne płyty placu pokrywała cienka warstwa rozkruszonego szkła, pochodzącego z okien rozbitej czołgowymi pociskami świątyni sąsiadującej z dziedzińcem.

To był błogosławiony świat, macierzysta planeta świętej Sabbat. Gdyby Gauntowi dano szansę, odzyskałby go w prawie nienaruszonym stanie, właśnie po to, by uhonorować w ten sposób patronkę krucjaty.

Ciemniejące wraz z nadchodzącym zmierzchem niebo pełne było dymów i swądu spalenizny. Z powodu żądzy tryumfu Lugo imperialni żołnierze zrównali z ziemią jedną trzecią najświętszego miasta w tym sektorze. Świadomość tego budziła nieustanną frustrację Gaunta. Gdyby tylko dostał wolną rękę, przejąłby Doctrinopolis, a nie prawie doszczętnie je zniszczył.

Macaroth musi się o tym dowiedzieć.

Mężczyzna wszedł do zrujnowanej świątyni, zdjął czapkę zbliżając się do ołtarza. Pod podeszwami jego butów zgrzytały kawałki szkła pochodzącego z roztrzaskanych witraży. Ukłękął przed ołtarzem.

Męczeństwo Sabbat.

Podniósł głowę rozglądając się szybko wokół. Mógłby przysiąc, że szept rozległ się tuż nad jego prawym uchem.

Nikogo nie dostrzegł.

Owoc wyobraźni...

Przyklęknął ponownie chcąc odmówić modlitwę, okazać skruchę za zniszczenia poczynione w trakcie wypędzania ze stolicy niewiernych. Jego serce trawił też żal na myśl o śmierci Corbeca i decyzji, którą musiał podjąć zakazując poszukiwań pułkownika.

Spierschnięte usta oficera nie potrafiły sformułować żadnych słów. Spróbował się rozluźnić, przypomnieć sobie religijne litanie wyuczone na pamięć w Schola Progenium na Ignatiusie Cardinal.

Nie potrafił przywołać z pamięci nawet najbardziej elementarnych wyznań wiary.

Oczyścił gardło krótkim chrząknięciem. Wiatr zawodził cienko wpadając do świątyni przez wybite okna.

Gaunt skłonił ponownie głowę i...

Męczeństwo Sabbath.

Znów ten szept, tuż po prawej. Zerwał się na równe nogi wyszarpując z kabury boltowy pistolet i wyciągając broń na całą długość ramienia.

- Kto tu jest ?! Wyłaż ! Pokaż się !

Żadnego poruszenia. Gaunt omiótł lufą pomieszczenie, spojrzął w lewo, w prawo, znów w lewo. Powolnym ruchem wsunął pistolet do kabury, odwrócił się w stronę ołtarza padając na kolana. Odetchnął głęboko próbując odmówić raz jeszcze modlitwę.

- Sir ! Sir !

Radiooperator Beltayn biegł nawą świątyni, jego ciężki nadajnik obijał się o ramię i udo mężczyzny, stukał z łoskotem w krawędzie drewnianych ławek.

- Sir !

- Co się stało, Beltayn ?

- Musi pan tego posłuchać ! Coś niezwykłego !

Coś niezwykłego. Ulubiony zwrot Beltayna, niezmiennie stosowane do podkreślenia wagi jakiegoś zdarzenia. Zielonoskórzy najeźdźcy zabili wszystkich, sir. Coś niezwykłego... Coś niezwykłego się dzieje od chwili, kiedy na wierzch wylazły te genokrady, sir !

- Czego ?

Beltayn rzucił dowódcy swoje słuchawki.

- Proszę posłuchać !

a

Brevianie majora Szabo weszli do Cytadeli z gotową do strzału bronią, w luźnym szyku, przygotowani na nagłą konfrontację. Świątynny kompleks był nienaturalnie cichy, ściany z różowej skały lśniły w promieniach zachodzącego słońca. Kiedy żołnierze znaleźli się w cieniu rzucanym przez strzeliste mury Cytadeli, Szabo poczuł lodowaty dreszcz, przywodzący mu na myśl upiorne mrozy panujące w zimowym sezonie na Aex XI.

Gwardziści rozmawiali i żartowali podchodząc do Cytadeli, teraz jednak ich głosy umilkły całkowicie, jakby pochłonięte majestatyczną ciszą starożytnych grobowców i pustych świątyń.

Tutaj nikogo nie było, uświadomił sobie z niepokojem Szabo. Żadnych kapłanów, żadnych Infardich. Nigdzie nie widać było ciał ani nawet śladów dewastacji.

Major wykonał kilka gestów dłonią nakazując rozproszyć szyk. Poszczególne drużyny ruszyły bocznymi kolumnadami biegnącymi równolegle do aa głównej steli kompleksu, musztardowe mundury żołnierze przemieszczały się pomiędzy wysokimi filarami.

Szabo włączył swój komunikator.

- Mówi Brevia Jeden. W Cytadeli zero oporu. Cholernie tutaj cicho.

Oficer rozejrzał się wokół, a potem przywołał do siebie sierżanta Vulle i nakazał mu zabrać dwudziestu żołnierzy do Kaplicy Mściwego Serca. Sam wszedł do pobliskiego budynku będącego kwaterą chórów Eklezjarchii. Stając w portyku zauważył pustą komnatę w miejscu, gdzie powinna znajdować się domowa kaplica.

Komunikator pisnął, zgłosił się zabezpieczający Kaplicę Mściwego Serca Vulle. Zniknął każdy relikwiarz, każda ikona, każdy modlitewnik, świecznik i święta statuetka. Przeczesujący pomniejsze świątynie i kaplice żołnierze kolejno zgłaszali te same spostrzeżenia. Ołtarze były puste, podobnie jak wotywny alkowy i tabernakula.

Szabo bardzo się cała ta sprawa nie spodobała. Jego ludzie byli nerwowi, żądni konfrontacji z niewiernymi. Wszyscy mieli nadzieję, że wchodzą do ostatniej kryjówki Ojca Sina, uderzają na jego ostatnią rubież.

Ciszę przerywał jedynie posępny szum wiatru, odgłosy kroków Brevian i radiowe trzaski ich komunikatorów.

Szabo wszedł w towarzystwie ośmiu żołnierzy do głównej świątyni – Tempelum Infarfarid Sabbat – imponującej budowli wystrzeliwującej na trzysta metrów ponad zewnętrzne mury Cytadeli. Tutejszy ołtarz również był ogołocony z wszystkiego, nie ostał się ani jeden kandelabr, kadzidło, tryptyk czy emblemat Imperialnego Orła.

W powietrzu unosił się dziwny zapach, przypominający smażony olej.

Wargi majora zwilgotniały nieoczekiwanie. Obliznął je i poczuł na języku metaliczny posmak.

- Sir, pański nos... - wykrztusił stojący obok zwiadowca.

Szabo wytarł machinalnie nos i ujrzał na palcach dłoni krew. Rozglądając się wokół spostrzegł strumyczki krwi ciekącej z nosów i uszu pozostałych żołnierzy. Ktoś zaczął pochlipywać niezrozumiale. Szeregowiec Emith runął z łoskotem na twarz. Martwy.

- Boże Imperatorze ! - krzyknął z grozą Szabo. Drugi Brevianin upadł na wypolerowaną posadzkę świątyni, krew wyciekała wszystkimi otworami w jego głowie.

- Radio ! - wrzasnął Szabo podnosząc jednocześnie rękę. Dziwny zapach przybrał na sile, stał się po tysiącokrotnie intensywniejszy. Czas rozciągnął się nienaturalnie, zwolnił swój bieg. Major nie potrafił oderwać wzroku od swej ręki, przesuwał się w górę ciała. Przesuwającej się w upiornie powolnym tempie ! Powietrze namacalnie wręcz zgęstniało, ludzie poruszali się w nim konwulsyjnie niczym owady pochwycone w żywicę. Niektórzy leżeli z rozrzuconymi rękami, inni klęczeli. Perfekcyjnie owalne, lśniące czerwienią krople krwi wydawały się zastygać w powietrzu, zawisać w nim nie opadając na posadzkę.

Coś było za to odpowiedzialne; coś, co czekało w świątyni. Nieprzyjaciel obrabował Cytadelę z wszystkich świętych relikwii, z wszystkich pobłogosławionych amuletów chroniących przed złem. W zamian pozostawił coś innego.

Coś potwornego.

- Pułapka ! Pułapka ! - wykrzyczał do mikrofonu Szabo. Jego usta pełne były krwi – Coś uruchomiliśmy wchodząc do świątyni. Nie...

Poraziła go fala konwulsji. Wypuścił z dłoni nadajnik i zwymiotował na błyszczącej posadzkę Tempelum Infarfarid Sabbat.

- Och, święty Imperatorze – wycharczał sparaliżowany przerażeniem. W jego zwymiotowanej krwi wiły się robaki.

Czas wstrzymał całkowicie swój bieg. Nad Doctrinopolis zapadła przedwczesna noc.

W blasku niebieskiego światła, niczym rozkładający przezroczyste płatki kwiat o średnicy kilometra, Cytadela eksplodowała bezgłośnie.

„Z tej wysokiej skały, z tego jasnego szczytu, jaśnieje blask wiary tak żarliwej, że sam Imperator na swym Złotym Tronie może go bez trudu dojrzeć” – inskrypcja wyryta nad głównym ołtarzem Tempelum Infarfarid Sabbat.

Cytadela płonęła przez wiele dni. Świątynny kompleks stał w ogniu, który nie miał płomieni – przynajmniej tych znanych ludzkiemu gatunkowi. Niebieskie i zielone języki nadnaturalnej energii wystrzeliwały na kilka kilometrów w niebo niczym cząstka przykutej do ziemi zorzy polarnej. Poruszały się w rytm uderzeń wiatru, rzucając głębokie cienie w dzień i iluminując otoczenie w nocy. U ich źródła barwy lazuru i zieleni zlewały się w oślepiający biały żar, który trawił nieubłaganie świątynie i habitaty Cytadeli. Gorąco buchające od strony piekielnego fenomenu odczuwano w promieniu pół kilometra.

Nikt nie ważył się podejść bliżej Cytadeli. Kilka drużyn zwiadowczych, które przekroczyły tę umową granicę zostało porażonych potwornymi zawrotami głowy, nudnościami lub paralizującym lękiem. Obserwacje prowadzone za pośrednictwem stacjonarnych teleskopów i wojskowych lunet ujawniły, że kamienne podłoże wzgórza ulegało ustawicznemu topieniu i deformacjom kształtu. Skały bulgotały niczym gorąca woda. Jeden z obserwatorów postradał rozum, krzycząc przeraźliwie, że dostrzegł zniekształcone ludzkie twarze wychylające się spod powierzchni płynnej skały.

Wieczorem pierwszego dnia grupa ayatani oraz wojskowych kleryków wzniosła połowe świątynie wokół Cytadeli rozpoczynając religijne ceremonie błagalne i pokutne. W całym Doctrinopolis panował nastrój pełnej rozpaczki porażki. Klęska osiągnęła niewyobrażalną skalę, jeszcze gorszą od splądrowania świętego miasta przez heretyków. To była bluźniercza desekracja w swej najbardziej odrażającej formie – najmroczniejszy z diabelskich omenów.

Gaunt zamknął się w sobie. Jego nastrój nie skłaniał do konwersacji i nawet najbardziej zaufani Tanithijczycy nie potrafili się zmusić do zakłócania spokoju dowódcy. Pułkownikkomisarz nie opuszczał przydzielonej mu kwatery w jednym ze skrzydeł Uniwersytetu, rozmyślając i analizując opisujące nieudaną kampanię raporty. Bardzo źle sypiał.

Nawet wieści o odnalezieniu Corbeca - rannego, ale żywego – w żaden sposób nie poprawiły nastroju tanithijskiego dowódcy. Wielu żołnierzy zaczęło przebąkiwać, że gniewna frustracja Gaunta sięgnęła stanu, w którym mógł postawić przed plutonem egzekucyjnym całą drużynę Kolei tylko dlatego, że jej członkowie nie wykonali otrzymanych wcześniej rozkazów.

Ayatani przeprowadzili kilka mszy dziękczynnych za odzyskanie sakralnych przedmiotów i ikon przywiezionych na ciężarówce porwanej przez ludzi Kolei. Był to żałośnie skromny gest w obliczu zagłady Cytadeli. Konsekrowane ponownie relikwie złożono w Bazylice Macharius Hagio na obrzeżach Starego Miasta.

Ocaleli z katastrofy Brevianie - gwardziści w sile dwóch brygad, którzy nie weszli do Cytadeli wraz z majorem Szabo – rozpoczęli ceremonialną żałobę połączoną z postem i aktami samoumartwienia. Nazajutrz po tragicznej śmierci tak wielu ich towarzyszy na stołecznych błoniach odprawiona została msza żałobna w intencji ofiar, podczas której odczytano apel poległych. Gaunt uczestniczył w nabożeństwie, lecz nie zamienił z nikim ani słowa. Salut oddały czołgowe działa Pardusytów.

O poranku czwartego dnia Brin Milo przeszedł poprzez Plac Niebiańskiego Spokoju i wspiął się z pełnym niepokoju dreszczem po schodach południowego wejścia Uniwersytetu. Tanithijscy wartownicy przepuścili go bez słowa. Młody żołnierz przemierzał długie korytarze i sale, gdzie grupy milczących esholi próbowały rekonstruować zniszczone przez heretyków księgi, zwoje i manuskrypty. Dałby głowę, że zauważył Sanian, pieczołowicie gromadzącą skrawki papieru wymieszane z kawałkami rozbitych szyb, ale dziewczyna nie odwzajemniła jego pozdrowienia. A może to nie była ona? W końcu wszystkie dziewczęta

należące do kręgu esholi nosiły białe szaty i ścinały do skóry włosy, co niezwykle je do siebie upodabniało.

Skręcił na półpiętrze klatki schodowej, wspiął się po wąskich kamiennych stopniach na wąski korytarzyk udekorowany portretami dawnych rektorów uczelni i zakończony parą ciężkich drewnianych drzwi.

Odetchnął głęboko, wygładził materiał munduru i zapukał w drzwi.

Szeregowiec Caffran wpuścił go do środka.

- Hej, Caff.
- Brin.
- Jak z nim ?
- Diabli wiedzą.

Milo rozejrzał się wokół. Trafił do niewielkiego przedpokoju, którego jedynym meblowaniem okazały się dwa polowe łóżka wstawione pod jedno a z okien oraz niewielki stolik o blacie zawalonym brudnymi talerzami, paczkami proteinowych batonów, puszkami konserw i butelkami miejscowego wina. Sierżant Soric, trzymający wraz z Caffranem wartę w kwaterach pułkownikakomisarza, siedział na skrzynce amunicyjnej układając pasjansa. Widząc gościa podniósł głowę i posłał mu swój uśmiech, charakterystyczny dzięki przekrzywieniu w bok twarzy – Soric nie miał jednego oka.

- U starego nic się nie zmieniło – oświadczył krótko sierżant.

Milo nie zdołał jak dotąd rozpracować Verghastyty. Niski mężczyzna o klatce podobnej do beczki, Agun Soric był niegdyś kierownikiem zmiany w vervuńskiej hucie, później zaś jednym z przywódców kompanii ochotniczych. Chociaż nie imponował wzrostem, roztaczał wokół siebie aurę fizycznej siły wypracowanej latami młodości spędzonymi w metropolitalnych zakładach przemysłowych. I był zarazem w dość podeszłym wieku, starszy od Corbeca, starszy być może nawet od doktora Dordena, który zaliczał się do grona najstarszych Tanithijczyków. Miał podobny charakter i usposobienie, co Corbec, lecz w przeciwieństwie do pułkownika miewał tendencje do szybszego wpadania w gniew. Stracił jedno oko w Vervunhive, ale odmówił przyjęcia optycznego implantu czy nawet klapki z syntetycznej skóry, dumnie obnosząc się z oznaczonym szramami pustym oczodołem. Milo wiedział, że verghastyckie Duchy szanowały sierżanta z całego serca, być może nawet silniej od powszechnie lubianego Gola Kolei, lecz być może właśnie dlatego Soric wciąż pozostawał Verghastytą. Zrobiłby wszystko dla swoich ludzi, ale w stosunku do rodzimych Tanithijczyków nie okazywał już tak wylewnej serdeczności. Dla Brina był jednym z tych nielicznych Verghastytów i Tanithijczyków, którzy po Akcie Konsolidacji zdecydowani byli raczej pogłębiać rozłam pomiędzy przedstawicielami obu narodowości niż zacieśniać więzy.

- Muszę się z nim zobaczyć – oświadczył gwardzista. Miał zamiar dodać, że to pieprzony major Rawne zwałił mu na głowę ten obowiązek, bo pan pieprzony major sam nie przejawiał jakoś ochoty do rozmowy z dowódcą, ale zaraz ugryzł się w język.

- Czuj się naszym gościem – wyszczerzył zęby Soric, wskazując jednocześnie dłonią drzwi prowadzące do sypialni Gaunta.

Milo przeniósł wzrok na Caffrana, ten jednak tylko wzruszył ramionami.

- Nie pozwala nam wejść do środka z wyjątkiem pór na posiłki, a zresztą nie zjadł dotąd nawet połowy z tego, co mu przygotowaliśmy. Dużo za to pije – Duch wskazał dłonią stertę pustych butelek po winie.

Zmieszanie Mila jeszcze wzrosło. Nie cieszyła go perspektywa niepokojenia pułkownikakomisarza, kiedy ten znajdował się w tak paskudnym nastroju. Nikt przy zdrowych zmysłach nie narzucałby się z towarzystwem rozgniewanemu komisarzowi. Lecz oprócz obaw Milo czuł też troskę. Gaunt nigdy nie nadużywał alkoholu. Zawsze był pewien siebie i twardo bronił swego zdania. Podobnie jak wszyscy inni komisarze wydawał się zrodzony do tego, by swą postawą inspirować żołnierzy.

Brin wiedział, że wydarzenia na Hagii potoczyły się w katastrofalny sposób, lecz teraz zaczął się lękać, czy aby nie nadszarpnęły przy okazji psychiki pułkownikakomisarza.

- Zapukacie czy mam po prostu... - zaczął Milo wskazując drzwi. Caffran machnął ręką, a Soric podniósł wzrok znad kart kręcąc przecząco głową.

- Serdeczne dzięki – westchnął szeregowiec podchodząc do drzwi.

a

Sypialnia Gaunta była pogrążona w mroku. Zaciągnięte szczelnie zasłony blokowały dostęp promieniom słońca, a w powietrzu unosił się nieprzyjemny odór. Milo wszedł z wahaniem do środka.

- Pułkownikukomisarzu ?

Żadnej odpowiedzi. Żołnierz postąpił kilka kroków do przodu, próbując przyzwyczać swój wzrok do ciemności. Uderzył niechcący półkę na książki i regał runął z trzaskiem na podłogę.

- Kto tu jest ? Kto, do cholery ?

Gniew w głosie Gaunta dosłownie sparaliżował Brina. Komisarz wychynął z ciemności, nieogolony i na wpół rozebrany, z dzikim wzrokiem. Jego oczy były przekrwione.

Ściskany w dłoni boltowy pistolet mierzył w głowę gwardzisty.

- Feth ! To ja, sir ! Milo !

Gaunt wpatrywał się w niego przez dłuższą chwilę jakby nie poznawał gościa, potem odwrócił się i rzucił pistolet na najbliższe krzesło. Miał na sobie tylko skarpety i spodnie, nie zapięty pas wisiał mu luźno na biodrach. Milo spostrzegł poszarpaną ranę na brzuchu komisarza, pozostałość po ciosie zadany ręką Derciusa na Kheddzie 1173.

- Obudziłeś mnie – warknął Gaunt.

- Przepraszam.

Pułkownikkomisarz zapalił niezręcznymi palcami olejną lampę, usiadł na kanapie i zaczął wertować stronicę grubej, oprawionej w skórę książki. Nie odrywając wzroku od tekstu wyciągnął rękę w stronę tkwiącego na stoaa

liku obok naczynia, upił haust wina i odłożył kubek z powrotem.

Milo postąpił kilka kroków do przodu. Na podłodze przy kanapie piętrzyła się sterta nie przeczytanych wojskowych raportów. Kilka formularzy położonych na samym wierzchu stosu zostało podartych na długie pasy wystające teraz spomiędzy kartek książki w charakterze zakładek.

- Sir ?

- Czego ?

- Przysyła mnie major Rawne, sir. Lord generał jest już w drodze. Musi się pan przygotować na spotkanie.

- Jestem przygotowany – Gaunt pociągnął następny łyk wina, nie odrywając przy tym oczu od studiowanego tekstu.

- Nie, nie jest pan. Potrzebuje pan kąpieli. Takiej porządnej. Wygląda pan gówniano.

W pokoju zapadła nieprzenikniona cisza. Palce Gaunta przestały przerzucać stronicę książki. Milo zeszywniał przestraszony własną bezczelnością, przygotował się na unik przed mogącym nadlecieć butem.

- Wiesz, tutaj nie ma żadnych odpowiedzi.

- Słucham, sir ? - odezwał się Milo, dopiero poniewczasie pojmując, że jego dowódca ma na myśli trzymany w rękach tom.

- Tutaj. W kazaniach świętej Sabbat. Byłem pewien, że właśnie tutaj znajdę odpowiedź. Przeczytałem tę książkę raz jeszcze zdanie po zdaniu. Nic nie znalazłem.

- Jakiej odpowiedzi pan szuka ?
- Takiej – Gaunt wskazał dłonią siebie samego – Wyjaśnienia tej monstrualnej... katastrofy – sięgnął kolejny raz po kubek, ale tylko strącił go na podłogę rozlewając zawartość.
- Feth. Daj mi inny.
- Inny ?
- Tam patrz, tam ! - sarknął zniecierpliwiony Gaunt wskazując regał, na którym stał rząd butelek i brudnych szklanek.
- Nie sądzę, by kolejny kieliszek był dobrym pomysłem. Lord generał niedługo wyląduje.
- Dlatego właśnie muszę pić. Jeśli będę trzeźwy, nie zdzierzę ani minuty w towarzystwie tej wstrętnej kreatury.
- Nadal uważam...
- Odwal się, tanithijski smarkaczu ! - syknął jadowicie Gaunt podnosząc się z kanapy. Cisnął książką w swego byłego adiutanta i sam podszedł do regału z alkoholem.
- Milo pochwyił książkę w locie.
- Jak jesteś taki mądry, sam ją przestuduj – dodał pułkownikkomisarz przeglądając butelki w poszukiwaniu pełnej.
- Milo otworzył tomiszczę spoglądając na zaznaczone przez Gaunta fragmenty, podkreślone piórem lub ołówkiem.
- Klęska jest krokiem ku wygranej. Uczyn ten krok z pewnością serca albo nigdy już się nie podźwigniesz.
- Gaunt odwrócił się gwałtownie rozchlapując zawartość dopiero co napełnionej szklanki.
- Który to rozdział, hę ?
- Żaden. Zacytowałem jedną z pańskich maksym wygłaszanych żołnierzom.
- Tym razem Gaunt cisnął w Milo szklanką. Chłopak uchylił się przed pociskiem bez trudu.
- Feth ! Zawsze byłeś bystrym sukinsynem !
- Milo rzucił księgę na oparcie kanapy.
- Lord generał już leci, będzie tutaj w południe. Major Rawne życzył sobie, abym pana o tym poinformował. Jeśli to wszystko, proszę o pozwolenie na odejście.
- Udzielam pozwolenia. Wynoś się stąd.

a

- I co powiedział ? Co z nim ? - zapytał Caffran, kiedy Milo wyszedł z prywatnych kwater dowódcy zamykając za sobą drzwi.
- Brin nic nie odrzekł, pokręcił tylko głową i wyszedł zrujnowanymi korytarzami Uniwersytetu w blask słonecznych promieni.

a

- Dziesięć minut przed południem nad Doctrinopolis rozległ się narastający warkot silników. Pięć punktów pojawiło się nad południowozachodnim horyzontem, ale poświata rzucona przez płonąca Cytadelę zniekształcała obraz uniemożliwiając ocenę dystansu, który dzielił maszyny od centrum stolicy.
- Oto i on – oświadczył Feygor.
- Major Rawne skinął głową i wygładził przód swego munduru. Upewnił się, że wszystkie medale i baretki znajdują się na właściwych miejscach, a potem założył na głowę czapkę. Ostatni raz przyjrzał się sobie w lustrze. aaaa
- Pomimo siateczki znaczących je pęknięć musiał przyznać, że w każdym calu prezentuje się jak tymczasowy dowódca Pierwszego Tanithu.

Oderwał wzrok od lustra i wyszedł z porzuconego odzieżowego sklepiku, który służył mu w charakterze kwatery. Feygor gwizdnął znacząco i zrównał krok ze swym przełożonym idąc tuż za jego prawym bokiem.

- Uwaga, panienki, nadciąga pan major.
- Zamknij się.

Feygor nie zdołał ukryć uśmiechu.

- Wyglądasz naprawdę bosko.
- Zamknij się.

Pokonali zasłaną gruzem ulicę wchodząc na wielki plac stanowiący centrum letniego pałacu króla, wznoszącego się tuż nad brzegiem rzeki. Dziedziniec oczyszczono wcześniej z gruzu i śmieci przygotowując prowizoryczne lądowisko dla powietrznego transportu lorda generała. Na krawędziach placu stały na baczność cztery plutony Duchów, dwa Brevian i trzy Pardusytów, tworzące straż honorową. Za plecami żołnierzy tłoczyli się miejscowi dostojnicy i delegacje kleryków. Była też orkiestra wojskowa, jej połączane instrumenty lśniły w promieniach słońca.

Mundury gwardzistów były idealnie czyste, świeżo wyprasowane. Pułkownik Furst, major Kleopas i kapitan Herodas mieli na sobie galowe uniformy, z dopiętymi medalami.

Rawne i Feygor ruszyli przez dziedziniec w stronę grupy oficerów.

- Widziałem jak zakładałeś czapkę. Daszkciem do przodu, jak Gaunt.
- Zamknij się.

Feygor uśmiechnął się ponownie wzruszając nieznacznie ramionami.

- I spadaj na swoje miejsce – dodał Rawne. Ubrany w matowoczarny kombinezon Feygor przyspieszył kroku i dołączył do szeregu Duchów. Rawne stanął przy Pardusytach. Furst przywitał go skinięciem głowy, Herodas przesunął się nieco robiąc majorowi miejsce.

Orkiestra zaczęła grać stary hymn “Dzielni synowie Imperium, powstańcie i walczcie”. Rawne krzywił się za każdym razem, kiedy jego wyczulony słuch rejestrował delikatny fałsz w refrenie.

- Nie wiedziałem, że jest pan melomanem, majorze – zauważył cichym tonem Herodas.
- Wiem, co lubię – wycedził przez zaciśnięte zęby Rawne – W chwili obecnej mam ogromną ochotę wsadzić ten róg w tyłek faceta, który go tak niemiłosiernie molestuje.

Wszyscy oficerowie zachichotali starając się stłumić wybuch otwartego śmiechu.

Eskadra lorda generała zaczęła podchodzić do lądowania.

Cztery tworzące eskortę ornitoptery zawisły w powietrzu z ogłuszającym łomotem masywnych rotorów. Ich kadłuby pomalowane były na szaropopielaty kolor, upstrzony plamami zieleni. Rawne z uznaniem zlustrował wzrokiem lufy automatycznych działek sterujących z wieżyczek na nosach i ogonach maszyn.

Samolot lorda generała Lugo był wielką jednostką w kształcie delty, ze sferycznym kokpitem na dziobie. Kadłub nosił matowosrebrne barwy, na skrzydłach kontrastujące z pasami ostrej żółci i emblematami Imperialnego Orła.

Cień rzucany przez maszynę padł na twarze członków ekipy powitalnej. Samolot zatrzymał się w zawisie, jego masywne turbiny zaczęły zmieniać swą pozycję z poziomą do pionu. Pośród płomieni silników korekcyjnych pojazd rozpoczął podejście do lądowiska, wzbijając w powietrze tumany pyłu.

Wysunięte na czas podwozie uderzyło w płytę dziedzińca. Samolot odbił się od ziemi, zetknął się z nią ponownie i znieruchomiał. Skowyt turbin zaczął cichnąć. Spod brzucha maszyny wysunęła się długa rampa, na którą po kilkunastu sekundach wyszło siedem ludzkich postaci.

Pierwszy na ziemię zszedł lord generał Lugo – wysoki, kościsty mężczyzna w białym galowym uniformie, uginający się pod ciężarem odznaczeń. Tuż za jego plecami postępowali dwaj szturmowcy z ochrony sztabu generalnego krucjaty, okryci czarnoczerwonymi

pancerzami osobistymi i dzierżący odbezpieczone ciężkie lasery. Następna na trapie znalazła się wysoka kobieta w podeszłym wieku, bardzo szczupła, ubrana w czarny mundur z czerwonymi naszywkami imperialnego taktyka; dwaj ardeleańscy pułkownicy ubrani w błyszczące ceremonialne napierśniki i przepasani pomarańczowymi szarfami z satyny oraz krępy, silnie zbudowany mężczyzna w uniformie imperialnego komisarza.

Zgromadzeni na placu oficerowie podeszli do gości i zasalutowali. Lugo zmierzył ich podejrzliwie wzrokiem, szczególnie uważnie spoglądając na majora Rawne.

- Gdzie jest Gaunt ?
- On... sir... on...
- Jestem tutaj.

Ibram Gaunt wyszedł na środek dziedzińca ubrany w pełny galowy uniform. Milo westchnął z ulgą widząc, że dowódca Duchów wysunął się aaa spośród szeregów stojących na baczność żołnierzy. Ucieszył się w duchu zauważając ogoloną twarz pułkownikakomisarza i jego czysty ubiór. Być może ten niefortunny wybryk Gaunta w Uniwersytecie był jedynie pożałowania godnym wypadkiem spowodowanym nadmiarem alkoholu...

Gaunt oddał przybyszom salut, a potem przedstawił pokrótce towarzyszących mu oficerów. Orkiestra wciąż grała.

- To imperialny taktyk Blamire – oświadczył Lugo wskazując dłonią starszą kobietą. Blamire skinęła głową w geście chłodnego powitania. Miała szczupłą, pomaszczoną twarz; posiwiące włosy spinała w koński ogon.

- Przyleciałem tutaj z tego powodu – Lugo odwrócił się w stronę Cytadeli, niknącej za kurtyną niezemskiej zorzy.

- To diabelskie wynaturzenie, którego wszyscy żałujemy, lordzie generale – powiedział Gaunt.

- Wprowadź mnie w szczegóły, Gaunt. Chcę pełnego raportu.

- Zrobię to niezwłocznie, sir – pułkownikkomisarz poprowadził gości w kierunku czekających limuzyn i otaczających je Chimer eskorty.

Lugo pociągnął podejrzliwie nosem.

- Pił pan coś, Gaunt ?

- Tak, sir. Kubek mszalnego wina w trakcie porannego nabożeństwa odprawionego przez lokalnych ayatani. Był to gest symboliczny, ale oczekiwano go od mnie.

- Rozumiem. Zresztą nie ma to znaczenia. Proszę mi opowiedzieć o wszystkim, co powinien wiedzieć.

- Od czego mam zacząć, sir ?

- Od chwili, w której ta prosta operacja przemieniła się w zaszrane po brzegi szambo.

a

- Rzecz jasna zdają sobie panowie fakt, że to sygnał ? - zapytała taktyczka Blamire opuszczając przyłożoną do twarzy lornetę.

- Sygnał ? - powtórzył pułkownik Furst.

- Tak. Potwierdzili ten fakt adepci Astropathicusu. Zjawisko to generuje niezwykle silny sygnał naprowadzający o galaktycznym zasięgu.

- W jakim celu ? - zapytał major Kleopas.

Blamire spojrzała na Pardusytę z cierpliwym uśmiechem na twarzy.

- W celu naszej całkowitej anihilacji.

Grupa oficerów stała na płaskim dachu królewskiego pałacu, otoczona kordonem pięćdziesięciu gwardzistów. Wotywnie flagi i proporce powiewały nad ich głowami łopocząc na wietrze.

- Nie nadażam za pani tokiem rozumowania – odezwał się ponownie Kleopas – Myślałem do tej pory, że mamy do czynienia z bluźnierczą pułapką nieprzyjaciela mającą obrzydzić nam świadomość zwycięstwa.

Blamire pokręciła przecząco głową.

- Niestety nie, przykro mi to mówić. Ten fenomen – wskazała dłonią kolorowe płomienie strzelające w niebo ponad Cytadelą Ten fenomen to uaktywniony instrument Osnowy. Odpowiednik astropatycznego sygnału wiodącego. Nie myślcie o nim w kategorii zwykłego ognia. To, co wydarzyło się tutaj cztery dni temu nie było eksplozją w konwencjonalnym tego słowa znaczeniu. Celem tego zjawiska nie było zniszczenie Cytadeli ani uśmiercenie tych nieszczęsnych Brevian, którzy tam weszli. Chodziło o uruchomienie psionicznego systemu naprowadzania.

- Dla kogo ? - zapytał Furst.

- Nie bądźmy naiwni – oświadczył cichym głosem Gaunt, spoglądając prosto w oczy Blamire – To przecież święty świat. Błogosławiony.

- Oczywiście. Heretycka magia odprawiona w trakcie rytuału aktywacji wymagała desekracji jednej z naszych świętyń.

- To dlatego usunęli z kompleksu wszystkie relikwie i ikony ?

- Tak. A potem wycofali się czekając, aż Brevianie wejdą w pułpkę składając się tym samym w krwawej ofierze. Ten wasz Ojciec Sin musiał to zaplanować dużo wcześniej, zapewne zaraz po tym, kiedy sobie uświadomił, że nie ma szans na powstrzymanie nas przed zajęciem miast.

- Czy to działa ? - zapytał Gaunt.

- Niestety tak.

Na dachu zapadła ciężka cisza, przerywana jedynie dźwiękiem targanego na wietrze materiału.

- Wykryliśmy silne zgrupowanie floty Nieprzyjaciela gromadzące się w Immaterium i zmierzające w naszą stronę – oświadczył po chwili milczenia lord generał Lugo.

- Tak szybko ? - Gaunt nie potrafił ukryć zdumienia.

- Ten sygnał okazał się najwyraźniej czymś, czego nie mogli zignorować lub odłożyć na potem.

- Ta flota... jak jest duża ? - w głosie Kleopasa pobrzmiwało zdenerwowanie – Z jakiej skali kontruderzeniem Nieprzyjaciela powinniśmy się liczyć ?

Blamire wzruszyła ramionami, złożyła dłonie razem w geście zakłopotania.

- Nawet jedna czwarta armady, którą wstępnie zidentyfikowaliśmy wystarczy do unicestwienia wszystkich imperialnych jednostek na powierzchni tej planety. Fakt ten nie podlega dyskusji.

- Zatem musimy natychmiast wzmocnić garnizon ! Marszałek Macaroth musi przerzucić na Hagię dodatkowe regimenty... - Lugo uciął słowa Gaunta krótkim ruchem dłoni.

- Takie rozwiązanie nie wchodzi w grę. Przeprowadziłem rozmowę z marszałkiem wojny, a on tylko potwierdził moje obawy. Inwazja na system Cabal rozpoczęła się na dobre, do uderzenia skierowano wszystkie dostępne korpusy. Prawie wszystkie są już w drodze na wyznaczone do przejęcia świąty forteczone. Zmiana celu tranzytu jest niemożliwa.

- Nie przyjmuję tego do wiadomości ! - Gaunt nie zdawał sobie sprawy, że zaczął krzyczeć – Macaroth doskonale zdaje sobie sprawę z religijnego znaczenia tego świata ! To macierzysta planeta świętej Sabbath ! Jeden z filarów imperialnej wiary ! Nie może go ot tak sobie skazać na zniszczenie !

- Pański sprzeciw jest daremny, pułkownikukomisarzu – oświadczył z przekąsem Lugo – Nawet gdyby marszałek wojny mógł pozwolić sobie na skierowanie do nas posiłków, a pragnę zapewnić, że takiej możliwości nie ma, najbliższy imperialny kontyngent o użytecznej

wielkości znajduje się o sześć tygodni tranzytu od Hagii. Flota Nieprzyjaciela będzie tutaj za dwadzieścia jeden dni.

Gaunt czuł jak bezradna wściekłość przesłania mu zdolność trzeźwego myślenia. Nadciągająca tragedia zbyt silnie kojarzyła mu się z Tanith i decyzją, którą musiał wtedy podjąć. Dla większego dobra krucjaty sztab skazał na unicestwienie kolejny imperialny świat.

- Otrzymałem od marszałka wojny stosowne rozkazy – ciągnął dalej Lugo – Nie podlegają one żadnej dyspucie. Mamy bezzwłocznie rozpocząć procedurę ewakuacyjną. Wszystkie osoby pracujące w instytucjach imperialnych, militarnych i cywilnych, a także przedstawiciele planetarnej arystokracji i duchowieństwa, mają bezzwzględnie opuścić Hagię. Zabierzemy ze sobą wszystkie relikwie, artefakty, zbiory muzealne i biblioteczne. Po pewnym czasie krucjata powróci z misją wyzwolenia Hagii i wtedy świątynie ponownie się odbuduje. Do tego czasu kapłani będą musieli strzec swego świętego dziedzictwa na wygnaniu.

- Oni tego nie zrobią – oświadczył z powątpiewaniem kapitan Herodas – Rozmawiałem już na tego rodzaju temat z miejscowymi. Ich relikwie są bezcenne, ale tylko w połączeniu z miejscem, w którym się je czci. Liczy się wyłącznie fakt, że spoczywają na macierzystym świecie świętej Sabbat.

- Nie damy im wyboru – sarknął Lugo – Nie ma czasu na łzawe sentymenty. Intensywny program ewakuacyjny rozpocznie się już dziś w nocy. Ostatni statek ma opuścić orbitę planety nie później niż za osiemnaście dni. Zarówno panowie jak i podlegli wam oficerowie wezmą aktywny udział w tej operacji. Wszelkie niedociągnięcia będą surowo karane. Odmowa podporządkowania się procedurom ewakuacji będzie zagrożona sankcjami do kary śmierci włącznie. Czy wszyscy tu obecni w pełni pojęli wagę moich słów ?

Zgromadzeni na dachu oficerowie wymamrotali cicho potwierdzenia.

- Jestem głodny – oświadczył nieoczekiwanie Lugo – Życzyłbym sobie zjeść obiad. Chodź ze mną, Gaunt. Wykorzystamy posiłek do omówienia szczególnej roli, jaką dla ciebie przygotowałem.

a

- Bądźmy szczerzy w tej kwestii, Gaunt – mruknął Lugo rozłupując jednocześnie dymiący pancerz biwalwa, wyłowionego kilka godzin wcześniej ze stawów hodowlanych położonych w dole rzeki – Twoja kariera dobiegła końca.

- Jakimi przesłankami się pan kieruje stawiając takie wnioski ? - zapytał beznamytnym tonem pułkownikkomisarz, upijając łyżeczek wina z karafki. Talerz pełen upieczonych ryb Ducha był ledwie napoczęty.

Lugo podniósł wzrok znad swego półmiska wlepiając wzrok w Gaunta. Obliznął usta z kawałeczków białego mięsa, przełknął je i wytarł wargi wyjętą z kieszonki chusteczką.

- Przyjmuję, iż to żart z pana strony ? - powiedział.

- Zabawne – odparł Gaunt – Ja byłem przekonany, że to pan żartuje.

Pułkownikkomisarz sięgnął ponownie po karafkę, ale widząc puste naczynie odwrócił się w drugą stronę szukając wzrokiem butelki.

Lugo włożył do ust kolejny kawałek mięsa, przegryzł go i połknął.

- To wszystko – wyciągnął rękę ogarniając jadalnię gestem, który miał zapewne objąć całe Doctrinopolis – To wyłącznie twoja porażka. Nigdy nie cieszyłeś się specjalną sympatią marszałka wojny, nawet po tych kilku spektakularnych sukcesach w zeszłych latach. Z upadku takiego jak ten już się nie podniesiesz – Lugo wrzucił na półmisek następnego biwalwa, otworzył go zręcznymi ruchami kleszczyków.

Gaunt wyprostował się błędząc wzrokiem po pomieszczeniu. Wiedział, że jeśli odpowie w tym momencie, rozpocznie konwersację, która bez wątpienia zaprowadzi go pod lufy plutonu egzekucyjnego. Lugo był trutniem, a zarazem i lordem generałem. Podniesienie na niego głosu nie było dobrym rozwiązaniem problemu. Gaunt zagryzł usta czekając, aż jego gniew nieco opadnie.

Obiad podano w wysoko sklepionej sali jadalnej królewskiego pałacu letniego. Z pomieszczenia usunięto wcześniej wszystkie meble pozostawiając wyłącznie obite tkaniną krzesła i długi, przykryty białym obrusem stół. Sześciu żołnierzy w mundurach ardeleańskiej Gwardii strzegło drzwi kontrolując wchodzących i wychodzących z sali lokajów.

Oprócz Lugo i Gaunta przy stole zasiadł komisarz, który przyleciał w towarzystwie lorda generała. Nazywał się Victor Hark i od chwili rozpoczęcia obiadu nie odezwał się ani słowem. Nie odezwał się zresztą ani razu od chwili opuszczenia samolotu. Był kilka lat młodszy od Gaunta, o silnie umięśnionej sylwetce, gęstych czarnych włosach i gładko ogolonej twarzy. Jego milczenie i uporczywe unikanie kontaktu wzrokowego wprawiało Gaunta w zmieszanie. Hark skończył już jeść swoją porcję ryb i wycierał talerz z sosu kawałkami chleba oderwanymi od stojących na środku stołu bochenków.

- Oskarża mnie pan o utratę Cytadeli ? - zapytał oschle Gaunt.

Lubo uniósł drwiąco brwi i odpowiedział pełnymi ustami.

- To ty jesteś głównodowodzącym tej operacji, nieprawdaż ?

- Tak, sir.

- Kogo innego mógłbym zatem oskarżyć ? Otrzymałeś rozkaz zajęcia Doctrinopolis i odzyskania w stanie nienaruszonym Cytadeli. Zawiodłeś. Cytadela jest zniszczona, a co gorsza, twoja porażka doprowadziła do nieuniknionego zniszczenia całego tego świata. Stracisz swój przydział i rangę, to już przesądzone. Myślę, że będziesz mógł mówić o szczęściu, jeśli w ogóle nie wylecisz z Gwardii.

- Cytadela uległa zniszczeniu z powodu pośpiechu, jaki nam narzucono w trakcie operacji – oświadczył Gaunt ostrożnie dobierając w myślach każde wypowiedziane słowo – Moja strategia działania była powolna i metodyczna. Miałem zamiar zdobyć całe miasto w taki sposób, by poczynić w nim możliwie jak najmniej szkód. Nie ja nalegałem, by zrównać Stare Miasto za pomocą czołgów.

- Czy aby... - Lugo urwał na moment, opłukał tłuste palce w miseczce różanej wody i wytarł je dokładnie w chusteczkę – Czy to aby nie sugestia, że to ja jestem winien tej katastrofy ?

- Stawiał pan żądania, lordzie generale. Chociaż realizowałem założenia harmonogramu z wyprzedzeniem, pan upierał się przy wersji opóźnienia. Zmusił mnie pan do porzucenia pierwotnej strategii i przyśpieszenia szturm. Mogłem zabezpieczyć Cytadelę w sposób kontrolowany i drobiazgowy, a to być może doprowadziłoby do wykrycia i zneutralizowania pułapki. Teraz już się tego nie dowiemy. Stawiał pan żądania i oto, dokąd nas one doprowadziły.

- Powiniennem cię kazać rozstrzelać za takie sugestie, Gaunt – zmarszczył czoło Lugo – Co o tym myślisz, Hark ? Powiniennem go rozstrzelać ?

Hark wzruszył tylko ramionami.

- To twoja porażka, Gaunt – wycedził Lugo – Historia zapamięta cię jako przegranego, już ja tego dopilnuję. Marszałek wojny zdążył już przysłać żądanie ukarania oficera lub oficerów winnych tej klęski. A jak wcześniej zauważyłem, trudno cię zaliczyć do grona faworytów Macarotha. Za dużo w tobie starego Slaydo.

Gaunt nic nie odpowiedział.

- Właściwie już teraz powinieneś zostać zdegradowany i zawieszony w czynnej służbie, ale ja jestem uczciwym człowiekiem, a obecny tutaj Hark zasugerował, że być może będziesz wykonywał swe obowiązki ze zdwojonym oddaniem sprawie, jeśli powierzmy ci misję oferującą coś na podobieństwo pokuty.

- To bardzo miłe z jego strony.
- Też tak sędzę. Wciąż pozostajesz utalentowanym żołnierzem. Czasy kariery oficerskiej dobiegły w twoim przypadku końca, ale dam ci szansę złagodzenia stopnia porażki zlecając misję, która powinna ładnie się prezentować w dossier. I myślę, że będzie to również dobry sygnał dla twoich żołnierzy. Pokażemy im w ten sposób, iż nawet w chwili swego nieuniknionego upadku żołnierz wciąż może oddać przysługę sprawie krucjaty.
- Czego pan ode mnie oczekuje ?
- Chcę, abyś objął komendę nad strażą honorową. Jak już wyjaśniłem, procedura ewakuacji obejmie wszystkich przedstawicieli lokalnego duchowieństwa, tych... jak im tam ?
- Ayatanich – Hark odezwał się po raz pierwszy od chwili lądowania.
- Właśnie. Odlecą stąd wszyscy ci ayatani i wszystkie ich sakralne skarby. Najcenniejszym z nich są szczątki samej świętej, złożone w kompleksie świątynnym w górach. Zorganizujesz ekspedycję, która tam pojedzie i wróci z powrotem do stolicy z kośćmi Sabbat, uroczyście i ze stosowną oprawą, w odpowiednim czasie, by zabrano je na pokład armady ewakuacyjnej.
- Gaunt skinął powoli głową uświadamiając sobie, że nie ma właściwie żadnego innego wyjścia i musi zaaprobować propozycję lorda generała.
- Do Świątyni droga daleka. Na równinach i w lasach grasują bandy Infardich, którzy uciekli ze stolicy.
- Możesz w drodze natrafić na tego rodzaju przeszkody, dlatego też pojedziesz tam ze znacznym kontyngentem. Zabierzesz pełny regiment tanithijski i dodatkowo dołożę ci kompanię pancerną Pardusytów w roli eskorty. No i Hark z tobą pojedzie, rzecz jasna.
- Gaunt odwrócił głowę spoglądając w stronę komisarza.
- Dlaczego ?
- Hark odpowiedział wzrokiem, po raz pierwszy spoglądając w oczy Ducha.
- Przez wzgląd na kwestie dyscyplinarne. Jesteś złamanym człowiekiem, Gaunt. Twoje kompetencje w dziedzinie sprawowania dowództwa są szeroko kwestionowane. Ta misja musi się zakończyć powodzeniem, a lord generał domaga się pełnej kontroli nad Tanithijskim Pierwszym.
- Potrafię dopilnować swych obowiązków.
- To dobrze. Ja zatem będę pełnił rolę obserwatora.
- To nie wchodzi...
- Hark uniósł kieliszek wina w pojednawczym geście.
- Twój nietypowy status oficerski zawsze wzbudzał kontrowersje, Gaunt. Pułkownik jest pułkownikiem, a komisarz komisarzem. Wiele osób zastanawiało się, w jaki sposób możesz pełnić efektywnie obie te role, skoro podstawowym zadaniem komisarza jest obserwacja i analiza działań dowódcy jednostki. W chwili obecnej sztab generalny krucjaty uznał za wskazane dołączenie do tanithijskiego regimentu oficera politycznego. W obliczu wydarzeń, jakie miały tu miejsce uznano to wręcz za konieczność.
- Gaunt odsunął krzesło z głośnym zgrzytem, wstał od stołu.
- Czemu nie zostaniesz ? - zapytał z niemiłym uśmiechem Lugo – Nie podano jeszcze głównego dania. Grilowane mięso z chelona w sosie z dodatkiem amasecu i ghee.
- Pułkownikkomisarz zasalutował zdając sobie sprawę, że nie ma najmniejszego sensu uwaga na temat braku ochoty do spędzenia choć minuty dłużej w towarzystwie obu mężczyzn.
- Proszę o wybaczenie, lordzie generale. Muszę przygotować skład straży honorowej.

Rozdział VI – Wyjazd

„Co mnie wyniosło w górę, sprowadzi mnie w dół. Co gnało mnie do przodu, zawróci mnie wstecz. Powrócę w góry Hagii, by tam zasnąć snem wiecznym” – powiedzenia św. Sabbat.

Straż honorowa opuściła Doctrinopolis następnego dnia o poranku, przekraczając świętą rzekę i wjeżdżając poprzez Bramę Pielgrzymów na biegnącą w zachodnim kierunku Drogę Tembarong.

Konwój liczył blisko trzy kilometry długości – pełny regiment tanithijski jadący na pakach pięćdziesięciu ośmiu ciężarówek; dwadzieścia pardusyckich czołgów; piętnaście amunicyjnych Chimer i cztery Hydry; dwa ciągniki siodłowe Trojan; osiem Salamander w wersji zwiadowczej i trzy w wersji dowódczej. Wzniecany przez pojazdy kurz zwracał uwagę w promieniu wielu kilometrów, podobnie zresztą jak zlewający się w jeden dźwięk ryk silników. Na czele oraz końcu kolumny jechało kilku motocyklistów, w środku konwoju toczyło się natomiast osiem wielkich ciężarówek z żywnością i zapasowymi częściami oraz dwie wielokołowe cysterny. Zapas paliwa miał wystarczyć do Bhavnageru, miasteczka położonego o dwadzieścia dni drogi od stolicy, wyposażonego we własne składy paliwowe.

Gaunt jechał w jednej z Salamander dowódczych w przedniej części kolumny. Z rozmysłem wsiadł do innego pojazdu niż komisarz Hark, który podróżował w towarzystwie pardusyckiego majora Kleopasa w jego Conquerorze. Stojący w odkrytym przedziale pasażerskim lekkiego transportera pułkownikkomisarz balansował nieznacznie ciałem kompensując w ten sposób podskoki Salamandry. Powietrze było ciepłe i słodkie, chociaż królowała w nim nuta spalin. Gaunt miał pod swymi rozkazami dwa i pół tysiąca żołnierzy oraz broń pancerną w sile półbrygady. Jeśli miała to być jego ostatnia akcja w charakterze dowódcy jednostki, chciał zapamiętać do końca życia każdy jej szczegół.

Potwornie bolała go głowa. Po powrocie do Uniwersytetu poprzedniej nocy pił tak długo, póki nie zasnął nad stertą raportów. Podniósł wzrok słysząc nagły ryk odrzutowych silników, spojrzał w niebieskie przestworza, na których wykwitły białe krechy linii kondensacyjnych. Przez pierwsze dwie godziny podróży konwój znajdował się pod skrzydłami Lightningów imperialnej marynarki.

Opuścił wzrok przesuwając spojrzenie wzdłuż kolumny pojazdów. Za kłębami wzbijanego przez koła i gąsienice pyłu wciąż jeszcze dostrzegał oddalający się szybko kształt Doctrinopolis, dachy budynków górujące ponad drzewami, falujące nieznacznie w gorącym powietrzu. Wciąż dostrzegał niezemskie płomienie migoczące w miejscu Cytadeli.

Los zmusił Gaunta do pozostawienia za sobą wielu wartościowych ludzi, rannych w szturmie na stolicę, wśród nich również Corbeca. Wszyscy oni mieli zostać ewakuowani za kilka dni w ramach procedury odwrotu z powierzchni Hagii. Pułkownikkomisarz już zaczynał tęsknić za swym zastępcą, nie potrafił się pogodzić z faktem, że jego ostatnia misja na czele Duchów miała odbyć się bez towarzystwa brodatego olbrzyma.

Cały czas zastanawiał się, jaki los spotka Duchy po tej akcji. Nie wyobrażał sobie działania jednostki pod rozkazami nowego dowódcy narzuconego z zewnątrz, a zarazem świadom był faktu, iż ani Corbec ani major Rawne nie mogli na taką promocję liczyć. Wraz z jego odejściem Duchy miały przestać istnieć. Przed regimentem nie było już żadnej przyszłości. Żołnierzy rozdzielili się po innych gwardyjskich jednostkach, najpewniej w charakterze specjalistów od rozpoznania – i Pierwszy Tanithijski ulegnie zagładzie.

Osobista porażka pułkownikkomisarza miała stać się zarazem przyczyną zguby jego ukochanego regimentu.

a

Siedząca w jednej z ciężarówek Tona Criid odwróciła głowę spoglądając w kierunku Doctrinopolis.

- Nic im nie będzie – powiedział miękko siedzący tuż obok Caffran.
- Tak myślisz ?
- Wiem o tym. Pracownicy Munitorium troszczyli się o nie do tej pory bez zastrzeżeń, prawda ?

Tona Criid nie odpowiedziała. W Vervunhive stała się przez przypadek matką dwójki osieroconych dzieci, które towarzyszyły teraz regimentowi w szeregach rosnącej cały czas armii cywilnych pomocników. Spora część tej grupy podróżowała wraz z konwojem – w głównej mierze kucharze, mechanicy i zbrojmistrze – większość jednak pozostała w mieście oczekując na ewakuację. Dzieci, żony, dziwki, muzycy, handlarze, rzemieślnicy: dla nich nie znaleziono miejsca w konwoju. Musieli opuścić Hagię na pokładach ewa promów ewakuacyjnych i liczyć na to, że połączą się z Pierwszym Tanithu w niedalekiej przyszłości.

Tona ujęła w palce zawieszony na szyi dwustronny medalion i spojrzała na holoportrety swoich przybranych synów. Yoncy i Dalin – niemowlę i mały, ale żywy jak srebro chłopczyk.

- Niedługo znów z nimi będziemy – powiedział Caffran, również często myślący o dzieciach. W rezultacie stosunków łączących młodego szeregowca z Toną Dalin często zwracał się do Ducha mianem Papy Caffa. Cała czwórka tworzyła związek przypominający normalną rodzinę tak dalece, jak tylko było to możliwe w strukturach Imperialnej Gwardii.

- Tak myślisz ? - szepnęła Tona.
- Stary Gaunt nie wpakowałby nas w kłopoty wiedząc, że nie ma z nich wyjścia.
- Ludzie mówią, że stary jest skończony – odezwał się siedzący opodal Larkin – My zresztą podobno też. Ta porażka go załamała, wykończyła. Zabiorą mu dowództwo, a nas rozrzucą po całej Gwardii, zobaczycie.
- Jesteśmy skończeni ? - chrząknął sierżant Kolea podnosząc się ze swego miejsca i idąc wzdłuż paki ciężarówki w stronę Larkina.
- Tak mówią ludzie – odparł obronnym tonem snajper.
- To zamknij się i poczekaj na oficjalny komunikat. Jesteśmy Pierwszym Tanithijskim i pozostaniemy razem aż do końca, jasne ?

Pytanie Kolei wywołało serię okrzyków aprobaty.

- Ejże, potraficie to chyba zrobić lepiej ? Wspomnijcie Tanith ! Wspomnijcie Vervunhive ! Tym razem wrzawa ludzkich głosów przybrała na sile.
- Co tam trzymasz, Criid ? - spytał Kolea pochylając się nad żołnierką. Dziewczyna pokazała mu swój medalion.
- Moje dzieci, sir.

Sierżant wpatrywał się w fotografię przez zadziwiająco długi czas.

- Twoje dzieci ? - zapytał w końcu.
- Zaadoptowałam je na Verghaście, sir. Ich rodzice zginęli.
- Dobra... dobra robota, Criid. Jak się nazywają ?
- Yoncy i Dalin, sir.

Kolea pokiwał głową i oddał żołnierce medalion. Wracając pod tylną klapę paki oparł się o balustradę i zaczął śledzić niewidzącym wzrokiem mijane zagajniki, porastające obrzeża irygacyjnych rowów.

- Coś się stało, sierżancie ? - zapytał szeregowiec Fenix dostrzegając dziwny wyraz twarzy Kolei.
- Nic, nic... - wymamrotał sierżant.

To były one, na zdjęciach w medalionie. Jego utracone, wielokrotnie oplakane dzieci, zabite rzekomo w ruinach Vervunhive. Pełne ironii przeznaczenie sprawiło, że przeżyły i znalazły się tak blisko swego prawdziwego ojca. Były wśród Duchów.

Wstrząsające odkrycie sprawiło, że Kolea czuł się jednocześnie chory z przerażenia i szczęśliwy. Co teraz powinien był zrobić? Co powiedzieć Criid i Caffranowi i samym synkom?

W oczach sierżanta pojawiły się łzy. Stał wyprostowany na pace ciężarówki patrząc na mijane drzewa i nic nie mówiąc, nie wiedział bowiem, co właściwie mógłby w tej sytuacji rzec.

a

Szeroka nawierzchnia Drogi Tembarong biegła łagodnymi łukami przez urodzajne pola i gęste deszczowe lasy na zachód od Doctrinopolis. Równiny te były częścią niezwykle szerokiego basenu świętej rzeki, nawadniającej pola i systemy irygacyjne miejscowych rolników corocznymi wylewami. W powietrzu unosił się świeży rzeński zapach, ponieważ przez znaczący odcinek drogi jezdnia biegła niemalże na brzegu rzeki.

Sierżant Mkoll jechał w czujce wyprzedzającej konwój, na pokładzie zwiadowczej Salamandry. Towarzyszyli mu szeregowcy Mkvenner i Bonin oraz pardusycki kierowca. Mkoll miał już kilka razy wcześniej okazję pojeździć Salamandrą i niezmiennie zdumiewał się prędkością, jaką potrafił rozwinąć ten niewielki gąsienicowy pojazd. Wypożyczony Duchom wóz miał zielononiebieski kamuflaż ozdobiony emblematami Pardusytów. Całe mnóstwo skrzynek, worków i zrolowanych płacht materiału wisiało na burtach pojazdu, a para wielkich anten UHF została wygięta w tył i przywiązana za czubki do zaczepów na tylnej płycie kadłuba. Kierowca okazał się wysokim młodzieńcem w mundurze pardusyckich oddziałów pomocniczych, wyposażonym w wielkie przyciemnione gogle i prowadzącym w sposób, który bez wątpienia miał na Duchach wywrzeć wrażenie.

Transporter toczył się środkiem drogi z prędkością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, szcękając metalicznie i wzbijając za sobą wielki tabun różowawego pyłu. Mkvenner i Bonin stali przy kierowcy wystawiając twarze na wiatr i szczerząc radośnie zęby. Mkoll usiadł w tyle przeglądając swój mapnik i robiąc zwięzłe notatki na plastikowych kartach za pomocą małego mazaka.

Gaunt chciał w maksymalnym stopniu wykorzystać Drogę Tembarong. Zamierzał jechać przez pierwsze kilka dni z jak największą prędkością na zachód, ponieważ teren za Doctrinopolis był w większości płaską równiną o sporej widoczności. Prędkość konwoju miała nieco spaść w chwili wjazdu w obszar gęstych tropikalnych lasów, a potem zmaleć drastycznie z powodu przeprawy przez góry. Nie sposób było założyć z wyprzedzeniem, w jakim stanie znajdowały się górskie drogi po sezonie zimowym, a konwój składał się z setek ton mobilnej stali.

Obejmując komendę nad czujką Mkoll przyjął na swe barki ogromny ciężar odpowiedzialności. W nocy przed wyjazdem konwoju spędził sporo czasu w towarzystwie kapitana Herodasa, analizując osiągi pardusyckich pojazdów na drodze i w terenie. Rozmawiał też z intendentem Elthanem, który był szefem parku maszynowego Munitorium. Ludzie intendenta prowadzili ciężarówki i cysterny. Mkoll spisał osiągi poszczególnych pojazdów, porównał je z możliwościami czołgów. Herodas i Elthan twierdzili zgodnie, że pokonanie trzystu kilometrów dzielących stolicę od Świątyni zajmie pięć do sześciu dni z założeniem, iż drogi będą na całej swej długości przejezdne. Mkoll obstawiał prywatnie minimum siedem, prędzej już osiem. A jeśli faktycznie jego prognoza była trafna, to w harmonogramie pozostawał tylko jeden dzień na załadowanie relikwii na samochody i powrót do stolicy. Przekroczenie terminarza groziło niedotrzymaniem osiemnastodniowego terminu wyznaczonego przez lorda generała Lugo i w rezultacie spóźnieniem na statki ewakuacyjne.

Jak do tej pory, podróż przebiegała bez zarzutu. Niebo miało barwę lazuru, a wiatr łagodnie chłodził skórę pomimo lejącego się z nieba żaru.

Zwiadowcy nie napotkali zbyt wielu ludzi w trakcie przejazdu: od czasu do czasu mijali jakiegoś samotnego farmera lub niewielką rodzinę, dwa razy trafił im się pasterz poganiający przed sobą niewielkie stadko zwierząt. Zamieszkujący brzegi rzeki Hagianie próbowali kontynuować swój tryb życia pod okupacją Infardich, ale zmuszeni byli znosić straszny ucisk. Mkoll często zauważał porzucone, zarastające zielskim poletka i znikające pod grubą warstwą rzęsy hodowlane stawy. Nieliczni mijani wieśniacy zatrzymywali się na chwilę machając żołnierzom rękami w geście powitania lub wdzięczności.

Nigdzie nie było śladu po heretykach, chociaż znacząca część ich niedobitków opuszczając stolicę uciekła właśnie w tym kierunku. Droga i jej okolice naznaczone były sporadycznymi śladami walki w postaci kraterów czy zniszczonych zabudowań, ale datowały się one na czas sprzed imperialnej ofensywy. Działania wojenne na Hagii trwały od dobrych paru miesięcy, lecz do tej pory raczej omijały pomniejsze skupiska ludności koncentrując się na dużych metropoliach.

Ryk silnika płoszył co chwila stada kolorowo upierzonych ptaków, uwijających się wśród gałęzi i korzeni drzew. Same drzewa były soczyście zielone, ich wysokie, powykręcane na wszystkie strony pnie porastały mszaki, paprotniki, grzyby. Dla Mkolla, wychowanego pośród strzelistych iglastych puszczy Tanith, nadrzeczna roślinność sprawiała wrażenie dziwnie dekoracyjnej, mimo iż niektóre z drzew sięgały dwudziestu metrów wysokości.

Pomiędzy pniami migotały refleksy słonecznych promieni odbijające się od gładkiego nurtu rzeki. Na jednej z mijanych plaż sierżant ujrzał grupę rybaków stojących po kolana w wodzie i zarzucających w toń niewielkie sieci. Wszyscy mieli na głowach wyplecione z trzciny kapelusze.

Rzeka niepodzielnie dyktowała cykl życia równin. Kilka miniętych wiosek i osad wznosiło się na drewnianych palach chroniących budynki przed powodzią. Gdzieś tam zwiadowcy dostrzegali wysokie na trzy metry, bogato zdobione słupy z niewielkimi skrzynkami na szczytach, stojące pojedynczo lub po kilka na polankach wśród gęstych zielonych zagajników.

Godzinę przed południem transporter wpadł do opuszczonej osady o częściowo zawalonych domkach i zarośniętych ogródkach i na jednym z ostrzejszych zakrętów omal się nie zderzył czołowo ze stadem sunących drogą chelonów.

Siedzący za kierownicą Pardusyta jęknął zaskoczony i skręcił gwałtownie w bok. Salamandra wtoczyła się na pobocze, przejechała przez płytki rów i wylądowała przodem w gęstych kolczastych chaszczach. Nieporuszone obecnością mechanicznego stwora chelony, w liczbie blisko czterdziestu osobników, posuwały się jezdnią posapując głośno i chrząkając. Mkoll pierwszy raz od chwili lądowania na Hagii miał sposobność ujrzeć tak wielkie chelony. Najstarsze osobniki górowały ponad nim niczym żywe monumenty natury, większość młodych osiągnęła już rozmiary znacznie większe od Salamandry. Najmniejsze chelony miały niebieskoczarą skórę, która błyszczała niczym nasmarowana olejem; wysuszona skóra największych przybierała szarą barwę naznaczoną siatką białych zmarszczek. Od wielkich cielsk buchał ostry zwierzęcy zapach, przesycony odorem potu, śliny, odchodów.

Trzej pasterze podbiegli do Salamandry, kiedy tylko wóz znieruchomiał w miejscu, wymachując drewnianymi kijami i krzycząc coś z przestachem. Wszyscy trzej byli zmęczonymi, wyraźnie niedożywionymi mężczyznami w

ciemnoszarych, wielokrotnie cerowanych szatach.

Mkoll zeskoczył z transportera unosząc w łagodnym geście ręce i uciszając głosy wieśniaków, podczas gdy Mkvenner dawał kierowcy instrukcje ułatwiające wyjazd tyłem na drogę.

- Wszystko w porządku, nikomu z nas nic się nie stało – oświadczył sierżant. Unieszczęśliwieni incydentem pasterze nie ustawiali w oddawaniu nieporadnych salutów.
- Proszę... jeśli naprawdę chcecie nam pomóc, opowiedzcie o drodze z tamtej strony – Mkoll wyjął z kieszeni mapnik i wskazał palcem trasę przejazdu konwoju. Wieśniacy zaczęli debatować pomiędzy sobą z ożywieniem.
- Droga jest w bardzo dobrym stanie – powiedział jeden z nich – Zeszliśmy w tym miesiącu z wysokich pastwisk. Podobno wojna już się skończyła. Idziemy do miasta, bo może ktoś otworzył już targowiska.
- Też mam taką nadzieję – skinął głową Mkoll.
- Wie pan, w lasach ukrywają się ludzie, całe rodziny – zagał drugi pasterz, starzec o twarzy równie suchej i pomarszczonej jak skóra pędzonych przez niego chelonów – Boją się wojny. Wojny w miastach. Teraz usłyszeliśmy, że to już się skończyło i wielu z nich zacznie z lasów wychodzić, wracać do domów.

Mkoll odnotował tę informację w pamięci. Od dłuższego czasu podejrzewał, że większość zamieszkujących równiny społeczności uciekło w dzikie ostępy chroniąc się przed konsekwencjami heretyckiej okupacji. Jadąca przez zachodnie obszary straż honorowa musiała się liczyć z natrafieniem na kolumny wracających do domów uchodźców. Zagrożenie ze strony Infardich rosło z tego powodu wymiernie, znacznie malały bowiem szanse na szybką identyfikację i neutralizację ukrywających się wśród cywilów sabotażystów.

- A Infardi ? – spytał sierżant.
- Och, oczywiście – chrząknął jeden z pasterzy uciszając swych kompanów – Wielu wokół Infardich, na drodze i w okolicznych lasach.
- Widzieliście ich ? – Mkoll zmrużył podejrzliwie oczy.
- Bardzo często albo ich słyszeliśmy albo widzieliśmy w lesie ślady po ich obozowiskach.
- Wielu, mówicie ?
- Setki !
- Nie, nie... Tysiące. Każdego dnia coraz więcej !

Feth, zaklął w myślach Mkoll. Konieczność stoczenia kilku potyczek mogła krytycznie zaciążyć na terminarzu misji. Rzecz jasna w słowach pasterzy mogła kryć się przesada, ale Mkoll wolał wziąć je sobie do serca.

- Bardzo wam dziękuję – odpowiedział po chwili namysłu – Byłoby dobrze spędzić wasze zwierzęta na jakiś czas z drogi. Od strony miasta nadjeżdża znacznie więcej takich pojazdów – wskazał palcem Salamandrę – a większość z nich jest pokaźniejsza od naszego transportera.

Pasterze przyrzekli zgodnie, iż z miejsca przegonią chelony z jezdni. Mkoll nie miał pojęcia, kto wygrałby w czołowym zderzeniu pomiędzy Conquerorem i w pełni wyrosniętym osobnikiem tego gatunku, ale sądził, że żaden z uczestników takiej kolizji nie odszedłby w swoją stronę bez szwanku. Podziękował raz jeszcze pasterzom, zapewnił ich ponownie, że załoga Salamandry nie odniosła w wypadku żadnych obrażeń i wrócił na pokład transportera.

- Przepraszam – kierowca wyszczerzył zęby nie okazując śladu skruchy.
- Od tej pory pojedziemy trochę wolniej – skarcił go Mkoll, po czym zdjął z obudowy ciężkiego komunikatora zestaw słuchawek i nadał sygnał wywoławczy dla konwoju. Mkvenner wciął stał na drodze, grzecznie, ale zdecydowanie odmawiając przyjęcia małego chelona, którego w formie zadośćuczynienia za kłopoty usiłował mu sprezentować jeden z wieśniaków.

- AlfaAR do konwoju, zgłóście się.
- W słuchawkach rozległy się radiowe szумы.
- Meldujcie, AlfaAR – Mkoll natychmiast rozpoznał głos Gaunta.
- Zbieramy sygnały o obecności nieprzyjaciela na trasie przejazdu. Brak na razie konkretnych informacji, ale czujcie się ostrzeżeni.
- Zrozumiałem, AlfaAR. Gdzie teraz jesteście ?

- W wiosce o nazwie Shamiam. Zamierzam pojechać prosto do Mukretu. Byłoby lepiej, gdybyście podśleli mi jeszcze ze dwie maszyny z zwiadowcami na pokładzie.
- Zgadza się. Wyślę BetęAR i GammęAR. Przewidywany czas przybycia do Mukretu ?
- Dwie do trzech godzin – Mukret był małym miasteczkiem na brzegu rzeki, miejscem wyznaczonym na pierwszy nocny postój ekspedycji.
- Z łaską Imperatora zobaczymy się tam niebawem wszyscy. Utrzymujcie stały kontakt radiowy.
- Tak jest, sir. Chciałem też ostrzec przed ludnością cywilną mogącą wychodzić na drogę. Całe rodziny przygotowują się do opuszczenia kryjówek w lasach. Bądźcie ostrożni.
- Przyjąłem.
- Około godziny drogi przed wami znajduje się spore stado chelonów, idące w stronę stolicy. Mnóstwo zwierząt i trzech nieuzbrojonych pasterzy. Pewnie przegonią chelony z jezdni jeszcze przed kontaktem z wami, ale tak czy owak uważajcie na ryzyko kolizji.
- Przyjąłem.
- AlfaAR, bez odbioru – Mkolł odwiesił słuchawki na hak i pokiwał palcem w kierunku kierowcy – Jedziemy dalej.

Pardusyta przydepnął pedał gazu i transporter ruszył z łoskotem gąsienic po ubitej nawierzchni drogi.

a

Dobre piętnaście kilometrów w głębi Drogi Tembarong konwój straży honorowej zatrzymał się nieoczekiwanie. Wielkie samochody ciężarowe hamowały niemalże zderzak w zderzak, pracujące na luzie silniki prychały kłębami spalin. W tyle kolumny rozległ się dźwięk niecierpliwych klaksonów. Słońce stało wysoko na niebie, jego promienie odbijały się od metalowych karoserii. Po lewej stronie konwoju szeroka w tym miejscu rzeka toczyła leniwie swe szmaragdowe wody.

Rawne podniósł się z drewnianej ławeczki na pace swego wozu i wyjrzał ponad kabiną kierowcy omiatając wzrokiem kolumnę. Jak daleko sięgał wzrokiem, dostrzegał jedynie stojące w miejscu czołgi i ciężarówki.

Major sięgnął po komunikator spoglądając jednocześnie w stronę Feygora.

- Zajmij się ludźmi – powiedział sucho.

Feygor kiwnął głową i wydał pośpieszne rozkazy pięćdziesięciu jadącym ciężarówką żołnierzom. Ociekające potem Duchy, podróżujące w zdjętych częściowo mundurach i bez czapek, podniosły z kolan karabiny odbezpieczając je i lustrując czujnym wzrokiem linię drzew oraz rowy melioracyjne po prawej stronie kolumny.

- Trójka do jedyńki – powiedział do mikrofonu Rawne. Główny kanał był pełen krzyżujących się komunikatów i zapytań.
- Jedyńka do trójki – zgłosił się jadący w przedzie konwoju Gaunt.
- Jedyńka, co tam się u was dzieje ?
- W jednej z amunicyjnych Chimer zerwała się gąsienica. Poczekamy piętnaście minut, może mechanicy zdołają ją naprawić. Jeśli do kwadransa nie uruchomią wozu, zepchniemy go z drogi i zostawimy.

Rawne miał okazję przyjrzeć się transporterom pochodzącym z parku maszynowego Munitorium – wysłużonym, ledwie trzymającym się na chodzie rękach, których naprawa z pewnością wymagała znacznie większych nakładów czasu niż jeden kwadrans.

- Zgłaszam prośbę o zgodę na rekreacyjny postój na brzegu rzeki.
- Wyrażam zgodę, ale miejcie oko na linię drzew.

Wyznaczając dwóch wartowników po prawej stronie konwoju major pozwolił opuścić najbliższe ciężarówki reszcie żołnierzy. Zrzucając kurtki i buty Duchy wpadły ze śmiechem w nurt rzeki, ochlapując się wodą i chłodząc z ulgą spoconą skórę. Jeden z siodłowych ciągników przetoczył się wzdłuż unieruchomionej kolumny manewrując ostrożnie po poboczu i zmierzając w stronę czoła kolumny.

Rawne przespacerował się wzdłuż linii pojazdów do miejsca, w którym stali sierżanci Varl, Soric, Haller i Baffels. Soric rozdawał właśnie przechowywane w woskowym pudełku cygara, toteż major nie omieszkał się jednym z nich poczęstować. Wszyscy czterej mężczyźni palili przez chwilę w milczeniu, obserwując kąpiących się w rzece gwardzistów.

- Zawsze to tak wygląda, majorze? – spytał Soric wskazując kciukiem stojący w miejscu konwój. Rawne generalnie nie spoufalał się z podwładnymi, nie potrafił jednak zaprzeczyć, że polubił starego hutnika. Soric był dobrym żołnierzem i utalentowanym przywódcą, a przy tym nigdy nie obawiał się zadawać pytań zdradzających jego brak doświadczenia w pewnych kwestiach. W prywatnej opinii majora czyniło to z niego wyśmienitego ucznia i potencjalnego kandydata na stopień oficerski.

- To specyfika wojsk zmotoryzowanych. Stłuczki, awarie, przeszkody terenowe. Dlatego właśnie zawsze preferowałem ruch pieszy.

- Pojazdy Pardusytów wyglądają na zadbane – zauważył Haller – Dobrze utrzymane i tak dalej.

Rawne przytaknął ruchem głowy.

- To ten cholerny złom wciśnięty nam przez Munitorium. I ciężarówki i Chimery to jakiś potworny złom, ledwie trzymający się kupy.

- Jestem zaskoczony, że jak na razie zepsuła się tylko jedna – oświadczył sierżant Varl rozprostowując i zginając w łokciu swą cybernetyczną rękę, wszczepioną po utracie naturalnej kilka lat temu na Fortis Binary. Choć implant został przyjęty przez organizm Ducha, w wilgotnym powietrzu czasami sprawiał mu ból – Bez tego transportu mielibyśmy przesrane. Potrzebujemy zapasu amunicji.

- I tak mamy przesrane – powiedział Rawne – Jesteśmy zasraną Gwardią i większość swego życia musimy spędzać siedząc po uszy w gównie.

Haller, Soric i Varl roześmiali się pośpiesznie, Baffels natomiast milczał. aaa

Krępy brodaty mężczyzna z tatuażem w formie niebieskiej kosi pod jednym z oczu został awansowany do rangi sierżanta po tym jak Fols zginął w walkach o Bramę Veyveyr. Wciąż jeszcze nie przyzwyczał się do swojej nowej funkcji i zdaniem majora traktował wszystko zbyt poważnie. Niektórzy byli szeregowcy – na przykład Varl – okazywali się wyśmienitymi podoficerami czekającymi tylko na awans. Baffels dla odmiany otrzymał komendę nad plutonem przez wzgląd na swój wiek, odpowiedzialność i posłuch wśród żołnierzy. Rawne zdawał sobie sprawę z ciężaru, który gniótł barki sierżanta. Decydując o wyborze następcy Folsa Gaunt miał do dyspozycji dwie kandydatury: Baffelsa lub Mila – i wybrał Baffelsa, ponieważ uznał, że awansowanie do stopnia sierżanta najmłodszego gwardzisty w regimencie mogłoby zostać odebrane wśród ludzi jako forma protektoratu nad Brinem. Prywatnie major uważał, że Gaunt popełnił błąd. Rawne nie przepadał specjalnie za Milem, ale wiedział też jak bystrym i zdolnym jest on żołnierzem. I jak bardzo ludzie wierzyli w jego aurę szczęściarza. To jego Gaunt powinien być awansować na sierżanta, przedkładając talent nad doświadczenie.

- Dobry tytoń – cmoknął z zadowoleniem Varl i obrócił dymiące delikatnie cygareto w palcach – Corbec dałby wiele za coś takiego.

- Najlepsze verghastyckie liście – przyznał z uśmiechem Soric – Mam taki mały zapasik.

- On powinien być tutaj z nami – powiedział nagle Baffels wspominając nieobecnego pułkownika. Potem zerknął na Rawne – Bez urazy, majorze.

- Nie poczułem się urażony – odparł uspokajająco Rawne. W głębi duszy major czerpał sporą dawkę satysfakcji ze zmiany swego statusu w układzie hierarchicznym jednostki. Bez towarzystwa Corbeca i irytującego kapitana Daura Rawne przejął obowiązki zastępcy dowódcy regimentu, a w łańcuchu dowodzenia całej ekspedycji oprócz Gaunta poprzedzali go tylko major Kleopas i komisarz Hark. Funkcję trzeciego oficera liniowego na czas misji otrzymał sierżant Mkoll, a pełnią dotąd przez Daura rolę oficera łącznikowego w kontyngencie verghastyckim odziedziczył Kolea.

Jedno, co irytowało niezmiennie majora, to stary system kodów wywoławczych, w którym posiadał „trójkę” wobec „jedyńki” Gaunta. Pułkownikkomisarz twierdził, że szybka zmiana tego układu mogłaby wprowadzić element dezinformacji w trakcie komunikacji bojowej, ale Rawne był święcie przekonany, że należała mu się „dwójka” Corbeca.

Jeszcze bardziej irytowała majora świadomość, że Baffels miał rację. Corbec powinien był uczestniczyć w tej misji. Przekonanie takie wydawało się stać w sprzeczności z charakterem Rawne, major nie lubił bowiem swego bezpośredniego przełożonego, ale instynktownie wyczuwał rację takiego stwierdzenia. Chociaż wszyscy wydawali się o tym wiedzieć, a nikt nie chciał powiedzieć tego otwarcie, Tanithijski Pierwszy wyruszył w swą ostatnią akcję. Lord generał zniszczył Gaunta i Rawne z niecierpliwością czekał na moment, w którym oklaskami powita degradację swego zniechęconego dowódcy, ale...

To była ostatnia misja Duchów.

Feth, Corbec powinien był pojechać z nimi.

a

Szalony Larkin siedział na pace ciężarówce oblewając się potem i stukając czubkami palców w obudowę trzymanej na kolanach snajperki. Kolea zostawił jego i szeregowca Cuu na straży konwoju pozwalając reszcie pasażerów na pośpieszną kąpiel w nurcie rzeki.

Larkin wpatrywał się w pobliską linię drzew i podmokłe łąki przeczesując je fragmentami, skanując wzrokiem z obsesyjną uwagą, powoli i systematycznie.

Każde poruszenie wśród gęstej zieleni wywoływało dreszcz niepokoju snajpera, ale okazywało się jedynie żerującym w koronie drzew ptakiem, myszkującym wokół korzeni szczurowatym pajakiem lub efektem podmuchu wiatru.

Dla zabicia czasu Larkin ćwiczył oko, wyszukując potencjalny cel, a następnie śledząc go w nitkach swego celownika. Ptaki o czerwonych grzebieniach na główkach stanowiły łatwy obiekt dla zabawy, bo białe upierzenie i rozmiary ciała ułatwiały ich obserwację. Trudniejszym orzechem do zgryzienia okazały się szczurowate pajaki, włochate ośmionogie stworzyki dorównujące wielkością pięści Larkina, biegające w górę i dół pni drzew raptownymi skokami.

- Co robisz ?

Larkin obejrzał się i spostrzegł aroganckie spojrzenie Cuu.

- Tak sobie... celuję – wyznał niechętnie snajper. Nie lubił Cuu. Samo towarzystwo tego człowieka budziło w nim dreszcz niepokoju. Ludzie mawiali, że Larkin był szalony, ale jego psychiczna skaza nie miała nic wspólnego z szaleństwem Cuu. Verghastycki Duch był zimnym mordercą. Psychopata o pokrywających całe ciało gangsterskich tatuażach i długiej bliźnie rozdzielającej jego twarz.

Cuu przysiadł obok Larkina wyciągając swe szczupłe nogi. Tanithijczyk uważał się dotąd za najniższego Ducha w regimencie, ale Cuu okazał się jeszcze niższy od niego. Jego pozornie drobne ciało wydawało się kryć w sobie niezwykłą, złowieszczą energię.

- Możesz je odstrzelić ? - zapytał Cuu.

- Co ?

- Te białe ptaki z głupimi dziobami.

- Tak, bez trudu. Celowałem do szczurków.
- Jakich szczurków ?

Larkin wskazał palcem obiekt swego zainteresowania.

- Tamte stworki. Włochate zwierzaczki.
- Acha. Nie zauważyłem ich wcześniej. Masz ostry wzrok. Ostry, że ostry.
- Z lunetą to dość łatwa sprawa – odparł Larkin gładząc dłonią swój karabin.
- Też tak sądzę. Pewnie, że pewnie – Cuu sięgnął do kieszonki bluzy i wyjął z niej dwa ręcznie zwijane białe papierosy. Jeden z nich wyciągnął w stronę snajpera.
- Nie, dzięki.

Cuu schował jeden papieros z powrotem, drugi przypalił, zaciągnął się mocno dymem. Larkin bez trudu rozpoznał zapach obscury. Korzystał okazjnie z tego narkotyku na Tanith, ale Gaunt już dawno wciągnął obscurę na listę zakazanych dla żołnierzy używek. Feth, ależ to kusząco pachniało !

- Pułkownikkomisarz wzięłby cię za tyłek za ten towar – powiedział ostrzegawczym tonem.

Cuu wyszczerzył zęby i wydmuchnął ostentacyjnie dym.

- Nie boję się Gaunta – oświadczył – Jesteś pewien, że nie chcesz dymka ?
- Nie, dzięki.
- Te pieprzone białe ptaszydła – odezwał się po chwili milczenia Cuu – Rąbnięcie któregoś z nich nie sprawiłoby ci problemu ?
- Żadnego.
- Tak sobie myślę, że byłby z nich dobry rosół. Taki miły dodatek do zwykłych racji żywnościowych.

Larkinowi propozycja natychmiast przypadła do gustu. Snajper przytknął palce do wiszącego przy ustach komunikatora.

- Trójka, mówi Larks. Cuu i ja chcielibyśmy przejść się do lasu i upolować parę ptaków na rosół. Da się to załatwić ?
- Dobry pomysł. Ostrzegę resztę konwoju, że będziecie strzelać. Pamiętajcie o jednym dla mnie.

Larkin i Cuu zeskoczyli z paki ciężarówki, pokonali pobocze drogi i rów irygacyjny, wypełniony do kostek grząskim błotkiem. Ptaki świergotały głośno w zielonym gąszczu zagajnika. Larkin bez trudu dostrzegał gołym okiem ich białe pióra poruszające się wśród listowia.

W powietrzu unosiły się z cichym buczeniem muchy i niewielkie chrząszcze. Larkin wyciągnął z jednej z kieszonek tłumik dźwięku i wkręcił go na koniec lufy karabinu. Wyszukując wzrokiem zwalony na ziemię pień Duch usadowił się tuż za nim i oparł broń o zbutwiały konar. Przez chwilę śledził przez lunetę hasającego opodal szczuropająka kalibrując ustawienia celownika, potem zajął się ptakami.

Sztuczka nie polegała na samym trafieniu zwierzęcia, to było dziecinnie łatwe. Chodziło o odstrzelenie łebka. Bezpośrednie trafienie w korpus ptaka zmieniałoby go w dymiącą masę piór i tkanki, do niczego nieprzydatną – to tak jakby człowiekowi wsadzić za pas odbezpieczony pakiet burzący. Odstrzelenie niejadalnej głowy przynosiło efekt w postaci gotowego do oskubania korpusu.

Larkin rozluźnił się, pokręcił głową i barkami, a potem pociągnął za spust. Broń błysnęła słabo, nie wydając praktycznie żadnego dźwięku. Ptak runął z gałęzi z dymiącym kikutem szyi, wpadł z pluskiem w płytką kałużę. Szybкими ruchami Larkin zastrzelił jeszcze pięć innych, po czym zarzucił na ramię broń i razem z Cuu zaczął zbierać upolowane zwierzęta, wieszając je za łapki przy pasie.

- Jesteś cholernie dobry – przyznał Cuu.
- Dzięki.
- Masz cholernie dobrą broń.

- Model snajperski. Mój najlepszy przyjaciel.
- Potrafię w to uwierzyć – kiwnął głową Cuu – Masz coś przeciwko temu, żebym ją sobie obejrzał ?

Verghastyta wyciągnął dłoń w stronę Larkina. Snajper z niechęcią podał mu swój karabin, biorąc do rąk laser Cuu. Gangster uśmiechnął się szeroko, przyłożył drewnianą kolbę broni do barku.

- Fajny – powiedział – Bardzo fajny.
- Pociągnął za spust i jeden z ptaków zmienił się w dymiące szczątki.
- Nieźle, ale...

Cuu zignorował słowa Larkina, wystrzelił ponownie. I jeszcze raz. I jeszcze raz. Trzy kolejne ptaki spadły z gałęzi.

- Nie damy rady ich ugotować, jeśli będziesz strzelał w korpusy.
- Wiem. Na rosół mamy już dosyć. Strzelam dla zabawy.

Larkin milczał czekając na jakieś dodatkowe wyjaśnienie, ale Cuu odwrócił się do niego plecami i zastrzelił następne dwa ptaki. Kałuże wody pod drzewami pełne były szkarłatnych smug i pływającego po powierzchni białego pierza.

- Wystarczy – zasugerował snajper.

Cuu potrząsnął przecząco głową, przestawił tryb prowadzenia ognia na szybszy i wiązki pulsującego światła zaczęły punktować gąszcz zagajnika.

Larkin był zszokowany. Wzburzyło go brutalne używanie jego ukochanej broni, psychopatyczna radość malująca się na twarzy Cuu...

...lecz najbardziej wstrząsnął nim fakt, że szaleńcza kanonada usmażyła pół tuzina włośchatych szczuropająków kręcących się wśród korzeni drzew. Ani jedna wiązka nie została zmarnowana, ani jedna nie chybiła celu. Poruszające się błyskawicznie stworki, przed strzeleniem do których nawet Larkin zastanowiłby się dwa razy, zostały zredukowane do krwawych plam znaczących dymiącą korę.

Cuu oddał karabin właścicielowi.

- Fajna broń – stwierdził raz jeszcze, odwrócił się i odszedł w stronę konwoju.

Larkin nie miał zamiaru za Cuu pędzić. Niski Tanithijczyk zadrzał mimo lejącego się z nieba słonecznego żaru. Zimny, psychopatyczny morderca.

Duch obiecał sobie, że od tej pory będzie bardzo starannie pilnował swoich pleców.

a

Gaunt, Kleopas i Herodas stali na poboczu drogi obserwując wysiłki techadeptów i pardusyckich mechaników próbujących naciągnąć zerwaną gąsienicę amunicyjnej Chimery. Grupa Pardusytów i Tanithijczyków zdążyła już wyładować zawartość transportera redukując znacząco ciężar wozu. Zaparkowany obok Trojan dygotał w rytm pracy swego masywnego silnika niczym troskliwy rodzic czuwający nad okaleczonym potmkciem.

Gaunt zerknął na zegarek.

- Jeszcze dziesięć minut i ruszamy, bez względu na efekt naprawy.
- Protestuję, sir – odezwał się Kleopas – Ten pojazd wiezie pociski dla Conquerorów – major wskazał dłonią skrzynie z amunicją wyciągnięte z Chimery – Nie możemy ich zostawić.
- Możemy, jeśli pojawi się taka konieczność.
- Inaczej by pan mówił, gdyby to były akumulatory do laserów.
- Zmuszony jestem przyznać panu rację – skinął głową Gaunt – Ale czas nas goni nieubłaganie. Daję wam dwadzieścia minut. To nieprzekraczalny termin.

Kapitan Herodas podszedł do techników ponaglając ich podniesionym głosem.

Gaunt wyjął z kieszeni niewielką srebrną piersiówkę z wygrawerowanym podpisem "Oktar Delane", podał ją zapraszającym gestem majorowi.

- Dziękuję, pułkownikukomisarzu, ale nie skorzystam. Trochę za wcześnie jak dla mnie.

Gaunt wzruszył ramionami i pociągnął łyk trunku. Zakręcał właśnie korek, kiedy za jego plecami rozległ się głos komisarza Harka.

- Zauważyłem rozbłyśki laserów wśród linii drzew.

- Małe polowanie. Wydałem na nie zgodę.

- Czy dowódcy pododdziałów o tym wiedzą? Może wybuchnąć panika.

- Wiedzą. Osobiście ich poinformowałem. Regulacja 110119 gamma.

Hark rozłożył szeroko ręce.

- Nie musi pan cytować mi regulaminu, pułkowniku. Wierzę panu na słowo.

- Dobrze. Majorze... czy zechciałby pan opowiedzieć komisarzowi o tym, co się tutaj obecnie dzieje? Dokładnie i szczegółowo.

Kleopas zerknął porozumiewawczo na Gaunta, po czym odwrócił się z uprzejmym uśmiechem na twarzy w stronę Harka.

- Jak pan widzi, sir, montujemy zerwaną sekcję trakcyjną, a to wymaga użycia ciężkiego podnośnika hydraulicznego zamontowanego na Trojanie...

Gaunt oddalił się od obu oficerów idąc wzdłuż linii pojazdów i pociągając kolejny łyk napitku z piersiówki.

Hark śledził wzrokiem jego oddalającą się postać.

- Co pan sądzi o legendarnym pułkownikukomisarzu? - zapytał przerywając Kleopasowi wywód na temat zasad polowych napraw sprzętu mechanicznego.

- Wygląda na świetnego oficera. Bardzo się troszczy o swoich ludzi. Proszę nie zdawać mi więcej podobnych pytań, sir. Nie życzyłbym sobie, aby moje opinie trafiły do jakiegoś raportu.

- Niech się pan nie martwi – odparł Hark – Los Gaunta już został przypieczętowany. Lord generał Lugo wziął go na swój celownik. Pytałem pana z myślą o zwykłej konwersacji.

Spacerujący wolnym krokiem Gaunt znalazł się przy Anie Curth i jej sanitariuszach, siedzących na ziemi w cieniu rzucanym przez ich pojazd.

- Sir? - kobieta podniosła się na nogi widząc postać dowódcy.

- Wszystko u was w porządku? - zapytał Gaunt. Ciągle jeszcze czuł się nieszczęśliwy na myśl o tym, że Dorden musiał pozostać w Doctrinopolis razem z rannymi. Curth była świetnym fachowcem, ale nigdy dotąd nie dowodziła samodzielnie zespołem medycznym w akcji bojowej. To Dorden pełnił funkcję głównego oficera medycznego regimentu, od początku istnienia jednostki. Curth potrzebowała jeszcze dużo czasu, by móc pracować na zasadzie jego zmiennika.

- Wszystko w porządku – oświadczyła lekarka i uśmiechnęła się. Miała piękną twarz w kształcie serca, której uśmiech tylko dodawał uroku.

- To dobrze – stwierdził Gaunt – Bardzo dobrze.

Upił kolejny łyk z piersiówki.

- Jest jakaś szansa na poczęstunek? - spytała Curth.

Zaskoczony pytaniem Duch podał jej naczynie. Lekarka napiła się w dystyngowany sposób.

- Nie wiedziałem, że aprobujesz alkohol – stwierdził Gaunt.

- To czekanie sprawia, że robię się nerwowa – odparła Curth ocierając wargi i oddając piersiówkę dowódcy.

- Ja też – przyznał Gaunt.

- Tak czy owak w jedno trzeba mi uwierzyć. Alkohol ma szerokie zastosowanie w medycynie.

a

AlfaAR znalazła się w Mukrecie późnym popołudniem. Transporter zwolnił, Mkoll, Mkvenner i Bonin wyskoczyli z niego z gotową do użycia bronią, idąc ostrożnie po bokach toczącego się przez miasteczko wozu. Wraz z bliskim wieczorem przybrał na sile lekki dotąd wiatr, wzbijający w powietrze zeschnięte liście i drobiny kurzu.

Słońce, wielka pomarańczowa kula jarząca się na niebie, prześwitywało pomiędzy koronami nadrzecznych cyprysów.

Miasteczko było opuszczone. Poruszone wiatrem drzwi huśtały się na zawiasach, rosnące szybko pędy krzewów oplatały ściany budynków, wdzierały się przez wybite okna do środka. Na chodnikach widać było szczątki potrząskanych naczyń, jakieś podarte brudne szmaty. Na drugim krańcu miasteczka wznosiły się długie, zbudowane z cegły wędzarnie. Mieszkańcy Mukretu żyli z połowów i produkcji wędzonego mięsa. Tanithijczycy wciąż wyczuwali w powietrzu charakterystyczny zapach palonego drewna.

Idący za toczącym się wolno transporterem zwiadowcy omiatali lufami laserów swe otoczenie. Bonin zawirował w miejscu zaalarmowany nagłym dźwiękiem, wycelował w stado spłoszonych hałasem ptaków podrywających się z pobliskiego drzewa.

Silnik Salamandry mrucał uspokajająco.

Mkoll wysunął się przed pojazd, wykonał kilka gestów dłonią nakazując Boninowi skręcenie w niewielką uliczkę biegnącą ku rzece.

Sierżant dostrzegł jakieś poruszenie z przodu. Był to chelon, młody samiec, włóczyący się pomiędzy zabudowaniami. Zwierzę ciągnęło za sobą lejce, na grzbiecie miało przypięte niewielkie siodło.

Chelon minął bez zainteresowania Mkolla i Mkvennera, skubiąc kępy trawy. Sierżant słyszał już wyraźnie dobiegające gdzieś z przodu stukanie. Zasygnalizował Mkvennerowi pozostanie w miejscu i podkraść się w kierunku źródła dźwięku.

Jakiś starzec kręcił się wokół niewielkiej zdewastowanej kaplicy. Wyglądało na to, że próbuje zabić deskami wyłamane okiennice posługując się w tym celu jedynie grubą gałęzią.

Obcy miał na sobie niebieskie szaty. Ayatani, pomyślał Mkoll. Hagiański kapłan.

- Ojczy !

Starzec odwrócił się, opuścił ściskany w ręku konar. Były łysy, ale nosił dla odmiany niezwykle długą, zaplataną w warkoczyki brodę. Tak długą, że musiał ją sobie wsadzić pod pachę, by nie przeszkadzała mu w pracy.

- Nie teraz – oświadczył oschłym tonem – Jestem zajęty. To święte miejsce nie naprawi się samo z siebie.

- Czy mogę ci jakoś pomóc ?

Kapłan wszedł na drogę zbliżając się do Mkolla.

- Tego nie wiem. Jesteś człowiekiem, który ma karabin... a także czołg, o ile oczy mnie nie mylą. Może przyszedłeś tu po to, żeby mnie zabić i ukraść mojego chelona, który zresztą, powiedzmy to szczerze, niespecjalnie mi się do tej pory przydał. Jesteś mordercą ?

- Jestem członkiem imperialnego korpusu wojskowego – oświadczył Mkoll lustrując starca uważnie wzrokiem.

- Naprawdę ? Najwyższy czas... - kapłan ujął białą brodę w dłonie, otarł nią z potu twarz.

- Jak się nazywasz, ojczy ?

- Ayatani Zweil – odparł duchowny – A ty, synu ?

- Sierżantzwiadowca Mkoll.

- Sierżantzwiadowca Mkoll ? Cóż, brzmi imponująco. Dobrze zatem, sierżanciezwiadowco Mkoll, Ershuli splugawili tę kaplicę, ten przybytek po trzykroć błogosławionej świętej, a ja

zamierzam doprowadzić go do stanu uprzedniej świetności, deska po desce. Jeśli zechcesz mi pomóc, będę zobowiązany. Święta też, jestem tego pewien. Na swój sposób.

- Ojczy, jedziemy na zachód. Muszę wiedzieć, czy widziałeś na drodze Infardich.

- Oczywiście, że widziałem. Całe setki.

Mkoll sięgnął po swój komunikator, ale Zweil powstrzymał go szybkim ruchem dłoni.

- Infardich widziałem wielu. Pielgrzymów. Powracają do Doctrinopolis. Tak, tak, wielu Infardich. Ale ani śladu Ershuli.

- Obawiam się, że nie rozumiem.

Ayatani objął ruchem dłoni jezdnię.

- Wiesz, na czym stoisz, synu ?

- To Droga Tembarong – odparł Mkoll.

- Zwana też w starych zapiskach Imirity mianem Ayolta Amad Infardiri, co w dosłownym tłumaczeniu oznacza “aprobowaną ścieżkę procesji Infardich”, a potocznie Drogę Pielgrzymów. Na zachodzie droga dochodzi do Tembarongu. Kto chciałby tam jechać ? To zabita dechami miejscina, gdzie wszystkie kobiety mają tłuste nogi. Ale w drugą stronę... - kapłan wskazał palcem kierunek, z którego nadjechała czujka Duchów.

- Tam właśnie zmierzają pielgrzymi. Do świątyni Cytadeli w Doctrinopolis. Do Tempelum Infarfard Sabbat. Do setek innych miejsc kultu. Czynią tak od setek lat. Oto powinność każdego pielgrzyma. A Hagianie nazywają pielgrzymów mianem Infardich. Takie jest prawdziwe znaczenie tego słowa i w takim używam je kontekście.

Mkoll chrząknął grzecznie, ale stanowczo.

- Czyli wspominając o Infardich miałeś na myśli prawdziwych pielgrzymów, ojczy ?

- Tak.

- Idących w stronę stolicy ?

- Potencjalnie blokujących całą drogę, sierżanciezwiadowco Mkoll. Doctrinopolis jest znowu otwarte, więc wszyscy się tam wybierają z zamiarem złożenia dziękczynnych modłów. I odprawić pokutne nabożeństwa pod zbezczeszczoną Cytadelą.

- Nie miałeś na myśli nieprzyjacielskich żołnierzy ?

- Oni przywłaszczyli sobie miano Infardich. Nie pozwolę na to ! Nigdy na to nie pozwolę ! Jeśli już mają mieć jakieś miano, mówmy na nich Ershuli.

- Ershuli ?

- To słowo pochodzące z Ylathu, dialektu pasterzy. Oznacza chelona, który pożera potomstwo swoje lub innych członków stada.

- Czy zatem widziałeś w okolicy tych Ershuli, ojczy ?

- Nie.

- Rozumiem.

- Ale słyszałem o nich – Zweil ujął Mkolla z nienacka pod ramię i wskazał mu dłonią widoczne nad dachami Mukretu góry, porośnięte gęstymi deszczowymi lasami. Nad północnym horyzontem zbierały się mroczne burzowe chmury.

- Oni tam są, sierżanciezwiadowco Mkoll. Za Bhavnagerem, wśród Świętych Szczytów. Czają się tam, myszkują, czekają.

Mkoll miał początkowo zamiar wyzwolić się z nieoczekiwanego uścisku kapłana, ale zaraz z tego zrezygnował. W dotyku starca było coś znajomo uspokajającego, przywodzącego na myśl wspomnienie arcydiakona Mkere, który zwykł prowadzić Mkolla do mównicy w kościelnej szkółce na Tanith, by ten odczytał głośni swe lekcje.

- Czy jesteś pobożnym człowiekiem, sierżanciezwiadowco Mkoll ?

- Tak sądzę, ojczy. Wierzę, że Imperator jest naszym bogiem. Urodziłem się po to, by mu służyć, w czasie pokoju i wojny.

- To dobrze, to bardzo dobrze. Skontaktuj się ze swoimi pobratymcami. Przekaż im, że w trakcie tej pielgrzymki muszą się liczyć z poważnymi kłopotami.

a

Stojący dwadzieścia kilometrów na wschód od Mukretu konwój ruszył ponownie w drogę. Amunicyjną Chimerę udało się naprędce zreperować, chociaż intendent Elthan uprzedził Gaunta, że jego ludzie i tak będą musieli poświęcić całą noc na wprowadzenie niezbędnych poprawek do swej prowizorki.

Kolumna poruszała się w zadowalającym pułkownikakomisarza tempie. Gaunt siedział w odkrytej kabinie swej Salamandry przeglądając mapy i żywiąc gorącą nadzieję, że konwój dotrze do Mukretu przed zapadnięciem zmierzchu. Mkoll właśnie zgłosił przez radio, że sprawdził miasteczko i nie natrafił w nim na ślad obecności nieprzyjaciela, powtarzając też wcześniejsze ostrzeżenie przed włączającymi się w okolicy bandami Infardich.

Gaunt odłożył na bok mapnik i sięgnął ponownie po swoją podniszczoną, wielokrotnie czytaną kopię Kazań św. Sabbat. Studiowanie zawartości księgi w podskakującej ustawicznie Salamandrze przyprawiało go o ból głowy, ale czytał uparcie dalej. Rozłożył palcami stronicę w miejscu, gdzie tkwiła zakładka. Środkowy rozdział, psalmy świętej. Niewiarygodnie trudne w interpretacji, pisane antycznym dialektem pełnym zakodowanych subtelnie podtekstów. Potrafił wyczytać z nich najróżniejsze przesłania, ale żadne nie wydawało się go satysfakcjonować.

Żadne z wyjątkiem świadomości, że należą do najpiękniejszych religijnych tekstów, z jakimi przyszło mu się w życiu zetknąć. Marszałek wojny Slaydo twierdził to samo, to od niego właśnie Gaunt zaraził się miłością do psalmów Sabbat. Oficer opuścił księgę na kolana unosząc wzrok ku niebu i wspominając starego Slaydo.

Transporter zwolnił gwałtownie, zakołysał się na gąsienicach. Gaunt podniósł się z miejsca spoglądając ponad dachem Salamandry. Jego wóz jechał jako trzeci w kolumnie. Toczące się przodem dwie zwiadowcze Salamandry hamowały raptownie, ich czerwone światła płonęły jaskrawo na tylnych zderzakach, przysłonięte grubymi kratkami ochroniaczy.

Wielkie stado chelonów nadciągało z przeciwnej strony, popędzane przez kilku ubranych w beżowe szaty pasterzy. Zwierzęta blokowały połowę drogi, toteż pojazdy zostały zmuszone do ustawienia się w rząd pojedynczych maszyn jadących jedna za drugą wzdłuż sąsiadującego z brzegiem rzeki pobocza.

Mkoll wspominał o tej przeszkodzie. Zgłaszał obecność sporego stada i trzech nieuzbrojonych pasterzy, chociaż sugerował, że zwierzęta powinny zniknąć z jezdni do czasu spotkania z konwojem.

- Jedyńka do wszystkich jednostek – Gaunt włączył komunikator na ogólnej częstotliwości – Zmniejszyć prędkość i zjechać tak daleko na lewe pobocze jak to tylko możliwe. Mamy stado chelonów na drodze. Zachowywać się w sposób uprzejmy i nie przeszkadzać pasterzom.

W eterze rozległy się potwierdzenia kierowców i dowódców plutonów. Konwój zwolnił i zaczął się wlec w niemiłosiernie powolnym tempie obok masywnych zwierząt. Gaunt przeklął w myślach kolejne opóźnienie w harmonogramie. Wyminięcie stada miało potrwać dobre dziesięć minut, jeśli nie dłużej.

Spojrzał na cielska chelonów górujące ponad Salamandrą, przechodzące tak blisko, iż wystarczyłoby wychylić się z wozu i wyciągnąć rękę, by dotknąć ich boków. Ostry zwierzęcy odór przesycił powietrze, Gaunt słyszał szelest ich skóry, pomruk podzielonych na wiele komór żołądków. Wielkie stworzenia posapywały, chrząkały, puszczały głośno wiatry. Obłe trąby skubały mijane kępy trawy. Pułkownikkomisarz dostrzegł też pasterzy – roślących mężczyzn w ubraniach rolniczej kasty, popędzających zwierzęta uderzeniami drewnianych kijków. Na głowach mieli kaptury i chusty zasłaniające twarze przed wzbijającym gąsienicami i kołami pyłem. Kilku mijając transporter posłało Duchowi powitalne skinięcia, większość

jednak nie poświęciła imperialnym przybyszom ani jednego spojrzenia. Religijna wojna i sakralna desekracja pustoszy ten świat, pomyślał Gaunt, a dla tych ludzi życie toczy się normalnym rytmem. Niektórzy mieszkańcy naszego śmiertelnie niebezpiecznego wszechświata zostali obdarowani błogą nieświadomością tego, co rozgrywało się poza granicami ich małego osobistego uniwersum...

Mnóstwo zwierząt i trzech nieuzbrojonych pasterzy. Słowa Mkolla rozbrzmiały ponownie w pamięci pułkownikakomisarza. Trzech nieuzbrojonych pasterzy.

Przesuwając wzrokiem po swym najbliższym otoczeniu naliczył co najmniej dziewięciu wieśniaków.

- Jedyńka ! Mówi jedynka ! Ostrzegam, to może być...

Głos Gaunta utonął w huku odpalonej z ramienia przeciwpancernej rakiety. Jadąca dwa wozy dalej w tyle Salamandra zjechała z drogi ze zgrzytem rozdieranego metalu, z jej kabiny buchnęły płomienie. Deszcz metalowych odłamków posypał się z nieba, kawałki rozerwanej karoserii zastukały w kadłub transportera pułkownikakomisarza.

W eterze rozpętało się szaleństwo. Gaunt słyszał dobiegający z wszystkich stron trzask laserów i terkot broni automatycznej. Kilkudziesięciu pasterzy wychylnęło spomiędzy cielskich chelonów. Wszyscy mieli w rękach broń. Spod zrzuconych w biegu szat wieśniaków wyjrzały zielone uniformy i obsceniczne tatuaże.

Pułkownikkomisarz wyszarpnął z kabury boltowy pistolet.

Infardi nadbiegali z wszystkich stron.

Rozdział VII – Śmierć na drodze

„Pozwólcie mi spocząć, gdy bitwa już skończona ” – żołnierska piosenka.

Infardi w rozchełstany pasterskim przebraniu wspiał się na burtę Salamandry i z sykiem tryumfu na wąskich ustach podniósł do strzału automatyczny pistolet. Mężczyzna cuchnął sfermentowanym owocowym likierem, w jego oczach płonęła podsyciona alkoholem gorączka.

Wystrzelony z boltowego pistoletu Gaunta pocisk trafił go w prawy policzek i głowa napastnika przeistoczyła się w rozbryzg tkanki mózgowej.

- Jedyńka do straży honorowej ! Zasadzka po prawej ! Zawrócić, odeprzeć !

Pułkownikkomisarz usłyszał stęknienia kolejnych rakiet, kanonada z broni palnej przybrała na sile. Chelony, ograniczone z jednej strony stromą krawędzią drogi, z drugiej zaś burtami imperialnych pojazdów, zaczęły przestępować nerwowo z nogi na nogę trącając swymi masywnymi cielskimi opancerzone wozy.

- Zawracaj ! Zawracaj ! - krzyknął na swego kierowcę Gaunt.

- Za mało miejsca, sir ! - wrzasnął zdesperowany Pardusyta. Kilka małokalibrowych pocisków uderzyło ze szczękiem w kadłub Salamandry, zrykoszetowało pośród snopów iskier.

- Ech, kurwa ! - ryknął Gaunt, wychylił się ponad burtą transportera i zaczął strzelać do najbliższych napastników. Pierwszy pocisk zabił na miejscu jednego Infardi, drugi ciężko zranił młodego chelona. Zwierzę zaskowyczało i runęło przed siebie tratując pod nogami dwóch dalszych heretyków, po czym wyrznięto całym cielskiem w tył Chimery. Szarpiąc się spazmatycznie i pracując do przodu chelon zaczął spychać transporter do rowu melioracyjnego.

Gaunt zaklął ponownie, chwycił za kolbę zamontowanego na obrotowym uchwycie stormboltera. Grupa Infardich nadbiegała od przodu konwoju, zasypiani pociskami rozpięchli się na boki, kilku z nich znieruchomiało na ziemi. Komisarz spostrzegł sylwetki

rebeliantów wdzierające się do środka prowadzącej konwój Salamandry i mordujące jej załogę.

Czołgowy pocisk ryknął mu tuż nad głową, mężczyzna usłyszał wizg ładunku, szcęk mechanizmu odrzutowego działa, huk detonacji. Pocisk rozerwał się w rowie po prawej stronie drogi wyrzucając w powietrze wielką fontannę błota. Więcej załóg poszło w ślady pierwszego czołgu, zaterkotały też sprzężone z działami ciężkie boltery. Wyjątkowo wielki chelon, trafiony artyleryjskim pociskiem prosto w korpus, eksplodował rozsadzony od środka zasypując cały konwój kawałkami krwistego mięsa i rozerwanych wnętrzności.

Gaunt wiedział, że ma nad napastnikami przewagę liczebną i ogniową, ale Infardi dobrze przygotowali swą zasadzkę. Przycisnęli konwój stadem zwierząt do krawędzi drogi uniemożliwiając pojazdowi manewrowanie.

Wystrzelił kolejną serię ze stormboltera ścinając Infardich próbujących rozstawić przenośną wyrzutnię rakiet. Martwe palce jednego z wiarołomców zacisnęły się na spuście broni, rakietka opuściła lufę wyrzutni uderzając natychmiast w nawierzchnię drogi i wyrwijając w niej wielki krater.

Ktoś pochwycił Gaunta za ubranie i odciągnął go od stormboltera. Pułkownikkomisarz runął na dno przedziału pasażerskiego kopiąc szaleńczo w walce o życie.

a

Jedna trzecia konwoju znalazła się w zasadzce, a rozciągnięta na przestrzeni czterech kilometrów kolumna wozów blokowała przejazd tak skutecznie, że jadący w tyle żołnierze nie mieli szans na wykonanie natychmiastowego kontrataku.

Larkin klęczał na pace ciężarówki tuż obok Cuu, strzelając z lasera w głowy nadbiegających podmokłym polem Infardich. Cuu chichotał maniacko za każdym razem, gdy jego strzał zabijał kolejnego heretyka. Przeciwpancerna rakietka gwizdnęła nad głowami gwardzistów, ciężarówkę zasypał grad laserowych wiązek. Jakiś klęczący przy snajperze Tanithijczyk runął martwy na pakę wozu, z okien kabiny posypały się kawałki szkła.

- Wysiadać ! Atakować ! - wrzasnął sierżant Kolea. Tanithijczycy runęli z ciężarówek całymi drużynami, strzelając w biegu, zderzając się z napastnikami w szarży na bagnety.

Criid i Caffran skoczyli do przodu ramię w ramię, niemal jednocześnie powalając kolbami karabinów dwóch Infardich i przybijając ich do wilgotnej ziemi bagnetami. Caffran oparł broń o biodro i zastrzelił heretyka próbującego wydostać się z rowu melioracyjnego. Buty Criid ugrzęzły w błocie, dziewczyna przewróciła się na ziemię. Obracając się w bok Criid pociągnęła za spust trafiając w łydki szarżującego na nią Infardi. Pardusycki czołg wypalił z działa za plecami pary Duchów, strzelając na oślep w stado chelonów.

Ciężarówka majora Rawne, unieruchomiona w głębi kolumny, została dosłownie pochłonięta przez gromadę heretyków; na jej pace przybywało martwych ciał. Strzelając w opętanicznym tempie w twarze wdzierających się do góry napastników Rawne poszukał wzrokiem swego adiutanta. Feygor walczył za plecami majora, jego srebrny nóż rozcinał gardła przeciwników. Ciemne wieczorne niebo rozpalala szaleńcza płatanina laserowych wiązek. Kilka wozów dalej rozległ się charakterystyczny syk, zahuczały żarłoczne płomienie. Jadący samochodem Varla szeregowiec Brostin włączył w końcu swój miotacz ognia.

Major Kleopas próbował obrócić swój czołg w miejscu, ale masywny chelon, porykujący gniewnie i prychający, wyrzwał w burtę Lemana Russa. Przez pięć sekund jedna z gąsienic łomotała jęklonie w powietrzu uniesiona ponad powierzchnię drogi.

Znienacka obie gąsienice złapały kontakt z nawierzchnią i rozkołysany czołg Kleopasa ruszył raptownie do przodu.

- Staranuj to ! - krzyknął major.

- Sir ?

- Głuchy jesteś ?! Dawaj gazu ! Staranuj to ! - wrzasnął na swego kierowcę Kleopas.

Masywny Conqueror, noszący nazwę Serce Zniszczenia w nawiązaniu do ręcznie wymalowanego misternego emblematu zdobiącego jego przedni pancerz, obrócił się w miejscu z łoskotem gąsienic i uderzył zamontowanym z przodu spychaczem w nogi wielkiego chelona. Pchając przed sobą zwierzę wóz Kleopasa zdołał zepchnąć je z drogi, chociaż gruby pancerz czołgu uległ w trakcie tej operacji licznym wgięciom.

Piszczący rozpaczliwie chelon zsunął się z nawierzchni, przewrócił na grzbiet miażdżąc pod swym cielskiem ośmiu ukrytych w rowie melioracyjnym Infardich.

Serce Zniszczenia wpadło z dużą prędkością na podmokłe pole, spod gąsienic pojazdu tryskały wielkie fontanny wilgotnej ziemi. Podczas gdy ładowniczy i celowniczy posyłali pocisk za pociskiem w pobocze drogi, major wychylił się z wieżyczki i złapał za kolbę karabinu maszynowego. Omiatając lufą wolną przestrzeń przed czołgiem zaczął stębnować smugowymi pociskami pobliskie krzewy i kępy drzew. Jego manewr zdawał się przełamać morderczy impas. Trzy inne czołgi wytoczyły się na pobocze w ślad za maszyną Kleopasa likwidujących ukrytych w rowie melioracyjnym Infardi za pomocą broni maszynowej i pokładowych miotaczy ognia.

W ładowni zamkniętej ciężarówce wiozącej środki medyczne Ana Curth runęła płasko na podłogę. Seria laserowych wiązek przebiła cienką ścianę pojazdu szatkując drewniane skrzynki z lekarstwami i butle pełne różnobarwnych płynów. Drobiny szkła rozprysnęły się we wszystkich kierunkach. Lesp przypadł na kolana, z jego rozciętego policzka zaczęła sączyć się krew.

Dwaj Infardi zdołali się wdrapać do wnętrza samochodu ponad tylną klapę ładowni. Curth straciła pierwszego z nich kopniakiem w twarz, po czym wyszarpnęła z kieszeni otrzymany od Sorica pistolet i wypaliła z niego dwukrotnie. Drugi Infardi runął bezwładnie na podłogę wozu.

Lekarka odwróciła się w stronę Lespa chcąc sprawdzić obrażenia na twarzy sanitariusza. Dostrzegła błysk jego oczu, usta wykrzywione w alarmującym grymasie. W tej samej chwili ktoś pochwyił ją od tyłu i silnym szarpnięciem wywlókł na zewnątrz ciężarówkę.

Świat zawirował w oczach kobiety, jej serce ścisnęły szpony przerażenia. Runęła na ziemię twarzą w dół, ciągnięta bezceremonialnie za nogi, brutalnie szarpana i kopana z wszystkich stron. Czuła w nozdrzach odpychający odór ciał Infardich, kątem oczu dostrzegła przesuujące się po bokach sylwetki w zielonych uniformach.

Nagły rozbłysk niebieskiego światła, sykliwy dźwięk. Gorący płyn obryzgał skórę lekarki i leżąca wciąż na ziemi kobieta stwierdziła z profesjonalną rzeczowością, że pokrywa ją warstewka ludzkiej krwi. Przekręciła się w bok czując słabnący uścisk rąk prześladowców.

Źródło niebieskiego światła znów zalśniło gdzieś ponad jej głową, ktoś wrzasnął rozpaczliwie. Upadła płasko na brzuch i przetoczyła się w bok lądując na wysuniętych pod siebie łokciach. Stojący nad nią Ibram Gaunt ciał energetycznym mieczem niczym wytrawny fechtmistrz, szerokimi uderzeniami ostrza ścinając tłoczonych się wokół Infardich. Pułkownikomisarz zgubił gdzieś swoją czapkę, a jego uniform został w kilku miejscach podarty, ale w oczach mężczyzny Curth dostrzegła wyraźnie blask dzikiej furii. Dzierżył oburącz święty miecz pochodzący z Vervunhive, niczym antyczny heros, manifestacja zamierzonego mitu. Rozczłonkowane zwłoki piętrzyły się wokół oficera, piaszczysta powierzchnia drogi dosłownie spływała ludzką krwią w promieniu kilku metrów od dowódcy Duchów.

Bohater, pomyślała znienacka, po raz pierwszy uświadamiając sobie w pełni ten fakt. Do diabła z Lugo i jego zarzutami ! Człowiek stojący przed jej oczami był prawdziwym imperialnym bohaterem !

Zakrwawiony Lesp wychynął ponad głowę Gaunta kłękając na balustradzie paki medycznej ciężarówce i zaczął strzelać z karabinu w plecy uciekających zamachowców. Pułkownikkomisarz wbił swój miecz w nawierzaaa chnię drogi i złapał leżący tuż obok laser jednego z zabitych heretyków. Dołączył do kanonady Lespa kosząc krótkimi seriami napastników. Okryte zielonymi szatami sylwetki przewracały się na drogę lub osuwały w głąb rowu melioracyjnego.

Curth przemieściła się na czworakach do Gaunta, przypadła do ziemi tuż za jego plecami. Uznając swą obecną pozycję za relatywnie bezpieczną podniosła się na kolana i również zaczęła strzelać ze zdobycznego lasera. Daleko jej było co prawda do wprawy, z jaką posługiwali się bronią palną komisarz czy sanitariusz Lesp, ale i tak zdołała zabić kilku zdrajców. Gaunt, z zawziętą miną na posępnej twarzy, strzelał z morderczą skutecznością, która wprawiała w zachwyt każdego instruktora broni palnej.

- Nie krzyczałaś – oświadczył zniecierpliwiony mężczyzna nie zdejmując palca ze spustu.
- Czego ?
- Nie krzyczałaś, kiedy cię wlekli.
- To dobrze ? Dlaczego ?
- Strata energii, strata własnej godności. Jeśli cię zabili, nie dałabyś im żadnej satysfakcji.
- Och – wykrztusiła z siebie kobieta, nie bardzo wiedząc, w jaki sposób skomentować oświadczenie swego przełożonego.
- Nigdy sama z siebie niczego nie dawaj wrogowi, Ana. Wezmą tylko to, co zdołają, a i to dla nich zbyt wiele.
- Pańskie życiowe motto ? – zapytała posyłając jednocześnie entuzjastyczną, choć niezbyt celną serię w stronę kryjących się między drzewami Infardich.
- Tak – odpowiedział, jakby lekko zaskoczony faktem, że kobieta o coś tak oczywistego pyta. Odkrywając jego zdziwienie poczuła irracjonalną złość na samą siebie. Na siebie i swoją głupotę. To było tak oczywiste, że nie potrafiła sobie wybaczyć, iż nie zauważyła tego wcześniej. Tak właśnie postępował Ibram Gaunt. Gaunt – imperialny heros. Nie oddawaj dobrowolnie niczego. Nigdy. Nie trać czujności, nie ułatwaj nieprzyjacielowi życia. Bądź dzielny i dzielnie umrzyj. Takie jest twoje przeznaczenie.

W jego duszy nie krył się wyłącznie komisarz, lecz w pierwszym rzędzie wojownik, uświadomiła sobie nagle Curth. Oto właśnie podstawowa filozofia Gaunta. Dzięki niej żył, walczył i zmierzał ku śmierci, jaką szykował mu już nieznanym dotąd los. To ona uczyniła z niego niezmordowanego żołnierza, powszechnie poważanego dowódcę, budzącego respekt przeciwnika.

W sercu kobiety walczyły ze sobą jednocześnie ogromny żal i współczucie dla tego człowieka oraz bezbrzeżny podziw zarazem.

Ana Curth słyszała już plotki o haniebnej degradacji, która miała osiągnąć Gaunta po zakończeniu tej misji. To właśnie budziło jej największy żal. Wiedziała już, że dowódca Duchów był bez końca oddany swej sprawie i że nie spocznie przed ukończeniem zadania nawet w obliczu nieuniknionej osobistej porażki.

Gaunt pozostanie Gauntem aż do końca.

a

Pięćdziesiąt metrów dalej kapitan Herodas wypadł z płonącego wraka Salamandry na kilka sekund przed tym jak druga przeciwpancerna rakietka wystrzeliła pomiędzy gęstych zarośli rozrywając transporter na strzępy.

Niemal w tym samym momencie kula przestrzeliła pardusyckiemu oficerowi lewe kolano. Omal nie stracił przytomności pod wpływem potwornego bólu, zdołał jednak pokonać falę

fizycznego cierpienia. Tuż obok leżał twarzą do ziemi pardusycki żołnierz, wokół jego ciała rozlewała się kałuża gorącej krwi.

- Lezink ! Lezink !

Herodas próbował przewrócić swego podwładnego na plecy, ale jego ręce nie chciały słuchać poleceń słanych przez oszołomiony bólem mózg. Zerknął w dół i poczuł skrajne przerażenie na widok krwawiącej ruiny w miejscu swego kolana. Laserowe wiązki śmigły ponad jego głową. Sięgnął niepewnie po pistolet, ale jego rozpięta kabura okazała się pusta.

W oczach kapitana gromadziły się łzy, wywołane coraz silniejszym bólem. Zewsząd docierały do jego uszu dzikie wrzaski, huk wystrzałów, agonalne jęki.

Ziemia zaczęła dygotać zauważalnie. Herodas rozszerzył oczy dostrzegając dorastającego chelona, który wyłamał się ze stada pędząc w ślepej panice wprost na rannego kapitana. Zwierzę nie dorównywało jeszcze rozmiarami dorosłym osobnikom, a już ważyło dwie tony z okładem.

Pardusycki oficer zacisnął kurczowo powieki przygotowując się na zderzenie z dwustoma kilogramami żywej masy.

Cienki strumień czerwonej energii przemknął ponad drogą i uderzył w zwierzę z taką siłą, że chelon dosłownie grzmotnął o nawierzchnię szosy. Ładunek zdeintegrował spory fragment jego cielska przeistaczając olbrzyma w dymiącego mamuciego trupa, ociekającego stopionym tłuszczem.

Plazma, pomyślał Herodas. Po trzykroć przekłęci święci ! To plazma !

Uniósł głowę dostrzegając krępą sylwetkę komisarza Harka biegnącego z rozwianym długim płaszczem, ubrudzonego ziemią i piaskiem. Oficer polityczny Tanithijczyków wykrzykiwał krótkie komendy, kierując najbliższe drużyny Duchów w dół drogi i na flankę napastników. W swej prawej ręce ścisnął antyczny plazmowy pistolet.

Hark zatrzymał się zniemacka w miejscu przepuszczając trzy biegnące za sobą drużyny. Machając palcami nakazał gwardzistom rozproszenie się w tyralierę, po czym serią gestów posłał w ślad za Duchami dwa pardusyckie czołgi.

Obracając się na obcasach podniósł broń i skremował celnym strzałem Infardiego, który wychynął spomiędzy drzew z przyłożonym do ramienia karabinem.

Podszedł do Herodasa.

- Nie ruszaj się, pomoc jest już w drodze.

- Pomóż mi wstać, wciąż mogę walczyć – wycedził przez zaciśnięte z bólu zęby kapitan.

Hark uśmiechnął się nieznacznie.

- Pańska odwaga przynosi ci chlubę, kapitanie, ale możesz mi wierzyć, że nie udasz się nigdzie z wyjątkiem szpitala. Twoja noga jest w kiepskim stanie. Proszę się nie ruszać.

Komisarz odwrócił się i strzelił z pistoletu do jakiegoś celu, którego Herodas ze swego miejsca na ziemi nie potrafił dojrzeć.

- Oni są wszędzie – wyszeptał Pardusyta.

- Nie martw się, uciekają. Pogoniliśmy ich – oświadczył Hark chowając pistolet do kabury i przyklękając obok rannego gwardzisty z zamiarem założenia opatrunku na jego krwawiącą nogę.

- Bitwa skończona – pocieszył raz jeszcze kapitana, ten jednak stracił chwilę wcześniej przytomność.

a

Bitwa faktycznie dobiegła końca. Przytłoczeni siłą ognia lojalistów, pozostawiając w miejscu zasadzki trupy dwóch trzecich swego stanu liczbowego, napastnicy uciekli w zalesiony obszar za drogą, ścigani pociskami Leman Russów i seriami z automatycznych działek Hydr.

Przednia sekcja konwoju sprawiała okropne wrażenie: dwie zwiadowcze Salamandry i jeden transporter w wersji dowódczej dopalały się z trzaskiem płomieni, wioząca zaopatrzenie Chimera leżała na boku w rowie melioracyjnym, ogień trawił też dwa ciężarowe samochody. Zginęło dwudziestu dwóch Pardusytów, piętnastu Duchów oraz sześciu pracowników Munitorium. Sześciu Tanithijczyków i trzech Pardusytów zostało ciężko rannych, a osiemdziesięciu innych żołnierzy odniosło powierzchowne obrażenia.

Wsluchując się w składany drogą radiową raport o stratach Gaunt zawrócił w stronę swego transportera, podnosząc odnalezioną po drodze czapkę i wymieniając podarty płaszcz na ciasną skórzaną kurtkę. Usiadł w milczeniu na osłonie gąsienicy Salamandry czekając, aż spoceni żołnierze wyciągną z pojazdu ciała kierowcy i nawigatora.

Kłęby dymu wciąż ograniczały widoczność na drodze. Wszędzie wokół poniewierały się zwłoki heretyków i cielska chelonów. Niektóre zwierzęta nie żyły, inne drgały w agonii. Reszta stada umknęła z trwożnym porykiwaniem na podmokłe łąki znikając w półmroku zmierzchu. Do uszu Gaunta docierał trzask laserowych wystrzałów i stłumiony huk detonacji, dobiegający z pobliskich zagajników, gdzie pardusyccy czołgiści polowali na niedobitki napastników.

Słońce już zaszło i przestworza przyjęły barwę bardzo ciemnego fioletu. Podmuchy wiatru znad rzeki zaczęły kołysać koronami drzew. Konwój miał poważne opóźnienie czasowe w stosunku do rozkładu jazdy, zasadzkę przygotowano w miejscu położonym daleko od zaplanowanego punktu postoju. Kierowcy nie mieli szans, by dotrzeć do Mukretu przed zapadnięciem całkowitych ciemności.

Słyszając czyjeś kroki Gaunt uniósł głowę. Zbliżał się intendent Elthan, mężczyzna w zielonych szatach Departamento Munitorium kroczący z wyrazem pogardliwego niesmaku na twarzy.

- Coś takiego nie może zostać zaakceptowane, pułkownikukomisarzu – oświadczył zdecydowanie adept.
- Co takiego ?
- Straty, cały ten atak.
- Obawiam się, że nie nadążam za pańskim tokiem myślenia, intencencie. Wojna nie jest zjawiskiem, którego nie można zaakceptować. To przykre, tragiczne, przerażające i często bezsensowne, niemniej jednak taka jest jej natura.
- Ten atak ! – wysyczał Elthan odsłaniając poźółkłe zęby – Zostałeś wcześniej ostrzeżony ! Twoi zwiadowcy meldowali o obecności nieprzyjaciela ! Słyszałem to na własne uszy w radiu ! To nigdy nie powinno się było zdarzyć !
- Co próbujesz mi zasugerować, intencencie ? Że jestem odpowiedzialny za te ofiary ?
- Dokładnie coś takiego sugeruję ! Zignorowałeś zalecenia zwiadowców ! Kontynuowałeś...
- Wystarczy ! – przerwał mu Gaunt wstając z gąsienicy transportera – Gotów jestem uznać pańskie słowa za rezultat doznanego wstrząsu i braku stosownego doświadczenia. Zapomnijmy o tej przykrej wymianie zdań.
- Nic z tego ! – wrzasnął Elthan – Wszyscy wiemy o twojej porażce w Doctrinopolis ! Ten niekompetentny styl dowodzenia kosztował cię karierę ! A teraz...
- Menazoid Epsilon. Fortis Binary. Vervunhive. Monthax. Sapiencia. Nacedon.
- Obaj mężczyźni obrócili się w miejscu. Hark stał kilka metrów dalej obserwując ich zmrużonymi oczami.
- Czy to są inne przykłady niekompetentnego stylu dowodzenia, intencencie ?
- Elthan poczerwieniał i wybuchnął ze złością.
- Oczekiwałem pańskiego wsparcia w tej kwestii, komisarzu ! Czy nie został pan do nas przydzielony w celu nadzoru na tym... skończonym człowiekiem ?
- Pełnię tutaj obowiązki imperialnego komisarza – odparł chłodno Hark.

- Słyszał pan meldunki zwiadowców !

- Owszem – odparł Hark – Zostaliśmy ostrzeżeni o potencjalnej obecności nieprzyjaciela. Podjęliśmy standardowe środki zapobiegawcze. Pomimo tego wróg nas zaskoczył. Zdarzenie takie nosi nazwę zasadzki. Zdarza się czasami na wojnie. To element ryzyka, który wiąże się z uczestnictwem w militarnej operacji.

- Stajesz po jego stronie ? – wykrztusił Elthan.

- Pozostaję neutralny i obiektywny. Stwierdziłem tylko, że nawet najlepszy dowódca musi się liczyć ze stratami i ofiarami po swojej stronie. Sugeruję, by udał się pan teraz do swojego pojazdu i zajął się przygotowaniem konwoju do dalszej drogi.

- Nie...

- Owszem, nie zrozumie pan tego. Ponieważ nie jest pan żołnierzem, intendencie. Mamy takie powiedzenie na moim macierzystym świecie: czasami to ty dopadasz carniva, czasami zaś carniv dopada ciebie.

Rozwścieczony Elthan obrócił się na pięcie i odszedł. Gdzieś z przodu trzy pardusyckie czołgi opuściły swe zamontowane na pancerzu spychacze i z rykiem silników zaczęły usuwać z drogi cielska zdechłych chelonów. Przednie reflektory pojazdów świeciły w nocnych ciemnościach niczym miniaturowe księżyce.

- O co chodzi ? – zapytał Hark – Wyglądasz... sam nie wiem... na zaskoczonego ?

Gaunt potrząsnął głową nie odpowiadając na pytanie. Fakt, iż Hark stanął po jego stronie szczerze zdumiał pułkownikakomisarza. Elthan plótł stek bzdur, ale nawet on zdawał sobie sprawę z charakteru przydziału Harka. Wszyscy o tym wiedzieli. Komisarz był przedstawicielem Lugo, obserwatorem mającym dopilnować końca kariery Gaunta. Dowódca Duchów niewiele wiedział o pochodzeniu i przebiegu służby swego komisarza, ale tamten najwyraźniej doskonale odrobił swą pracę domową. W rozmowie z intendentem wymienił na głos najsłynniejsze akcje wojskowe Duchów i Gaunt gotów był uwierzyć, że w tonie komisarza dźwięczała nuta autentycznego szacunku.

- Przystudiowałeś moje akta, Hark ?

- Oczywiście. Zostałem przydzielony do Pierwszego Tanithijskiego jako oficer polityczny. Nie dopełniłbym swoich obowiązków, gdybym nie zaznajomił się wpierw z historią i zasługami regimentu. Nieprawdaż ?

- I czego dowiedziałeś się z tych studiów ?

- Że pomimo szeregu konfrontacji z wyższymi kręgami hierarchii wojskowej posiadasz podziwu godny przebieg kariery. Hagia to twoja pierwsza prawdziwa porażka, ale jest zarazem porażką tak ogromną, że zagroziła wszystkim twoim wcześniejszym dokonaniom.

- Doprawdy ? Ty również uważasz, że zasłużyłem na karę przegraną w Doctrinopolis ?

- Lord generał Lugo to lord generał, Gaunt. To najbardziej otwarta odpowiedź, jakiej mogę ci udzielić.

Gaunt skinął głową z nieprzyjaznym uśmiechem na ustach.

- Istnieje sprawiedliwość ponad szarżami, Hark. Slaydo w to wierzył.

- Niech jego dusza spoczywa w pokoju, a Imperator jej strzeże. Lecz to Macaroth jest teraz marszałkiem wojny.

Szczerść usłyszanych słów uderzyła Gaunta niczym młot. Po raz pierwszy pułkownikkomisarz poczuł w stosunku do Victora Harka coś innego niż tylko nienawistny jad. Przynależność do Imperialnej Gwardii oznaczała zarazem przynależność do skomplikowanego systemu posłuszeństwa, lojalności i dyscypliny. Często system taki wymuszał na jego członkach akceptację przekonań i metod postępowania, które stały w sprzeczności z ich własnymi odczuciami. Gaunt znał to z własnego doświadczenia, wieloaaa

krotnie zmuszony był do walki z regulaminowymi absurdami. Czyżby teraz przyszło mu dostrzec lustrzane odbicie siebie samego w innym komisarzu ? Czy też Hark był tylko niebezpiecznie przebiegłym przeciwnikiem ?

Druga opcja rodziła coraz silniejsze podejrzenia tanithijskiego dowódcy. Charyzma była od zawsze podstawowym narzędziem pracy każdego komisarza, a Harkowi wyraźnie jej nie brakowało. Potrafił wypowiedzieć właściwą frazę we właściwym momencie w celu uzyskania właściwego efektu. Czy zatem jedynie bawił się z pułkownikiemkomisarzem ?

- Wyzaczyłem kilka plutonów do zorganizowania pochówku zabitych – oświadczył Hark – Nie możemy zabrać ich ze sobą. Pogrzeb będzie szybki, konsekruje go kapelan Pardusytów. Większy problem stanowią ranni. Mamy dziewięciu ciężko poszkodowanych, w tym kapitana Herodasa. Doktor Curth poinformowała mnie, że co najmniej dwóch z nich nie dożyje jutra, jeśli nie znajdą się w szpitalu. Reszta umrze, jeżeli zabierzemy ich w dalszą drogę.

- Twoje sugestie ?

- Dzieli nas niecały dzień jazdy od Doctrinopolis. Proponuję poświęcić jedną ciężarówkę i odesłać rannych z powrotem do miasta, z kierowcą i kilkoma żołnierzami w charakterze eskorty.

- Popieram propozycję. Zorganizuj to, Hark, jeśli łaska. Wyznacz jednego kierowcę Munitorium i jednego Ducha, jednego dobrego żołnierza, który pojedzie z nimi jako obstawa.

Komisarz skinął z aprobatą głową. Przez chwilę obaj mężczyźni stali twarzą w twarz w całkowitym milczeniu i Gaunt zaczął już podejrzewać, że Hark zechce dodać coś jeszcze.

Lecz właśnie wtedy oficer polityczny odwrócił się odchodząc w ciemność nocy.

a

Mijała północ, kiedy ostatnie wozy straży honorowej wjechały do opustoszałego miasteczka Mukret. Obydwa księżycy stały wysoko na niebie, jeden mały i pełny, drugi w kształcie perfekcyjnego sierpa. Okalały je migotliwe punkciki gwiazd.

Gaunt spojrział w nocne niebo zeskakując z Salamandry. Światy Sabbat. Pole bitwy, na które przybył wraz z Slaydo tak wiele lat temu. Gwiezdna mapa krucjaty. Przez chwilę mężczyzna zmagał się z przemożnym wrażeniem, że los całej wojny stał się uzależniony od tego właśnie świata, od tej nocy, od tego małego kontynentu. Od niego samego.

Planety migoczące ponad jego głową nosiły nazwę Światów Sabbat, ponieważ Hagia była Jej światem. Jej domem. Żaden żołnierz nie mógł sobie wymarzyć bardziej chwalebnej końca służby. Slaydo by mi pogratulował, pomyślał z goryczą Gaunt. Slaydo życzyłby sobie samemu poprowadzić tę misję. Nie przyszło nam szturmować fortecznych światów ani unicestwiać legionów Nieprzyjaciela. Tak chwalebne zadania wydawały się niczym wobec zaszczytnego obowiązku, jaki spoczął na barkach Tanithijczyków.

Jechali po świętą.

AlfaAR zabezpieczyła puste miasteczko. Czołgi i transportery opancerzone toczyły się uliczkami z rykiem silników, oświetlając ściany budynków snopami światła reflektorów.

Główna ulica Mukretu pełna była parkujących pojazdów i wysiadających żołnierzy. Zapłonęły rozstawiane pod ścianami lampy, na peryferiach miasteczka stanęły wartownicze patrole.

Mkoll zasalutował nadchodzącemu dowódcy.

- Miał pan kłopoty, sir – stwierdził sierżant.

- Czasami to carniv dopada ciebie, sierżancie – odrzekł Gaunt.

- Sir ?

- Od jutra puścimy przodem silną czujkę pod twoją komendą. Czołgi, bez zbytecznego balastu.

- To nie w moim stylu, sir, ale skoro pan nalega, zgoda.

- Nalegam. Zostaliśmy zaskoczeni w trakcie drzemki. I przyszło za to zapłacić. Mój błąd.
- To nie był błąd, sir.
- Być może. Lecz teraz może być już tylko gorzej. Czujka, od Mukretu, o świcie. Obejmiesz komendę ?

Mkoll skinął niemo głową.

- Chcesz sam dobrać skład grupy czy zaufasz mi w tej kwestii ?
- Sierżant uśmiechnął się nieznacznie.
- Pan decyduje, sir. Już się do tego przyzwyczaiłem i niech tak pozostanie.
- Przedyskutuję tę kwestię z Kleopasem i przekażę ci nasze ustalenia.
- Obaj mężczyźni ruszyli wolnym krokiem poprzez zatłoczoną ulicę.
- Spotkałem po drodze pewnego człowieka – oświadczył Mkoll – Wędownego kapłana. Powinien pan z nim porozmawiać.
- By udzielił mi rozgrzeszenia ?
- Nie, sir. On... mówiąc szczerze nie mam pojęcia, kim on tak naprawdę aaa jest, ale sądzę, że przypadnie panu do gustu.
- W porządku – skinął głową Gaunt robiąc kilka kroków w bok i umożliwiając przejście grupie tanithijskich żołnierzy niosących w stronę peryferii miasteczka skrzynie z amunicją i rozmontowane moździerze.
- Przepraszam, sir – wystękał targający drewnianą skrzynię Larkin.
- Jak się masz, Larks ? – uśmiechnął się pułkownikkomisarz.
- Myślę cały czas o tym strasznym pechu Mila – odparł snajper.

Gaunt poczuł jak jego krew zastyga w żyłach. Przez jedną krótką przerażającą chwilę sądził, że w jakiś sposób przeoczył nazwisko Brina na liście poległych.

- Pechu ?
- Musiał wrócić z powrotem do miasta. Ominie go cała akcja.
- Gaunt podziękował żołnierzowi kiwnięciem głowy i przywołał do siebie sierżanta Baffelsa, dowódcę drużyny Brina.
- Gdzie jest szeregowiec Milo ?
- Pojechał do Doctrinopolis razem z rannymi. Myślałem, że pan o tym wie, sir – wyjaśnił z lekkim niepokojem Baffels.
- Hark go wyznaczył ?

Baffels potwierdził ruchem głowy.

- Powiedział, że potrzebuje pan dobrego żołnierza do ochrony rannych.
- W porządku. Wracajcie do swoich obowiązków, sierżancie.

Gaunt przepchnął się poprzez tłum żołnierzy i udał się ku rzece. W jej mrocznych wodach odbijało się księżycowe światło, nad gwarem ludzkich głosów rozbrzmiewały dźwięki wszędobylskich insektów i rzecznych płazów.

Milo. Gaunt często żartował o roli maskotki, jaką przyszło pełnić Milowi w regimencie. Z pobłażliwością akceptował przesądne opinie wielu żołnierzy na ten temat, lecz w głębi duszy w pewnym stopniu podzielał ich zdanie. Milo był pobłogosławionym przez los człowiekiem, a przy tym wydawał się roztaczać wokół aurę utraconego na zawsze Tanith. Był jedynym, ostatnim już łącznikiem z przeszłością Duchów.

Z tego właśnie powodu pułkownikkomisarz trzymał chłopca zawsze przy sobie, chociaż otwarcie nigdy by się do tego nie przyznał.

Hark wyznaczył Brina do eskorty transportu rannych. Przypadek ? Zbieg okoliczności ? Czy też zamierzone działanie ?

Komisarz zdążył się już przyznać, że przestudiował dokładnie dossier Gaunta. Musiał zatem wiedzieć, jak chłopiec był ważny dla psychicznego komfortu Duchów. Dla komfortu samego Gaunta.

Pułkownikkomisarz nie mógł się oprzeć wrażeniu, że padł ofiarą rozmyślnie zaplanowanego podstępu. Co gorsza, gnębiło go przecucie nieuniknionej porażki. Po raz pierwszy w historii jednostki szli do akcji bez Mila. Gaunt wiedział już, że misja ta miała być zarazem jego ostatnią operacją.

Z przerażającą pewnością siebie uznał, że powierzone mu zadanie mogło się nie powieść. Że mogło zakończyć się jeszcze potworniejszą porażką.

a

Daleko w tyle za konwojem, poprzez ciemność nocy pędziła z warkotem silnika samotna ciężarówka. Zmierzała w stronę Doctrinopolis.

Początkowo Milo zamierzał spędzić podróż w kabinie kierowcy, jednakże mrukliwy pracownik Munitorium prowadzący wóz okazał się wyjątkowo mało komunikatywny, a przy tym najwyraźniej gnębiły go problemy z układem trawiennym. Roztaczany przez mężczyznę zapach skutecznie zniechęcił Mila do jakiegokolwiek formy konwersacji.

Szeregowiec przesiadł się zatem na pakę, pomiędzy wiezionych rannych.

Komisarz Hark wyznaczył go do roli eskorty i chłopak zachodził w głowę rozmyślając nad motywami tej decyzji. Każdy inny żołnierz mógł podjąć te zadanie. Milo obawiał się skrycie, że być może Hark nie uważał go do końca za prawdziwego Ducha. Pomimo noszonego munduru część Tanithijczyków wciąż uważała go za półcywila. Sama myśl o tym wzbudzała w Brinie złość. Był cholernym imperialnym gwardzistą i gotów byłby dowieść tego choćby i za pomocą pięści. Co gorsza, jego gniew podsyciała świadomość faktu, iż został wskutek tej decyzji pozbawiony możliwości udziału w ostatniej misji Duchów pod komendą Ibrama Gaunta. Wątpił, by zlecone im zadanie kryło w sobie wielką chwałę, lecz mimo wszystko zasługiwał na to, by do końca zostać z resztą swego regimentu.

Czuł się oszukany.

Potem, kiedy obserwował refleksy księżycowego światła na powierzchni rzeki, naszała go nieoczekiwane myśl, czy to aby nie Gaunt kazał Harkowi wyznaczyć go do roli eskorty. Ostatnia rozmowa z dowódcą przed wyruszeniem w misję wciąż gnębiła serce chłopca. Czy pułkownikkomisarz faktycznie mógł zażądać jego odesłania ?

Większość rannych była nieprzytomna lub spała. Milo usiadł w tylnej części paki, obok kapitana Herodasa. Pardusycki oficer był trupioblady z powodu utraty krwi i szoku urazowego. Duch zaczynał szczerze się obawiać, aaa że Herodas nie dotrze żywy do Doctrinopolis pomimo poczynionych wcześniej wysiłków doktor Curth. Stracił tak wiele krwi.

- Niech pan mi tu nie próbuje umierać, sir – syknął pozornie obrażonym głosem Milo.
- Nie zrobię ci tego, słowo daję – odparł słabo oficer.
- To tylko ciężka rana. Poskładają pana z powrotem. Dostanie pan świetne cybernetyczne kolano, to pewne !

Herodas spróbował się roześmiać, ale z jego spierzchniętych ust nie wydobył się żaden dźwięk.

- Sierżant Varl, jeden z moich przyjaciół, ma cybernetyczne ramię. Jeden z najnowszych modeli wszczepów.

- Doprawdy ? – wyszeptał Herodas. Milo cieszył się, że kapitan odpowiada. Czuł, że musi ciągnąć tę rozmowę, bez względu na to jak nonsensowne tematy miałby poruszyć. Bał się, że pozostawiony samemu sobie Herodas zaśnie, by się już więcej nie obudzić.

- Tak, sir ! Najnowszy model ! Uważa, że może teraz rozgniatać orzechy wkładając je pod pachę.

Herodas zachichotał z wysiłkiem.

- Wracając z nami przeoczysz całą zabawę – powiedział poważniejąc.

Milo skrzywił się z żalem.

- Niewiele w tej misji zabawy. Ostatnie zadanie pułkownikakomisarza. Żadna to chwała dla nas, sir.
- To dobry człowiek – wymamrotał kapitan zmieniając pozycję ciała na tyle, na ile pozwalał mu ból – Świetny oficer. Nie zdążyłem go dobrze poznać, ale z tego co widziałem wnioskuję, że byłby to dla mnie zaszczyt służyć pod jego rozkazami.
- Wykonuje swoje obowiązki – odparł Milo.
- Robi dużo więcej. Vervunhive ! Czytałem raporty na ten temat. Cóż za akcja ! Co za styl dowodzenia ! Ty też tam byłeś ?
- Walczyłem o każdy cholerny habitat, sir !

Herodas chrząknął przełykając ślinę, uśmiechnął się nieznacznie.

- To coś, co można wspominać do końca życia. Z czego można być naprawdę dumnym.
- Dla nas to zwyczajna akcja – skłamał Milo czując jak w jego oczach wzbierają gorące od gniewu łzy.
- Chwałę taką jak ta zabierzesz ze sobą aż do grobu, żołnierzu – oświadczył Herodas, po czym umilkł zamykając oczy.
- Kapitanie ? Kapitanie ?
- Tak ? – wykrztusił Herodas mrugając rozpaczliwie powiekami.
- Ja... nic. Widzę światła. Widzę Doctrinopolis. Jesteśmy prawie na miejscu.
- To dobrze, żołnierzu.
- Milo. Nazywam się Milo, sir.
- Dobrze, Milo. Opowiedz mi, co widzisz.

Gwardzista podniósł się na nogi i wyrzwał ponad kabiną ciężarówki przesuwając spojrzeniem po jaskrawych płomieniach gorejących w odległej Cytadeli. W ciemnościach nocy jaśniały niczym ognisko sygnałowe wskazujące zagubionym wędrowcom drogę.

- Widzę święte miasto, sir.
- Naprawdę ?
- Tak. Widzę światła.
- Jak chciałbym tam już być – wyszeptał Herodas.
- Sir ? Co pan powiedział ? Sir ? – Milo spojrział za siebie trzymając się kurczowo metalowej obudowy kabiny.
- Nazywam się Lucan Herodas. Nie zwracaj się do mnie per sir. Mów do mnie po imieniu.
- Dobrze, Lucanie.

Herodas pokiwał głową.

- Powiedz mi, co widzisz, Milo.
- Widzę bramy miasta. Widzę dachy i wieże. Widzę świątynie i płomienie lamp na ich kopułach.

Lucan Herodas nie odpowiedział. Ciężarówka przemknęła z rykiem silnika pod łukiem Bramy Pielgrzymów. Nad horyzontem pojawił się właśnie wąski pas blasku zdradzający nadejście świtu.

Dziesięć minut później samochód hamował z piskiem opon na dziedzińcu zachodniego stołecznego szpitala.

Herodas już wtedy nie żył.

Rozdział VIII – Ranni

„Jak ja sama zostałam wezwana do czynienia woli boskiej, bądźcie i wy gotowi, kiedy was wezwę” – święta Sabbat.

- Piękny mamy dziś poranek, Colm, ty stary draniu – oświadczył Dorden wchodząc do małego pokoiku zarezerwowanego dla drugiego najwyższego rangą oficera Tanithijczyków. Światło wczesnego poranka sączyło się do pomieszczenia przez zaciągnięte zasłony. Ciepłe powietrze niosło ze sobą zapowiedź słonecznego upalnego dnia. Zapach lekarstw przesycał całe otoczenie.

Nie padła żadna odpowiedź, ale Corbec słynął z kamiennego snu.

- Dobrze się wyspałeś ? – zapytał konwersacyjnym tonem Dorden omijając przysłonięte moskitierą łóżko. Lekarz miał nadzieję, że jego spokojny głos wybudzi pułkownika pozwalając przeprowadzić rutynowe badania. Wszyscy członkowie personelu medycznego wiedzieli, że co najmniej jeden sanitariusz został już zdzielony pięścią w nos za zbyt gwałtowne budzenie przełożonego.

Dorden podniósł z blatu stolika niewielką fiolkę środków znieczulających.

- Colm ? Jak ty możesz spać przy całym tym zgiełku ?

Hałas tworzony przez zmierzające do punktów ewakuacyjnych jednostki rozbrzmiewał przez całą noc, w dzień zaś jeszcze przybrał na sile. Od strony ulicy dobiegał warkot silników i gwar ludzkich głosów. Co pół godziny nad Doctrinopolis rozlegał się stłumiony huk rakietowych napędów wieszczących odlot w kierunku orbity kolejnego statku transportowego.

Zbudowana w gotyckim stylu bryła Scholam Medicae Hagias wznosiła się na zachodnim brzegu świętej rzeki, naprzeciw Uniwersytetu, w jednej z gęściej zaludnionych części metropolii. Pełniące rolę uczelnianego szpitala i placówki edukacyjnej zarazem Scholam Medicae zostało z miejsca przejęte pod kontrolę imperialnych sił wyzwoleniczych. Tu właśnie utworzono główny szpital dla personelu wojskowego.

- Co śmieszne, ja sam mam spore kłopoty ze spaniem – powiedział do siebie samego Dorden, podrzucając fiolkę w zamyśleniu na dłoń – Za dużo snów. Ostatnio cały czas śnię o synu. Mikal nawiedza mnie każdej nocy. Mam wrażenie, że próbuje mi coś powiedzieć, chociaż nie wyrzekł dotąd ani słowa.

Za niewielkimi oknami pokoju wybuchła jakaś sprzeczka, podniesione głosy debatowały nad jakimś tematem nie stroniąc przy tym od ostrych inwektyw. Lekarz odsunął zasłony, wychylił się ponad parapetem.

- Uspokójcie się ! – krzyknął w stronę ulicy – To podobno jest szpital ! Jak ludzie mają się leczyć w takich warunkach ?!

Awantura ucichła z miejsca. Doktor odwrócił się twarzą do przesłoniętego moskitierą łóżka.

- Nie jest to aby za lekkie ? – powiedział z naganą w głosie potrząsając fiolką tabletek przeciwbólowych – Chyba wzięłeś ich za dużo, Colm. Nie powinieneś przesadzać z tymi lekami, to bardzo silne farmaceutyki. Jeśli zażyjesz zbyt dużą dawkę...

Tknięty niepokojem lekarz postąpił krok do przodu i odsunął moskitierę na bok. Łóżko było puste – wymięte i nie pościelone, ale puste.

- Co do jasnej... – Dorden zmełł w ustach przekleństwo.

a

Bazylika Macharius Hagia górowała ponad wschodnim krańcem targowiska Holyditch. Ściany jej czterech pięter wyłożone były płytami z szarozielonego ashlaru, kamienia sprowadzanego przez miejscowych rzemieślników spoza Hagii, silnie kontrastującego z różową barwą lokalnego budulca. Na wielkim postumencie przy wejściu do bazyliki stała wielka statua lorda Solara w pełnym pancerzu, z energetycznymi szponami uniesionymi ku niebu w geście tryumfu lub gniewu.

W środku, z dala od żaru słonecznych promieni, panował przyjemny chłód i półmrok. Pokrzykujące cicho ptaki przelatywały z łopotem skrzydeł pomiędzy otworami rozbitych okien, kręcąc się w cieniu stropowych belek i wykuszy.

Pomimo wczesnej pory w świątyni panował ożywiony ruch. Ubrany w niebieskie szaty ayatani kręcił się przy ołtarzu czyniąc przygotowania do porannego nabożeństwa. Esholi przemierzali główną nawę bazyliki udzielając pomocy setkom gromadzących się wewnątrz pielgrzymów. Od wschodniej części świątyni podmuch wiatru przyniósł zapach świeżego pieczywa i warzywnej zupy, gotowanej w sąsiadujących z bazyliką publicznych kuchniach wydających wiernym dwa razy dziennie darmowe posiłki.

Zapach jedzenia uświadomił Banowi Daurowi pustkę w żołądku. Kiedy aa

kapitan kuśtykał powolnie pomiędzy tłumem pielgrzymów, poczuł zniechęcające silne skurcze brzucha. Przystanął w miejscu, oparł się na ściskanej kurczowo lasce czekając, aż chwilowy dyskomfort minie. Nie jadł zbyt dużo od dnia, w którym odniósł ranę – nie robił zresztą wielu innych rzeczy od tamtej chwili. Personel medyczny zakazał mu nawet wstawać z łóżka, ale Duch uznał, że sam lepiej wie, co dla niego dobre, a co złe. Czuł się silny, wypoczęty. I czuł się też szczęściarzem. Rytualne ostrze heretyka prześlizgnęło się po jego sercu. Lekarze obawiali się, że na jednej z komór organu mogło powstać mikroskopijne nacięcie, które pod wpływem zbyt intensywnego i przedwczesnego wysiłku groziło rozdarciem tkanki sercowej.

Kapitan nie potrafił leżeć beczynnym w łóżku. Ten świat, Hagia... jego los dobiegał końca. Ulice stolicy pełne były żołnierzy i wojskowych pojazdów zmierzających na lądowiska. Cywile pakowali w pośpiechu pozostałości swego dobytku. Powietrze wydawało się przesycone strachem i niepewnością jutra.

Zrobił kilka kroków, ale zaraz przystanął ponownie. Ciągle kręciło mu się w głowie, a łagodny dotąd ból w klatce piersiowej przybrał na sile.

- Wszystko w porządku, sir? – zapytał przechodzący obok esholi, nastoletni chłopiec w kremowobiałych szatach. W jego oczach pojawił się błysk zaniepokojenia.

- Może pomóc panu usiąść?

- Mmm... być może to dobry pomysł. Chyba nie za dobrze ze mną.

Student ujął oficera pod ramię i zaprowadził go w stronę najbliższej ławki. Daur usiadł na wolnym miejscu uśmiechając się z wdzięcznością.

- Jest pan bardzo błydy, sir. Czy wolno panu opuszczać szpital?

- Chyba nie. Dziękuję za pomoc. Posiedzę tu trochę i odpocznę.

Esholi skinął bez słowa głową i oddalił się w stronę ołtarza. Daur zauważył go kilka minut później w towarzystwie kilku ayatanych, rozmawiając z nimi i wskazując dłonią w stronę żołnierza.

Ignorując spojrzenia kleryków Daur wbił wzrok w główny ołtarz. Martwił się kłopotami z oddychaniem. Nagły wysiłek pozbawił go tchu w piersiach i teraz nie potrafił ustabilizować oddechu, bo każde zaczerpnięcie powietrza w płuca oznaczało ostry atak bólu.

To zresztą nie było najgorszym problemem. Nóż wbity w pierś nie był najgorszym problemem, podobnie jak konieczność tkwienia w stolicy w czasie, gdy Duchy wykonywały swą ostatnią bojową misję.

Nie, najgorsze było to, co działo się w głowie kapitana i co nie chciało się skończyć.

Usłyszał ostrą wymianę słów gdzieś opodal. Odwrócił głowę w tamtym kierunku, podobnie jak wszyscy siedzący wokół wierni. Dwaj ayatani dyskutowali z grupą oficerów w mundurach ardeleańskich gwardzistów. Jeden z imperialnych żołnierzy wskazywał ręką główny relikwiarz bazyliki.

- ...ale to nasze święte dziedzictwo! Nie macie prawa obrabować tego błogosławionego przybytku!

W ciągu ostatnich dwóch dni Daur miał okazję wielokrotnie usłyszeć podobne słowa. Pomimo heretyckiego zła zmierzającego w stronę Hagii z misją jej nieodwracalnego unicestwienia tylko nieliczni mieszkańcy planety godzili się na ewakuację. Co gorsza, wielu ayatani uznało opróżnianie kościelnych skarbców z ikon i relikwii za akt świętokradztwa. Lord generał Lugo pozostawał niewzruszony i Daur zastanawiał się pośpiesznie, ile jeszcze czasu upłynie, zanim pierwszy Hagianin zostanie aresztowany lub na miejscu rozstrzelany za sprzeciw wobec imperialnego dekretu.

Kapitan odczuwał ogromną sympatię w stosunku do hagiańskich wiernych, chwilami odnosił wręcz wrażenie, że jego rana stała się jakimś spiritualistycznym katalizatorem. Zawsze uważał się za odpowiedzialnego sługę Imperium, dotąd nie myślał o sobie jako człowieku zbyt... pobożnym.

Aż do tej pory. Aż do walk o stolicę Hagii. Do tego przerażającego momentu, kiedy sztylet rebelianta utkwiał pomiędzy żebrami Daura. To go zmieniło, ten kontakt ostrej stali z gorącą ludzką krwią. Miał wcześniej sposobność słyszeć o ludziach przechodzących religijną transformację. Sama świadomość tego faktu budziła w nim lęk. Nachodziły go myśli, których dotąd nie znał.

Nie mógł się opędzić od poczucia desperackiej potrzeby zrobienia czegoś, czego nie wiedział. Pokuścił się ze szpitala do najbliższej świątyni wiedziony nadzieją, że tam znajdzie odpowiedź na swoje pytanie, ale wyprawa ta w niczym mu nie pomogła. Zresztą sam nie bardzo wiedział, czego po niej oczekiwać. Jakiegoś znaku z niebios? Proroctwa?

Rozum podpowiadał mu, że to złudne nadzieje.

Westchnął i zamknął na chwilę oczy. O szóstej wieczorem miał opuścić stolicę na pokładzie statku ewakuacyjnego, wraz z resztą mogących poruszać się samodzielnie rannych. Nie chciał myśleć o tej chwili, zbyt mocno kojarzyła mu się z ucieczką.

Kiedy otworzył oczy, pod głównym ołtarzem dostrzegł dziwnie znajomą sylwetkę stojącą w tłumie pielgrzymów. Jej widok okazał się dla kapitana tak wielkim zaskoczeniem, że Vervuńczyk musiał zamrugać kilkakrotnie chcąc się upewnić, że to nie złudzenie.

Wzrok go jednak nie mylił. To był Colm Corbec, klęczący z lewą ręką na temblaku, w czarnej kurtce o pustym rękawie zwisającym luźno wzdłuż torsu.

Daur czekał cierpliwie. Corbec podniósł się po kilku minutach z klęczek, odwrócił i spostrzegł siedzącego w ławce kapitana. Na twarzy olbrzyma pojawił się wyraz bezbrzeżnego zdumienia. Pułkownik natychmiast ruszył w kierunku swego podwładnego.

- Nie sądziłem, że cię tu spotkam, Daur.

- Ja nie spodziewałem się zobaczyć tu pana, pułkowniku.

Corbec usiadł obok Vervuńczyka.

- Czy ty aby nie powinieneś leżeć w łóżku? – zapytał – No co? Co w tym takiego śmiesznego?

- Bo właśnie chciałem zadać takie same pytanie.

- No cóż... – mruknął Corbec – Znasz mnie przecież. Nie wytrzymałbym bezczynnego leżenia.

- Jakież wieści od straży honorowej?

Corbec pokręcił przecząco głową.

- Ani słowa. Feth. Ale...

- Ale?

- Nic.

- No dalej, coś pan zaczął mówić.

- Coś, czego chyba byś nie zrozumiał, Daur.

- W porządku.

Obaj siedzieli przez dłuższą chwilę w milczeniu.

- Słucham ? – Daur przekręcił zniecierpliwioną głowę spoglądając na Corbeca.
- Słucham ? – powtórzył pytanie pułkownik.
- Odezwał się pan.
- Ja ? Ani słowem.
- Słyszałem. Powiedział pan...
- W ogóle nie otwierałem ust, Daur.
- Powiedział pan „Męczeństwo Sabbat”. Słyszałem wyraźnie.
- To nie ja. Nic nie mówiłem.

Daur podrapał się ze zmieszaniem po policzku.

- Dobrze, zapomnijmy o tym.
- Co to... co to były za słowa ?
- Męczeństwo Sabbat. Albo coś bardzo podobnego.
- Hmm.

Ponownie umilkli. Zgromadzony za ołtarzem chór zaczął śpiewać, melodyjne głosy niesły się po wnętrzu bazyliki.

- Jesteś głodny, Ban ?
- Umieram z głodu, sir.
- Chodźmy do publicznej kuchni, zjemy jakieś śniadanie.
- Myślałem, że kuchnia świątynna jest przeznaczona tylko dla pielgrzymów.
- Bo jest – odparł z enigmatycznym uśmiechem Corbec – Chodźmy.

a

Otrzymali miski rybnej zupy i pajdy chrupiącego chleba, po czym usiedli wraz z innymi wiernymi w długiej sali jadalnej zbudowanej z różowego kamienia. Daur spostrzegł dwie niewielkie tabletki wyciągnięte przez Colma z kieszonki kurtki, połknięte wraz z pierwszą łyżką zupy.

Kapitan nie skomentował swego odkrycia.

- Coś jest nie tak z moją głową, Ban – oświadczył raptownie Corbec, z pełnymi zupy ustami – Coś się dzieje w mojej głowie... a może w sercu czy kto tam wie, gdzie jeszcze... To trwa od czasu, kiedy złapał mnie Ojciec Sin, niechby w piekle zgnił skurwysyn.

- A co to takiego ?

- Coś, z czymś człowiek taki jak ja... czy jak ty... nie potrafi sobie poradzić. Chodzi głównie o sny. Śni mi się mój ojciec, na Tanith, za starych lat.

- Wszystkim nam śnią się macierzyste światy – odparł ostrożnie Daur – To efekt uboczny służby w Gwardii.

- Wystarczy, Ban. Słyszałem o tym syndromie, dostatecznie długo należę do Gwardii. Ale nigdy wcześniej nie miałem snów takich jak te. One... sprawiają wrażenie przesłania. Jakby... ech, sam nie wiem – Corbec wzruszył bezradnie ramionami nie potrafiąc dobrać odpowiednich słów.

- Jakby ktoś próbował panu coś powiedzieć ? – wyszeptał Daur – Coś bardzo ważnego ? Coś, co trzeba niezwłocznie uczynić ?

- Feth ! – mruknął poruszony Corbec – Dokładnie o coś takiego chodzi ! Skąd o tym wiedziałeś ?

Daur wzruszył ramionami, odłożył na blat stołu miskę.

- Nie potrafię tego wytłumaczyć. Czuję coś podobnego. Nie uświadomiłem sobie tego w pełni do teraz... do kiedy pan to opisał. Ja dla odmiany nie mam snów, w ogóle nic mi się nie śni. Ale to przecucie... że koniecznie muszę coś zrobić.

- Feth – mruknął ponownie Corbec.

- Jak pan myśli, czy obaj postradaliśmy zmysły ? Może powinniśmy poszukać kleryka, który by nas wysłuchał ? Konfesora... a może psychiatry ?

Corbec wycierał miskę kromką chleba.

- Nie sądzę – oświadczył – Nie mam kapłanom niczego do wyznania. Niczego, czego już nie powiedziałem tobie.

- Więc co zrobimy ?

- Nie wiem do końca, co robić, ale jedno jest pewne: za nic nie wsiądę dziś wieczorem do tego cholernego promu.

a

Ukradł kilka godzin snu w rogu sali recepcyjnej zachodniego szpitala miejskiego. Kiedy jednak słońce podniosło się w górę i uliczny zgiełk przybrał rozmiary uniemożliwiające dalszy odpoczynek, Brin Milo zawiesił na ramieniu plecak i karabin, po czym wyszedł ze szpitala zmierzając Drogą Amad w kierunku centrum Doctrinopolis.

Hark kazał Duchowi zameldować się w sztabie Gwardii zaraz po odstawieniu rannych do szpitala. Tam miał się postarać o bilet wstępu na jeden z ewakuacyjnych wahadłowców.

Stolica sprawiała wrażenie ogarniętej powszechnym szaleństwem. Koniec walk o miasto sprawił, że jego ulicy zapełniły się tłumem ludzi, kołowych pojazdów, zaprzęgów i lektyk niesionych przez serwitörów, procesjami wiernych, pielgrzymów, protestantów, uchodźców. Doctrinopolis przywodziło na myśl kopiec insektów gotowych opuścić schronienie w poszukiwaniu miejsca na nową kolonię.

Milo miał przed oczami ostatnie godziny życia Tanith Magna, pamiętał doskonale tę samą atmosferę panicznej aktywności. Wspomnienia nie były krzepiące, nie były przyjemne. Chłopak zdecydował, że chce jak najszybciej opuścić to miasto – dostać się na prom i odlecieć na orbitę.

Nic go już tutaj nie trzymało.

Breviański żołnierz kierujący ruchem na jednym ze skrzyżowań poinformował Ducha, że centrum koordynacji ewakuacyjnej znajduje się w królewskim pałacu letnim, ale potworny tłok na dojazdowych arteriach skutecznie zniechęcił Milo do udania się w tamtym kierunku.

Ponad dachami Doctrinopolis śmigaly wahadłowce, para myśliwców marynarki przeleciała z głuchym hukiem silników ponad chmurami.

Milo zawrócił w stronę Schola Medicae, gdzie przebywali tanithijscy ranni. Zdecydował, że odnajdzie swoich, może nawet pułkownika Corbeca. Odleci razem z nimi.

a

- Brinny, mój chłopcze ! – huknął czyjś rozradowany głos i młody żołnierz został poderwany z ziemi w niedźwiedzim uścisku.

- Bragg ! – roześmiał się Milo.

- Co ty tutaj robisz, synku ? – zapytał Bragg stawiając przyjaciela z powrotem na podłogę.

- Długa historia – odparł Milo – Jak z twoją ręką ?

Bragg zerknął znacząco na grubo obandażowaną prawą rękę.

- Jakoś się goi. Cholerni medycy nie pozwolili mi dołączyć do honorowej straży. I jeszcze twierdzą, że wygrałem szczęśliwy bilet na ewakuację. A przecież nie jest ze mną źle, wciąż dałbym sobie radę z bronią.

Milo ogarnął ręką zatłoczony korytarz Scholam Medicae Hagias.

- Kto jeszcze z naszych tu został ?

- Kilka osób. Wszyscy w kiepskim stanie. Gdzieś tu jest pułkownik, ale go jeszcze dzisiaj nie widziałem. Mam łóżko obok Derina. Chłopak strasznie psiochy na swój parszywy niefart.

- Spróbuję odnaleźć pułkownika. W której leżycie sali ?
- Szóstej.
- Przyjdę do was później.
- Trzymam za słowo.

Milo zaczął się przeciskać między postaciami w czerwonych fartuchach, szpitalnymi wózkami, wśród odoru starej krwi i środków dezynfekujących. Minął kilka wejść do wielkich sal, w których łóżko przy łóżku leżeli ciężko ranni gwardziści. Kilku z nich należało do tanithijskiego regimentu, Milo dostrzegał znajome twarze. Wszyscy okazali się nieprzytomni lub zbyt ośpieni narkotykami, by go rozpoznać. Po serii pytań skierowanych do sanitariuszy i szpitalnych serwitorków Milo zlokalizował biuro Dordena, znajdujące się na trzeciej kondygnacji budynku. Podchodząc do drzwi pokoju doktora szeregowiec wyraźnie słyszał dobiegające zza nich podniesione ludzkie głosy.

- ...nie możesz wstawać i wychodzić, kiedy tylko uznasz, że masz na to ochotę ! Na litość boską ! Ty jesteś ranny, człowieku ! Jak to ma się goić, skoro wciąż poddajesz ciało obciążeniom ?!

Zduszona odpowiedź, niezrozumiała, mrukliwa.

- Nie uspokój się ! Zdrowie członków regimentu jest moim priorytetem i moim obowiązkiem ! Nie złamałbyś nigdy rozkazu Gaunta, ale co ci pozwala sądzić, że możesz łamać moje polecenia ?!

Milo wszedł ostrożnie do pokoju. Corbec siedział na stołku zwrócony twarzą w stronę drzwi, toteż jego oczy rozszerzyły się ze zdumienia na widok młodego Ducha. Zdenerwowany Dorden stał plecami do gościa, ale dostrzegł spojrzenie pułkownika i obejrzał się gwałtownie przez ramię.

- Milo ?

Corbec zerwał się z krzesła.

- Co się stało ?! Straż honorowa ! Co się stało, na fetha ?!

- Wpadliśmy w zasadzkę wczoraj wieczorem. Paru żołnierzy zostało ciężko rannych, oficer medyczny Curth kazała odstawić ich z powrotem do miasta. Komisarz Hark kazał mi dołączyć do nich jako eskorta. Przyjechaliśmy o świcie.

- Zamierzasz wrócić do konwoju ?

Milo pokręcił z żalem głową.

- Już ich nie dogonię, pułkowniku. Otrzymałem rozkaz uczestnictwa w procedurze ewakuacyjnej.

- I co z Duchami ? Poza tą zasadzką, rzecz jasna ?

- Nie jest aż tak źle. Do zmierzchu powinni byli dotrzeć do Mukretu.

- Ilu straciliśmy ludzi ? – zapytał łagodnie Dorden. Jego gniew wyparował bez śladu.

- Czterdziestu trzech zabitych, piętnastu z nich to nasi. Sześciu spośród przywiezionych rannych to Duchy.

- Brzmi kiepsko.

- To był moment, klasyczna zasadzka.

- Pokaż mi na mapie, gdzie się to stało – polecił Corbec.

- A po co ? – warknął Dorden – Już ci powiedziałem, że nigdzie nie pojedziesz. Z wyjątkiem lądowiska dziś wieczór. Zapomnij o reszcie, Colm. Mówię serio. Jesteś teraz pod moją komendą, a jeśli nawet bym ci uległ, Lugo zażąda mojej głowy za coś takiego. Zapomnij o tym.

Zapadła ciężka cisza.

- Zapomnij... o czym ? – zaryzykował pytanie Milo.

- Nawet nie próbuj odpowiadać ! – krzyknął Dorden.

- Chłopak tylko spytał, doktorze – odparował Corbec.

- Chcesz wiedzieć, Milo ? Chcesz wiedzieć ? – Dorden aż się trząsał ze złości – Nasz kochany pułkownik wpadł na świetny pomysł... Nie, zacznijmy od początku. Nasz kochany pułkownik jest święcie przekonany, że zna się na kwestiach opieki medycznej lepiej ode mnie i wyszedł sobie dziś rano ze szpitala ! Poszedł się powłóczyć po mieście ! Nawet nie powiedział nikomu, gdzie się wybiera. A potem wrócił i oświadczył mi, że zamierza wybrać się w góry !

- W góry ? – zamrugał zaskoczony Milo.

- Bo to podobno bardzo ważne ! Ten oto człowiek wbił sobie w swą grubokościstą czaszkę, że musi dokonać czegoś niebywale ważnego ! Coś, czego Gaunt, półbrygada pancerna i trzy tysiące piechurów zrobić bez niego nie mają szans !

- Bądź uczciwy, czegoś takiego nie powiedziałem...

Dorden nawet nie skomentował uwagi Corbeca, zbyt zaprzątnięty wylewaniem żalów na głowę oszołomionego szeregowca.

- On chce złamać rozkazy. Moje rozkazy. Rozkazy lorda generała. Nawet rozkaz samego Gaunta. Zamierza zignorować nakaz ewakuacji wyznaczony na dzisiejszy wieczór i pojechać za Gauntem w Święte Szczyty ! Na własną rękę ! Bo ma przecucie !

- Nie na własną rękę – burknął Corbec.

- Nawet nie próbuj mi czegoś takiego mówić ! Skaperowałeś innego niedorozwiniętego samobójcę, żeby wybrać się razem z tobą ?! Kogo ? Kogo, pułkownika ?! Ja ich łańcuchami do łóżek przykuję, zapamiętaj to sobie !

- No to ci nie powiem, kto to taki i ugryź mnie w tyłek ! – krzyknął Colm.

- Przecucie ? – zapytał cicho Brin.

- Tak – odparł Corbec – Jedno z tych moich...

- Boże, oszczędź nam tego ! Jedno z osławionych przecuć pułkownika...

Corbec zeszywniał i Milo przeraził się na moment, że oficer uderzy Dordena zaciśniętą kurczowo pięścią. I co gorsza, że Dorden odpłaci Corbecowi tym samym.

- A kiedy moje taktyczne przecucia okazały się błędne, hę ? No, kiedy ?

Lekarz odwrócił niechętnie wzrok.

- Ale to nie do końca tak... to nie takie prawdziwe przecucie... albo największe z nich wszystkich dotychczas. To raczej wrażenie...

- A co to za cholerna różnica ? Przecucie czy wrażenie ? – zapytał sarkastycznym tonem Dorden.

- To niech będzie wołanie w głowie ! – podniósł głos Corbec – Takie kurewsko donośne wołanie, które mało mi czaszki nie rozsadzi ! Które czegoś ode mnie żąda ! I czuję, że jeśli na nie odpowiem, to zyskam szansę zrobienia najważniejszej rzeczy w swoim życiu.

Dorden parsknął i w pokoju zapadła na chwilę niezręczna cisza.

- Colm... moim obowiązkiem jest troska o ludzi. Co więcej, sprawia mi to również przyjemność. Nie potrzebne mi w tej kwestii rozkazy – lekarz usiadł za swym biurkiem i zaczął przekładać z miejsca na miejsce pliki kartek unikając jednocześnie kontaktu wzrokowego ze swymi rozmówcami – Poszedłem do Starego Miasta razem z Koleją wbrew rozkazom, ponieważ wierzyłem, że odnajdziemy cię żywego.

- Zrobiłeś to, doktorze, i wszyscy wiedzą, jak wiele jestem winien tobie i reszcie chłopaków.

Dorden pokiwał głową.

- Nie mogę zaakceptować twojej decyzji. O godzinie szóstej wieczorem zarówno ty jak i wszelkie osoby, z którymi na ten temat rozmawiałeś muszą zameldować się na płycie lądowiska. Bez wyjątku. To rozkaz wydany przez sztab Lugo. Wszelkie formy absencji zostaną przyjęte za akt zamierzonej dezercji. Z pełnymi tego wykroczenia konsekwencjami.

Lekarz podniósł głowę, spojrzał w oczy Corbeca.

- Nie rób mi tego, Colm.

- Nie zamierzam. Kiedy cię o mnie zapytają, powiesz, że uciekłem ze szpitala. Cieszyłbym się z twego towarzystwa, ale nie zamierzam o nie prosić, wiem dobrze, że to dla ciebie niewykonalne. Lecz jeśli moje przeczucie mnie nie myli...

- Colm, proszę cię...

- Przez kilka ostatnich nocy w moich snach pojawiał się ojciec. To nie było jakieś mętne wspomnienie z odległej przeszłości. On próbował mi coś przekazać.

- Co takiego ? – spytał Milo.

- Powtarzał cały czas te same słowa. Stał w swoim warsztacie w Pryze County, naprawiał maszyny, a potem odwracał się i mówił do mnie „Męczeństwo Sabbat”. Tylko tyle.

- Myślę, że można to racjonalnie wytłumaczyć – oświadczył Dorden – Sam czuję coś podobnego, co całkiem naturalne w zaistniałych okolicznościach. Wszyscy wiemy, że Gaunt wykonuje swoją ostatnią misję. Lugo już go nie wypuści spod buta, a to zarazem oznacza koniec Duchów. Wszyscy chcielibyśmy pojechać w straży honorowej razem z Gauntem. Ostatni raz, w ostatnią akcję. Boleję nad tym, że los mnie wyłączył z tej wyprawy. Ciągle myślimy nad pretekstami, które pozwoliłyby odwrócić brzemię przeznaczenia. Nasze umysły czynią to też podświadomie, pod postacią snów.

- To nie tak, doktorze.

- A ja myślę, że jednak tak.

- No dobrze. Przyjmijmy zatem, że to moja podświadomość dostaje kota i próbuje wyleźć na wierzch. I może właściwie tyle mi wystarczy. To ostatnia akcja Gaunta, doktorze, sam to powiedziałeś. Mogą mnie potem za to rozstrzelać, ale nie zamierzam jej opuścić. Za nic w świecie.

Corbec spojrział na milczącego Brina, poklepał go po ramieniu i wyszedł z biura.

- Jak myślisz, dasz mu radę przemówić do rozumu ? – zapytał Dorden.

- Po tym, co tutaj usłyszałem szczerze wątpię. I muszę powiedzieć, z całym szacunkiem, doktorze, że nawet nie mam zamiaru czegoś takiego robić.

Dorden potrząsnął głową.

- Może jeszcze spróbujesz. Jeśli Corbec nie stawi się w punkcie ewakuacyjnym dziś wieczorem, nie wydam go komisariatowi, ale też nie zdołam go ochronić.

a

Corbec był w swoim pokoiku, sortując wysypany na łóżko ekwipunek. Milo zapukał w otwarte do połowy drzwi.

- Idziesz ze mną ? Wiem, że nie powinienem o to prosić. Nie poczuję żadnej urazy, jeśli powiesz nie.

- Jaki ma pan plan ?

Pułkownik wzruszył ramionami.

- Nie mam żadnego. Daur idzie ze mną. On czuje to samo. Feth, wiedziałeś o tym ? Czuje to samo.

Milo nic nie odrzekł. Nie wiedział.

- Daur powiedział, że spróbuje poszukać kilku innych wariatów takich jak my. Potrzebujemy obeznanych z bronią ludzi. To nie będzie łatwa podróż.

- To będzie piekło. Mała grupa, poruszająca się na zachód. Infardi są wszędzie. Nie zastanawiali się nawet przez chwilę obierając za cel ataku całą straż honorową.

- Damy radę zabierając ze sobą zwiadowcę. A może lokalnego przewodnika. Muszę jeszcze nad tym pomyśleć.

- Założmy, że uda nam się pokonać całą tę drogę do Świątyni. Co zrobimy potem ?

- Feth ! Mam nadzieję, że wtedy mój tata powie mi coś więcej. Albo Daur wpadnie na jakiś pomysł. Albo to okaże się na miejscu oczywiste...

- Teraz z pewnością nie jest oczywiste, sir. Cokolwiek jest naszym zadaniem, skoro Gaunt i cała straż honorowa nie zdołają tego zrobić samemu, cóż im przyjdzie z naszej pomocy ?
- Może nic nie wiedzą. Może... muszą uczynić coś innego...
- Corbec odwrócił się i uśmiechnął znacząco.
- Zauważyłeś, że mówiłeś „my” ?
- Chyba tak.
- Dobrze, chłopcze. Bez ciebie nie byłoby tak samo.

a

- Boże, zbaw mą duszę – jęknął Colm Corbec. Pułkownik był tak poruszony tym, co ujrzał, iż czuł, że zaraz może się rozpląkać – Czy wy wszyscy... wy wszyscy...

Bragg podniósł się z kamiennego filara, na którym dotąd siedział, uniósł w górę prawą dłoń.

- Wszyscy jesteście tak samo szaleni jak ty, szefie - uśmiechnął się szeroko.

Corbec uściśnął mocno wielką rękę Bragga.

- Daur i Milo pytali o ochotników. Tylko myśmy się zgłosili. Mam nadzieję, że to wystarczy.

- Dla mnie to świetnie.

Znajdowali się pod ścianą magazynu Munitorium na ulicy Pavane, z dala od głównych arterii miasta, z dala od wściebskich oczu. Magazyn został opróżniony o poranku, dlatego właśnie spiskowcy obrali go za miejsce spotkania. Dochodziła godzina szósta po południu.

Gdzieś na lądowisku oczekiwał na nich statek ewakuacyjny. Ktoś najpewniej wciągał już na czarną listę Komisariatu ich nazwiska.

Corbec zrobił kilka kroków wzdłuż szeregu oczekujących go żołnierzy, witając się z każdym po kolei.

- Derin ! Co z twoją raną ?

- Niech pan nie oczekuję, że będę biegał, sir – uśmiechnął się szeregowiec Derin. Na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie całkowicie zdrowego, ale Corbec zauważył, że jego ramiona poruszają się w nieco sztywny sposób. Pułkownik wiedział, że pod czarną kamizelką Ducha jego ciało oplata gruby kokon opatrunków i bandaży.

- Nessa... moja droga.

Dziewczyna zaszalowała krótko, jej snajperski karabin stał na ziemi oparty lufą o biodro właścicielki.

Gotowa do drogi, sir – zakomunikowała szybkimi gestami rąk.

- Szeregowiec Vamberfeld, sir – przedstawił się stojący za Nessą mężczyzna. Corbec wyszczerzył zęby w stronę bladego Verghastyty.

- Znam cię, Vamberfeld. Cieszę się, że jesteś z nami.

- Powiedział pan, że będzie nam potrzebny lokalny przewodnik – odezwał się Milo – To Sanian. Jest esholi, jedną ze stołecznych studentek.

- Miss – zaszalował Corbec.

Sanian uniosła głowę spoglądając w oczy pułkownika, uśmiechnęła się zdawkowo.

- Szeregowiec Milo powiedział mi, że pańska misja ma głęboko duchowy charakter. Prawdopodobnie stracę swoją szkołę i status społeczny dołączając do pana, pułkownika.

- Wszyscy praktycznie już go straciliśmy, nieprawdaż ? – zebrani w magazynie żołnierze podsumowali słowa Corbeca krótkim śmiechem.

- Święta jest w pańskiej duszy, pułkowniku. Potrafię to dostrzec. Podjęłam już decyzję. Jeśli mogę pomóc służąc za przewodnika, z radością to uczynię.

- To nie będzie proste, miss Sanian. Mam nadzieję, że Milo już to wyjaśnił.

- Sanian. Jestem tylko Sanian. Lub esholi Sanian, jeśli faktycznie chce pan być tak formalny. I owszem, Milo przedstawił mi już skalę ryzyka. Sądzę, że będzie to dla mnie pouczające doświadczenie.

- Istnieją bezpieczniejsze metody edukacji... - zaczął perswadować Derin.

- Dla esholi jedyną szkołą jest życie – przerwał mu krótko Milo.

Sanian uśmiechnęła się szerzej.

- Sądzę, że Milo zbyt długo przebywa w moim towarzystwie.

- To akurat potrafię zrozumieć – odparł Corbec mrugając znacząco okiem – Witamy w grupie. Co wiesz o terenach na zachód od stolicy ?

- Pochodzę z Bhavnageru, a topografia Świętych Szczytów i Drogi Pielgrzymów stanowi jeden z elementarnych przedmiotów edukacji esholi.

- Cudownie – wyszczerzył w uśmiechu zęby Corbec odwracając się w stronę szóstki żołnierzy – Teraz musimy jeszcze poczekać na kapitana Daura. Jego zadaniem jest zorganizowanie nam środka transportu.

Przez kilka minut członkowie ekspedycji rozmawiali pomiędzy sobą przyciszonymi głosami, ich pogawędka została jednak przerwana zniemacka narastającym szcękaniem gąsienic na zewnątrz budynku. Wszyscy zeszytnieli zaciskając dłonie na broni, obawiając się najgorszego.

- Co tam widzisz ? – syknął do Bragga Vamberfeld.

- To Komisariat, prawda ? – dodał Derin – Sukinsyny już nas wytropiły.

Niebywale wiekowa, poobijana z wszystkich stron Chimera wtoczyła się do magazynu przez otwartą rampę towarową. Jej silnik zakrzuszył się, strzelił kilka razy kłębami spalin i umilkł charkotliwie. Milo gotów był przysiąc, że jeszcze nigdy w życiu nie było mu dane ujrzeć na oczy bardziej wyeksploatowanego

pojazdu, a miał okazję dobrze się przyjrzeć wrakom przekazanym straży honorowej przez urzędników Munitorium.

Właz na dachu transportera otworzył się z głuchym trzaskiem i z wnętrza wozu wychynął kapitan Daur.

- Najlepszy pojazd jaki udało mi się znaleźć – oświadczył z nutą rozczarowania – Stał w parku maszynowym wyłączonym z ewakuacji ze względu na zły stan techniczny.

- Feth ! – zgrzytnął zębami Corbec obchodząc niemilosiernie brudny kadłub transportera – Ale wciąż jest na chodzie ?

- Jak na razie – odparł z przekąsem Daur – A czegoś się spodziewał, Colm, cudów ?

Drugi mężczyzna wysiadł ostrożnie z Chimery. Okazał się wysokim blondynem w mundurze Pardusytów, z grubym opatrunkiem na głowie.

- To sierżant Greer, z Ósmej Kompanii Przeciwlotniczej. Wiedziałem, że nikt z nas nie potrafi prowadzić transportera, więc musiałem jeszcze znaleźć kierowcę. Greer... był mi winien przysługę.

- To on tak twierdzi – uśmiechnął się nieco sarkastycznie sierżant – Mam dla was odwalić rolę szofera.

- Gdzie zostałeś ranny ? – zapytał Corbec.

Greer dotknął czubkami palców swego opatrunku.

- Rykoszet, parę dni temu w trakcie odbijania urzędu meldunkowego.

Corbec skinął z aprobatą głową. Ta sama akcja, w której zraniony został Daur. Pułkownik uścisnął dłoń pardusyckiego sierżanta.

- Witamy w „Szpitalu Polowym”.

a

Około godziny szóstej trzydzieści nazwiska szeregowców Derina, Vamberfelda, Nessy i Bragga zostały wciągnięte na listę nieobecnych w punkcie kontroli ewakuowanego personelu. Zaraz potem dołączyli do nich kapitan Daur i pułkownik Corbec. Mały prom odleciał o wyznaczonej porze bez kompletu pasażerów na pokładzie. Na punkcie rejestracyjnym we wschodniej części Doctrinopolis główny oficer medyczny pardusyckiego kontyngentu odnotował w tym samym czasie nieobecność sierżanta Danila Greera.

Obydwa raporty trafiły do centrum koordynującego ewakuację i zostały przepisane do nocnego rejestru. Oficer pełniący o tej porze dyżur nie okazał żadnego zainteresowania meldunkami. Na liście zaginionych miał już ponad trzysta nazwisk i wykaz ten rósł z każdym następnym odlatującym promem. Istniało wiele usprawiedliwień dla nieobecności żołnierzy: źle przekazane rozkazy, nieodpowiednio oznakowana droga do punktów ewakuacyjnych, korki uliczne, nie zgłoszone dotąd zgony w wojskowych szpitalach. Część nazwisk na liście należała bez wątpienia do gwardzistów, którzy polegli w ubiegłych dniach i wciąż spoczywali gdzieś pod gruzami lub w nurtach rzeki.

Niektórzy zaginioni, bardzo nieliczni, okazali się dezterami. Ich dane personalne szybko przekazywano komórce Komisariatu przy sztabie generała Lugo. Oficer dyżurny dopisał do wykazu zbiegów ostatnie otrzymane nazwiska – oficer w randze pułkownika miał wystarczająco wiele możliwości dotarcia na czas do punktu ewakuacyjnego albo przynajmniej poinformowania o potencjalnym spóźnieniu.

O ósmej wieczorem lista dezterów trafiła na biurko komisarza Hychasa, który akurat jadł w tym czasie kolację. Jego adiutant wypełnił odpowiednie upoważnienia i o dziewiątej trzydzieści wysłał czterech żandarmów dowodzonych przez komisarzakadeta z rozkazem przeprowadzenia śledztwa w Scholam Medicae Hagias. Kopia upoważnienia została doręczona do sztabu generalnego, gdzie tuż przed północą zapoznał się z jej treścią jeden ze starszych rangą oficerów. Kilka przeprowadzonych naprędce rozmów radiowych uświadomiło zaniepokojonemu sztabowcowi, że w szpitalu miejskim nie odnaleziono śladu zaginionych, w tym również tanithijskiego dowódcy.

O godzinie pierwszej w nocy wydano oficjalny nakaz aresztowania pułkownika Colma Corbeca i pięciu członków jego jednostki. Nikt nie wpadł na to, by powiązać zniknięcie Tanithijczyków ze nieobecnością sierżanta Greera czy też kradzieżą Chimery klasy gamma z parku maszynowego Munitorium. W czasie tym transporter Corbeca znajdował się już daleko na Drodze Tembarong, pięć godzin jazdy od stolicy, pędząc z rykiem silnika przez noc.

Pojazd zatrzymał się tylko raz, na opustoszałej zrujnowanej ulicy niedaleko Bramy Pielgrzymów. Było to około siódmej wieczorem, w zapadającym szybko zmroku. Siedzący za kierownicą Greer spostrzegł samotną postać stojącą pośrodku drogi, machającą rozpaczliwie rękami. Corbec otworzył górny właz i wyjrzał na zewnątrz, po czym krzyknął na kierowcę, by ten natychmiast się zatrzymał.

Pułkownik zeskoczył z dachu transportera i podbiegł do stojącego pośrodku ulicy człowieka.

- Męczeństwo Sabbat – wykrztusił Dorden. Po policzkach lekarza ściekały łzy – Mój syn przemówił do mnie. Nie myślcie, że odjedziecie beze mnie.

Rozdział IX – Podejście do Bhavnageru

„Jeśli droga jest łatwa, jej cel nie ma żadnej wartości” – święta Sabbat.

Od Mukretu droga biegła na zachód aż do Rozdroży Nursera, gdzie płytki bród łączył brzegi skracającej na północ świętej rzeki. Jej meandry wiły się ku majaczącym na horyzoncie Świętym Szczytom, odległym o jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów.

Drugi dzień misji okazał się pogodny i słoneczny, chociaż w rannych godzinach nadrzeczne łąki znikły w gęstych tumanach mlecznobiałej mgły. Zwiadowcza czujka pod rozkazami sierżanta Mkolla opuściła Mukret o świcie, jadąc na zachód z prędkością mniejszą od zaplanowanej wskutek silnie ograniczonej widoczności na drodze.

Gaunt i Kleopas wyznaczyli do roli czujki trzy zwiadowcze modele Salamander wraz z tuzinem Duchów, dwa Leman Russy Conquerory i jednego z dwóch pardusyckich Destroyerów. Główna część konwoju miała ruszyć w drogę godzinę po zwiadzie.

Gaunt zamierzał dotrzeć do rolniczego miasteczka Bhavnager o zmierzchu drugiego dnia podróży, co oznaczało konieczność pokonania dystansu dziewięćdziesięciu pięciu kilometrów. Poranne mgły od początku utrudniały realizację tego planu. Zgodnie z zaleceniami sztabu w Bhavnagerze gwardziści mieli uzupełnić zapasy paliwa niezbędne do pokonania trzeciego odcinka podróży. Bhavnager był ostatnim dużym skupiskiem ludności na północnozachodnim krańcu Drogi Tembarong. Tam kończyły się obszary uprawne, a zaczynały gęste lasy porastające zbocza Świętych Szczytów. Od Bhavnageru podróż miała wydatnie stracić na szybkości i komforcie.

Ayatani Zweil zgodził się podróżować z główną częścią konwoju i odpowiadając na osobiste zaproszenie pułkownikakomisarza wsiadł do jego Salamandry. Sprawiał wrażenie głęboko zaintrygowanego imperialną misją – nikt nie zdradził mu jak dotąd celu wyprawy lojalistów, ale bystry kapłan bez wątpienia potrafił wyciągać wnioski z obserwowanych zdarzeń, a po skręceniu na północ w Limacie nie będzie już mógł mieć złudzeń co do celu podróży.

- Jak długo jeszcze będą się unosić te mgły, ojczy ? – zapytał Gaunt obserwując zmrużonymi oczami gęste białe opary. Słońce stało już wysoko i jego promienie rozświetlały zwiewną kurtynę mgieł, ale kierowcy konwoju nadal widzieli jedynie na kilka metrów przed maskami swych wozów. Pomruk silników, silnie stłumiony oparami, wydawał się docierać jednocześnie z wszystkich stron.

Zweil bawił się swą długą białą brodą.

- O tej porze roku czasami nawet do południa. Ale te są dość rzadkie. Podniosą się i to dość szybko.

- Nie przypominasz mi ayatani, których widywałem do tej pory i proszę się nie czuć tą uwagą urażonym. Wszyscy poprzedni sprawiali wrażenie głęboko przywiązanych do swych świątyń.

Zweil zachichotał.

- Bo to tempelum ayatani, przebywający całe życie w swych przybytkach. Ja jestem imhava ayatani, a termin ten oznacza wędrownego kapłana. Mój zakon czci świętą poprzez oddawanie hołdu miejscom, w których przebywała.

- Na tym świecie ?

- Na tym i na innych. Niektórzy z moich braci byli też tam – starzec wskazał palcem niebo i Gaunt pojął, że kapłan ma na myśli inne planety.

- Podróżowali między gwiazdami ?

- Oczywiście. Przemierzali trasę jej wielkiej krucjaty, jej pielgrzymki na Harkalon i drogę powrotną. Taka wyprawa pochłania pielgrzymowi całe życie, czasami nigdy się nie kończy. Niewielu kapłanów pokonało całą trasę i powróciło na Hagię.

- Potrafię to zrozumieć, szczególnie w obecnych czasach.

Zweil pokiwał w zamyśleniu głową.

- Powrót Nieprzyjaciela na Światy Sabbat bardzo podniósł poziom niebezpieczeństwa podczas pielgrzymek.

- Lecz ty poświęciłeś się wędrowce po Hagii ?

Zweil uśmiechnął się szeroko prezentując liczne luki w uzębieniu.

- Obecnie tak. Lecz w młodości bywałem też gdzie indziej. Dotarłem Jej śladem do Frengholdu, nim Hagia wezwała mnie z powrotem.

Gaunt poczuł się nieco zaskoczony tym oświadczeniem.

- Podróżowałeś poza granice Hagii ?

- Nie wszyscy jesteśmy zacofanymi wieśniakami, pułkownikukomisarzu. Stapałem po powierzchni wielu innych światów. Miałem sposobność ujrzeć kilka cudów. Za niczym zbytnio dziś nie tęsknię. Cały ten kosmos jest zdecydowanie przereklamowany.

- Cóż, gotów jestem się z tym zgodzić – wyszczerzył zęby rozbawiony tym

stwierdzeniem Gaunt.

- Głównym celem istnienia imhava ayatani jest piecza nad szlakami wędrówek świętej oraz pomoc okazywana pielgrzymom i wiernym. Jesteśmy strażnikami pielgrzymek. Sądzę, że to nieco małostkowe dla prawdziwego kapłana, takie siedzenie na tyłku w świątyni i czekanie na przybycie wiernych. Podróż jest prawdziwym wyzwaniem, w czasie takiej podróży pielgrzym najczęściej potrzebuje wsparcia kapłana.

- To dlatego zgodziłeś się z nami pojechać, prawda ?

- Pojechałem, bo o to poprosiłeś. Dość grzecznie, muszę przyznać. Lecz masz rację. Jesteście pielgrzymami.

- Ja nie nazywałbym tej wyprawy pielgrzymką...

- A ja tak. Z zapalem i oddaniem przemierzacie jedną ze ścieżek świętej. Jedziemy w końcu do Świątyni.

- Nigdy nie powiedziałem...

- Nie, nie mówiłeś. Ale zwykli pielgrzymi zazwyczaj udają się na wschód – kapłan wskazał ręką w kierunku Doctrinopolis – Jadąc w tę stronę można obrać za cel tylko jedno miejsce.

Pokładowy komunikator zapiszczał i Gaunt zanurkował w głąb transportera szukając słuchawek. Na linii zgłaszał się Mkoll. Czujka właśnie przeprawiła się przez Rozdroża Nursera i przyspieszyła zmierzając w stronę Limaty. Sierżant meldował, że mgły zaczęły się podnosić.

Kiedy Gaunt powrócił na swój fotel, ujrzał Zweila pogrążonego w lekturze książkowego wydania kazań Sabbat, należącego do pułkownikukomisarza.

- Mocno podniszczona książka – mruknął znaczącym tonem kapłan – To dobry znak. Życie nauczyło mnie, że nie należy ufać pielgrzymowi obnoszącemu się z czystym modlitewnikiem. Zaznaczone przez ciebie teksty są nad wyraz interesujące. Człowiek potrafi wiele powiedzieć o charakterze czytelnika dzięki wiedzy na temat jego zainteresowań.

- I cóż takiego mógłbyś powiedzieć o mnie, ojczy ?

- Nęka cię jakieś poczucie winy... stąd tak wiele odnośników do wersetów wyznania wiary... oraz poczucie odpowiedzialności, zwłaszcza wobec przełożonych... widzę tu podkreślone fragmenty Litanii Powinności, co świadczy o tym, iż poszukujesz odpowiedzi lub sposobu na zwalczenie swych własnych demonów... z tych papierowych zakładek w rozdziałach poświęconych Jej doktrynom płynie jasny wniosek... czcisz waleczność i odwagę... o, proszę, Annały Walki... lecz zarazem stajesz się sentymentalny w obliczu pięknej poezji – kapłan pokazał oficerowi książkę otwartą na stronach poświęconych psalmom.

- Doskonale – skomentował Gaunt.

- Ty się uśmiechasz, pułkownikukomisarzu.

- Jestem imperialnym oficerem dowodzącym wojskową grupą mającą wykonać szczególnie ważne zadanie. Mógłbyś stworzyć identyczny rys psychologiczny mojej postaci bez spoglądania na zakładki w książce.

- I tak też wcześniej zrobiłem – roześmiał się Zweil. Kapłan zamknął delikatnie książkę i oddał ją w ręce właściciela.

- Jeśli mogę coś powiedzieć, pułkownikukomisarzu... nauki naszej świętej bez wątpienia zawierają w sobie istotne odpowiedzi, lecz bardzo często pozbawione są one literackiej formy. Zwykle przeczytanie książki od pierwszej do ostatniej strony nic nie da. Trzeba ją... poczuć. Zgłębić znaczenie ukrytych motywów.

- W Schola Progenium miałem okazję przestudiować literacką analizę tekstów...

- Och, jestem tego pewien. I wiem też, że metaforę zwaną „kwiecistą ekstazą” zinterpretujesz poprawnie jako walkę, a „rwący potok czystej wody” jako ludzką wiarę. Lecz nadal będę twierdził, że nauki Sabbat można zgłębić całkowicie jedynie poprzez duchowe doświadczenia i niewzruszoną wiarę. Nie jestem pewien, czy posiadasz ku temu odpowiednie zdolności. Odpowiedzi, których szukasz już by ci się objawiły, gdybyś te zdolności posiadał.

- Cóż, rozumiem.

- Nie chciałem cię urazić. W świętym mieście mieszkają wysocy ayatani, którzy całe swe życie poświęcają ustawicznemu studiowaniu kazań Sabbat. Bez mała wszyscy mają się za oświeconych w tej dziedzinie.

Gaunt nic nie odpowiedział. Wyjrzał za burtę transportera obserwując znikające z każdą minutą mgły. Za coraz rzadszymi oparami dostrzegał kształty drzew rosnących gęsto nad brzegami rzeki.

- Więc od czego mam zacząć? – zapytał w końcu rozżalonym głosem – Bo jeśli mam być szczerzy, ojczy, desperacko potrzebuję odpowiedzi. Nigdy jeszcze nie potrzebowałem ich tak bardzo jak teraz.

- Nie potrafię ci pomóc. Mogę jedynie powiedzieć: zacznij pracę od siebie samego. To twoja prywatna pielgrzymka, musisz ją odbyć do końca. Już ci mówiłem: jesteś teraz pielgrzymem.

Pół godziny później konwój dotarł do przeprawy przy Rozdrożach Nursera. Szeroka droga zanurzała się w tym miejscu w płytkich wodach rzeki. Po obu stronach wybetonowanego brodu rosły zagajniki drzew i krzewów. Zamieszkujące je stada ptaków wzbijały się w powietrze spłoszone rykiem aaa

silników, łopot setek ich skrzydeł przywodził na myśl warkot ornitopterów.

Samotny wieśniak prowadzący na łańcuchu wiekowego chelona pomachał gwardzistom rękami. Jeden po drugim pojazdy straży honorowej wjeżdżały w nurt rzeki rozbryzgując wodę tak silnie, że na jej kropkach załśniła tęcza.

a

Limata była kolejnym martwym miastem. Czujka Mkolla dotarła do niej tuż przed jedenastą trzydzieści. Mgły znikły bez śladu. Słońce płonęło wysoko na niebie, powietrze było coraz cieplejsze. Zapowiadał się jeszcze upalniejszy dzień od poprzedniego.

Spieczone dachy Limaty wznosiły się przed oczami zwiadowców, połyskując różowymi dachówkami. Żadnego dźwięku, żadnego ruchu, żadnego śladu życia, brak dymu nad kominami domostw. W Limacie Droga Tembarong dzieliła się na dwie odnogi. Jeden trakt biegł na południowy zachód, do Hylophonu i Tembarongu. Drugi skręcał na północ, ku górą i porastającej je puszczy. Ponad czterdzieści kilometrów dalej w tamtym kierunku leżał Bhavnager.

- Zwolnić prędkość – rzucił do mikrofonu Mkoll – Przygotować broń ręczną, załadować działa. Wtoczymy się do środka powoli.

Kapitan Sirus, dowódca pardusyckiej forpoczty, zgłosił się natychmiast z wnętrza swego Conquerora.

- Puść nas przodem, Tanithijczyku. Przetoczymy się przez to miasteczko.

- Odmawiam. Konwój stop.

Pojazdy znieruchomiały jakieś sześćset metrów od pierwszych domostw. Duchy zeskokczyły z Salamander. Silniki transporterów warczały na jałowym biegu w gorącym powietrzu.

- Co to za opóźnienie ? – odezwał się w słuchawce Sirus.

- Zostań w wozie – polecił mu Mkoll, po czym zerknął w stronę jednego ze swych towarzyszy, sierżanta Domora – Jesteś pewien ?

- Tak samo jak to, że nazywają mnie Shoggi – potwierdził skinieniem głowy Domor wycierając jednocześnie kawałkiem szmatki swe optyczne implanty – Sam na pewno zauważysz, że nawierzchnia drogi jest w tamtych miejscach popękana lub skruszona.

Większość obserwatorów niczego by we wskazanym miejscu nie dostrzegła, jednakże Mkoll miał najlepszy wzrok wśród wszystkich Tanithijczyków. A Domor specjalizował się w minach lądowych.

- Chcesz, żebym poszedł wytyczyć przejazd ?

- Niegłupi pomysł. Wypakuj swój sprzęt i przygotuj się, ale jeszcze nie zaczynaj roboty.

Domor zawrócił do Salamandry, w której zostawił ekwipunek szperacza, szeregowcy Caober i Uril zaczęli pomagać mu w wyjmowaniu elektronicznych mierników. Sierżant wysłał dwie czujki w zarośla acrestusa po obu stronach drogi, Mkvennera na lewo i Bonina na prawo. W skład każdej czujki wchodziło trzech Duchów. W przeciągu kilku sekund od wejścia w zarośla gwardziści dosłownie zniknęli, ich kamuflujące płaszcze perfekcyjnie przybrały barwę otoczenia.

- Skąd opóźnienie ? – za plecami Mkolla odezwał się Sirus. Sierżant spojrzął ponad ramieniem. Kapitan wojsk pancernych wysiadł ze swego czołgu, Gniewu Pardui, i podszedł do przelozonego zwiadowców. Był krępy męczyzną przed pięćdziesiątką, o charakterystycznej dla Pardusytów oliwkowej skórze i orlim nosie. Sprawiał wrażenie nieco narwanego czołgisty i Mkoll czuł się od początku zawiedziony decyzją majora Kleopasa wyznaczającą mu Siriusa za towarzysza podróży.

- Mamy tu dość gęste pole minowe. W głębi drogi może być drugie – Mkoll wskazał dłonią miejsce, gdzie heretycy ukryli ładunki – A całe to miasto jest zbyt ciche jak na mój gust.

- Co zamierzasz zrobić ?

- Wyślę szperaczy z zadaniem oczyszczenia dla was przejazdu, a potem moi ludzie wślizgną się do miasteczka i je zabezpieczą.

Sirus pokręcił z dezaprobatą głową.

- Widać od razu, że służysz w piechocie, sierżancie. Słyszałem zresztą, że jesteś naprawdę dobry w swoim fachu, ale nie znasz się zbyt na czołgach. Chcesz oczyścić to pole minowe ? Gniew Pardui może to dla ciebie zrobić.

- Jak ? – zapytał chłodno Mkoll.

- Po to właśnie Adeptus Mechanicus budują nasze spychacze. Jedno twoje słowo, a zobaczysz jak pracują Pardusyci.

Mkoll odwrócił się i odszedł do swej Salamandry. Nie podobała mu się propozycja Sirusa, zbyt kolidowała ze zwyczajowymi metodami działania sierżanta. Mkoll niechętnie zapatrywał się na Limatę płonąca w ogniu eksplozji, równaną z ziemią działami czołgów. Mógłby zdobyć miasteczko wyłącznie siłami Duchów, był tego całkowicie pewien, Gaunt nalegał jednak bardzo na przyjazną kooperację z pardusyckimi czołgistami.

Przechylił się ponad burtą transportera i zdjął z uchwytu słuchawkę radiokomunikatora.

- Szpica do jedyńki.

- Jedyńka, melduj.

- Jesteśmy w Limacie, mamy tu małe kłopoty. Przynajmniej jedno pole minowe. Proszę o pozwolenie dla kapitana Sirusa na wejście do miasta. Szybko i z hukiem.

- Czy to konieczne ?

- Kazał pan być dla nich miłym.

- Kazałem. Udzielam pozwolenia.

Mkoll odwiesił na swoje miejsce słuchawkę i odwrócił się w stronę grupy Domora.

- Zapakujcie sprzęt z powrotem na pokład. To runda Pardusytów.

Pomrukując coś z niezadowoleniem żołnierze zaczęli zdejmować założone już na plecy wykrywacze.

- Kapitanie ? – Mkoll pomachał ręką Sirusowi – Skoro pan nalegał, proszę przodem.

Pardusyta uśmiechnął się wyraźnie zadowolony z pozwolenia i pobiegł czym prędzej do czekającego na jałowym biegu czołgu.

Dwa Conquerory przetoczyły się z metalicznym łoskotem obok Salamander i ruszyły w stronę miasteczka. Destroyer pozostał na swej pozycji, jego silniki mruczały cicho.

Obydwa czołgi opuściły zamontowane na przednim pancerzu spychacze, potoczyły się do przodu ryjąc metalowymi płytami nawierzchnię drogi. Metoda oczyszczania pola autorstwa kapitana Sirusa okazała się równie brutalna, co ogłuszająca.

Grube pancerne łyżki spychaczy zgarniały zakopane płytko pod ziemią miny spiętrzając je jedna na drugiej i detonując kolejno. Nad czołgami zaczęła się unosić chmura dymu i kawałków nawierzchni, feeria ognistych rozbłysków punktowała przestrzeń tuż przed maszynami. Jeśli któraś z min wybuchłaby pod brzuchem czołgu, bez wątpienia uszkodziłaby go lub zniszczyła. Wykopywane niczym ziemniaki ładunki eksplodowały nieszkodliwie na metalowych powierzchniach spychaczy, co najwyżej żłobiąc w nich płytkie rysy.

Mkoll musiał w duchu przyznać, że było to imponujące widowisko.

Kłęby dymu dotarły w końcu do miejsca, gdzie parkowały Salamandry. Sierżant przymknął nieco oczy i skontrolował przez radio status obu ukrytych w zaroślach drużyn.

Gniew Pardui i Lew Pardui wtoczyły się do Limaty po niecałych pięciu minutach, pozostawiając za sobą zrytą gąsienicami i poznaczoną kraterami drogę dojazdową. Mkoll przesadził burtę Salamandry i wydał załogom wszystkich trzech transporterów rozkaz ruszenia w ślad za czołgami.

Rzucił okiem za siebie i zamarł. Destroyer zniknął gdzieś bez śladu.

- Co to, cholera ? – sierżant nie zdołał powstrzymać pomruku zdumienia. Jakim cudem coś tak dużego, ciężkiego i brzydkiego mogło ot tak sobie zniknąć ?

- Dowódca szpicy do Destroyera. Gdzie wy jesteście ?

- Destroyer do szpicy. Przepraszam za niespodziankę. Standardowa procedura. Wycofałem się z drogi pod osłonę drzew. Frontalne ataki to działka Conquerorów, a Sirus zna się na swojej robocie.

- Przyjąłem – Mkoll, zasadniczo nie dysponujący specjalistyczną wiedzą na temat broni pancernej, zdążył już zauważyć różnice pomiędzy Conquerorami i Destroyerem. Podczas gdy Conquerory były wysokie, niemalże stateczne, z masywnymi wieżami artyleryjskimi, Destroyer zwracał uwagę niskim i wąskim kadłubem, w który wbudowano pojedynczy system uzbrojenia. Ten typ czołgu był drapieżnikiem, łowcą innych czołgów, uzbrojonym w kolosalne działo laserowe. Był to w opinii Mkolla pancerny odpowiednik gwardyjskiego snajpera. Celny, szybki, skryty.

Destroyer przydzielony do szpicy nosił nazwę Szary Venger, dowodził nim kapitan LeGuin. Mkoll nie miał dotąd okazji ujrzeć twarzy LeGuina, oficer nie wyjrzał ani razu ze swej maszyny.

Poprzez kłęby dymu sierżant dostrzegł wjeżdżające już do Limaty czołgi. Z lewej dobiegł nagły trzask broni palnej, pociski zagrzechotały o pancerze Lemana Russów. Gniew Pardui obrócił wieżyczkę i rozsadził jednym pociskiem najbliższy budynek. Drugi czołg zaczął ostrzeliwać przeciwną stronę głównej ulicy. Wykonane z glinianych cegieł domy waliły się jeden za drugim w gruzy. Zamontowane na burtach czołgów miotacze ognia ziały płomieniami szerząc wokół zniszczenie i pożogę.

W komunikatorze rozbrzmiewały pokrzykiwania Sirusa. Mkoll widział wyraźnie sylwetkę pardusyckiego kapitana, wychylonego z wieżyczki i strzelającego długimi seriami z zamontowanego przy władze karabinu maszynowego.

- Popisywanie się i tyle – skomentował stojący obok sierżanta Domor.
- Pancerniacy – dodał Caober – Zawsze muszą pokazać, kto rządzi.

Przechesując miasteczko Duchy odkryły nadpalone ciała ponad trzydziestu Infardich, ukrytych w domach zniszczonych szarżą Sirusa. Limata została zdobyta. Mkoll wysłał Gauntowi skrócony raport i szybko przywrócił pierwotny szyk szpicy. Salamandry wysunęły się na prowadzenie grupy, aa

Duchy wskoczyły pośpiesznie na ich pokłady. Destroyer wytoczył się pomiędzy podmiejskich zagajników dołączając do konwoju.

- Następny przystanek w Bhavnagerze ! – zawołał z wysokości wieżyczki Sirus.
- Ruszamy – rozkazał przez radio Mkoll.

a

Dzień drogi w tyle sklecona naprędce ekipa Corbeca dojechała do miejsca heretyckiej zasadzki, przetaczając się ze szczykiem gąsienic obok wraków Salamander i Chimery, zepchniętych bezceremonialnie na pobocze drogi.

Pułkownik wydał polecenie postoju. Turbiny transportera niebezpiecznie się przegrzewały i należało dać im nieco czasu na schłodzenie. Żołnierze zaczęli wysiadać z pojazdu przeciągając zdrętwiałe ciała.

Corbec, Derin i Bragg podeszli do miejsca, gdzie kopce świeżo usypanej ziemi i wystrugane naprędce paliki znaczyły groby poległych.

- Bitwa, która nas ominęła – zauważył z żalem Derin.

Corbec pokiwał ze smutkiem głową. W tym miejscu Tanithijczycy stoczyli swą pierwszą potyczkę bez udziału swego dowódcy. Przeszedł całą drogę regimentu od dnia zniszczenia Tanith, a tutaj jego ludzie walczyli i umierali podczas gdy on sam wylegiwał się w szpitalnym łóżku.

Bolała go klatka piersiowa. Połknął kilka tabletek i popił je ciepłą wodą z metalowej manierki.

Greer wysiadł z Chimery i otworzył klapę zamykającą dostęp do silnika, krztusząc się z miejsca kłębami gryzącego dymu. Wyciągnął ze skrzynki narzędziowej klucz francuski i młotek i zaczął gmerać w sekcji napędowej pojazdu.

Milo uznał, że najlepszą metodą na zabicie czasu byłaby rozmowa z Sanian, ale Hagianka zdążyła już odejść nad rzekę w towarzystwie Nessay. Dostrzegając ich ruchy chłopiec uznał, że Verghastytka uczy studentkę podstaw języka migowego.

- Ona faktycznie lubi się uczyć, nieprawdaż ?

Milo odwrócił się w miejscu i ujrzał uśmiechniętego Daura.

- Tak, sir.

- Cieszę się, że na nią natrafiłeś. Bez przewodnika błakalibyśmy się tutaj tygodniami.

Brin przysiadł ze skrzyżowanymi nogami na krawędzi jezdni, Daur przykucnął obok niego ostrożnie, nie chcąc zbytnio nadwierać osłabionego organizmu.

- Co panu tak naprawdę wiadomo, sir ?

- Na jaki temat ?

- Tej misji. Corbec powiedział, że wie pan tyle, co on. Że... czujecie to samo.

- Jeśli prosisz o wyjaśnienie, obawiam się, że nie mogę ci odpowiedzieć. To taki zew w mojej głowie...

- Rozumiem...

- Nie, nie rozumiesz. Wiem o tym. I kocham cię jak brata za to, że mimo swej niewiedzy poszedłeś za nami.

- Ufam pułkownikowi.

- Ja też. Czy ty nie miałeś snów ? Wizji ?

- Nie, sir. Mnie pozostała tylko lojalność wobec Corbeca. Wobec pana. Gaunta.

BogaImperatora.

- Imperator strzeże – odparł pocieszającym tonem Daur.

- To wszystko. Lojalność wobec Duchów. Nic mi więcej nie zostało. W chwili obecnej niczego więcej nie potrzebuję.

- Lecz to ty sprowadziłeś do nas przewodnika – powiedział cichy, kruchy głos.

- Co zrobiłem ?

Daur zamrugał i pokręcił głową.

- Słucham ? – zapytał. Milo zerknął na kapitana podejrzliwie.

- Powiedział pan „to ty sprowadziłeś do nas przewodnika”. Przed momentem. Miał pan dziwny głos.

- Powiedziałem coś takiego ?

- Tak, sir.

- Pewnie miałem na myśli Sanian.

- Domyślałem się, ale powiedział pan to w tak dziwny sposób.

- Nie pamiętam... cholera, nie pamiętam, żebym w ogóle coś takiego mówił.

Podejrzliwość w oczach Mila jeszcze przybrała na sile.

- Z całym szacunkiem, kapitanie, czasami mnie pan przeraża.

- Milo, ja coraz częściej przerażam samego siebie – odparł enigmatycznie Daur.

a

- Doktorze ?

- Corbec ?

Stali na niewielkim wzniesieniu górującym ponad miejscem pochówku. Była to dla nich pierwsza sposobność do przeprowadzenia rozmowy w cztery oczy od chwili opuszczenia Doctrinopolis.

- Twój syn przemówił ? Mikal ?

- Mój syn.

- W snach ?

- Od paru dni. Myślę, że to zaczęło się od chwili, kiedy szukaliśmy cię w Starym Mieście, przekłety łobuzie.

- Wcześniej Mikal ci się nie śnił ?

Mikal Dorden zginął na Verghaście. Był jedynym Tanithijczykiem, który po unicestwieniu macierzystego świata posiadał żyjącego członka rodziny. Szeregowiec Mikal Dorden. Główny oficer medyczny Tolin Dorden. Dwa Duchy, ojciec i syn... do Vervunhive i Bramy Veyveyr.

- Oczywiście, że tak. Prawie każdej nocy. Ale nie w taki sposób. Tym razem odniosłem wrażenie, że on próbuje mi coś przekazać, że muszę poznać jakąś prawdę. Wypowiedział tylko dwa słowa. „Męczeństwo Sabbat”. Uświadomiłem to sobie dopiero wtedy, kiedy usłyszałem je ponownie z twoich ust.

- Nie będzie nam łatwo – powiedział łagodnym tonem Corbec – Musimy się tam dostać.

Pułkownik wskazał palcem odległy zarys Świętych Szczytów, częściowo ukrytych za kurtyną szalejącego wiele kilometrów na północ ulewnego deszczu.

- Jestem na to gotów, Colm – uśmiechnął się Dorden – Myślę, że pozostali również. Lecz miej na oku Vamberfelda. Jego pierwszy kontakt z prawdziwą walką pociągnął za sobą negatywne konsekwencje. Silny wstrząs psychiczny. Powinien sobie z nim do tej pory poradzić, a jednak wciąż jest coś nie tak. Obawiam się, że nie powinien był ruszać w drogę.

- Mówiąc szczerze, żaden z nas nie powinien był tego robić. Zabrałem tylko tych, którzy sami się zgodzili. Lecz twoja porada została przyjęta. Będę miał na niego oko.

a

- Odczuwam wobec ciebie ogromny szacunek.

- Pewnie, stary – burknął Greer walcząc z silnikiem Chimery.

- Ależ naprawdę, bardzo cię szanuję – powtórzył szeregowiec Vamberfeld.

- A to niby czemu ? – zapytał sierżant rozkręcając jednocześnie jakiś przewód.

- Za to, że dołączyłeś do tej pielgrzymki. To taki święty gest. Taki święty.

- O tak, wyjątkowo święty – zgodził się z sarkazmem Greer.

- Czy duch świętej do ciebie przemówił ?

Greer odwrócił głowę i spojrzał na Vamberfelda unosząc cynicznie brwi.

- A do ciebie przemówiła ?

- Oczywiście ! Była taka realna, taka delikatna !

- To wspaniale. A teraz przepraszam cię, ale muszę naprawić ten silnik.

- Święta będzie czuwała nad twoją pracą...

- Przestań już ! W chwili, kiedy święta Sabbath objawi się i pomoże mi schłodzić te turbiny, uwierzę w te brednie.

Vamberfeld wyglądał na bezgranicznie zdumionego.

- Więc dlaczego do nas dołączyłeś ?

- Dla złota, rzecz jasna – oświadczył Greer przeciągając słowa i akcentując je jakby mówił do dziecka.

- Jakiego złota ?

- Tego w górach. Daur ci o tym nie mówił ?

- Nnie...

- To jedyny powód, dla którego z wami jadę. Złote samородki. Moja nagroda.

- Ale tam nie ma żadnej nagrody. Żadnej w sensie fizycznym. Tylko wiara i miłość.

- Mowatrawa.

- Kapitan by nas nie okłamał.

- Oczywiście, że nie.

- On kocha nas wszystkich.

- Oczywiście, że nas kocha. A teraz naprawdę muszę już wrócić do pracy.

Vamberfeld skinął głową i odszedł w stronę rzeki. Greer parsknął z dezaprobatą i skupił się nad silnikiem. Nie potrafił się przekonać do tych Tanithijczyków, wydawali mu się wszyscy co do jednego dziwakami. Zresztą od chwili lądowania na Hagii ustawicznie zdarzało mu się wysłuchiwać ludzi mamroczących coś o cudach i objawieniach. Hagia była światem świątynnym i co z tego ? Greer nie przywiązywał do opowieści o cudach większej wagi. Żyjesz, umierasz, koniec historii. Czasami masz szczęście i żyjesz w przyjemnym stylu. Czasami masz pecha i umierasz przedwcześnie. Bóg, święci i aniołowie wypełniali ludzkie umysły stekiem nonsensów wtedy, aaaa kiedy szczęście się od nich odwracało.

Wytał ręce w brudną szmatę i dokręcił kluczem kilka śrub. Ta banda nieudaczników była wyjątkowa pod względem liczebności świrów. Pułkownik, doktor i kompletnie zwariowany Vamberfeld opętani byli świętymi wizjami rojącymi się w ich głowach, to pewne. Głuchej dziewczyny nie zdołał dotąd rozgryźć. Wielki gość był idiotą. Milo dołączył do grupy tylko

dlatego, że miał ochotę na lokalną przewodniczkę, która w opinii samego Greera była faktycznie łakomym kąskiem. Tylko Derin sprawiał wrażenie w miarę normalnego. Greer pewien był, że Derin również uczestniczył w wyprawie z powodu złota. Daur pewnie naciągnął resztę grupy na wyjazd żerując na ich religijnych majakach.

Daur był twardym orzechem do zgryzienia. Wyglądał niczym żywcem zdjęty z reklamowego plakatu – prawdziwy model młodego utalentowanego oficera. Lecz pod tą romantyczną powłoką biło serce wyrafinowanego sukinsyna. Greer miał już okazję poznać się na tego rodzaju ludziach. Od początku nie lubił Daura, od chwili, kiedy spotkali się twarzą w twarz na modlitewnym placu. I kiedy kapitan opieprzał go jak burą sukę na oczach podwładnych. Greer skończył tego dnia z raną tylko dlatego, że musiał wdać się w walkę z zamachowcami po to, by odzyskać choć trochę utraconego autorytetu. Lecz Daur potrzebował desperacko kierowcy i to sprawiło, że szybko się obaj dogadali. Chodziło o złoto, całe sterty samorodków zabrane potajemnie przez kapłanów z Doctrinopolis tuż przed inwazją Infardich i przewiezione do położonego wysoko w górach sanktuarium. Daur opowiedział mu o tym w tajemnicy, sam uzyskał te informacje od konającego ayatani. Łup wydawał się Pardusycie godzien dezercji.

Sierżant nie poczułby się zaskoczony, gdyby po dotarciu do celu Daur spróbował wykończyć współtowarzyszy i zagarnąć całą zdobycz. Greer zamierzał dobrze pilnować pleców, kiedy ta chwila nadejdzie. Jeśli będzie trzeba, nie da się zaskoczyć i wykona pierwszy ruch. Na razie jednak był bezpieczny – Daur bardziej potrzebował jego niż pozostających.

To Vamberfelda Greer obawiał się najbardziej. Z wyjątkiem Mila i Sanian Daur znalazł resztę ochotników w szpitalu i wszyscy oni nosili na sobie opatrunki świadczące o odniesionych obrażeniach. Wszyscy z wyjątkiem Vamberfelda. Ten dla odmiany był psychiczny, to nie ulegało wątpliwości. Greer poprawnie interpretował jego dziwaczne zachowanie, niewidzący wzrok. Widział te objawy już wcześniej, wśród ludzi zmierzających ku krawędzi szaleństwa. To była wojenna gorączka.

Sierżant nie chciał znaleźć się w pobliżu Vamberfelda w chwili, gdy jego psychika w końcu pęknie.

Zamknął klapę silnika.

- Wóz jest na chodzie ! Ruszajcie się, jeśli mamy jechać dalej !

Cała grupa zawróciła pośpiesznie w stronę Chimery. Nie wiadomo który raz z rzędu Corbec zaczął analizować potencjał swojej ekspedycji. Czasami podjęta decyzja wydawała mu się najlepszą z możliwych, kiedy indziej nie potrafił opędzić się od wrażenia, że popełnił niewybaczalny błąd. Złamał rozkazy i nakłonił do tego samego ośmiu innych gwardzistów. Wkroczył na terytorium nieprzyjaciela. Często zastanawiał się jakie miał szanse w przypadku nagłej konfrontacji z wrogiem. Milo był zdrowy i dobrze radził sobie z bronią, za to Sanian i doktor nie używali dotąd żadnych zagrażających ludzkiemu życiu narzędzi. Nessa nosiła opatrunki po postrzale w brzuch; jedna ręka Bragga do niczego się nie nadawała; Daur i Derin zostali ranieni w pierś, co wydatnie ich spowalniało; Greer nosił bandaże na głowie, a Vamberfeld znajdował się na granicy psychicznego załamania. No i pozostawały jeszcze obrażenia samego pułkownika.

Nie był to najbardziej efektywny zespół bojowy w historii Gwardii, nie zaliczał się też do tych najlepiej wyposażonych. Każdy żołnierz miał przy sobie laserowy karabin – w przypadku Nessy była to wersja snajperska – Bragg taszczył dodatkowo swój ciężki karabin maszynowy. Każdy Duch dźwigał też pakiet wybuchowy, ale wszystkim brakowało baterii do laserów. Do cekaemu mieli tylko kilka taśm z nabojami. Chimera była wyposażona w stormbolter, lecz zły stan techniczny wozu groził jego unieruchomieniem w praktycznie każdym momencie.

Corbec zastanawiał się, co takiego zrobiliby w tej sytuacji Gaunt. Zdawał sobie sprawę z tego, co groziłoby w tej chwili samym dezertrom ze strony komisarza.

Gaunt bez wątpienia kazałby ich wszystkich rozstrzelać.

a

Pomiędzy drzewami, gęstymi zagajnikami acestusa i vipirium, zwiadowcy zaczęli dostrzegać pierwsze budynki Bhavnageru. Było późne popołudnie, słońce prażyło bezlitośnie, a powietrze falowało pod wpływem żaru. Szpica przemieszczała się w świetnym czasie, a niedawny komunikat nadesłany przez konwój pozwalał oszacować, że główna kolumna znajdowała się zaledwie siedemdziesiąt minut jazdy w tyle.

Mkoll zaczął porównywać dostrzegane detale z planem miasteczka dołączonym do jego mapy. Bhavnager był całkiem spory, jego panoramę zdominowała wielka świątynia z białego kamienia z połączonym dachem na wschodzie oraz rząd zbudowanych z cegieł magazynów na zachodzie. Modlitewne flagi i proporce wisiały smętnie w pozbawionym wiatru powietrzu. Droga, którą nadjechała czujka, wchodziła do miasteczka od południowego wschodu, omijała od południa świątynię docierając do placu targowego pełniącego zarazem rolę miejskiego rynku, a potem biegła na północ pomiędzy skupiskiem dużych budynków będących według planu miasta warsztatami mechanicznymi. Sieć mniejszych uliczek odchodziła od rynku wijąc się pomiędzy domostwami i zakładami rzemieślniczymi.

- Wygląda spokojnie – powiedział Mkvennar.
- Ale tym razem nie jest pusto. Widać ludzi, tam na rynku.
- Widziałem.
- I dwóch na niższym balkonie świątyni.
- Obserwatorzy.
- Ano.

Dwaj zwiadowcy ruszyli ostrożnie do przodu, chowając się w gęstych krzewach. Półtora kilometra od peryferii miasta owocowe zagajniki znikwały bez śladu, zastępowała je wykarczowana i wyrównana spychaczami ziemia.

- Chyba nie chcą, żeby ktoś zakradł się cichaczem do miasteczka, co ?

Mkoll uniósł ręką nakazując ciszę. Obaj dostrzegli poruszenie wśród drzew dwadzieścia metrów po swojej prawej, praktycznie przy krawędzi drogi. Zostawiając Mkvennara za sobą z przyłożonym do ramienia karabinem, sierżant zaczął prześlizgiwać się pomiędzy gęstą roślinnością. Wyjął z pochwy srebrne ostrze, oplótł palcami jego rękojeść.

Mężczyzna obserwował drogę z płytkiego dołka wykopanego przy poboczu szlaku. Mkoll obszedł jego pozycję, przedostał się za plecy obserwatora. Pojazdy szpicy znajdowały się poza polem widzenia heretyka, ale bez wątpienia zdążył on już usłyszeć dźwięk ich silników. Sierżant nie wiedział tylko, czy obserwator wysłał już ostrzegawczy sygnał do miasteczka czy też wciąż czekał na pojawienie się wozów nieprzyjaciela.

Duch podciął gardło mężczyzny jednym pociągnięciem ostrza, obserwator nawet nie wiedział, co go zabiło.

Trup był ubrany w zielony uniform, jego skórę pokrywały bluźniercze tatuaże.

Infardi.

Mkoll przeszukał ciało. Znalazł przestarzały karabin automatyczny, ale nie natrafił na radio. Na małej półeczce z ubitej ziemi w bocznej ścianie dołka tkwiło za to okrągłe lusterko. Proste, ale efektywne narzędzie służące do komunikacji, być może do kontaktu z innym obserwatorem ukrytym gdzieś przy drodze. Jak wielu ich było ? Czy oba para Duchów nie przeoczyła któregoś z nich przekradając się przez zagajniki ?

Spoglądając w stronę miasteczka Mkoll spostrzegł nagle promienie słoneczne odbijające się od zwierciadła na niższym balkonie świątyni. Minutę później sygnał powtórzył się ponownie.

Pytanie ? Odpowiedź ? Rutynowa kontrola ? Mkoll nie potrafił zdecydować, czy użyć lusterka czy też nie. Mógł się zdradzić wysyłając błędny sygnał, lecz czy jego brak nie był jeszcze gorszą alternatywą ?

Świątynne zwierciadło zamigotało ponownie.

- Szeffie ? – w słuchawce rozległ się szept Mkvennara.
- Dawaj.
- Widzę sygnały świetlne.
- W świątyni ?
- Nie. Po tej samej stronie drogi, trzydzieści metrów dalej, w miejscu, gdzie kończy się linia drzew.

Mkvennar miał lepsze pole widzenia. Mkoll przekręcił się w dołku, poczołgał przed siebie zaciągając brzegi płaszcza na siebie. Po chwili spostrzegł drugiego obserwatora, mężczyznę ukrytego w zagłębieniu przysłoniętym płachtą siatki maskującej. Infardi spoglądał w stronę drogi i najwyraźniej nie zauważył jeszcze obecności intruza.

Mkoll schował nóż do pochwy i zdjął z pleców karabin. Tłumik dźwięku tkwił na swoim miejscu, w trakcie operacji w terenie zwiadowca praktycznie nigdy go nie zdejmował.

Odczekał chwilę, dopóki obserwator nie wychylił się z kryjówki podnosząc lusterko i wtedy strzelił mu prosto w ucho. Heretyk osunął się na dno zagłębienia znikając z oczu zwiadowcy.

Nie wydając żadnego dźwięku obaj gwardziści powrócili pośpiesznie do szpicy. Kapitan Sirius czekał na nich niecierpliwie w towarzystwie dowódcy drugiego czołgu.

- Nie mam pojęcia o liczebności nieprzyjaciela, niemniej jednak zajmuje on to miasto – oświadczył Mkoll – Zdjęliśmy parę wartowników na peryferiach. Pilnowali drogi, spory fragment przestrzeni między miastem, a zagajnikami został wykarczowany. Wolałbym zabrać swoich ludzi, przeczesać laski i zlikwidować innych obserwatorów, a po zapadnięciu zmroku wślizgnąć się do miasteczka, ale obawiam się, że nie mamy na to czasu. Wróg zauważył zniknięcie wartowników bardzo szybko, nie wiem, czy aby już nie został zaalarmowany.

- Cholerny konwój wtoczy się nam na plecy za jakieś sześćdziesiąt minut – zauważył Sirius.
- Może właśnie tak powinniśmy to rozegrać – zaproponował drugi czołgista, niski mężczyzna noszący nazwisko Farant lub Faranter – Zaczekamy na przybycie konwoju i wtedy uderzymy całą siłą.

Propozycja wydała się Mkollowi sensowna. Próba skrytego opanowania Bhavnageru mogła pociągnąć za sobą nieuzasadnione opóźnienie w harmonogramie. Być może była to okazja do brutalnego wykorzystania całego potencjału ekspedycji. Silnego uderzenia, nie pieszczona się z wrogiem na raty.

- Złapię przez radio starego i przekażę mu nasze wnioski – powiedział sierżant i odwrócił się idąc w stronę swej Salamandry.

W oddali rozległ się ledwie słyszalny stukot, stłumiony ciężkim powietrzem. Chwilę później niebo rozdarł przeraźliwy skowyt spadających pocisków.

- Padnij ! – krzyknął Sirius. Lojaliści rozpieczęli się na wszystkie strony w poszukiwaniu kryjówek.

Pierwszy pocisk spadł dwadzieścia pięć metrów z przodu na pobocze drogi, wrywając kilka drzew i ciskając ich pnie na nawierzchnię jezdni. Dwa kolejne eksplodowały w zagajniku po lewej stronie. W powietrzu zakotłowało się od brył ziemi i kawałków gałęzi.

Conquerory zaczęły objeżdżać Salamandry, Gniew Pardui toczył się przodem. Następne pociski zaczęły się rozrywać wokół pojazdów szpicy. Nieprzyjaciel musiał mieć wyśmienite dalmierze albo też wyjątkowo dopisywało mu szczęście.

- Cofać się ! Sirius, wycofaj się ! – krzyknął do mikrofonu Mkoll łapiąc się jednocześnie za burtę Salamandry, bo transporter skoczył dziko do przodu. Sierżant przykucnął na podłodze przedziału desantowego chroniąc się przed gradem tłukących w kadłub wozu odłamków.

Pociski spadały zbyt szybko, by można je było wystrzelić z jednego działa. Wróg musiał dysponować całą baterią polową, całkiem sporego kalibru. Tylko gdzie zdołał ją zakamuflować ?

Conqueror Faranta wyleciał w powietrze przemieniając się w kulę ognia. Eksplozja była tak silna, że jej fala uderzeniowa zbiła z nóg wyglądającego za burtę sierżanta. Caober krzyknął z bólu, kiedy jeden z dymiących szrapneli przeorał mu czoło.

Płonący wrak pardusyckiego czołgu zatarasował drogę. Jego wieżyczka zniknęła, kadłub ział wielkimi dziurami, gąsienice zostały rozerwane na dziesiątki fragmentów. Gniew Pardui zjeżdżał z drogi na pobocze, pomiędzy drzewa.

- Nieprzyjacielskie czołgi ! Nieprzyjacielskie czołgi ! – w eterze rozległ się krzyk Siriusa.

Wtedy Mkoll je dostrzegł. Dwa pomalowane na zielono czołgi przetoczyły się przez pobliski zagajnik łamiąc kadłubami drzewka. Z wylotów ich luf buchały płomienie.

To dlatego nie zauważył wcześniej stanowisk polowej artylerii. To nie była artyleria.

Infardi mieli czołgi. Sądząc z intensywności ostrzału, mieli ich całkiem sporo.

Rozdział X – Bitwa o Bhavnager

„Nie wahajcie się ! Nie ustępujcie i Ponieście im śmierć w moje imię” – święta Sabbat pod bramami Harkalonu.

Nie zważając na stuściomilimetrowe pociski rozrywające się z hukiem na drodze i poboczu, Sirius podjął konfrontację z czołgistami Infardich. Gniew Pardui potoczył się do przodu z metalicznym szczękiem gąsienic, wypalił z głównego działa. Pocisk uderzył w podstawę wieżyczki bliższego czołgu, obrócił ją o dwieście dziesięć stopni impetem trafienia. Pojazd wciąż posiadał sprawny napęd, bo nie przerwał jazdy, niemniej jednak jego układ obrotowy wieży musiał się zaciąć. Gniew Pardui wypalił ponownie, ułamek sekundy przed wystrzałem z działa drugiego rebelianckiego czołgu. Pocisk Infardich uderzył pod małym kątem w pancerną osłonę nad sekcją trakcyjną Leman Russa, ześlizgnął się po niej żłobiąc w burcie pojazdu płytką szramę, po czym rozerwał się z hukiem i błyskiem gdzieś między drzewami.

Drugi strzał Gniewu Pardui okazał się pudłem. Rozbrojony pierwszym trafieniem heretycki czołg zdążył się w międzyczasie zbliżyć na dystans czterdziestu metrów i otworzyć ogień z wbudowanego w przód kadłuba laserowego działka. Drugi nieprzyjacielski pojazd manewrował za swym uszkodzonym towarzyszem próbując wyjść na pozycję umożliwiającą czysty strzał, miażdżąc pod gąsienicami niskie krzewy i niewielkie drzewka porastające pas pobocza. Pociski wystrzeliwane z innych, niewidocznych wciąż maszyn Infardich spadały z hukiem na drogę i jej otoczenie.

Nie zważając na wiązki laserowej energii punktujące przedni pancerz Leman Russa Sirius kazał celownicemu otworzyć ogień do drugiego wozu rebeliantów, objeżdżającego uszkodzoną maszynę z boku. Przesunięcie lufy głównego działa wymagało kilku sekund, co wykorzystała heretycka załoga. Tym razem pocisk grzmotnął w przedni pancerz Conquerora cofając wążący sześćdziesiąt dwie tony imperialny czołg o parę metrów, ale jego rdzeń nie

zdołał przebić grubej na dwadzieścia centymetrów pancерnej płyty. Załoga Sirusa zaczęła potrzasać w oszłomieniu głowami i ścisnąć głowy, wysiadła większość podzespołów elektronicznych. Dowódca Gniewu Pardui krzyknął nakazując wrzucenie wstecznego biegu, ale czołg Infardich zdążył już podjechać do Conquerora na dystans uniemożliwiający chybiecie.

Słup laserowego ognia przemknął obok Gniewu Pardui i wtopił się w kadłub heretyckiego czołgu tuż pod podstawą wieży. Zmagazynowana w środku maszyny amunicja wyleciała w powietrze, rozsadzony od środka pojazd dosłownie się rozpadł wśród jęzorów ognia. Siła wybuchu powaliła drzewka w promieniu dwudziestu metrów.

Do akcji włączył się Szary Venger.

Mkoll widział Destroyera z odkrytej kabiny swej cofającej się na wstecznym biegu Salamandry. Niszczyciel czołgów sunął do przodu, z wywietrzników po bokach jego masywnej lufy buchały kłęby chłodzącego gazu. Wóz ominął płonący wrak maszyny Faranta i zatrzymał się przy Gniewie Pardui.

Destroyer nie zdążył wystrzelić. Czołgiści Sirusa szybko się otrząsnęli z szoku wywołanego bezpośrednim trafieniem i wpakowali dwa pociski w kadłub drugiego pojazdu. Rebeliancki czołg zaczął się palić z trzaskiem płomieni.

Trzy Salamandry wycofały się w tym czasie dostatecznie daleko, by móc bezpiecznie obrócić w miejscu.

- Przerwać walkę i wycofać się ! – krzyknął do komunikatora Mkoll – Wycofać się do punktu 00.58 !

LeGuin potwierdził natychmiast odbiór polecenia, Sirius nie odezwał się ani słowem.

Cholerny idiota nie chce przerwać konfrontacji, pomyślał Mkoll. Na ekranie pokładowego radaru sierżant dostrzegł co najmniej dziesięć sygnatur nieprzyjacielskich czołgów nadjeżdżających od strony miasteczka.

Sirus pojawił się we włazie swej wieży, spoglądając poprzez kłęby dymu w stronę pojazdu Mkolla. Najwyraźniej trafienie wrogiego pocisku wyłączyło mu z użytku system łączności. Sierżant przekazał Pardusycie nakaz odwrotu za pomocą języka migowego, upewniając się, że czołgista otrzymane polecenie zrozumiał.

Szary Venger wystrzelił jeszcze dwie wiązki oślepiającej energii mierząc gdzieś w głąb drogi. Mkoll uznał, że była to prosta taktyka mająca zniechęcić nieprzyjaciela do podjęcia pościgu. Nawet szaleni nie zastanowiliby się dwa razy wjeżdżając pojazdem pancernym w zalesiony teren stanowiący kryjówkę niszczyciela czołgów.

Gniew Pardui zawrócił w miejscu i ruszył w ślad za Salamandrami mierząc za siebie z obróconej w tył lufy głównego działa. Ostatni do odwrotu przystąpił Szary Venger, skutecznie zniechęcony do dalszego polowania przez prowadzone na oślep bombardowanie z czołgowych armat Infardich.

Ogłuszeni i nieco poobijani członkowie szpicy oddalili się na południe, uuu uciekając przed chaotyczną kanonadą, która trwała jeszcze przez kwadrans.

Nikt nie próbował ich ścigać.

Mkoll włączył komunikator i zaczął wywoływać Gaunta. Miał mu złe wieści do przekazania.

a

Obserwując uważnie północny kraniec drogi, zwiadowcy czekali na spotkanie z konwojem w punkcie 00.58 – na szczycie skarpy górującej ponad rozległymi łąkami piętnaście kilometrów na południe od Bhavnageru.

Słońce zaczęło opadać ku linii horyzontu, potworny skwar wyraźnie zelżał. Wiatr przyniósł chłodniejsze powietrze znad odległych Świętych Szczytów, rysujących się już wyraźnie za zielonymi koronami deszczowych lasów.

Mkoll wysiadł z Salamandry mijając Bonina zakładającego opatrunek na krwawiącą silnie ranę Caobera, ruszył w stronę Gniewu Pardui. Idąc wolnym krokiem spojrzął w kierunku Świętych Szczytów – mrocznych stoków wznoszących się ku przestworzom jakieś siedemdziesiąt kilometrów na północ od miejsca postoju, przechodzących w strome turnie rysujące się szarą linią na odległym horyzoncie. Za nimi, jakieś sto kilometrów dalej, w niebo wystrzeliwał główny masyw Świętych Szczytów: majestatyczne lodowe tytany tonące w chmurach, sięgające dziewięciu tysięcy kilometrów w górę.

Był to fascynujący widok.

Świadomość tego, że straż honorowa musi zmierzyć się z nieprzyjacielską jednostką pancerną okopaną wokół krytycznie ważnych zapasów paliwa, przemierzyć deszczowe lasy, a potem pokonać górskie przełęcze, nieco psuła nastrój cieszącego oczy majestatycznym obrazem Mkolla.

Grom huknął gdzieś w przestworzach wieszcząc potencjalną burzę, w podmuchach wiatru pojawiła się cudowna wilgoć. Kłęby burych chmur zaczęły gromadzić się na północy, przesłaniając przestworza jeszcze godzinę temu nieskazitelnie czyste i lazuruowe.

Małe chelony i przypominający dziki roślinożercy paśli się na położonej niżej łące, pochrzając głośno i węsząc podejrzliwie w stronę ludzi.

Sirus i jego ludzie wykonywali prowizoryczne naprawy przy Gniewie Pardui. Wszyscy żartowali i śmiali się radośnie, nie wyłączając samego kapitana, ciesząc się z udziału w akcji i ujęcia z niej z życiem. Nikt nie wspominał poległych kolegów z załogi Faranta. Czas na żalobę miał dopiero nadejść. Mkoll pewien był, że po odbiciu Bhavnageru grono poległych pardusyckich czołgistów miało się znacznie powiększyć.

Pomiędzy gładzonymi wiatrem wysokimi trawami przechadzał się jakiś mężczyzna. Mkoll zorientował się od razu, że ma przed sobą niewidzianego dotąd LeGuina. Kapitan był dobrze zbudowanym mężczyzną około trzydziestki, ubrany w kombinezon czołgisty i oficerski płaszcz. Zmierzając w stronę Ducha rozpiął pasek hełmofonu i zdjął go z głowy.

Miał ciemniejszą barwę skóry od większości Pardusytów, a jego niebieskie oczy błyszcząły przenikliwie.

- Trzeźwą ma pan głowę, sierżancie – oświadczył podając Mkollowi rękę.
- Przez minutę wyglądało to bardzo nieciekawie – przyznał Tanithijczyk.
- Owszem, ale takie walki niosą w sobie największą frajdę.
- Bałem się, że Sirus nie zechce przyjąć rozkazu odwrotu.

LeGuin uśmiechnął się wyrozumiale.

- Anselm Sirus jest dziko wręcz żądny chwały. A przy tym to także najlepszy oficer w naszym regimencie. Może z wyjątkiem Wolla. Obaj od dawna toczą pomiędzy sobą ostrą rywalizację. Obaj są sławnymi asami, ale Sirus dzierży palmę pierwszeństwa i nie chce jej oddać.

Mkoll pokiwał ze zrozumieniem głową.

- Znam podobnych do nich żołnierzy piechoty. Myślałem, że rebelianci go wykończą na tamtej drodze, ale pan wyczuł perfekcyjnie chwilę na wejście.
- Wypalenie z głównego działła mojej pieśczożki to erotyczna wręcz przyjemność, sierżancie. Odwaliłem swoją robotę i tyle.

Szary Venger stał opodal, ustawiony w trawie, mierząc z potężnej lufy lasera w stronę północnego odcinka drogi. Mkoll pomyślał, że gdyby życie pokierowało jego krokami ku akademii wojsk pancernych, zapewne zrobiłby wszystko, by trafić na pokład maszyny typu Destroyer. Jeśli można było jakikolwiek czołg nazywać cichym, to właśnie ważący ponad pięćdziesiąt ton niszczyciel zasługiwał na miano bezszelestnego drapieżcy. Był myśliwym.

Mkoll czuł sympatię do myśliwych. On sam przez całe swe dorosłe życie aż do chwili rekrutacji parał się myśliwskim rzemiosłem.

Niektóre z pasących się na łące zwierząt poderwały łby spoglądając z niepokojem w stronę południa, po czym zaczęły się oddalać na zachód.

Minutę później do uszu żołnierzy dotarł narastający z każdą sekundą ryk silników.

- Nasi nadjeżdżają – powiedział LeGuin.

a

Konwój straży honorowej zatrzymał się w punkcie 00.58 formując solidną linię obrony skierowaną ku północy. Kiedy czołgi zajęły wyznaczone im miejsca, a za ich kadłubami zaparkowały Hydry, siedzący dotąd w ciężarówkach żołnierze zaczęli wysiadać w uporządkowany sposób.

- Teraz zobaczymy prawdziwą zabawę, pewnie, że pewnie – oświadczył szeregowiec Cuu przyklękając w trawie.

- Mam nadzieję, że ktoś nie przesadzi z nadmiarem tej zabawy – odparł Larkin przecierając szatką obiektyw swej lunety.

Zabezpieczywszy strefę postoju Gaunt przywołał do siebie wszystkich oficerów mających wziąć udział na naradzie. Zebrali się szybko przy Salamandrze pułkownikakomisarza: Kleopas, Rawne, Kolea, Hark, oficer medyczny Curth, dowódcy czołgów i plutonów piechoty. Niektórzy przynieśli mapniki, inni notesy, większość ścisła w dłoniach metalowe kubki ze świeżo zaparzoną kawą.

- Czekam na wasze wnioski – powiedział Gaunt otwierając spotkanie.

- Do nocy zostały nam jakieś cztery godziny – oświadczył major Kleopas- Połowę tego czasu zajmie zajmowanie pozycji do szturmowania – Sugerowałbym raczej odłożyć atak do świtu.

- W takim przypadku zaczęlibyśmy tankować wozy dopiero po południu, zakładając, że w ogóle uda nam się Bhavnager zdobyć – skomentował Rawne – Zmarnotrawimy w ten sposób pół dnia.

- Co zatem zrobić ? – sarknął Kleopas – Sugeruje pan uderzenie na miasto jeszcze dzisiaj ?

Kilku pardustyckich oficerów roześmiało się bez cienia wesołości w głosach.

- Oczywiście – odparł lodowatym tonem tanithijski major – Po co tracić te kilka godzin słonecznego światła ? Mamy jakieś inne rozwiązanie ?

- Uderzenie lotnicze – zaproponował komisarz Hark. Wszyscy czołgiści jęknęli zgodnym chórem.

- Nie, proszę ! To wymarzona okazja do pancерnej konfrontacji. Dajcie nam zająć się tym miasteczkiem – odezwał się Sirus.

- Powiem panu, co to jest – powiedział chłodno Gaunt – To wymarzona okazja do wykonania niebywale ważnej misji w imię BogaImperatora. Nikt nie może oczekiwać, że zapracuje sobie na medale i glorię bohatera poprzez uczestnictwo w zbędnych operacjach zaczepnych.

- Sirus nie miał nic złego na myśli – chrząknął Kleopas. Kapitan Sirus nic nie odrzekł, zmarszczył jedynie gniewnie czoło.

- A ja myślę, że dokładnie to miał na myśli – odparł Hark.

- Bez względu na plany kapitana Sirusa odbyłem już rozmowę radiową z bazą lotniczą w Ansiparze. Stacjonujące tam skrzydło uderzeniowe znajduje się w trakcie ewakuacji. Oficer dyżurny poinformował mnie, że wygospodaruje dla nas eskadrę samolotów, jeśli poczekamy dwa dni. Jak już wspomniał major Rawne, nie mamy czasu do stracenia. Przejmiemy Bhavnager własnymi siłami.

Sirus uśmiechnął się szeroko. Inni oficerowie zaczęli coś między sobą komentować półgłosem.

Gaunt przesunął wzrokiem po ekranie swego elektronicznego notesu zerkając na raport zwiadowców.

- Wiemy, że nieprzyjaciel ma do swej dyspozycji co najmniej dziesięć czołgów średnich. Nie są to maszyny imperialnej produkcji.

- Co najmniej dziesięć – powtórzył Sirius – Wątpię, by wróg wysłał do akcji cały swój kontyngent pancerny mając w perspektywie jedynie rajd za czujką Gwardii.

- Typ i osiągi ? – zapytał Gaunt.

- AT70, czołgi średnie produkowane na Urdeshi – wyjaśnił LeGuin – Nie najgorsze opancerzenie i niska szybkostrzelność. Uzbrojenie główne to działa stuściomilimetrowe. Popularna konstrukcja w tym podsektorze, bardzo często pojawiająca się w armii wroga.

- Heretycy wytwarzają je masowo w fabrykach Urdeshi od dnia podbicia tego świata – powiedział pardusycki kapitan LeTaw.

- To model Reaver, o ile wzrok mnie nie mylił – ciągnął LeGuin – Napęd na promethium, słaby pancerz w tylnej części kadłuba. Nasze Conquerory dalece przewyższają go parametrami, chyba że nieprzyjaciel będzie miał nad nami przewagę liczebną.

- Na podstawie skali tego bombardowania na drodze możemy założyć, że wróg ma co najmniej pięć samobieżnych haubic – dodał Sirius.

- Co najmniej pięć – zgodził się LeGuin – Lecz trzeba zwrócić uwagę na coś jeszcze. Nieprzyjaciel ostrzeliwał drogę przez dłuższy czas po naszym odwróceniu. Idę w zakład, iż nie wiedzieli, że nas już tam nie ma. Mają dobrze rozwinięty system obserwatorów i zwiadowców, ale ich pokładowe radary muszą być znacznie gorsze od naszych. Żadnych skanerów, żadnych rejestratorów ukształtowania terenu. Dopóki nie widzą nas gołym okiem, są praktycznie ślepi. My, z drugiej strony...

- Dziękuję – przerwał kapitanowi Gaunt – Oto taktyka, jaką się dzisiaj posłużymy. Uderzymy frontalnie, wzdłuż linii drogi. Wieczorem. Skoro my uważamy, że atak w godzinach wieczornych jest kiepskim pomysłem, oni tym tym bardziej poczują się zaskoczeni takim ruchem. Czołgi opuszczą linię drzew w rozciągniętej tyralierze. Piechota za nimi, z wsparciem przeciwpancernym. Chcę jednoczesnego uderzenia dwóch niezależnych grup Duchów na południową część miasteczka. Kolea, Baffels, to wasze zadanie. Celem będą te magazyny.

Gaunt zaznaczył kilka krzyżyków na swej mapie.

- A tutaj gwóźdź programu. Uderzenie z boku. Ze wschodu, w wykonaniu czterech lub pięciu czołgów i piechoty z wsparciem Salamander. Celem tej grupy będzie w pierwszej kolejności przejście świątyni, później zaś zbiorniki z paliwem. Hydry zajmą pozycje na tym ciągu wzniesień.

- Co z cywilami ? – zapytał Hark.

- Ja żadnych nie przywoziłem, a pan ? – odparł pytaniem Gaunt.

Żołnierze roześmiali się krótko.

- Bhavnager to otwarty cel. Powiem to teraz wprost, żeby potem nie było niedomówień. Zabezpieczamy miasteczko zgodnie z liniowymi procedurami. Nawet jeśli są tam jacyś cywile, dla nas nie istnieją. Czy to jasne ?

Oficerowie potwierdzili przyjęcie rozkazu. Gaunt udał, że nie widzi zachmurzonej miny Curth.

- Kleopas, przejmie pan komendę nad głównym uderzeniem. Ja pójdę z Duchami tuż za panem. Rawne, Sirius, wy poprowadzicie atak z flanki. Varl, chcę ci powierzyć ochronę taboru zaopatrzeniowego. Zostaniesz razem z swoim plutonem na drodze, przypilnujesz ciężarówek. Wjedziecie do miasta dopiero po otrzymaniu potwierdzenia o zabezpieczeniu terenu. Hasło do ataku to „Slaydo”, do wsparcia „Oktar”, do odwrotu „Dercius”. Główna częstotliwość betakappaalfa. Zastępcza kappabetabeta. Macie jeszcze jakieś pytania ?

a

Żadnych pytań nie było. Dwie godziny przed zachodem słońca, w blasku złocących liście promieni, wśród wiejącego łagodnie wiatru, straż honorowa uderzyła na Bhavnager.

Szary Venger LeGuina i drugi należący do ekspedycji Destroyer, Błazen Śmierci, potoczyły się jako pierwsze, po drodze, eliminując słupami laserowego światła osiem heretyckich czołgów zaparkowanych w podmiejskich sadach.

Mkoll zabrał swój pluton w charakterze asysty dla niszczycieli czołgów. Zwiadowcy jechali na pancerzach Destroyerów, dopóki nie osiągnęli linii drzew, potem zeskoczyli w krzaki i zaczęli skrycie likwidować pilnujących peryferii miasteczka obserwatorów.

Venger i Błazen zatrzymały się na skraju wykarczowanego przedpoła Bhavnageru, przepuszczając resztę pardusyckich czołgów. Szarzę prowadziło Serce Zniszczenia majora Kleopasa. Ziemia drżała rytmicznie, w powietrzu wibrował ryk silników i szczęk gaśienic. Tanithijscy żołnierze opuścili ciężarówki, które następnie wycofały się pod osłonę plutonu sierżanta Varla, rozstawionego w punkcie 00.60 wokół cystern, Trojanów i amunicyjnych Chimer.

W eterze padła komenda „Slaydo”. Dwanaście czołgów ruszyło z rosnącą prędkością w stronę południowych przedmieść Bhavnageru – jedenaście Leman Russów typu Conqueror i jeden Executioner, uzbrojony w antyczne plazmowe działo czołg o nazwie Awanturnik.

Nieprzyjaciel zdążył już dostrzec słupy dymu wystrzeliwujące w niebo z miejsc, w których niszczyciele czołgów wysadziły w powietrze pilnujące podejścia do miasteczka wozy Infardich i przystąpił do kontrataku. Na odkrytą przestrzeń przed Bhavnagerem wyjechały trzydzieści dwa AT70 Reavery i siedem półgaśienicowych transporterów N20 uzbrojonych w działka przeciwpancerne 70mm. Major Kleopas uznał, że to trochę więcej niż przewidywały szacunki kapitana Sirusa mówiące o dziesięciu czołgach i pięciu haubicach nieprzyjaciela. Szykowała się ciężka bitwa pancerna, wymarzona okazja do konfrontacji dla złaknionych takiego boju Pardusytów.

Pomimo niepokojącej przewagi liczebnej wroga Kleopas wyszczerzył w szerokim uśmiechu zęby.

Imperialne Hydry, ustawione na skraju pasa drzew, otworzyły ogień ze swych poczwornie sprzężonych działek zasypując odległe budynki miasta strugami stali. Dwa tysiące żołnierzy w mundurach Duchów opuściły zadrzewiony teren wbiegając na odkrytą przestrzeń w ślad za czołgami Kleopasa. Na peryferiach Bhavnageru rozległ się suchy trzask pierwszych wystrzałów z heretyckich karabinów.

Pierwsze do walki weszły czołgi. Jednostka Kleopasa przyjęła szyk w postaci rozciągniętej litery V, Serce Zniszczenia znajdowało się w jej szczycie. Pardusyci znajdowali się w górnej części niewielkiego wzniesienia, na którym rosły owocowe sady, toteż zdołali się rozpędzić do trzydziestu kilometrów na godzinę. Jadący pod górkę nieprzyjacielscy czołgiści nie dbali o żaden zorganizowany szyk formacji, sunęli do przodu w nierównej poszarpanej linii.

Siedzący w swym fotelu Kleopas raz jeszcze przestudiował odczyty radaru

ru. Ekran urządzenia promieniował bursztynową poświatą, rozświetlającą półmrok zaryglowanej wieżyczki. Major zerknął przez peryskop, używając w tym celu zwyczajowo zdrowego oka, a nie optycznego wszczepu, co od zawsze budziło rozbawienie członków załogi Conquerora. Poprawił helmfon i włączył wiszący przy ustach komunikator.

- Strzelać wedle uznania.

Tuzin czołgowych dział wystrzelił z ogłuszającym hukiem, po kilku sekundach padła druga salwa. Z otworów w lufach maszyn buchnęły płomienie i kłęby dymu, pokrywając kadłuby czołgów cieniutką warstewką sadzy.

Trzy AT70 zostały trafione bezpośrednio, wyleciały w powietrze z hukiem przeistaczając się w kule ognia. Dwa inne odniosły mniej niszczycielskie uszkodzenia, zatrzymały się w miejscu i zaczęły płonąć. Jakaś półgąsienicówka rozpadła się na części, kiedy wystrzelony z Conquerora Człowiek ze Stali pocisk przebił kabinę transportera na wylot zmieniając jego załogę w krwawą papkę.

Stareńki Executioner, dowodzony przez porucznika Pauka, był nieco wolniejszy od Conquerorów, toteż szybko znalazł się w lewym krańcu szarżującej pardusyckiej formacji. Jego potężne plazmowe działko plunęło czerwonym strumieniem energii roztopiając wieżyczkę jednego z AT70.

Infardi odpowiedzieli ogniem. Działa AT70 miały dłuższe lufy od Leman Russów, o mniejszym kalibrze. Dźwięk ich wystrzałów przywodził na myśl przeciągły skowyt, z wylotów luf buchały kłęby gęstego dymu. Pociski spadły gradem na pędzące w dół stoku imperialne wozy.

LeGuin się nie mylił. Będąc modelem produkowanym dla potrzeb lokalnych garnizonów podsektora, Reavery okazały się pozbawione komputerów bojowych i laserowych dalmierzy. Co więcej, nie miały też żyrostabilizatorów. Po zalogowaniu celownika Conquerora na wybranym obiekcie system żyrostabilizacji utrzymywał lufę działa w odpowiedniej pozycji pomimo wykonywanych jednocześnie manewrów. Oznaczało to dla Pardusytów możliwość jednoczesnego przemieszczania się i prowadzenia ognia bez znaczącego pogorszenia celności. Załogi AT70 skazane były w tej kwestii wyłącznie na swój wzrok i każde poruszenie się pojazdu pociągało za sobą konieczność skorygowania ustawienia lufy.

Major Kleopas uśmiechnął się szeroko. Nieprzyjaciel wystrzeliwał setki kilogramów materiałów wybuchowych w górę wzniesienia, ale znacząca większość pocisków przestrzeliwała imperialne maszyny. Reavery nie zostały zaprojektowane z myślą o prowadzeniu ognia w ruchu. Gdyby tylko dowódca pancерnej jednostki Infardich pomyślał o zajęciu pozycji stacjonarnych i ostrzale zbliżających się lojalistów, mógłby przy takiej przewadze liczebnej zadać im spore straty.

Mimo wszystko rebelianci zaczęli zaliczać pierwsze trafienia, bardziej dzięki łutowi szczęścia niż zamierzonym działaniom. Conqueror o nazwie Wielki Młoczarz został ugodzony jednocześnie pociskami wystrzelonymi z dział dwóch Reaverów, zatrzymał się z jękiem dartego metalu i buchnął dymem przeciskającym się przez wykrzywione włazy. Drugi pardusycki czołg, dowodzony przez kapitana Hancota Bębniarz, został trafiony w prawą burtę i stanął w miejscu tracąc gąsienicę, nie przerwał jednak ognia.

Kapitan Endre Woll zaliczył drugi zniszczony wóz przeciwnika w tej bitwie i w zadymionym wnętrzu czołgu rozległ się chóralny wrzask tryumfu. Woll był jednym z pardusyckich asów, bogato udekorowanym rywalem Sirusa. Pod misternie wykaligrafowaną na burcie pojazdu nazwą Stare Strontium widniało sześćdziesiąt jeden ikon oznaczających zniszczone czołgi wroga. Sirius i Gniew Pardui mieli na koncie sześćdziesiąt dziewięć niszczycielskich trafień. Elektryczne siłowniki odwróciły wieżę Strontium z przeciągłym jękiem, jeden celnie posłany pocisk przeistoczył cofający się AT70 w trzaskającą płomieniami żagiew. Hałas panujący w środku Lemana Russa był ogłuszający mimo chroniących uszy załogi hełmofonów. Sekundę po wystrzale oporopowrotniki głównego działa przyjmowały na siebie obciążenie równe stu dziewięćdziesięciu tonom. Niedoświadczeni ładowniczy i celowniczy szkolący się w pardusyckich wojskach pancernych bardzo szybko pojmowali jak ważną zaletą w ciasnym wnętrzu pojazdu był refleks i podzielną uwagę.

Kiedy komora działa powracała do punktu wyjściowego, z jej środka wypadała rozgrzana metalowa łuska lądująca ze szczękiem w pojemniku na zużytą amunicję, a ładowniczy jednym naciśnięciem palca wprowadzał do lufy działa kolejny pocisk, umieszczony w wypełnionym wodą kasetowym magazynku. Celowniczy analizował odczyt dalmierza

konsultując się jednocześnie z obserwującym wyświetlacz radaru Wollem. Kapitan spoglądał na wyświetlacz skanera, ale ustawicznie korygował jego wskazania za pomocą peryskopu. Woll nie wierzył bezgranicznie Duchowi Maszyny, w walce zdecydowanie preferował swój własny zmysł orientacji.

- Cel na 11:34 ! – wrzasnął do mikrofonu.

- 11:34 ! – potwierdził celowniczy i wałnął pięścią w przycisk spustowy działa. Z lufy wieżyczki rzygnęły płomienie.

Trafiony w kadłub Reaver natychmiast stanął w ogniu, trawiącym żarłocznie całą maszynę.

Pardusyccy czołgiści szkoleni byli w walce mobilnej, równoczesnym ruchu i prowadzeniu ognia. Doskonałe zawieszenie Conquerorów, ich stabilizatory i moc silników sprawiały, że Lemany Russy tego typu znacznie przewyższały swą manewrowością nieprzyjacielskie pojazdy, zarówno powolne superczołgi jak i maszyny średniej klasy. Conquerory stawały się w ten sposób rdzeniem imperialnej pancernej kawalerii, zaprojektowanymi z myślą o szarzy i zniszczeniu wroga w trakcie jazdy.

Lecz w czasie każdej zmotoryzowanej szarzy przychodził krytyczny moment, kiedy jej dowódca musiał wybrać jeden z trzech istotnych wariantów: zatrzymanie się, odwrót lub przebiecie przez linię nieprzyjaciela. Kleopas zdawał sobie sprawę z faktu, że od podjęcia takiej decyzji dzielił go zaledwie sekundy. Marzeniem pardusyckiego majora było całkowite unicestwienie wroga w pierwszym uderzeniu, ale Infardi mieli przewagę liczebną nad lojalistami w stosunku trzy do jednego, a na skraju miasta pojawiły się kolejne rebelianckie czołgi. Kleopas zmełł w ustach przekleństwo. Heretycy mieli w Bhavnagerze jednostkę pancerną w sile dywizji, pierwotne szacunki Sirusa mogły obecnie budzić co najwyżej pełen frustracji śmiech.

Do diabła z regularną bitwą pancerną, ta konfrontacja miała szansę stać się legendą.

Trzy warianty do wyboru. Wyhamowanie i walka w pozycji stacjonarnej. Przebiecie się przez linię nieprzyjaciela i wykonanie zwrotu w tył. Rozdzielenie się i manewr nożyc.

Walka w pozycji stacjonarnej byłaby najgorszym z możliwych rozwiązań, dałaby załogom Reaverów szansę na wykorzystanie w pełni przewagi liczebnej. Przebiecie się i zwrot sprawiały wrażenie ciekawego manewru, ale zmusiłyby Pardusytów do szarzy w kierunku własnej piechoty, co groziło przypadkowym jej ostrzelaniem w chaosie konfrontacji.

- Nożyce trzycztery ! Nożyce, natychmiast ! – krzyknął do mikrofonu Kleopas. Lewe ramię formacji, prowadzone przez majora, skrzyło w bok oddalając się pośpiesznie od płonących wozów Infardich, prawe pod komendą kapitana Wolla zwolniło raptownie.

Z przeciągłym zgrzytem układów wspomaganie czołgi należące do grupy Kleopasa zawróciły w miejscu, wyrzucając spod gąsienic bryły ziemi i ruszając na flankę heretyków. Wszystkie Lemany Russy miały wbudowany zaawansowany układ wspomaganie kierowania i niezależnie poruszające się sekcje trakcyjne umożliwiające baletowe wręcz uniki. Sześć kolejnych Reaverów stanęło w płomieniach rażonych pociskami załóg Kleopasa, dwa dalsze i półgąsienicowy transporter padły ofiarą grupy Wolla.

Peryferia Bhavnageru przeistoczyły się w istne cmentarzysko czołgów. Płonące wraki buchały kłębamii dymu, wszędzie poniewierały się kawałki okopconego metalu. Uciekający z rozbitych czołgów Infardi błakali się na oślep po pobojowisku. Niektóre z Reaverów, pozbawione wspomaganie, próbowały nieporadnie obrócić się w miejscu i stawić czoła maszynom Kleopasa, ale niemal natychmiast stanęły podziurawione nadlatującymi z obu stron pociskami. Znacząca część rebelianckiej formacji została zredukowana do poziomu dymiącego żelastwa.

Do wygranej lojalistom wciąż było daleko.

Człowiek ze Stali zahamował z hukiem rozrywanej blachy, przeistoczył się w płonący jak pochodnia wrak. Ukryty pomiędzy budynkami transporter N20 zdołał trafić Conquerora wystrzelonym z przeciwpancernego działka pociskiem. Kleopas zagryzł do krwi usta słysząc w hełmofonie skowyt palącego się żywca kapitana Ridasa. Sekundę później Duma Memphis została wysadzona w powietrze przez manewrujący opodal AT70. Plując strugą plazmowego ognia Awanturnik porucznika Pauka pomścił zagładę kolegów unicestwiając Reavera.

Kiedy czołgi Kleopasa przetoczyły się przez pobojuwisko, do ataku ruszyły maszyny kapitana Wolla. Spomiędzy budynków Bhavnageru wytoczyło się kolejnych osiemnaście AT70, hamując ze zgrzytem gąsienic i bijąc z dział w pozycji stacjonarnej. Skala artyleryjskiego bombardowania przybrała apokaliptyczne rozmiary. Przywierając do peryskopu Woll naliczył dziewięć samobieżnych haubic Usurper stojących za linią Reaverów. Kanciaste haubice - brzydkie, ale dysponujące solidnym kalibrem raketowych wyrzutni – wzorowane były na imperialnych Earthshakerach. Uliczkami biegnącymi od strony placu targowego nadjeżdżało dwanaście transporterów N20.

Sytuacja lojalistów nie wyglądała obiecująco.

a

- Formować linię ! Formować linię ! – krzyknął Gaunt, a dowódcy plutonów natychmiast powtórzyli w eterze rozkaz pułkownikakomisarza. Stojący tuż za linią drzew gwardziści gapili się przez ostatnie dziesięć minut z nabożną wręcz fascynacją na toczoną przed ich oczami pancerną bitwę.

- Ludzie Tanith, ludzie Verghastu, przyszło wam spełnić powinność wobec Imperatora ! Do ataku ! Do ataku !

Rozpoczynając natarcie truchtem tysiące żołnierzy w czarnych mundurach przeszły do biegu, pędząc przez zasnuite dymem pobojuwisko z nalożoaa

nymi na lufy karabinów bagnetami. Kilka zabłąkanych pocisków rozerwało się pomiędzy plutonami, nad głowami Duchów śmignęły serie smugowych naboju. Kolea dowodził lewym skrzydłem piechoty, Baffels prawym. Sam Gaunt biegł w środkowej części formacji.

Pokładając zaufanie w swych sierżantach pułkownikkomisarz przystanął na chwilę i wykrzyczał zachętę w kierunku nadbiegających od tyłu setek żołnierzy. Energetyczny miecz trzymał wysoko w górze, by wszyscy mogli dostrzec skrzące się iskrami ostrze.

W głębi serca bardzo żałował, że nie ma przy sobie Brina. Milo powinien był biec obok swego dowódcy, grając na dudach. Gaunt krzyknął ponownie, ochrypłym głosem.

Komisarz Hark biegł z plutonem Baffelsa. Zawołania oficera politycznego nie miały w sobie ognia i charyzmy przesycającej głos Gaunta, Hark był nowym członkiem regimentu i żołnierze nie czuli w stosunku do niego żadnej emocjonalnej więzi. Mimo to udawali, że go słuchają.

- Dowódcy Destroyerów jadą za nami w roli mobilnego wsparcia ! – zawołał truchtający przy boku Gaunta radiooperator Beltayn. Pułkownikkomisarz obejrzał się przez ramię dostrzegając niskie sylwety Szarego Vengera i Błazna Śmierci opuszczających zagajnik i toczących się w ślad za piechotą. Pancerne wsparcie nieco Gaunta pocieszyło – to dzięki umiejętności kooperacji pomiędzy różnymi formacjami Imperialna Gwardia zyskiwała najbardziej na skuteczności.

a

Ana Curth i jej sanitariusze podążali w tylnych szeregach natarcia. Przemierzana przez kobietę przestrzeń zryta była kraterami pełnymi brudnego oleju, bryły rozbitej pociskami białej skały przezierają spod przeoranej brutalnie warstwy czarnej ziemi. Curth nie mogła się oprzeć wrażeniu, że spogląda na wnętrzości planety wydarte jej przemocą przez człowieka. Stąpała po martwej ziemi i wiedziała doskonale, że pas tej dewastacji poszerzy się jeszcze do chwili zdobycia Bhavnageru.

Lesp odbił w lewo dostrzegając przewracającego się na ziemię Ducha. Chwilę później odłamki artyleryjskiego pocisku ścięły dwóch innych gwardzistów, w ich kierunku rzucili się Chayker i Foskin.

- Medyk ! Medyk ! – z zadymionego piekła gdzieś z przodu do uszu lekarki dobiegł czyjś rozpaczliwy krzyk.

- Idę ! – wrzasnął Mtane przesadzając skokiem jakieś dopalające się żelastwo i przypadając do ziemi obok Ducha klęczącego nad swoim nieruchomym towarzyszem broni.

To prawdziwe piekło, pomyślała skonsternowana lekarka. Bitwa o hagiańskie miasteczko okazała się dla niej pierwszą regularną akcją bojową, zupełnie nie przypominającą szaleństwa ulicznych walk w Vervunhive. Pole bitwy. Dopiero tutaj, pod Bhavnagerem, uświadomiła sobie w pełni znaczenie tego określenia. Niewiele rzeczy potrafiło zaszokować Anę Curth, a już z pewnością nie należały do nich krew i okaleczone ciała.

Jej szok wywołała ogłuszająca skala konfrontacji. Ryk, huk, łomot, rozbłyski, krzyki, kołyszący się w oczach obraz.

Bezmiar sianej ustawicznie śmierci. Losowość zadanego cierpienia.

- Medyk !

Otworzyła w biegu klapę swej torby, biegnąc zakosami poprzez dym i huk rozrywających się pocisków. Za każdym razem, kiedy już zyskiwała przekonanie, że poznała wszystkie koszmary wojny, złośliwy los udowadniał jej, iż się myli. Zastanawiała się chwilami, w jaki sposób ludzie tacy jak chociażby Gaunt potrafili po tak wielu latach wojen zachować rozum i nie popaść w otchłań szaleństwa.

- Medyk !

- Już, już ! Zostań na miejscu !

a

Gwardyjska grupa mająca wykonać uderzenie z flanki zgromadziła się w punkcie 07.07 – przy niewielkiej farmie położonej kilometr na wschód od Bhavnageru. Hałas dobiegający od strony toczącej się cztery kilometry dalej pancерnej bitwy nawet tutaj wprawiał ziemię w nieznaczące drżenie.

Rawne splunął pod nogi i chwycił laserowy karabin oparty o drewniane ogrodzenie farmy.

- Czas ruszać – oświadczył zwięźle.

Kapitan Sirius skinął głową, odbiegł w stronę swego Conquerora: jednego z sześciu czołgów stojących na luzie po drugiej stronie zabudowań farmy.

Feygor, adiutant majora, zarzucił na ramię własny karabin, włączył komunikator nakazując przygotowanie do akcji trzystu przydzielonym do operacji Duchom.

Wiatr przybierał na sile, zachodzące słońce rozpałiło złocistą kopułę odległej świątyni swymi słabnącymi promieniami.

Rawne włączył własny nadajnik.

- Trójka do Sirusa. Widzisz to, co ja ?

- Widzę wschodnie obrzeża Bhavnageru. I świątynię.

- Dobrze. Jeśli jesteś gotów, ruszajmy.

Sześć Conquerorów ruszyło wśród kłębow spalin ryjąc gąsienicami pola i łąki rozciągające się za wschodnimi peryferiami miasteczka. Za czołgami jechało osiem zdalnych jeszcze do użytku Salamander ekspedycji. Rawne złapał za uchwyty na burcie jednego z transporterów, zawisł na nich spoglądając z góry na biegnących w ślad za pojazdami gwardzistów.

Mknące za Gniewem Pardui Conquerory nosiły nazwy Zmów Modlitwę, Słodka Klara, Stalowa Burza, Fartowny Bękart i Lew Pardui. Podskakujące na nierównościach terenu czołgi zaczęły strzelać z dział, mierząc w ściany świątyni i otaczających ją budynków. W niebo wystrzeliły pierwsze słupy dymu.

Niemal natychmiast wzdłuż północnej ściany sanktuarium wysunęły się cztery AT70. Dwa z nich ruszyły w stronę podmiejskich pól, dwa pozostałe stanęły w miejscu i zaczęły strzelać do nadjeżdżających lojalistów.

Dowodzona przez kapitana LeTawa Słodka Klara zdołała zniszczyć jeden z przemieszczających się czołgów przepięknym strzałem, którego nie powstydziliby się sam Woll. Kilka sekund później Conqueror został trafiony pociskiem o rdzeniu z tungstenu. Ładunek przebił gruby pancierz wieżyczki. LeTaw stracił prawą rękę, jego celowniczy zginął na miejscu dosłownie rozsmarowany po ściankach wieży. Pocisk utkwiał w jednej z wypełnionych wodą amunicyjnych kaset, ale nie wybuchł.

Conqueror zatrzymał się w miejscu. LeTaw dygotał pod wpływem szoku urazowego, ledwie potrafił kręcić głową. Wychylił się nieporadnie z fotela tocząc wokół oszołomionym wzrokiem. Wnętrze wieżyczki zbryzgane było grubą warstwą krwawej mazi; jedyną pozostałością po nieszczęsnym celowniczym.

Ładowniczy spadł ze swego siodełka, zwinął się w pozycję embrionalną na podłodze czołgu, jęcząc z bólu.

- Święty Imperatorze – wymamrotał LeTaw spoglądając do wnętrza przebitej pociskiem kasety. Woda wylewała się z dziury spadając na podłogę czołgu i mieszając się z kałużami krwi. Kapitan spostrzegł w otworze tryskające szaleńczo iskierki, sypiące się z uszkodzonego układu zasilania podajnika amunicji.

- Uciekajcie ! - krzyknął ochryplym głosem.

Obolały ładowniczy podniósł oczy, spojrzął na swego dowódcę otępiałym wzrokiem.

- Uciekać ! - powtórzył LeTaw sięgając w stronę klapy wjazdu ręką, której już nie miał. Śmiejąc się histerycznie na widok krwawiącego kikuta kapitan zmienił ułożenie ciała i wyciągnął w górę lewą rękę. Gdzieś z dołu dobiegł go trzask otwieranego wjazdu awaryjnego. To kierowca pierzchnął z maszyny dolnym wyjściem.

Pojemniki z płynem chłodzącym zamontowane w bocznych ściankach wieży otworzyły się z głośnym hukiem, ich osłabione wstrząsem trafienia pokrywy nie wytrzymały w końcu obciążenia. Zmieszana ze środkiem chemicznym woda runęła kaskadami w dół czołgu, obryzgując twarz LeTawa.

Pardusycki kapitan próbował krzyczeć, ale zaciśnięte spazmatycznie usta nie wydały z siebie żadnego dźwięku. Wnętrze czołgu wypełnił potępieńczy skowyt ładowniczego.

Pocisk przerwał pęk kabli elektrycznych w podstawie wieżyczki. Spadająca w dół woda omyła iskrzące się końcówki przewodów. LeTaw i jego ładowniczy miotali się konwulsyjnie rażeni prądem o wysokim napięciu, z ich ciał zaczął buchać dym.

a

Obierając za cel jeden ze stacjonarnych AT70, Stalowa Burza wymieniała z Reaverem strzał za strzałem, chybiając za każdym razem. Dowodzący czołgiem porucznik Hellier uświadomił sobie w końcu, że jego dalmierz musiał ulec dekalibracji wskutek wstrząsów pędzącego pojazdu, podobnie jak sprzężony z nim radar. Dowódca Conquerora wyłączył pośpiesznie pokładową elektronikę i zaczął mierzyć do celu poprzez swój peryskop.

Wykrzyczał do celowniczego koordynaty ostrzału, ten zaś ustawił w odpowiednim położeniu lufę działa i uniósł dłoń nad przyciskiem spustowym.

Conqueror eksplodował, przewrócił się na burtę z przeciągłym metalicznym jękiem.

Stalowa Burza dotarła do skraju pola minowego strzegącego wschodnich peryferii Bhavnageru. Jadący za zniszczonym czołgiem Gniew Pardui nie zdążył wyhamować na czas, wpadł na minę tracąc jedną gaśnicę i kilka pancernych ochraniaczy zabezpieczających sekcję trakcyjną. Wrzucając wsteczny bieg kierowca Conquerora zdołał cofnąć się o kilka metrów, zanim Sirius wykrzyczał do mikrofonu rozkaz zatrzymania się w miejscu.

Trzy pozostałe czołgi zahamowały przy Gniewie Pardui.

Biegnący za Salamandrami żołnierze dotarli do unieruchomionych Conquerorów, rozsypali się wokół pardusyckich maszyn. Pociski wystrzelwane a z trzech AT70 stojących po drugiej stronie pola minowego rozrywały się z hukiem na pociętych siatką irygacyjnych kanałach łąkach, wyrzucając w niebo wielkie słupy błotnistej ziemi.

- Szperacze ! Szperacze do przodu ! - krzyknął w eter Rawne. Dwie sekcje specjalistów, liczące po trzech żołnierzy każda, skoczyły do przodu wchodząc w pole rażenia nieprzyjaciela. Jedną grupą dowodził "Shoggy" Domor, drugą verghastycki Duch Burone.

- Piechota ! Osłona ogniowa !

Gwardziści zaczęli ostrzeliwać budynki miasteczka ze swych laserów oraz kilku sztuk broni ciężkiej: czterech karabinów maszynowych i trzech ręcznych wyrzutni rakiet. Do kanonady natychmiast dołączyły ciężkie boltery i automatyczne działa zamontowane na Salamandrach.

Szperaczom przyszło pracować w ekstremalnych warunkach, pod ogniem czołgowych dział i broni ręcznej, pociski śmigały nad ich głowami mijając się wzajemnie w locie. Wszyscy mieli doświadczenie w saperskiej pracy i bez wątplenia potrafili oczyścić drogę dla czołgów... jeśli tylko dane by im było odpowiednio długo przeżyć.

Drugi front imperialistów stanął w miejscu.

Zza bryły świątyni wytoczyły się następne AT70, w ślad za nimi spomiędzy budynków wyjechały cztery samobieżne haubice. Sirius nie potrafił wprost uwierzyć w liczebność pancernego kontyngentu zgromadzonego przez Infardich w Bhavnagerze.

Unieruchomione polem minowym Conquerory zaczęły ostrzeliwać heretyckie maszyny z dział i broni pomocniczej. Lew Pardui wysadził w powietrze jeden z Usurperów trafiając prosto w skład amunicji haubicy, Fartowny Bękart zniszczył celnym strzałem AT70. Wybuch Usurpera cisnął w powietrze grad metalowych szczątków, część z nich spadła na pole minowe aktywując swym ciężarem kilka ładunków.

Zmów Modlitwę i Gniew Pardui wymieniały strzały z rebelianckimi czołgami tkwiącymi do połowy za świątynnym murem. Kierowca Gniewu i pardusycki techkapłan jadący w jednej z Salamander wykorzystali tę okazję, by zająć się prowizorycznymi naprawami zerwanej gaśnicy.

a

Ukryci w kraterze opodal Salamandry majora Rawne, Criid, Caffran i Mkillian przygotowywali do użycia jedną z ręcznych wyrzutni rakiet, nazywaną potocznie pancernownicą. Była to zarzucana na ramię tuba z pomalowanego na zielono metalu, wyposażona w zwykły celownik, obity gumą kompensator odrzutu i umieszczone na końcu wymienniki powietrza umożliwiające szybkie ujście gazów powstałych w wyniku wystrzelenia pocisku.

Broń tego rodzaju nie była powszechnie wykorzystywana w tanithijskim regimencie, specjalizującym się w infiltracji i zwiadzie, toteż przez długi czas jedynym żołnierzem

operującym wyrzutnią rakiet był szeregowiec Bragg. Licząc się z możliwością pancernej konfrontacji Duchy zostały jednak przezbrojone na czas bieżącej misji. Caffran zarzucił pancernownicę na ramię i naprowadził wykonane z grubego drutu nitki celownika na sylwetkę AT70 będącego niedoszłą ofiarą Stalowej Burzy. Podobnie jak wielu innych Tanithijczyków, młody szeregowiec miał sposobność zapoznać się bliżej z ręcznymi wyrzutniami rakiet w trakcie walk o Vervunhive, gdzie za pomocą takiej samej pancernownicy zniszczył pięć zoicańskich czołgów obłęźniczych.

To właśnie taką pancernownicę trzymał w rękach w płonącym habitacie, kiedy zniemacka pojawiła się Tona Criid ratując mu życie. Od tamtego momentu oboje prawie się nie rozstawali.

Pomimo huku wystrzałów Caffran usłyszał wyraźnie wypowiedziane przez dziewczynę słowa "Za Verghast". Criid ucałowała podany jej przez Mkilliana raketowy pocisk i załadowała go do tuby.

- Jest ! - krzyknęła.
- Usta ! - odkrzyknął Caffran.

Wszyscy znajdujący się w pobliżu gwardziści powtórzyli ten okrzyk, dzięki czemu w momencie wystrzelenia rakiety mieli otwarte usta. Nagła zmiana ciśnienia wywołana odpaleniem pocisku nie groziła im dzięki temu zabiegowi rozerwaniem bębenków.

Rakieta opuściła tubę pancernownicy z głuchym stęknieniem, pomknęła w powietrze ciągnąc za sobą warkocz siwego dymu. Trafiła w przedni pancerz Reavera rozrywając się z hukiem, ale nie zdołała go przebić. Czołg zaczął obracać lufę wieżyczki w stronę Duchów, jakby zirytowany ich zaczepką.

- Ładuj !
- Jest !
- Usta !

Tym razem poszło lepiej. AT70 zakołysał się pod wpływem trafienia, zaczął się palić. Lufa jego działa opadła w dół, ku ziemi, w mechanicznym geście rezygnacji.

- Ładuj ! Chcę się upewnić !
- Jest !
- Usta !

Ogarnięty płomieniami Reaver nie wytrzymał trzeciego trafienia, wyleciał w powietrze siejąc na wszystkie strony kawałkami kadłuba, kłamrami gaśienic, płonącym paliwem.

Wzdłuż linii żołnierzy przebiegł okrzyk tryumfu.

A chwilę później drugi, znacznie głośniejszy, wyraźnie słyszalny ponad hukiem kanonady.

Rawne wyskoczył z Salamandry chcąc odkryć źródło tego niespodziewanego aplauzu, pobiegł skulony chroniąc się przed świszczącymi wokół pociskami.

Larkin oddał swój pierwszy strzał w wymianie ognia, piękny i morderczo efektywny.

- Widziałem to na własne oczy ! – oświadczył podekscytowany Cuu klepiąc dłonią kolbę swego karabinu – Larks dorwał oficera ! Pewnie, że pewnie !

Strzelając do celu odległego o trzysta metrów Larkin trafił w zakratowane okienko na platformie Usurpera zabijając na miejscu siedzącego w swym siodełku dowódcę haubicy.

- Larks, jesteś boski ! - zawołał szeregowiec Neskon. Będąc jednym z operatorów miotaczy ognia Neskon został zmuszony do strzelania ze swego pistoletu, wyjątkowo zresztą niecelnego na tak dużym dystansie.

- Poradziłbyś sobie lepiej przy mniejszej odległości ? - zapytał Larkina Rawne.
- Wolałbym raczej znaleźć się dalej... najlepiej na innej planecie, majorze – odparł posępnie snajper.
- W to nie wątpię, ale...
- Tak, sir. Oczywiście, że poszłoby mi lepiej.

- Biegnij do szperaczy Domora ! Feygor, pięciu ludzi jako żywa tarcza dla Larkina ! Spróbuj znaleźć jeszcze jednego snajpera ! Zajmijcie pozycje na końcu oczyszczonego korytarza i wykorzystajcie krótszy dystans do celu. Eliminować nieprzyjacielskich oficerów !

- Wszystkich nie damy rady wykończyć – burknął Feygor wyskakując z krateru. Głos adiutanta zawsze był posepny i gardłowy, ale od czasu bitwy o Bramę Veyveyr zmienił się na jeszcze gorsze: tchawica Feygora została zdeformowana postrzałem z lasera i zgrubienia wokół zagojonej rany powodowały, że głos Ducha wydawał się monotony, wyprawy z wszelkich uczuć.

Machając rękami Feygor przywołał do siebie Cuu, Bandę i verghastyckiego snajpera Twenisha. Cała piątka opuściła rów irygacyjny wbiegając pośpiesznie na oczyszczony fragment pola minowego. Ludzie Domora i Burone zdołali rozminować szerokie na dziesięć metrów przejście, sięgające trzydzieście metrów w głąb pola, o krawędziach skrupulatnie oznakowanych chorągiewkami wbijanymi w ziemię przez szeregowca Memmo. Jeden ze szperaczy Burone już nie żył, natomiast należący do grupy Domora Mkor został zraniony szrapnelami w lewe udo i ramię.

Sekcja Domora znajdowała się nieco w przodzie, prowadząc szaleńczo niebezpieczną rywalizację z Verghastytami Burone, chociaż wszyscy wiedzieli, że niemałą w tym zasługę miały optyczne implanty noszone przez Domora.

Ekipa Feygora wpadła pomiędzy szperaczy. Cuu i Banda otworzyli ogień z laserów, podczas gdy Larkin i Twenish zaczęli rozkładać swoje snajperskie karabiny. Praktycznie bezbronni szperacze nie kryli swej radości z niespodziewanej asysty.

- Nie mogliście przynieść ze sobą jakiegoś cekaemu albo pancernicy ? - zapytał spocony Domor.

- Kop dalej, Shoggy – burknął Feygor.

Twenish był cholernie dobrym strzelcem wyborowym, Larkin zdążył się już o tym przekonać. Verghastyta zaliczył wojskową szkołę snajperów jeszcze przed Aktem Konsolidacji. Pozbawiony poczucia humor mężczyzna o długich nogach i rękach był żołnierzem zawodowym w garnizonie Vervun Primary. Posługiwał się nowszą wersją snajperki od ukochanej broni Larkina – wykonanym z kompozytu ciężkim karabinem o wielkim teleskopowym celowniku, dwójnogu i ceramitowej kolbie wyprofilowanej pod kątem kształtu ciała właściciela.

Dwaj snajperzy, absolwenci dwóch zupełnie od siebie odmiennych szkół i procedur szkoleniowych, otworzyli ogień do znajdujących się po drugiej stronie pola minowego heretyków. W trzech pierwszych strzałach Larkin zabił ładowniczego na jednym z Usurperów, oficera piechoty biegnącego pomiędzy czołgami oraz dowódcę AT70, który nieopatrznie wystawił głowę z wieżyczki swego wozu.

Twenish strzelał podwójnymi wiązkami, oddawanymi w odstępie niecałej sekundy. Jeśli pierwszy ładunek laserowej energii nie zdołał zabić ofiary na miejscu, drugi kończył zadanie. W trzech takich parach wystrzałów Verghastyta zaliczył dwa piękne trafienia, w tym głowę kapłana Infardich, który zagrzewał swych pobratymców do walki wykrzykując jakieś bluźniercze wersety.

Koncentrujący się na celu Larkin szybko stwierdził, że powtarzający się dźwięk strzałpauz strzelał irytująco wytrąca go ze skupienia. Twenish przejawiał obsesyjną wręcz precyzję działania, w jej ramach nałożonym na kciuk prawej dłoni kawałkiem materiału przecierał okular swego teleskopu pomiędzy każdym podwójnym strzałem. Działał niczym organiczna maszyna... strzałpauz strzelał... dźwięk polerowania... strzałpauz strzelał. Do diabła z tym ceremoniałem, miał ochotę krzyknąć Larkin. Tanithijski snajper przesunął lufę swej broni i zastrzelił kierowcę półgąsienicowego transportera wyjeżdżającego zza świątyni..

Banda, Cuu i Feygor klęczeli za plecami snajperów strzelając ponad ich głowami ze zwykłych karabinów.

Banda była wyśmienitym strzelcem i podobnie jak wiele innych verghastyckich żołnerek od samego początku starała się o przydział do gwardyjskich snajperów. Ponieważ liczbę strzelców wyborowych w regimencie ściśle regulowały przepisy, jej wniosek o specjalizację został odrzucony, w przeciwieństwie do prośby Nessay, która ku nieklamanej radości swej przyjaciółki strzelcem wyborowym jednak została. Większość wolnych miejsc w tej specjalizacji zajęli po Akcie Konsolidacji zawodowi snajperzy pokroju Twenisha, lecz Banda doskonale radziła sobie również ze zwykłym laserem... co naocznie udowodniła szowinistycznemu majorowi Rawne w trakcie odbijania Uniwersytetu.

W stronę szperaczy padły serie z broni automatycznej, znajdujący się na polu ludzie przypadli do ziemi desperacko szukając nieistniejącej osłony. Drugi człowiek z verghastyckiej sekcji zginął przeszyty kulami, sam Burone został postrzelony w biodro. Banda pierwsza zorientowała się, że nie żyje również Twenish, przestębnowany serią pocisków, leżący nieruchomo z głową opartą o kolbę swej broni.

Nie namyślając się ani chwili żołnierka skoczyła do przodu, wyszarpnęła snajperski karabin z zaciśniętych kurczowo rąk Twenisha.

- Wiesz, co robisz?! - zawołał do niej Larkin.

- Tak! I odwal się, panie wielki Tanithijczyku! - sarknęła ze złością. Przyłożyła broń do ramienia, modelowana dla Twenisha kolba uwierała ją nieco, lecz dziewczyny w najmniejszym stopniu to zrażało. Nareszcie dorwała w swe ręce snajperski laser.

Banda nie traciła czasu na technikę podwójnego strzału. Oficer artylerii heretyków przebiegał pomiędzy dwoma Usurperami, kiedy dziewczyna wzięła go na swój celownik. Głowa mężczyzny rozprysnęła się ugodzona wiązką silnie skondensowanego światła.

- Nieźle – przyznał z niechętnym uznaniem Larkin.

Banda uśmiechnęła się pod nosem, a potem zestrzeliła z balkonu odległej o czterysta metrów świątyni stojącego tam rebelianta.

- Załatwi cię na cacy w twojej własnej grze, Larks – szepnął porozumiewawczo Cuu – Pewnie, że pewnie.

- Odwal się – warknął zirytowany snajper. Wiedział z pierwszej ręki jak wyśmienicie, choć zarazem maniakalnie potrafił strzelać Cuu. Jeśli verghastycki Duch był taki mądry, mógł sam spróbować rywalizacji z Bandą. Ona zresztą też była diabelsko dobra, od dawna się tego spodziewał. Od dnia, kiedy spotkali się po raz pierwszy, na skrzyżowaniu 281/kl w miejskiej dżungli Vervunhive. Uszczypliwa i bezczelna smarkula.

Podczas gdy sekcja Domora kontynuowała oczyszczanie swej części korytarza, a nowy zespół szperaczy biegł zastąpić sekcję Burone, dwójka tanithijskich snajperów z morderczą skutecznością eliminowała cele znajdujące się po drugiej stronie pola minowego.

a

- Trójka do jedynki! Jesteśmy uziemieni! - Rawne krzyczał do słuchawki potężnego radionadajnika przewożonego na pokładzie Salamandry.

- Jak to długo potrwa, trójka?

- Przy tym tempie do świątyni dotrzemy nie wcześniej jak za godzinę!

- Róbcie dalej swoje i meldujecie o postępach!

a

Na południowych peryferiach Bhavnageru żołnierze w czarnych mundurach wlewali się szeroką falą w zabudowania miasteczka, biegnąc tuż za toczącymi się z metalicznym

szczękiem czołgami Kleopasa. Conquerory walczyły teraz na ekstremalnie bliskim dystansie, w labiryncie wąskich ciasnych uliczek i placyków. Stare Strontium Wolla zniszczyło trzy transportery N20, po czym wysadziło w powietrze manewrującego między ścianami domów Usurpera.

Serce Zniszczenia Kleopasa wdało się w wymianę ognia z dwoma Reaverami, Ksenofob i Pieszczoch zburzyły swymi kadłubami niski mur śpiesząc maszynie dowódcy z asystą.

Executioner, wspierany przez Conquerory Żadnego Odwrotu i P48J, unicestwił kilka półgąsienicówek i wdarł się w mury południowozachodnieaa go kompleksu produkcyjnego. Żołnierze Kolei popędzili w ślad za pancerną szpicą wdając się w szereg zaciętych walk toczonych wewnątrz ciemnych silosów i magazynów. Zwiadowcy Mkolla przebili się w kierunku głównego placu miasta, wstrzymani na krótko dziką konfrontacją z heretykami w miejscowej gorzelni. Pluton kaprała Meryna próbował podążać w ślad za grupą Mkolla, ale zostały zatrzymane w miejscu kontratakami w sile pięćdziesięciu strzelców Infardich.

Operatorzy miotaczy ognia, wyselekcjonowani przez Brostina, Demmonda i Verghastyę Lubbę, sprawdzili się świetnie w tej części ulicznych walk, oczyszczając strugami płynnego paliwa zajmowane przez rebeliantów budynki.

Gaunt biegł poprzez gęsty dym i opary promethium w towarzystwie zdyszanego Beltayna. Słyszając głos swego radiowca obrócił się w biegu, chwycił wyciągnięte ku sobie słuchawki.

- Jedyńka do siódemki !
- Tu siódemka – głos sierżanta Baffelsa był zniekształcony elektromagnetycznymi szumami.
- Uderzenie trójki stanęło w miejscu. Musimy jak najszybciej zabezpieczyć skład paliwa. Chcę, żebyście uderzyli w tamtym kierunku i odwalili robotę trójki. Co wy na to ?
- Zrobimy, co w naszej mocy, jedynka.
- Jedyńka do siódemki, bez odbioru.

a

Sierżant Baffels odwrócił się do kucających najbliższych żołnierzy, starając się nie zwracać uwagi na świszczące w powietrzu pociski.

- Otrzymałiśmy właśnie nad wyraz interesujące rozkazy, chłopcy – powiedział.

Wszyscy jęknęli zgodnie.

- Czego znowu od nas chcą, Baffels ? - zapytał Soric.
- To proste – odparł sierżant – Wygrać lub umrzeć. Chodzi o skład paliw. Mamy się nim zająć.

a

W punkcie 00.60, pomiędzy zaparkowanymi w ciasnym szyku ciężarówkami, cysternami, Chimerami i Trojanami żołnierze nasłuchiwali uważnie dobiegającego od strony Bhavnageru dźwięku zażartej bitwy. Duchy Varla krążyły wśród pojazdów rozmawiając półgłosem z kierowcami Munitorium, paląc papierosy, czyszcząc ekwipunek.

Sierżant chodził tam i z powrotem niczym uwięziony w klatce drapieznik. Desperacko chciał pozbyć się swego przydziału, wziąć udział w walce. Służba wartownicza należała do stosunkowo bezpiecznych, ale przecież nie o to chodziło...

- Sir ? - Varl uniósł głowę słysząc czyjś głos. Nadchodził szeregowiec Unkin.
- Słucham, żołnierzu.
- On chce iść do miasta.
- On ?
- On, sir – Unkin wskazał palcem zbliżającego się wolnym krokiem ayataniego Zweila.

- Porozmawiam z nim – oświadczył sierżant odsyłając Ducha gestem dłoni i ruszając kapłanowi na spotkanie.
- Musisz zostać z nami, ojcze – powiedział stanowczym tonem.
- Nic z tego – odpowiedział równie stanowczo Zweil – Mówiąc szczerze, mój obowiązek nakazuje udać się właśnie tam, wzdłuż Ayolta Amad Infardiri.
- Wzdłuż czego, ojcze ?
- Ścieżki Pielgrzymów. Tam są pielgrzymi, którzy potrzebują mojej troski.
- Nie istnieje...

Wiatr przyniósł od strony Bhavnageru dźwięk szczególnie silnej eksplozji.

- Idę, sierżancie Varl. Właśnie w tym momencie. Pozostanie tutaj nie byłoby niczym więcej jak aktem religijnej desekracji.

Varl zmełł w ustach przekleństwo widząc starca w niebieskich szatach ruszającego pomiędzy owocowymi drzewkami w stronę odległego miasteczka. Sierżant wiedział, że Gaunt obedrze go ze skóry, jeśli z głowy Zweila spadnie choć włos.

- Przejmujesz komendę ! - krzyknął do stojącego opodal szeregowca Unkina, po czym pobiegł w ślad za oddalającym się nad wyraz żwawo klerykiem.

- Ojcze ! Ojcze Zweil ! Poczekaj na mnie !

a

Gęste kłęby dymu snuły się wzdłuż całej ulicy ograniczając pole widzenia Kolei. Gdzieś w głębi uliczki, opodal miejsca, gdzie krzyżowała się ona z główną drogą dojazdową do rynku, tkwił wrogi transporter opancerzony, prujący z karabinu maszynowego do każdego żywego obiektu próbującego go podejść. Od czasu do czasu strzelał też z przeciwpancernego działka, jak dotąd z mizernym skutkiem.

Przekłety dym buchał z pobliskiego młyna, płonącego niczym żagiew. Upakowane po obu stronach ulicy budynki silnie zakłócały komunikację radiową, co zbyt silnie przypominało sierżantowi piekło walk ulicznych w Vervunhive.

Pluton kaprała Meryna zdążył już rozprawić się z heretyckim kontratakiem i dołączył do Duchów Kolei. Sierżant machnął rękami gestykulując w języku migowym, polecił ludziom Meryna obejść od lewej flanki ciąg górzących nad uliczką budynków i przedostać się na ulicę biegnącą równoległe do tej, w której ugrzęźli gwardziści Kolei. Meryn skinął głową i zniknął wśród dymu.

Bonin, jeden ze zwiadowców, przeszukał ciąg domów po prawej stronie ulicy odnajdując wąskie zadaszone przejście między budynkami, wychodzące na rząd sąsiadujących ze sobą niewielkich placyków. Słyszając jego meldunek Kolea wysłał w tamtym kierunku Venara, Whelna, Fenixa i Jajjo. Fenix oprócz swego karabinu targał też załadowaną pancernicę.

Ukryty za stertą gruzu Kolea próbował przeniknąć wzrokiem kurtynę dymu wypatrując najmniejszego śladu N20. Po chwili namysłu zaczął strzelać pojedynczymi wiązkami w miejsce, gdzie mógł stać transporter i usłyszał szcęk trafianego raz po raz pancierza. W odpowiedzi sypnęły się serie z broni maszynowej, kule zaczęły punktować rozbite cegły i betonowe płyty. Kolea usłyszał głuche stęknienie przeciwpancernego działka, pocisk świsnął w powietrzu lecąc na wysokości głowy sierżanta, rozerwał się z hukiem w na wpół zawałonym domu za plecami Ducha.

- Podjedź bliżej, no podjedź – wysyczał przez zaciśnięte zęby sierżant.

- Mam piesze cele ! – w słuchawce Kolei rozległ się ostrzegawczy szept. Strzelec wyborowy Rilke, ukryty za pryzmą gruzu opodal pozycji sierżanta, dostrzegł poruszenie na zadymionej uliczce za młynem. Spróbował wywołać intruzów przez radio żądając podania bieżącego kodu identyfikacyjnego na wypadek, gdyby byli to zabłąkani wśród budynków Tanithijczycy.

Żadna odpowiedź nie nadeszła, toteż Rilke ujął mocniej swój snajperski karabin i otworzył ogień.

Szybko dołączyli do niego pozostali żołnierze: Ezlan i Mkoyn klęczący za zdewastowanym murkiem przy Rilke; Livara, Vivvo i Loglas z okien pobliskiego sklepu; Seena i Arilla z płytkiego dołka wykopanego naprędce po prawej stronie Kolei.

Seena i Arilla tworzyły sekcję obsługującą ciężki karabin maszynowy. Obie nauczyły się posługiwać tą bronią służąc w jednej z veruńskich kompanii ochotniczych w trakcie oblężenia Vervunhive. Seena była krzepką dwudziestopięcioletką o niesfornych czarnych lokach ustawicznie wymykających się spod czapki i przysłaniających oczy. Arilla, pełniąca rolę ładowniczej, miała osiemnaście lat.

Czasami można było odnieść wrażenie, że to niesprawiedliwy podział ról sprawił, iż szczuplutka krucha dziewczyna musi taszczyć za swą lepiej zbudowaną koleżanką ciężkie skrzynki z taśmami naboju, niemniej jednak obie Verghastyki tworzyły świetnie zgrany zespół. Ich matowoczarny kaem został starannie ustawiony na krawędzi dołka, podparty kawałkami gruzu, by w trakcie prowadzenia ognia trójnog nie podskakiwał zbyt silnie. Starego typu karabiny maszynowe odziedziczone przez Tanithijczyków po wojnie o Vervunhive potrafiły kopać z siłą rozjuszonego byka. Seena strzelała na przemian krótkimi i długimi seriami, omiatając zadymioną uliczkę w nadziei na skoszenie ukrytego za zwiewną kurtyną przeciwnika.

Ezlan i Mkoyn cisnęli w głąb ulicy pakiety burzące, stłumione eksplozje zarwały znaczącą część frontowej ściany sklepiku położonego w pobliżu stanowiska rebelianckiego transportera.

Kolea strzelił kilka razy na oślep z lasera, poderwał się z kolan biegnąc wzdłuż linii swych ludzi. Kolejny przeciwpancerny pocisk świsnął w powietrzu nad głową sierżanta, wybuchł gdzieś w tyle ulicy. Kolea miał nadzieję, że natarcie na zbliżających się od strony młyna heretyków sprowokuje niewidoczny wciąż transporter do podjechania bliżej. Machnął ręką nakazując Vivvo i Loglasowi przygotować pancernice.

- Dziewiątka do siedemnastki.
- Tu siedemnastka – w eterze odezwał się Meryn.
- Co tam u was ?
- Przeszliśmy na równoległą ulicę. Cicho tu i spokojnie. Idziemy do przodu.
- Tylko ostrożnie. Bądźcie w kontakcie radiowym.

Seria laserowego ognia uderzyła z trzaskiem w ścianę ponad głową sierżanta. Kolea przypadł do ziemi, w jego uszy wdarł się terkot kaemu odpowiadającego ogniem nieprzyjacielskim strzelcom.

- Dziewiątka do trzydziestki dwójki.
- Słyszę cię, dziewiątka.

- Co z tym zasranym transporterem, Bonin ?
- Leziemy przez gruzowisko. Nie potrafię znaleźć żadnego przejścia pozwalającego wydostać się z powrotem na waszą stronę. Pró... czekaj...

W eterze eksplodował huk kanonady.

- Trzydziestka dwójka ! Trzydziestka dwójka !
- ...żki ostrzał ! Ciężki ostrzał ! Feth ! Mają nas... – głos Bonina utonął w morzu radiowych trzasków.
- Dziewiątka do trzydziestki dwójki ! Powtórz, zgłoś się ! Dziewiątka do trzydziestki dwójki !

Komunikator milczał. Kolea słyszał wyraźnie odgłosy ciężkiej wymiany ognia dobiegające z prawej strony, zza budynków. Grupa Bonina potrzebowała wsparcia, a jeśli miałoby się

okazać, że przeciwnik przeważał nad nią liczebnie, sierżant musiał natychmiast załatać potencjalną lukę na swej prawej flance.

- Dziewiątka do jedynki ! Potrzebne natychmiast wsparcie w sile plutonu ! Na pozycję 51.33 !

Dwie minuty później od strony zdobytych wcześniej magazynów nadbiegła grupa żołnierzy w gwardyjskich mundurach, dowodził nimi stary przyjaciel Kolei, sierżant Haller. Kola krótkimi słowami nakreślił obraz sytuacji, wskazał przypuszczalną pozycję półgąsienicówki, po czym zabrał pod swoje rozkazy Livarę, Ezlana i Mkoyna, dołączył do nich szeregowca Surcha i operatora miotacza płomieni Lubbę.

- Trzymaj te pozycję – polecił mu Kola, po czym machnął rękami nakazując reszcie żołnierzy pobiec w ślad za sobą w wąskie przejście między budynkami po prawej stronie ulicy.

Jakby tylko czekając na przybycie Hallera, rebeliancki transporter ruszył zniecka z miejsca, potoczył się ze szczękiem gąsienic po bruku, wychynął z dymu strzelając jednocześnie z działka. Dwaj żołnierze Hallera zginęli na miejscu, Loglas został zraniony szrapnelem. Sierżant wypadł spod osłony, nie zważając na sypiące się z nieba odłamki chwycił leżącą na kupie gruzu pancernicę, ciśniętą przez Vivvo ciągnącego pośpiesznie za mur rannego Loglasa.

- Załadowana ?! – krzyknął do Vivvo Haller.

- Tak, sir !

Haller zarzucił wyrzutnię na ramię, naprowadził nitki celownika na kanciastą kabinę kierowcy N20.

- Usta !

Rakieta rozdarła przód transportera jakby jego pancerz wykonany był z papieru, eksplodowała w środku z siłą wystarczającą do kilkukrotnego obrócenia wkoło artyleryjskiej wieżyczki. Seena i Arilla podziurawiły wrak długą serią z kaemu.

Leżący i kłęczący wokół żołnierze zaczęli gwizdać i pokrzykiwać.

- Załaduj mnie ! – zawołał do Vivvo Haller – Dla pewności wykończę go dwa razy !

a

Grupa Bonina wpadła wprost pod lufy nieprzyjaciela zaszytego w wielkim, podziurawionym pociskami budynku na krańcu gruzowiska. Ponad dwudziestu heretyckich żołnierzy ostrzelało lojalistów z laserów, po czym wypadło z domu w dzikiej szarży wymachując bagnetami, drewnianymi pałkami i kuchennymi nożami.

Piątka Duchów została zmuszona do desperackiej improwizacji. Lekko postrzelony w pierwszych sekundach walki Fenix osunął się na kolana, strzelając do wroga i starając się jednocześnie stanowić jak najmniejszy cel. Wheln i Venar od początku mieli pod lufami karabinów bagnety, toteż nie zastanawiając się nawet na chwilę runęli do kontrataku, wrzeszcząc coś jak opętani i wyjąc krwiożerczo. Bonin przestawił swój laser w tryb ognia ciągłego, wyczerpując w przeciągu kilku sekund cały akumulator, ale i zabijając najbliższych napastników. Jajjo pochwyił upuszczoną przez Fenixa pancernicę. Nie chcąc marnować siły rażenia wyrzutni zarzucił ją błyskawicznie na ramię.

- Usta ! – wrzasnął i wypalił z pancernicy prosto w ścianę budynku, z którego wypadli heretycy. Wybuch powalił na ziemię kilku Infardich, spora część budynku zawaliła się z łoskotem. Odrzucając w bok pustą wyrzutnię Jajjo skoczył do przodu obracając w dłoni srebrny nóż.

Nie mając czasu na zmianę baterii w karabinie Bonin zaczął tłuc rebeliantów kolbą lasera. Imperialni żołnierze, trenujący walkę wręcz pod okiem Feygora i Mkolla, przewyższali

swymi umiejętnościami w tej dziedzinie heretyckich strzelców, lecz Infardi wpadli w dziką furję i to właśnie czyniło z nich niebezpiecznych przeciwników, a nie przewaga liczebna.

Bonin złamał czyjąś szczękę ciosem kolby karabinu, drugiemu przeciwnikowi wbił czubek lufy w splot słoneczny. Co takiego skłoniło tych szaleńców do opuszczenia relatywnie bezpiecznego budynku i podjęcia straceńczej szarży ? To było zdumiewające nawet w przypadku czcicieli Chaosu, z definicji nieobliczalnych i nieprzewidywalnych. Mieli przecież broń palną i ss

osłonę, mogli wykończyć zespół Bonina rozstrzelując go na bliskim dystansie.

Brutalna konfrontacja dobiegła końca po czterech minutach, na placu przed budynkiem leżeli martwi lub dogorywający Infardi. Żołnierze Bonina ociekali krwią heretyków. Wszyscy byli pokiereszowani – Bonin miał głębokie rozcięcie na lewym przedramieniu, Jajjo złamany nadgarstek.

- Co im odbiło ? – wydyszał Venar, wciąż nie potrafiąc złapać tchu.

Bonin czuł krążącą w żyłach adrenalinę, szaleńcze bicie serca. Jego ludzie zastanawiali się nad tym samym co on, oni również nie potrafili pozbyć się dziwnego wrażenia celowości tego ataku. Wymienił w karabinie baterię na nową.

- Nie wiem, ale chcę się dowiedzieć – powiedział do Venara – Włazimy do środka, zabezpieczymy ten budynek. Jajjo, weź pistolet. Wheln, wyrzutnia.

Fenix odwrócił się w miejscu słysząc chrzęst gruzu pod czyimiś butami, ale rozluźnił się rozpoznając Koleę i jego towarzyszy.

- O, cholera – sapnął sierżant tocząc wzrokiem po zakrwawionym placyku – Zaszarżowali na was ?

- Tak, jak obłąkani – odparł Bonin przystając na moment, by przestrzelić głowę jakiegoś dającego jeszcze znaki życia Infardi.

- Skąd ?

Zwiadowca wskazał ruchem głowy budynek.

- Może czegoś pilnowali ? – zasugerował Ezlan.

- Sprawdźmy – zdecydował Kolea - Fenix, zabierz Jajjo na tyły, poszukajcie dla siebie medyka. Bonin i Lubba, prowadzicie.

Dziwięciu żołnierzy wpadło do budynku przez dziurę wyrwaną wybuchem rakiety Jajjo. Miotacz płomieni Lubby rzygnął ogniem, oblał małymi strugami paliwa kąty pomieszczeń rozświetlając panujący wewnątrz mrok.

Pośród brył rozłupanego betonu i rozbitych cegieł znaleźli oficera Infardich, nieprzytomnego, z wyłączonym generatorem pola siłowego. Urządzenie prawdopodobnie zostało przeciążone siłą jakiejś eksplozji i spaliło się nieodwracalnie. Heretycki przywódca posłał swych kompanów do samobójczego szturmu chcąc ocalić własną skórę.

Kolea zmierzył wzrokiem leżącego nieruchomo mężczyznę. Wysoki, szczupły, z ogoloną gładko głową, o skórze pokrytej plugawymi tatuażami. Bonin schylił się nad nim chcąc dobić niewiernego nożem, ale Kolea wstrzymał zwiadowcę krótkim gestem dłoni.

- Złap przez radio starego. Spytaj go, czy nie chce jeńca.

a

Ulicę dalej żołnierze Meryna dołączyli do zwiadowczej sekcji Mkolla, wspólnie ruszyli w głąb miasteczka. Zza budynków słyszeli wyraźnie huk wystrzałów, ale Haller poinformował Meryna przez radio, że blokujący gwardzistów N20 został zniszczony i asysta na ulicy zajętej przez Koleę nie była już dłużej potrzebna.

Zmierzch zapadał bardzo szybko, czarne przestworza podświetlała łuna pożarów, eksplozji i pocisków smugowych. Według ostrożnych szacunków Mkolla walki o miasto nie

przekroczyły jeszcze punktu zwrotnego. Tanithijczycy potrzebowali kilku godzin na opanowanie krytycznie ważnego składu paliw.

O dziwo, ulica przemierzana przez ludzi Meryna była pusta i spokojna, chodniki biegły wzdłuż frontonów opustoszałych domów mieszkalnych i splądrowanych sklepów.

Mkoll modlił się w myślach o całkowite ciemności. Ta pora dnia, kiedy zmierzch nie zapadł jeszcze całkowicie, miała najgorszy wpływ na ludzką percepcję, zwłaszcza zaś na wzrok. Księżyc Hagii paliły się silnym blaskiem, przysłaniające je kłęby dymu sprawiały, że obydwą globy przybrały krwawą barwę.

Meryn dostrzegł zniechęcające jakieś poruszenie, wypalił w biegu z lasera. Wszystkie pozostałe Duchy z miejsca w jego ślady, strzelając i rozpraszając się jednocześnie w poszukiwaniu schronienia. W kierunku lojalistów posypały się kule z broni automatycznej, pociski punktowały ceglane ściany domów, rykoszetowały o bruk.

Wtedy powietrzem wstrząsnął przeciągły wizg i budynek na lewo od Meryna zawałił się wśród wielkich jęzorów ognia grzebiąc pod swymi szczątkami dwóch nie dość ostrożnych gwardzistów.

- Czołg ! Czołg !

Przysadzisty, kanciasty, przywodzący na myśl żabę AT70 staranował niewielkie ogrodzenie i wtoczył się na ulicę wyjeżdżając z pobliskiego ogrodu. Jego wieżyczka obracała się w trakcie jazdy. Wystrzał zniszczył następny budynek mieszkalny.

- Pancernica ! – krzyknął Meryn przyciskając ręką hełm, o który zabębniły szrapnele i kawałki cegieł.

- Zacięła się ! Zacięła !

- Kurwa ! – zagryzł wargi kapral. Jedyna broń zdolna przebić pancierz czołgu okazała się bezużyteczna. Ludzie znaleźli się w pułapce.

Infardi ruszyli dużą grupą w ślad za Reaverem, strzelając z broni automatycznej. Ciemności panujące na ulicy zmieniły się w półmrok rozświetlany stroboskopowymi błyskami wystrzałów.

Czołg toczył się do przodu miażdżąc pod gąsienicami ciała zabitych lub rannych heretyckich piechurów. Meryn zadrżał bezwiednie spostrzegając okrutną bezwzględność dowódcy AT70. Wiedział, że lada chwila pod tymi samymi gąsienicami będą umierać jego własni chłopcy.

Meryn widział ze swej pozycji klęczącego nieco dalej Mkolla, rozmawiającego przez radio. Odczekał, aż sierżant skończy transmisję i wszedł na zarezerwowany dla Mkolla kanał.

- Siedemnastka do czwórki. Wycofujemy się ?

- Czwórka do siedemnastki. Zobaczmy, czy nie damy rady przytrzymać ich w miejscu jeszcze przez parę minut. Nie możemy wpuścić takiego zgrupowania piechoty na naszą flankę.

- Zrozumiałem. A co z czołgiem ?

- Ja się nim zajmę.

Łatwo powiedzieć, trudniej będzie zrobić, pomyślał Meryn. Czołg znajdował się zaledwie siedemdziesiąt metrów od pozycji Duchów, lufa jego stuściomilimetrowego działa była opuszczona pod najniższym możliwym kątem. Wóz wystrzelił ponownie, wyrwijąc w nawierzchni wielki krater, zaterkotał też zamontowany współosiowo ciężki bolter. Meryn usłyszał krzyk dwóch ugodzonymi mikrorakietami Duchów. Infardi rozproszyli się na całej długości ulicy, nadszycząc szeroką linią.

Kapral zastanawiał się desperacko, co też takiego miał zamiar zrobić Mkoll. Miał tylko nadzieję, że nie miał to być jakiś samobójczy wyczyn w stylu biegu z ładunkiem burzącym wprost na czołg. Nawet Mkoll nie byłby zdolny do takiego szaleństwa, prawda ? Lecz z drugiej strony Meryn błagał w myślach boską opatrność, by sierżant miał jakiegoś asa w rękawie. Heretycki czołg lada moment miał wtoczyć się na głowy gwardzistów.

W eterze rozległ się czyjś głos.

- Jednostki piechoty, przygotować się do kontruderzenia.

Co do diabła...

Monumentalny słup laserowego ognia, gruby niczym udo Meryna, zapłonął w półmroku ulicy. Był tak silny, że kiedy zgasł, jego widmo jeszcze przez kilka sekund jarzyło się w oczach kaprała. W powietrzu rozszedł się silny zapach ozonu.

AT70 eksplodował z donośnym hukiem.

Jego wieżyczka wyleciała w powietrze niczym ciśnięta niedbale dziecięca zabawka, wpadła wraz ze ścianą do wnętrza pobliskiego budynku. Kadłub stanął w ogniu, płonąc z głośnym trzaskiem.

- O żesz ty... – wykrztusił oniemiały Meryn.

- Zróbcie nam przejazd – w komunikatorze rozbrzmiał ponownie ten sam głos, który kaprał usłyszał przed momentem.

Szary Venger LeGuina nadjechał środkiem ulicy, ledwie dostrzegalny w ciemnościach, niczym polujący drapieżnik.

- Jestem wam winien drinka – Meryn usłyszał mówiącego do mikrofonu Mkolla.

- Trzymam za słowo. Ruszajcie za mną, skończmy tę robotę.

Duchy opuściły swe kryjówki biegnąc truchtem w ślad za niszczycielem czołgów i strzelając z bioder w okna mijanych budynków. Venger przetoczył się po wraku Reavera, zmiażdżył go pod gaśnicami. Infardi uciekali w popłochu.

Meryn uśmiechnął się szeroko. W przeciągu kilku sekund szala zwycięstwa przechyliła się na drugą stronę. Teraz to Duchy miały po swojej stronie czołg.

a

Pół kilometra dalej Serce Zniszczenia i P48J zdołały w końcu wdrzeć się na centralny plac targowy Bhavnageru. Rajd w stronę centrum miasta wstrzymały na chwilę trzy półgaśnicówki i przedni pancierz Serca nosił na sobie poczerńnięte szramy po trafieniach z przeciwpancernych działek.

Kleopas oderwał twarz od peryskopu po raz pierwszy chyba od chwili rozpoczęcia szturm.

- Działo załadowane? – zapytał.

- Tak. Zostało dwadzieścia pocisków – odparł posępnym tonem ładowniczy kontrolujący na bieżąco stan amunicyjnego magazynku.

Pociski z broni małokalibrowej zagrzechotały po panczerze czołgu. Kleopas przywarł do peryskopu, zidentyfikował pozycje trzech drużyn heretyckich piechurów obsadzające budynki w północnej części targowiska. Obydwa Conquerory ruszyły poprzez drewniane budy handlarzy, roztrzaskując je w drobne drzazgi i drąc na strzępy płócienne baldachimy. P48J powiewał zaczeponą o antenę płachtą materiału wioząc ją niczym chorągiew.

Celowniczy Kleopasa obrócił wieżę czołgu, wymierzył lufę działa w kierunku jednej z nieprzyjacielskich redut.

- Nie marnuj pocisków na miękkie cele, kończy nam się amunicja – syknął aa

Kleopas ujmując równocześnie kolbę wbudowanego w wieżę ciężkiego boltera i naciskając spust broni. Pozycje Infardich zmieniły się w przesiąknięte krwią rumowisko. P48J poszedł w ślady wozu majora, widocznie kapitanowi Marchese też się kończyła amunicja do głównego działa. Tocząc się wolno do przodu Conquerory zlikwidowały seriami z bolterów próbujących uciekać rebeliantów.

Na ekranie skanera Kleopasa pojawiły się zniecka dwie pulsujące sygnatury. Para lekkich czołgów produkowanych w zakładach Urdeshi, pędzących na trzech parach masywnych szerokich opon, wpadła na targowisko oświetlając plac snopami światła

padającymi z reflektorów. W małych wieżyczkach SteGów 4 znajdowały się czterdziestomilimetrowe działka, ale jeśli miały na pokładzie pociski o rdzeniach z tungstenu, wciąż mogły zaszkodzić imperialnym pojazdom.

- Dawaj no tego bliższego – polecił Kleopas przyciskając twarz do okularu peryskopu – Teraz użyjemy głównego działa.

a

Sierżant Baffels nie potrafił przestać myśleć o ciężarze zadania zleconego mu przez pułkownikakomisarza. Mężczyzna zlany był zimnym potem, czuł się chory. Zaciekle walczyła uliczna nie robiła na nim wrażenia, brał już wcześniej udział w podobnych konfrontacjach. Zatraskanie sierżanta budziło poczucie ogromnej odpowiedzialności.

Skrzydło dowodzone przez Baffelsa zdołało wbić się dostatecznie głęboko w zabudowania Bhavnageru, by dotrzeć do głównej trasy przelotowej przez miasto. Teraz, mając świątynię po swej prawej stronie, parli ulicami na północ, w kierunku składów paliwowych. Gaunt osobiście powierzył misję zdobycia zbiorników sierżantowi. Baffels odpowiedział, że zrobi, co w jego mocy.

Pułkownikkomisarz przekazał mu komendę nad verghastyckim skrzydłem. Baffels nie ucieszył się specjalnie z tego wyróżnienia, ale potrafił zarazem docenić zaszczyt, który go spotkał. A teraz Gaunt chciał, by to Baffels zrealizował kluczowy element planu. Ciężar odpowiedzialności wydawał się momentami wręcz przytłaczający.

Prawie tysiąc Duchów biegło poprzez miasto za plecami sierżanta, pluton za plutonem. Oryginalny plan zakładał, że grupa Baffelsa uderzy na centrum Bhavnageru równoległe do grupy Kolei podczas gdy Rawne zajmie z marszu składy paliwa. Teraz, kiedy Kolea i Rawne ugrzęźli w miejscu, zadanie spadło wyłącznie na barki Baffelsa.

Baffels często rozmyślał o Kolei i zazwyczaj rozmyślania te wcale nie poprawiały mu humoru. Kolea, powszechnie szanowany bohater wojenny, dowodził ludźmi w sposób wręcz intuicyjny, nie wkładając w to specjalnie sporego wysiłku. Żołnierze go kochali, zrobiliby dla niego wszystko. Baffels nie zauważył, by kiedykolwiek ktoś spróbował odmówić wykonania jego własnego rozkazu, ale mimo to czuł się niegodny swego stanowiska. Do czasu wojny o Vervunhive on też był zwykłym szeregowym gwardzistą. Dlaczego Duchy miałyby bez zastrzeżeń wykonywać jego polecenia ?

Rozmyślał też o Brinie. Milo – jego przyjaciel, młodzieńki druh i towarzysz służby. To Milo powinien był otrzymać awans na sierżanta.

Brygada Baffelsa przedzierała się przez miasto ulica po ulicy, walcząc zaciekle o każdy metr. Sierżant miał przy sobie komisarza Harka, ale nie sądził, by Hark jakoś specjalnie mu w realizacji zadania pomógł. Żołnierze się go lękali, półgłosem rozmawiali o przerażających pobudkach nikomu nieznanego oficera politycznego. Baffels wiedział, że gwardziści powinni czuć odpowiednią dozę respektu wobec komisarzy. A nowy komisarz tanithijskiego regimentu wykonywał swe obowiązki w profesjonalny sposób, sierżant nie potrafił mu tego odmówić. Podczas zasadzki na drodze wykazał się błyskotliwością i zmysłem taktycznym, a teraz, kontrolując żołnierzy w tyle skrzydła, prowadził ich w utalentowany i efektywny sposób wskazując cele i nadzorując zabezpieczenie terenu.

Mimo to Baffels czuł, że Duchy nienawidzą Harka. Za to, co sobą reprezentował. Baffels wiedział to, ponieważ jego sercem targały podobne uczucia. Hark był agentem lorda generała Lugo. Towarzyszył regimentowi, ponieważ miał dopilnować jego końca.

Idące przodem plutony Baffelsa uwikłały się w wyjątkowo zażarte walki o skrzyżowanie dzielące opustoszałe budynki szkółki dla esholi od magazynów i stajni pobliskiej ubojni. Pomimo desperackich wysiłków Sorica gwardziści zalegli w miejscu, przygwożdżeni do

ziemi ogniem kilku półgąsienicowych transporterów i dziwacznych czołgów na sześciu kołach.

Hark wskazał dłonią najbliższych leżących żołnierzy – Nehna, Mkendricka, Raessa, Vulli, Muril, Tokara, Cowna i Garonda – podjął wraz z nimi próbę ominięcia z boku plutonu Sorica i przełamania morderczego impasu. Niemal natychmiast został przygnieciony do ziemi potworną lawiną ognia i stali.

Wtedy właśnie, bardziej dzięki zrządzeniu losu niż zaplanowanemu działaniu, na skrzyżowanie wdarły się od wschody pardusyckie czołgi – Executioner Awanturnik, Conquerory Pieszczoch i Stare Strontium oraz Destroyer Błaz Błazen Śmierci. Cztery wozy błyskawicznie złamały nieprzyjacielski opór, roznosząc pociskami lekko opancerzone transportery i kołowe czołgi. Wraki płonęły jak pochodnie rozświetlając nocne ciemności, wstrząsały nimi wtórne eksplozje. Baffels poderwał swych ludzi z ziemi, runął do przodu w ślad za Pardusytami. Od składu paliw dzieliło ich zaledwie kilka ulic. Sierżant wiedział, że ich oczyszczenie potrwa jeszcze trochę, ale zbiorniki były już niemal w zasięgu jego ręki.

Opóźnienie całego skrzydła dało Gauntowi okazję do dogonienia idących w pierwszej linii plutonów. Baffels omal się nie rozpląkał z ulgi widząc postać pułkownikakomisarza.

Gaunt zbliżył się do Baffelsa nie zwracając większej uwagi na krzyżujące się w powietrzu wiązki laserów.

- Świetna robota, sierżancie – oświadczył.
- Przykro mi, że to trwało tak długo, sir – odparł zmieszany pochwałą żołnierz.
- Tak musiało się stać. Ershuli nie oddaliby nam tego miejsca bez walki.
- Ershuli ?
- To takie słowo, którego nauczył mnie niedawno ojciec Zweil. Czujesz ten zapach w powietrzu, sierżancie ?
- Tak, sir – Baffels wciągnął w nozdrza ostry zapach promethium.
- Dokończmy tę robotę.

Wspierani ogniem pardusyckich czołgów gwardziści poderwali się do szturm na składy paliwa. Prowadzący jeden z plutonów Gaunt znalazł się zniemacka twarzą w twarz z żołnierzami Infardich, okopanymi przed budynkami przepompowni, podrywającymi się z ziemi w kontrataku. Energetyczny miecz zaśpiewał w powietrzu, boltowy pistolet pluł stalą. Wokół zwijającej się w unikach postaci pułkownikakomisarza walczyli Uril, Harjeon, Soric i Lillo – najlepsi, najbardziej utalentowani rekruci z verghastyckiego zaciągu, prawdziwie godni miana Duchów. Było to pierwsze z siedemnastu starć wręcz, jakie przyszło lojalistom stoczyć w drodze do składów.

W trakcie piątego Gaunt i Hark spotkali się przez przypadek w samym sercu konfrontacji. Plazmowy pistolet Harka pulsował niezmiernym światłem w mroku nocy.

- Muszę to powiedzieć, Gaunt... walczysz w przednim stylu !
- Jak zawsze ! Imperator strzeże ! – odparł dowódca Tanithijczyków dekapitując jednocześnie ostrzem miecza szarżującego heretyka.
- Ty wciąż mi nie ufasz, prawda ?! – Hark wykrzywił się w bok, jednym strzałem z plazmowej broni niszcząc gniazdo nieprzyjacielskiego karabinu maszynowego.
- Naprawdę tak cię to dziwi ?! – odpowiedział sarkastycznym pytaniem Gaunt, po czym nie czekając na ripostę poderwał otaczające go Duchy do kolejnego ataku.

a

Sierżant Bray pierwszy dostał się na teren składu paliw. Jego pluton znalazł się nagle pomiędzy masywnymi opancerzonymi zbiornikami wkopanymi do połowy w ziemię,

połączonych ze sobą płataniną grubych rur, strzeżonych przez ponad setkę solidnie okopanych heretyckich żołnierzy, trzy Reavery oraz parę Usurperów.

Operatorzy pancerni Braya mieli pełne ręce roboty, sierżant musiał przyznać, że dotychczasowy szturm na miasteczko był niczym w porównaniu z rajdem na zbiorniki. Bray zaczął krzyczeć do komunikatora domagając się natychmiastowego wsparcia ze strony pardusyckich czołgów.

Gaunt, Baffels, Soric i Hark dołączyli do sierżanta, każdy z nich prowadził ze sobą sporą grupę gwardzistów. Pułkownikkomisarz wyczuwał już upojny smak zwycięstwa, przemieszany z ostrym niepokojem. Doświadczenie podpowiadało mu, że zbliżał się nieubłagane decydujący moment bitwy: przełamanie lub złamanie. Jeśli wytrzymają i naprą jeszcze silniej na wroga, mają szansę na jego eksterminację. Jeśli nie...

Pociski artyleryjskie, kule i wiązki energii cięły ciemność tworząc szaleńczą szachownicę punktowaną rozbłyskami wybuchów. Pardusyci ruszyli do przodu, miażdżąc pod gąsienicami wykonane z łańcuchów ogrodzenia i rozjeżdżając płytkie okopy. Awanturnik wysadził w powietrze Usurpera, Błazen Śmierci obrócił Reavera w kupę płonącego żelastwa. Nocne niebo nad Bhavnagerem rozświetlała jaskrawa luna.

- Przegrupować się ! Przegrupować ! – Baffels krzyczał na całe gardło próbując przekazać rozkazy ogłuszonym hukiem kanonady żołnierzom. Sekcja Sorica zdołała przedostać się za południowe ogrodzenie, ale zaraz wyparł ją stamtąd potworny ostrzał Infardich. Grupa Harka odbiła w bok szukając osłony przed śmigającymi wokół pociskami.

Gaunt pierwszy zobaczył pojazd wytaczający się zza rzędu zbiorników.

Baneblade.

Ważący trzysta ton superciężki czołg, przechwycona przez heretyków ruchoma forteca, skorumpowana bezpowrotnie. Potężne wieżyczki na kadłubie kolosa obracały się w stronę pozycji lojalistów.

Monstrum. Okute pancierzem monstrum z najgłębszych czeluści piekieł.

- Baneblade ! Nieprzyjacielski Baneblade na 61.78 ! – wrzasnął do mikrofonu pułkownikkomisarz.

Kapitan Woll, siedzący w fotelu dowódcy Starego Strontium, wprost nie potrafił uwierzyć w to, co właśnie usłyszał.

Jego radar zarejestrował obecność pancernego potwora na ułamek sekundy przed tym, kiedy monstrum wypaliło z głównego działka rozbijając na drobne kawałki metalu Pieszczocha. Woll wystrzelił natychmiast, ale jego pocisk jedynie zarysował gruby pancierz superczołgu.

Pozostałe wieżyczki Baneblade zasypały pozycje Duchów strumieniami ognia i stali, straty zaczęły rosnać w przerażającym, lawinowym wręcz tempie. Uparte, zawzięte, lojalne Duchy pękły, poddały się ściskającej serca grozie uciekając spod składu paliw.

- Stójcie ! Stójcie, wy nędzne psy ! – krzyczał Hark – Imperator patrzy na was ! Walczcie albo spotka was kara z mej ręki !

Komisarz zachwiał się znienacka, stracił równowagę. Gaunt trzymał go jedną ręką za mundur, drugą zacisnął na plazmowym pistolecie Harka.

- Ja wymierzam kary Duchom. Ja. Nie ty. A to jest Baneblade, ty durniu ! Sam bym na ich miejscu uciekł ! Pomóż mi !

Plutony Sorica i Braya wystrzeliwały w stronę olbrzyma rakieta za rakieta, ale pociski rozrywały się tylko nieszkodliwie na kadłubie potwora. Błazen Śmierci ugodził heretycką maszynę dwukrotnie, lecz nawet jego laserowe działko nie zdołało przetopić pancierza. Rebelianckie Reavery i piechota podążały za kolosem, wyprowadzając zmasowane kontruuderzenie.

Gaunt pojął znienacka, że wybił krytyczny moment bitwy. Przełamanie lub złamanie.

Lojaliści zostali złamani.

Plując ogniem z wszystkich luf Baneblade toczył się po ciałach tanithijskich gwardzistów, pędząc przed sobą uciekających w popłochu żołnierzy.

Baffels nie potrafił zaakceptować świadomości porażki. Wciąż desperacko pragnął udowodnić Gauntowi, że decyzja o jego awansie nie była pomyłką, że sierżant zasługiwał na swoje paski. Musiał coś zrobić, musiał zdobyć ten przeklęty skład. Musiał...

Nie zwracając uwagi na mijających go gwardzistów schylił się i podniósł z ziemi porzuconą w panice pancernownicę. Załadował raketę do tuby, zarzucił broń na ramię i wymierzył w zbliżającego się potwora. Baneblade był już tylko dwadzieścia metrów od miejsca, w którym stał sierżant, przywodził na myśl monstrualnego smoka ziejącego ogniem, przysłaniającego wielkim cielskiem niebo.

Baffels naprowadził nitki celownika na wąski wizjer w kadłubie czołgu, uznając, że tam najprawdopodobniej będzie siedział kierowca. Wstrzymał oddech i nacisnął spust.

Ciemność nocy rozświetlił jaskrawy błysk eksplozji i przez ułamek chwili sierżant pomyślał, że udało mu się zniszczyć potwora. Że stał się w końcu takim samym bohaterem jak Gol Kolea.

Baneblade okazał się zaledwie draśnięty trafieniem, odłamki rakiety wyłobily mu w panczerzu kilka szram. Jedna z wieżyczek obróciła lufę w kierunku Baffelsa i rzygnęła ogniem w wyprostowaną postać sierżanta.

a

Grupa majora Rawne wdarła się do Bhavnageru o dwudziestej pierwszej trzydziści pięć. Pograżone w nocnych ciemnościach miasteczko gorzało łunami pożarów i rozbłyskami wybuchów.

Irytująco powolna przeprawa przez pole minowe przybrała na tempie, gdy Domor i Larkin wpadli na pewien nietypowy pomysł. Optyczne implanty Domora potrafiły lokalizować zakopane tuż pod powierzchnią ziemi miny, toteż szperacz wskazywał je snajperom, a ci precyzyjnie oddawanymi strzałami detonowali ładunki. Dzięki tej metodzie saperzy oczyścili dalsze trzydzieści metrów przejścia. Czołgi Sirusa zdążyły w tym czasie wyeliminować pancerne wozy Infardich znajdujące się po drugiej stronie pola. Jeden po drugim Conquerory wjechały na oczyszczony przez Duchy pas, opuszczając spychacze, by zdetonować za ich pomocą miny na odcinku ostatnich kilku metrów.

Świątynia była w oplakany stan. Z kopuły dachu spadła większość połączanych dachówek, w głównej nawie szalał pożar wzniecony pociskami zapalającymi, wotywnie flagi dymiły się powiewając smętnie w podmuchach nocnego wiatru.

Trzeci rdzeń lojalistów uderzył od wschodu na skład paliw.

Kapitan Anselm Sirius jechał jako pierwszy. Jego załoga zdążyła naciągnąć i spiąć zerwaną gaśnicę, toteż Gniew Pardui znów nadawał się do udziału w walce. Pardusyta słyszał niewiarygodną transmisję radiową mówiącą o nieprzyjacielskim Baneblade.

Jeśli to faktycznie była prawda, chciał za wszelką cenę zmierzyć się z bestią. To byłby sukces, którego Endre Woll nigdy by nie przewyższył !

Gniew Pardui wypadł wprost na Baneblade, na wielkim placu pośrodku aa

składu paliw. Odkrywając obecność imperialnego czołgu na radarze heretycki behemot zaczął obracać się w miejscu.

Sirus wystrzelił dwa specjalne pociski kumulacyjne zwane penetratorami, wybijając niewielkie otwory w grubym panczerzu kolosa. Niewielu pardusyckich oficerów wozilo tego rodzaju amunicję w swych wozach, ponieważ ryzyko spotkania na polu walki czołgów superciężkich było niewielkie, a pociski zajmowały cenną przestrzeń. Sirius był ostrożnym i

lubiącym się zabezpieczać na różne sposoby człowiekiem. Zawsze zabierał w akcję kilka penetratorów, tak na wszelki wypadek.

Sztuczka polegała na tym, by w niewielkie przestrzeliny wybite pociskami kumulacyjnymi trafić następnie pociskiem burzącym i rozsadzić nieprzyjacielski wóz od środka.

Uszkodzony Banblade obrócił główną wieżyczkę, namierzył Gniew Pardui i wystrzelił.

Anselm Sirius śmiał się tryumfalnie umierając w płomieniach. Jeden moment życia będący zwieńczeniem całej kariery. Chwila radości pożądana gorąco przez każdego imperialnego czołgistę. Zranił bestię ! Teraz mógł już spokojnie umrzeć !

Gniew Pardui wyleciał w powietrze z ogłuszającym hukiem, rozpadł na mrowie płonących szczątków świstających jęklonie w powietrzu.

Stare Strontium wypadło zza zrujnowanego budynku na południowych obrzeżach składu paliw. Woll nigdy nie zabierał na pokład penetratorów, ale teraz i tak nie były mu już potrzebne.

Ignorując wskazania dalmierza i posługując się wyłącznie gołym okiem, Endre Woll trafił pociskiem burzącym dokładnie w środek otworu wybitego w kadłubie heretyckiego czołgu penetratorem Sirusa.

Przez ułamek chwili nic się nie działo.

Potem superciężki czołg eksplodował niczym miniaturowa supernowa porażając oczy gwardzistów oślepiającym rozbłyskiem.

a

Gaunt i Soric, wspierani przez Harka i kilku dowódców plutonów, zdołali opanować panikę wśród żołnierzy, zawrócili Duchy z powrotem w stronę składu paliw. Soric osobiście poprowadził uderzenie, przebiegając obok płonącego wraku Banblade.

Czołgiści znajdujący się pod komendą majora Rawne zdążyli w tym czasie wjechać na plac kompleksu, likwidując ostatnich próbujących się jeszcze bronić Infardich. Rawne wiedział, że nie musi się już śpieszyć, eksterminował metodycznie niedobitki obrońców.

Komunikat o zabezpieczeniu składu rozbrzmiał w eterze kilka minut po dwudziestej trzeciej.

Nieliczni Infardi uciekli w deszczowe lasy za Bhavnagerem. Miasto znalazło się w rękach imperialistów.

a

Gaunt znalazł ayataniego Zweila klęczącego nad zmasakrowanym ciałem sierżanta Baffelsa. Sierżant Varl stał opodal, wyprostowany i rozglądający się czujnie wokół.

- Przepraszam, szefie. Strasznie się uparł, by tutaj przyjść – wyjaśnił Varl.

Gaunt potrząsnął głową dając do zrozumienia, że się nie gniewa.

- Dziękuję za jego przypilnowanie, sierżancie.

Pułkownikkomisarz podszedł do kłeryka.

- Ten człowiek to wyjątkowo bolesna strata – oświadczył Zweil podnosząc się z klęczek i spoglądając w stronę Gaunta – Jego wysiłki okazały się kluczowe dla waszego zwycięstwa.

- Ktoś ci to powiedział, ojciec, czy też po prostu to wyczułeś ?

- To drugie... czyżbym się mylił ?

- Nie, w najmniejszym calu. Baffels dowodził atakiem na skład paliw. Wykonał swe zadanie czyniąc więcej, niż od niego oczekiwałem. O coś takiego nigdy nie śmiałybym go poprosić.

Zweil zamknął palcami powieki Baffelsa.

- Też tak sędzę. Cóż, dla ciebie to już koniec – powiedział łagodnym głosem Zweil – Śpij spokojnie, pielgrzymie. Dotarłeś do celu podróży.

Rozdział XI – Deszczowe lasy

„Choćby łzy moje miały być tak liczne jak krople deszczu spadające na korony drzew Hagii – jedna dla każdej wiernej Złotemu Tronowi duszy oddającej życie w słusznej sprawie – nie zdołałabym uronić ich dostatecznie dużo” – święta Sabbat.

Jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów dalej nocne niebo zapłonęło znieścacka feerią świateł, pojawiły się na nim odległe rozbłyski. Wiatr przyniósł ze sobą ledwie słyszalny jednostajny grzmot.

Po godzinie wszyscy gwardziści uznali zgodnie, że nie jest to burza.

- Konfrontacja na pełną skalę – oświadczył Corbec.

- Cholernie tam musi być gorąco – dodał Bragg.

Mężczyźni stali w ciemnościach na brzegu rzeki, wsłuchani w cykanie nocnych insektów. Za ich plecami Daur i Greer walczyli z przegrzewającym się nieustannie silnikiem Chimery.

- Czego ja bym nie oddał, żeby... – Derin urwał, nie dokończył zdania.

- Wiem, co masz na myśli, chłopcze – odrzekł Corbec.

- Bhavnager – oświadczył Milo podchodząc do towarzyszy z włączoną latarką i mapnikiem w rękę.

- Co za miejsce ?

- Bhavnager. Miasteczko farmerów, u podnóża Świętych Szczytów – Milo przytknął palec do mapy wskazując lokalizację miasta.

- To miał być ich drugi punkt postojowy – zauważył pułkownik – Jest tam duży skład paliw.

Wyjątkowo silna eksplozja podświetliła od spodu dywan chmur.

- Feth ! – westchnął Bragg.

- Złe wieści dla jakiegoś biednego sukinsyna – mruknął Derin.

- Miejmy nadzieję, że to był jeden z Infardich – dodał Corbec.

a

Dorden stał na samym skraju rzeki, rzucając w powolny nurt niewielkie kamyki. Słyszając za plecami czyjeś ciche kroki obejrzał się przez ramię. Nadchodziła esholi, Sanian.

- Ty nie jesteś żołnierzem – oświadczyła dziewczyna.

- Słucham ?

- Pracowałam z panią Curth, widziałam cię wcześniej. Jesteś lekarzem.

- Zgadza się, dziecko – uśmiechnął się Dorden.

- Jesteś stary.

- Serdeczne dzięki za szczerłość.

- Nie, naprawdę jesteś stary. Na Hagii to dowód posiadanej wiedzy.

- Doprawdy ?

- To pozwala wierzyć, że jeśli nie zmarnotrawiłeś swego życia, posiadasz ogromną mądrość, z której mogą skorzystać inni.

- Jestem pewien, że nie zmarnowałem swego życia, Sanian.

- A ja myślę, że zmarnowałam swoje.

Spojrzał na nią uważnie. Dziewczyna była tylko cieniem, kształtem wpatrzonym niemo w rzekę.

- Co powiedziałaś ?

- Kim ja jestem ? Uczennicą ? Studentką ? Uczyłam się przez całe życie analizując święte księgi, a teraz mój ojczysty świat umiera w płomieniach. Święta już nas nie strzeże. Poznałam ludzi takich jak Corbec, Daur, nawet ten młodziutki Milo. Wydawali mi się wszyscy tacy ubodzy duchowo, bo poświęcili swe życie specjalizacji w wojennym rzemiośle. Lecz przecież tak naprawdę liczy się tylko wojna. Również tutaj, na Hagii, teraz. Wszystko oprócz sztuki prowadzenia wojen stało się teraz bezwartościowe.

- Jest w życiu wiele więcej...

- Nie ma niczego więcej, doktorze. Imperium jest potężne, jego cuda pełne majestatu, lecz cóż by z nich pozostało, gdyby nie toczone nieustannie wojny ? Ludzie, kultura, język ? Nic by nie zostało. Wojna stoi ponad tym wszystkim i tylko ona tak naprawdę się liczy.

Dorden westchnął mimowolnie. Nie potrafił odmówić Sanian racji.

- Wojna dotarła do Bhavnageru – oświadczyła dziewczyna wskazując dłonią malującą się w oddali łunę.

- Znasz to miasto ?

- Urodziłam się tam i wychowałam. Odeszłam, kiedy podjęłam decyzję o wstąpieniu pomiędzy esholi. A teraz, nawet gdyby łaskawy los zechciał w końcu odkryć mą prawdziwą ścieżkę życia, nie będę już miała gdzie wrócić. To się nigdy nie skończy. Wojna jest wieczna, już prędzej ludzkość przeminie niż ona.

a

- Brak jakiegokolwiek sygnału – oświadczył siedzący przy komunikatorze Vamberfeld.

Corbec pokręcił z rezygnacją głową.

- Próbowałeś na wszystkich kanałach ? – zapytał niepotrzebnie.

- Tak, sir. Radio jest martwe. Nie mam pojęcia, czy to z powodu braku zasięgu czy też sam komunikator jest nic nie wartą kupą złomu.

- Tego się chyba nigdy nie dowiemy – wzruszył ramionami Derin.

Vamberfeld usiadł na pniaku tuż przy poboczu drogi. W powietrzu zbierało się na deszcz, nadciągała burza. Wiatr rozwiewał włosy podróżnych niosąc ze sobą pierwsze krople.

Schowani pod podniesionymi klapami silnika Chimery, Greer i Daur pracowali nad ustawicznie szwankującymi turbinami pojazdu. Vamberfeld słyszał Corbeca rozmawiającego z Brinem, kilka kroków z boku. To byłoby takie proste – wstać z miejsca, podejść do pułkownika i porozmawiać z nim jak mężczyzna z mężczyzną.

Tak dziecinnie proste...

Nie potrafił się do tego zmusić.

Nawet teraz czuł przerażenie szarpiące mu zimnymi szponami trzewia, pełną wzdłuż kręgosłupa, krążące w żyłach, wdzierające się podstępnie do umysłu.

To było takie niesprawiedliwe. Na Verghaście, w gigantycznym mieściekopcu, wiódł spokojne życie skrybasystenta w świecie kupca Naslquey'a, sporządzając umowy kupna i sprzedaży, aranżując spotkania, kontrolując manifesty towarowe. Był w tym naprawdę dobry. Wynajmował niewielkie, ale przytulne mieszkanie na dwieście trzydziestym pierwszym piętrze głównego kompleksu mieszkalnego, ciesząc się rychłą perspektywą awansu i poprawy statusu społecznego. Bardzo kochał swą narzeczoną, pracującą w biurze handlowym Bocidera.

A potem Wojna Zoicańska zmiotła to wszystko. Unicestwiła jego pracę, jego mieszkanie, jego narzeczoną...

Nigdy się nie dowiedział prawdy o jej losie. Nigdy nie zdołał odnaleźć śladu po swej słodkiej małej kobietce.

Z oblężenia Vervunhive wyniósł przerażające wspomnienia. Ukrywał się w ruinach metropolii, walczył o przetrwanie, głodował. Uszedł z tego piekła z życiem i cudem nie postradał zdrowego rozumu.

Z tego też powodu podjął decyzję o odwróceniu się plecami do poprzedniego życia i zaciągu do Imperialnej Gwardii, kiedy tylko doszły go wieści o Akcie Konsolidacji. Wydawało mu się wtedy, czy czyni słusznie.

Poznał strach w trakcie tamtej wojny, poznał jego odmiany po jej zakończeniu. Lęk przed opuszczeniem Verghastu, obawę przed nowymi wyzwaniem jakie miał mu postawić los. Grozę tranzytu poprzez Osnowę w cuchnącym potem, ciasnym wnętrzu wojskowego liniowca. Ból i zmęczenie pierwszego tygodnia treningu podstawowego.

Prawdziwy strach, taki paraliżujący ciało i duszę, pojawił się później. Po raz pierwszy wziął w swe władanie jaźń Vamberfelda podczas zrzutu planetarnego na Hagię. Gwardzista jakoś się z nim uporał, zamknął w sobie. Przeżyłem piekło Verghastu, powtarzał sobie w myślach, to nie może być już gorsze.

Potem strach powrócił, w pierwszych godzinach szturm na Doctrinopolis. W pierwszej prawdziwej akcji bojowej Vamberfelda. Ludzie umierali na jego oczach lub, co gorsza, byli potwornie okaleczani. Pierwsze parę dni nowej wojny dogłębnie nim wstrząsnęła, groza zadomowiła się w sercu mężczyzny na dobre i tylko od czasu do czasu wycofywała się w głąb jego duszy dając znękanemu umysłowi odpocząć.

Vamberfeld uznał, że do wyzwolenia ze szponów lęku jest mu niezbędna śmierć przeciwnika, że musi kogoś zabić. Stać się prawdziwym żołnierzem, egzorcyzmować swoje demony. Okazja trafiła mu się w trakcie pamiętnej szarży u boku pułkownikakomisarza Gaunta na budynek Uniwersytetu. Miał szansę przejść chrzest bojowy, przelać pierwszą krew. Szczerze tego pragnął, nie zamierzał uciekać od żołnierskiego obowiązku. Chciał się raz na zawsze uwolnić od tkwiącego niczym zadra demona, przyczepionego kurczowo do karku.

To tylko pogorszyło całą sprawę.

Wyszedł z tej konfrontacji dygocząc niczym pomyleniec, nie potrafiąc skupić się na rozmowie, nie umiając zebrać myśli. Stał się niewolnikiem demona lęku.

To było takie cholernie niesprawiedliwe.

Bragg i Derin namówili go do udziału w tej misji, wyciągnęli ze szpitala. Nie potrafił im odmówić, fizycznie nic mu nie dolegało, w przeciwieństwie do pozostałych Duchów. Nikt najwidoczniej nie zauważył tego lepkiego lęku klejącego się do skóry Verghastyty, duszącego go w gardle. Bragg i Derin twierdzili, że Corbec musi wykonać ważną misję i Vamberfeld bez oporu zgodził się dołączyć do grupy. Lubił pułkownika. Pułkownik mówił o świętej misji i wizjach. To również się Vamberfeldowi spodobało, zdecydowanie ułatwiało mu grę. Dzięki temu mógł pokryć swą nerwowość wytłumaczeniem o powracających co rusz wizjach i cudownych objawieniach.

Gnębiło go poczucie dojmującego wstydu. Powtarzał głośno to, co inni chcieli usłyszeć, okłamywał ich. Nigdy nie ujrzał na oczy świętej, jedyny głos w jego głowie był szyderczym chichotem demona lęku.

Słowa kierowcy, Greera, szczerze Vamberfelda zaniepokoiły. Ta jego gadka o złocie, o planie kapitana Daura. Verghastyta zaczął się zastanawiać, czy aby nie padł ofiarą wyrafinowanego podstępu. To była całkiem wiarygodna koncepcja – otaczali go dezertery, którzy złamali rozkazy nie z powołania, lecz żądzy zysku. Nie potrafił się oprzeć wrażeniu, że wyszedł na omamionego wizjonerskim przesłaniem głupca.

Trzęsły mu się ręce. Schował je pośpiesznie do kieszeni w nadziei, że nikt tego nie spostrzeże. Trzęsło się jego ciało, trząsał się umysł. Lęk dosłownie pożerał jaźń mężczyzny. Vamberfeld przeklinał w myślach demona, który nakłonił go do udziału w tej wyprawie, złożonej ze złodziei i zdrajców. Przeklinał go za swą słabość.

Chciał podnieść się z miejsca i podejść do Corbeca, opowiedzieć mu o swoim problemie, ale nie potrafił się przełamać.

Zresztą, nawet gdyby to zrobił, reszta pewnie wpierv by go wyśmiała, a potem zastrzeliła gdzieś w buszu.

- Chcesz łyka ?
- Słucham ? – Vamberfeld obrócił w bok głowę.
- Chcesz łyka ? – Bragg podsunął Vergastycie manierkę pełną sacry.
- Nie.
- Wyglądasz na kogoś, któremu przydałaby się odrobina alkoholu.
- Nie.
- W porządku – Bragg upił łyczek sacry, oblizął z błogim zadowoleniem usta.

Vamberfeld dopiero teraz uświadomił sobie, że od kilku minut z nieba pada deszcz, zraszający jego twarz i ramiona kroplami wody.

- Powinieneś się schować – zauważył Bragg – Za chwilę lunie na całego.
- W porządku. Za moment. Wszystko ze mną okay.
- To dobrze – wielki Duch odwrócił się i poszedł w stronę Chimery.

Ciepła deszczowa woda zaczęła ściekać po karku Vamberfelda. Verghastyta podniósł twarz w górę pozwalając obmyć się deszczówce, żalując rozpaczliwie, że nie może w ten sposób zmyć z siebie wstydu i strachu.

a

- Coś chyba jest nie tak z tym chłopakiem, szefie – powiedział Corbecowi Bragg podając mu jednocześnie manierkę.

Pułkownik upił spory haust likieru, przełknął kilka przeciwbólowych tabletek. Wiedział dobrze, że zażywa zbyt wiele leków, ale potrzebował ich, by zredukować ból do poziomu umożliwiającego swobodne poruszanie się. Spoglądając we wskazanym przez Bragga kierunku ujrzał samotną postać stojącą w deszczu plecami do transportera.

- Wiem o tym – odparł – Zrób coś dla mnie, Bragg. Miej na niego oko.

a

- A więc... ile tego jest ? – wymamrotał Greer dokręcając jednocześnie jakąś masywną mutrę.

- Ile czego ? – odparł pytaniem przemoczony na wskroś Daur.
- Nie każ mi tego wymawiać na głos, Verghastyto... złota.
- O to ci chodzi. Nie mów zbyt głośno. Nie chcę, żeby inni usłyszeli.
- Ale jest go sporo, co ? Mówiłeś, że sporo.
- Nawet sobie nie wyobrażasz, ile.

Greer uśmiechnął się zadowolony i wytarł twarz rękawem bluzy, pozostawiając na skórze cienkie krechy maszynowego oleju.

- Nie powiedziałeś o tym reszcie ?
- Tylko tyle, by ich zainteresować.
- Zamierzasz ich wykończyć, kiedy załatwimy sprawę ?
- Właśnie się nad tym zastanawiam.
- Możesz na mnie liczyć w tej kwestii, Verghastyto... jeśli ja mogę liczyć na ciebie.
- Pewnie. Oczywiście. Ale pamiętaj, nie rób niczego, jeśli nie dam sygnału.
- Spoko.
- Będziesz czekał na mój sygnał, Greer ?

Pardusycki sierżant wyszczerzył zęby.

- Oczywiście, stary. To twoja gra, ty rozdajesz karty.

a

- Zwolnij trochę, mała ! – roześmiał się ukryty przed deszczem pod podniesionym włazem Chimery Corbec. Ręce dziewczyny poruszały się w sekwencjach języka migowego zdecydowanie zbyt szybko jak na gust pułkownika.

Święta naprawdę do pana mówiła ? zasygnalizowała Nessa, tym razem aaa wolniej poruszając rękami.

- Feth, nie wiem tak do końca. To raczej coś... – Corbec nie opanował jeszcze biegle verghastyckiego języka gestów, chociaż usilnie nad tym pracował. Zdawał sobie sprawę z faktu, że jego toporne ruchy przekazują całkowicie wypraną z niuansów wypowiedź.

Kapitan Daur powiedział, że ją słyszał, nie dawała za wygraną snajperka, powiedział też, że to samo czuł pan i doktor.

- Być może, Nessa.

Czy możemy być w błędzie ?

- W jakim sensie ? O błąd decyzji ci chodzi ?

Tak. Dziewczyna spojrzała na niego z mokrą od deszczu twarzą, w której płonęły ożywieniem pytające oczy.

- Złą decyzję w jakim sensie ?

Że jesteśmy tutaj. Że robimy coś takiego.

- Nie, to nie błąd. Tego akurat jestem pewien.

a

Teraz już tylko jego ręka drżała. Lewa ręka. Ogromną siłą woli Vamberfeld zapanował nad swym łękiem ograniczając spazmatyczne konwulsje do jednego miejsca. Potrafił znów swobodnie oddychać. Potrafił kontrolować swój organizm.

W głębi drogi, pośród strug lejącej się z nieba wody, dostrzegł jakieś poruszenie. Pierwszą jego myślą było chwycenie za broń lub ostrzegawczy krzyk, ale nie uczynił tego w obawie, by skurcze nie objęły znów we władanie całego jego ciała.

Przez ułamek chwili ujrzał wyraźnie dwa małe chelony, sięgające dorosłemu człowiekowi do kolan, truchtające po błotnistym trakcie w stronę Verghastyty.

A potem dziewczynkę, dwunasto lub trzynastoletnią, ubraną w przybrudzone pasterskie szaty, poganiającą chelony drewnianą laską.

Zawróciła zwierzęta, zanim te podeszły zbyt blisko imperialnego pojazdu. Trzy sylwetki tworzyły rozmazaną smugę na tle deszczowej kurtyny – mała pastereczka i jej stadko, nie chcąc ryzykować kontaktu z żołnierzami odpoczywającymi w pobliżu jej pastwiska.

Vamberfeld spoglądał w jej stronę z niemą fascynacją. Spojrzenia żołnierza i pasterki skrzyżowały się na krótką chwilę.

Była taka młoda. Taka smutna, ubrudzona błotem. Miała niesamowicie przenikliwe oczy i...

Chimera ożyła z rykiem silnika, z rur wydechowych buchnęły kłębki dymu. Przednie reflektory zapłonęły snopami silnego światła.

- Wsiadać ! Wsiadać ! – zawołał Corbec.

Vamberfeld ocknął się nagle, stwierdzając ze zdumieniem, iż leży na brzuchu w błocie. Najwyraźniej musiał się w transie potknąć o jakiś wystający z ziemi korzeń. Pozbierał się jakoś na nogi, roztrzęsiony i zdenerwowany, podniósł karabin i pobiegł w stronę jaskrawo oświetlonego pojazdu.

Zerknął raz jeszcze przez ramię. Pasterki i jej chelonów nie było już nigdzie widać.

Demon lęku bynajmniej nie odszedł wraz z nimi. Wsadzając swą dygoczącą rękę pod kurtkę Vamberfeld wsiadł do czekającej na niego Chimery.

a

Nad Bhavnagerem wstawał mokry od deszczu poranek.

Pułkownikkomisarz Gaunt zerwał się jak oparzony z łóżka i odetchnął z ulgą uświadamiając sobie, że bitwa o miasto stała się już przeszłością. Duch usiadł powoli na drewnianym krześle, westchnął głęboko. Na blacie stolika stała opróżniona do połowy butelka amasecu. Wyciągnął w jej stronę ręką, ale zaraz cofnął dłoń rezygnując z alkoholu.

Z zewnątrz namiotu dobiegał go dźwięk czołgowych silników i pokrzykiwania techkapłanów, pomruk pomp opróżnianych cystern, warkot elektrycznych podnośników wyładowujących skrzynki amunicji z Chimer. I krzyki rannych operowanych cały czas w połowym szpitalu Curth.

Radiooperator Beltayn wetknął głowę do namiotu, chrząknął przepraszająco.

- Minęła piąta, sir – powiedział.

Gaunt pokivał tylko głową. Podniósł się na nogi, zdjął z siebie pokrytą zaschłym błotem i krwią kamizelkę, wyciągnął z walizki nową, czystą. Oplukał twarz zimną wodą nalaną do metalowej miednicy, dopiął spodnie, ubrał bluzę i czarną skórzaną kurtkę obszytą złotymi insygniami.

Bhavnager. Cóż za zwycięstwo. Cóż za potworne jego koszty.

Zauważył, że wciąż jeszcze drży na wspomnienie nocnej konfrontacji, zmęczony i podekscytowany zarazem.

Spał przez zaledwie trzy godziny, w dodatku bardzo niespokojnie. Nękały go szaleńcze majaki, senne koszmary zrodzone potwornym wyczerpaniem i strasznymi przeżyciami.

We śnie znajdował się na krawędzi lodowego uskoku, omal nie osuwając się w dół, spoglądając ku szalejącemu poniżej ognistemu piekłu.

Wtedy pojawił się sierżant Baffels, żywy, nawet nie draśnięty. Stając powyżej Gaunta pochwycił go rękami i wyciągnął w bezpieczniejsze miejsce.

- Baffels... – wydyszał pułkownikkomisarz.

Sierżant uśmiechnął się i zniknął.

- Męczeństwo Sabbath – tyle tylko zdążył powiedzieć.

Gaunt ujął butelkę amasecu, wlał sobie do brudnej szklanki sporą dawkę trunku i wychylił ją jednym haustem.

- Po tylu latach moje Duchy zaczęły mnie w końcu nawiedzać – wymamrotał sam do siebie.

a

Wykonując polecenia sierżanta Kolei straż honorowa pochowała ciała dwustu poległych towarzyszy broni w zbiorowej mogile na peryferiach miasteczka. Grób można było zasypać za pomocą Trojanów, ale to pardusyckim czołgistom przypadł w udziale ten smutny zaszczyt. Conquerory Stare Strontium, Bez Odwrotu i P48J opuściły spychacze i starannie pogrzebały ciała poległych mimo tego, że ich załogi same umierały z wyczerpania. Ayatani Zweil sprawował pieczę nad religijnym aspektem pochówku. Gwardziści wykonali niewielkie krzyże z gałęzi drzewek ghyllum i wbili je w świeżą ziemię, po jednym dla każdego spoczywającego w mogile żołnierza.

a

Nadszedł w końcu dzień – ciepły, wilgotny, ociekający deszczem. Pułkownikkomisarz wiedział, że jego regiment będzie potrzebował tygodni na otrząśnięcie się z szoku tak brutalnej bitwy, ale niestety nie miał tyle czasu.

Mógł policzyć na palcach pozostające do ewakuacji dni.

O dziewiątej rano Gaunt polecił straży honorowej przygotować się do wyjazdu, posłał też przodem szpicę zwiadowczą. Chociaż wciąż zmęczeni, żołnierze mieli w większości przypadków dobry nastrój. Gwardia odniosła przytłaczające zwycięstwo, w dodatku przeciwko silnemu garnizonowi wroga. Straty były w tych okolicznościach akceptowalne. Pardusyci wydawali się rozpaczać silniej od Duchów, ale wyraźnie chodziło im o zniszczone nieodwracalnie pojazdy, a nie poległych towarzyszy broni.

Gaunt wyszedł na rynek Bhavnageru, przystanął na moment przy drewnianej budzie kramarza, gdzie rozmawiali ze sobą szeregowcy Cooer, Waed i Garond. Wszyscy trzej pilnowali oficera Infardich schwytanego przez Bonina. Żadnego innego heretyka nie udało się wziąć żywcem. Gaunt uznał, że rebelianci albo zabrali rannych ze sobą albo ich dobili.

Wytatuowany jeńiec był owinięty w łańcuchy niczym drapieżne zwierzę.

- Wyciągnęliście coś z niego ?

- Ani słowa, sir – odparł Waed.

Rawne i Feygor próbowali wstępnie przesłuchać jeńca jeszcze w nocy, ale Infardi okazał się odporny na wszelkie zastosowane przez nich metody perswazji.

- Przygotujcie go do podróży, pojedzie razem z nami.

Gaunt udał się w stronę składu paliw. Major Kleopas, kapitan Woll i porucznik Pauk stali przy Trojanach, które wwiozły do miasteczka uszkodzone czołgi – Bębniarza i Słodką Klarę. Gaunt dowiedział się, że obie maszyny da się naprawić. Jedna z gąsienic Bębniarza zmieniła się w masę pogiętego metalu i dowodzona przez kapitana Hancota załoga wjechała do Bhavnageru na wieżycze swego wozu. Pomimo unieruchomienia we wczesnych minutach bitwy Bębniarz nie przerywał ostrzału zaliczając kilka celnych trafień.

Oprócz przestrzeliny u podstawy wieżyczki Słodka Klara nie sprawiała wrażenia uszkodzonego czołgu. Z wypadku uszedł z życiem tylko kierowca Conquerora. Wyłączywszy obwody elektryczne techkapłani zdołali wydobyć z wnętrza czołgu niewypał, który spowodował śmierć kapitana LeTawa i jego dwóch podwładnych. Po usunięciu reszty amunicji Słodka Klara została wholowana do miasteczka. Załogę zastępczą skompletowano naprędce wśród czołgistów ocalałych z innych zniszczonych wozów.

Gaunt podszedł do pardusyckich oficerów i szczerze pogratulował Kleopasowi zwycięstwa. Major był błydy i wyglądał na zmęczonego, ale z entuzjazmem uściśniętą dłoń pułkownikkomisarza.

- Kolejne podręcznikowe starcie, które trafi do wykładów w akademii wojsk pancernych na Pardu – oświadczył Duch.

- Chciałbym w to wierzyć. Mam jedno pytanie, sir, jeśli można ?

- Zamieniam się w słuch.

- Wszystkim nam powiedziano w czasie wstępnej odprawy, że chociaż Infardi uciekli na pustkowie, ich niedobitki nie stanowią większego zagrożenia. Garnizon w Bhavnagerze okazał się bardzo silny, świetnie wyposażony i dobrze zorganizowany. Nie czegoś takiego można by się spodziewać po złamanym psychicznie i uciekającym nieprzyjacielu.

- Zgadzam się całkowicie z pańską opinią, majorze.

- Psiakrew, Gaunt, bądźmy szczerzy. Jadąc na tę misję byliśmy przygotowani do walki, ale nie na taką skalę. Pierwszy raz w życiu moim ludziom przyszło stawić czoła tak licznemu zgrupowaniu pancernemu wroga. Proszę nie zrozumieć mnie opacznie, nie zaprzeczam, że mieliśmy tutaj okazję odnieść wspaniałe zwycięstwo. Imperator strzeże.

- Imperator strzeże – powtórzyli jednogłośnie Gaunt, Woll i Pauk.

- Ale o czymś takim nikt nam nie wspominał. Czy mógłby pan skomentować to w jakiś sposób ?

Gaunt milczał przez chwilę zbierając myśli.

- Kiedy służyłem wraz ze Slaydo, tuż przed rozpoczęciem krucjaty, najechaliśmy w zimowym sezonie na Khulen. Należałem wówczas do hyrkańskiego regimentu, byli to świetni żołnierze. Nieprzyjaciel kontrolował trzy główne metropolie planety. Pomimo upiornych mrozów zdołaliśmy w ciągu dwóch miesięcy wyprzeć wroga z wszystkich trzech miast. Zwycięstwo było nasze, ale Slaydo nakazał czuwać, chociaż żaden z jego sztabowców nie miał pojęcia, po co. Slaydo był doświadczonym weteranem, jego instynkt nigdy nie zawiodł. Miesiąc później heretycy uderzyli na nasze pozycje trzykrotnie większymi siłami niż te broniące metropolii. Trzykrotnie silniejszymi. Oni po prostu się wycofali, rozumiecie ? Opuścili miasta jeszcze przed naszym uderzeniem, przegrupowali się w dziczy i powrócili.

- I co się stało ? – zapytał zafascynowany Pauk.

- Mieliśmy Slaydo, poruczniku – roześmiał się Gaunt. Pozostali mężczyźni poszli w jego ślady.

- Zdobyliśmy Khulen. Operacja trwała pół roku, ale zniszczyliśmy heretyków doszczętnie. A później, rok po rozpoczęciu krucjaty, uderzyliśmy na Ashek II. Znaczne siły nieprzyjaciela zgromadzone były w metropoliach i handlowych miasteczkach morskich archipelagów. Po trzech miesiącach zaciekłych walk zdobyliśmy planetę, ale imperialni sztabowcy ostrzegali, że wróg mógł się przyczaić w wulkanicznych masywach zapewniających wyśmienitą kryjówkę i bazę wypadową do walk podjazdowych. Okopaliśmy się czekając na kontruderzenie, które nigdy nie nadeszło. Po długim i żmudnym rozpoznaniu okazało się, że wróg wcale się nie wycofał. Rebelianci walczyli do ostatniego człowieka w miastach i wybiliśmy ich już w pierwszej fazie operacji. Nawet nie pomyśleli o tym, by wykorzystać w obronie wręcz wymarzone do tego ukształtowanie terenu.

- Zaczynam się czuć niczym kadet na wykładach ze strategii – uśmiechnął się pod nosem kapitan Woll.

- Przykro mi – odpowiedział uśmieżkiem Gaunt – Chciałem zilustrować przykładami pewne fakty.

- Że nieprzyjaciel skażony Chaosem na zawsze pozostanie nieobliczalny ? - spytał Kleopas.

- Tak, to po pierwsze.

- Że walcząc z nieprzyjacielem skażonym Chaosem możemy bez żalu rozstrzelać wszystkich naszych sztabowców ? – zachichotał Woll.

- Dokładnie, to po drugie, kapitanie.

- Z czymś takim mamy teraz do czynienia ?

Gaunt odpowiedział Kleopasowi skinieniem głowy.

- Wszyscy dobrze wiecie, że nie darzę miłością lorda generała Lugo. Mam wiele prywatnych powodów, aby go nie cierpieć.

- Proszę się nie tłumaczyć – odparł major – To nowicjusz ze szczątkowym doświadczeniem.

- Dobrze, pan to powiedział, a nie ja – uśmiechnął się Gaunt – Chciałem wam tylko uświadomić, że czciciele Chaosu nigdy nie działają w sposób przewidywalny, logiczny. Nie sposób ich przejrzeć, to groziłoby wręcz popadnięciem w szaleństwo. Możemy jedynie przygotować się na każdą ewentualność. Dlatego też odwołałem się do dwóch wymienionych wcześniej przykładów. Poniosłem porażkę w Doctrinopolis tylko dlatego, że nie przygotowałem się na każdą możliwą sytuację.

- Byłem tam z tobą, Gaunt. Otrzymałeś rozkazy, które ci to praktycznie uniemożliwiały.

- Dziękuję za słowa otuchy. Obawiam się, że z takim właśnie przypadkiem mamy do czynienia na Hagii. Lugo przyjął błędne założenie, że nieprzyjaciel będzie się zachowywał tak samo jak Imperialna Gwardia. Że będzie bronił do upadłego miast. Lord generał się pomylił. Uważał, że tylko pokonane niedobitki pierzchną z pola bitwy. Znow się pomylił. Ja

sądzę, że Infardi oddali nam miasta, kiedy tylko zorientowali się, że mamy nad nimi przewagę liczebną i wycofali główne siły na pustkowie. Stąd właśnie tak silny garnizon wroga w Bhavnagerze.

- Lugo zapłaci za to głową – mruknął Kleopas.

- Lugo powinien przykładać większą wagę do słów swoich oficerów, to wszystko – odparł Gaunt – Ta właśnie zdolność uczyniła Slaydo Slaydo... czy Solona Solonem... umiejętność słuchania rad innych. Obawiam się, że tego właśnie brakuje teraz sztabowi generalnemu krucjaty, być może nawet samemu marszałkowi Macarothowi.

Pardusyccy oficerowie wymienili między sobą zakłopotane spojrzenia.

- Nie będę już dłużej dręczył panów bluźnierczymi opiniami – oświadczył Gaunt – Moja opinia jest prosta. Przygotujmy się na każdą ewentualność, oczekujmy niewiarygodnego. Nieprzyjaciel nie jest przewidywalny, pozornie nie działa logicznie, ale możecie być pewni, że realizuje własne plany. Nie potrafimy ich odgadnąć, ale na pewno bardzo ucierpimy, jeśli zostaną do końca zrealizowane.

Pułkownikkomisarz odwrócił się słysząc dźwięk kroków. Zbliżali się do niego Rawne, Kolea, Varl, Hark i Curth, wezwani w celu odbycia porannego zebrania. Lekarka podała dowódcy Duchów włączony notes.

W walkach o miasto zostało rannych dwustu dwudziestu czterech żołnierzy, w tym siedemdziesięciu trzech ciężko. Curth oświadczyła, że chociaż wszystkich można było zabrać w dalszą podróż, osiemnastru rannych nie dożyje końca pierwszego dnia jazdy. Dziewięciu dalszych nie ujrzy nigdy Świątyni.

- Jakie są pani zalecenia ?

- Oczywiście. Nie zabierzemy ich w dalszą drogę.

Rawne potrząsnął głową, roześmiał się ironicznie.

- Co zatem z nimi zrobimy ? Zostawimy tutaj ?

Kolea zasugerował założenie w Bhavnagerze posterunku strzegącego lazaretu na czas powrotu konwoju z gór. Chociaż taki garnizon byłby narażony na ataki ze strony grasujących w okolicy heretyków, dawał zarazem rannym większą szansę na przeżycie. Poza tym wracający ze Świątyni konwój potrzebował Bhavnageru jako bazy postojowej.

Gaunt zaaprobował pomysł sierżanta. Postanowił zostawić w mieście stu gwardzistów i trochę wozów pancernych, mających strzec składu paliw i szpitala polowego. Curth poprosiła o zgodę na pozostanie z pacjentami i Gaunt przystanął na tę propozycję mianując oficerem medycznym konwoju na czas podróży do Świątyni Lespa. Kapitan Woll przyjął funkcję dowódcy pardusyckiego kontyngentu w Bhavnagerze. Gaunt i Kleopas ustalili, że w mieście pozostaną Błazen Śmierci i Ksenofob oraz naprędce reperowane Bębniarz i Słodka Klara. Piechotą dowodził miał sierżant Kolea, jego zastępcą został Varl.

Kolea zaakceptował rozkaz bez zastrzeżeń i natychmiast oddalił się, by wyznaczyć plutony do służby garnizonowej. Varl dla odmiany wyglądał na bardzo niezadowolonego i gdy tylko odprawa dobiegła końca, natychmiast ujął pułkownikkomisarza pod ramię odciągając go na bok. Bez owijania w bawełnę poprosił o zmianę przydziału.

- To nie jest moja ostatnia misja, sierżancie – oznajmił mu Gaunt.

- Ale, sir...

- Czy kiedykolwiek złamałeś jakiś mój rozkaz, Varl ?

- Nie, sir.

- I niech tak pozostanie. To bardzo ważne. Ufam ci. Zrób to dla mnie.

- Tak jest, sir.

- Zrób to dla Tanith, Varl.

- Tak jest, sir.

- Dla Tanith.

Gaunt nakazał reszcie straży honorowej wsiadać do pojazdów i krótko po zakończeniu odprawy kolumna opuściła Bhavnager kierując się w stronę deszczowych lasów.

Odjazd konwoju śledziły wzrokiem grupki Duchów i Pardusytów. Sierżant Varl stał w bezruchu najdłużej, śledząc obłoki kurzu wzbijane kołami niewidocznych już wozów.

- Sierzancie ?

Duch obejrzał się przez ramię. Kolea i Woll zebrali dowódców plutonów wokół mapnika ustawionego na schodach miejskiego urzędu.

- Zechce pan do nas dołączyć, sierzancie ? – zapytał uszczypliwie Kolea wskazując swe towarzystwo – Porozmawiajmy na temat ufortyfikowania tego miejsca.

a

Za Bhavnagerem droga skręcała lekkim łukiem na północ na dystansie pięciu czy sześciu kilometrów, a potem kierowała się wprost na odległy górski masyw. Gaunt zauważył, że w wielu miejscach teren stawał się mniej otwarty, rozległe pola znikwały ustępując miejsca sadom i leśnym zagajnikom oraz polanom okolonym gęstymi chaszczami. Sykady i nieco większa odmiana acestusa dominowały w mijanym krajobrazie, często udekorowane pnączami i paprotnikami ephitytu, zwanymi przez miejscowych kapłańską brodą. Wszędzie rosły bujnie różnokolorowe kwiaty, niektóre wyjątkowo okazałe.

Powietrze stało się wilgotne, duszne, drzewa po obu stronach przybrały na rozmiarach. Po pierwszej godzinie jazdy słoneczne promienie przestały prażyć siedzących na ciężarówkach żołnierzy, filtrowane przez rozłożyste korony drzew.

Po trzech godzinach droga zaczęła się nieznacznie wznosić, pokrywało ją teraz zaschłe błoto i piasek, a nie pył. Na ubraniach pasażerów pojawiły się pierwsze plamy potu. Co jakiś czas bez ostrzeżenia pojawiała się krótka, ale rześista ulewa, czasami tak silna, że kierowcy musieli włączać światła z powodu drastycznie zredukowanej widoczności. Potem deszcz ustawał równie szybko jak się pojawił, zabierając ze sobą rzadkie opary mgieł.

Krótko po południu konwój zatrzymał się na postój. Rozdano racje żywnościowe, dokonano wymiany kierowców. Po obu stronach drogi rozciągały się zielone gąszcze tropikalnej puszczy, powietrze przesycił charakterystyczny duszny zapach. Las tętnił życiem: wszędzie można było dostrzec wielkie żuki o rubinowych pancerzykach, ważki, włochate pająki i ogromne gąsienice pozostawiające po sobie strużki niebieskiego śluzu znaczącego korę drzew. W okolicy było też mnóstwo ptactwa – nie białoszarych nadrzecznych rybołówów, tylko niewielkich, tęczo upierzonych ptaszków śmigających w powietrzu niczym barwne pociski. Ich ciała można by zamknąć w ludzkiej dłoni, gdyby nie długie na trzydzieści centymetrów dzioby.

Stojący przy Salamandrze Gaunt, jedzący swoją rację żywnościową i popijający ją wodą, śledził wzrokiem ośmionożne jaszczurki o łuskach złotych niczym kopuła świątyni w Bhavnagerze, buszujące w leśnym poszyciu. Z głębi lasu dobiegały syki, pohukiwania i wrzaski większych zwierząt.

- Zaskoczyła mnie decyzja o pozostawieniu Kolei w mieście – oznajmił komisarz Hark pojawiając się z nienacka o boku Gaunta. Oficer polityczny zdążył już pozbyć się swego czarnego płaszcza i kurtki, chodził w samym podkoszulku wycierając co chwila twarz i szyję białą chusteczką. Gaunt nie zauważył jego nadejścia, toteż zaskoczyło go nieco wygłoszone bez uprzedniego powitania oświadczenie.

- A to niby dlaczego, komisarzu ?

- To jeden z najlepszych oficerów liniowych. Nieustraszony i bezprzykładnie lojalny.

- Wiem o tym – Gaunt upił z manierki nieco wody – Kogo innego mógłbym zostawić z misją wartowniczą w Bhavnagerze ?

- Ja trzymałbym sierżanta blisko siebie. Gdybym miał wybierać, w mieście zostałby major Rawne.
 - Doprawdy ?
 - To dobry żołnierz, ale w walce kieruje się głową, a nie sercem. I nie ukrywa swojej niechęci wobec twojej osoby.
 - Major Rawne i ja dobrze się rozumiemy. On oraz wielu innych Duchów żywi do mnie urazę za porzucenie na pastwę nieprzyjaciela Tanith. Był kiedyś taki okres, kiedy major otwarcie dążył do odebrania mi życia za podjętą wówczas decyzję. Lecz to już przeszłość. Rawne zaakceptował fakt, że się nie lubimy, ale musimy ze sobą współpracować.
 - Przestudiowałem jego akta, a w ciągu ostatnich kilku dni przyjrzałem się dobrze samemu majorowi. Ten człowiek to cynik i malkontent. Nie sądzę, by do końca zrezygnował z dążenia do zemsty, wciąż mierzy ci w plecy nożem. Jego czas jeszcze nadejdzie, bo myślę, że on jest bardzo dobry w czekaniu na dogodny moment.
 - Jest takie powiedzenie, które bardzo lubił Slaydo: „Trzymaj blisko swoich przyjaciół... ale jeszcze bliżej wrogów”. Znam to powiedzenie, Gaunt. Ono nie zawsze się sprawdza.
- W eterze rozległy się polecenia wsiadania do pojazdów.
- Może teraz dla odmiany pojechałbyś razem ze mną ? – zaproponował Harkowi Gaunt, dokładając wszelkich starań, by komisarz pojął ukryte znaczenie tego ironicznego zaproszenia.

a

Jadąca czterdzieści minut drogi przed konwojem czujka zwolniła znacząco. Major Rawne zdecydował wcześniej, że osobiście dołączy do grupy zwiadowców. Trzeciego dnia podróży miał pod swymi rozkazami dwie zwiadowcze Salamandry, jedną Hydrę, Szarego Vengera i Zmów Modlitwę.

Droga była wąska, porastająca jej pobocza gęsta roślinność splatała ze sobą korony drzew tworząc liściastą kopułę ponad traktem. Burty pojazdów ocierały się o bujne krzewy.

Mkoll śledził przez cały czas mapy chcąc zyskać pewność, że kolumna porusza się właściwym szlakiem.

- Tutaj nie ma żadnej innej drogi – powiedział do sierżanta Rawne.
- Wiem, to samo potwierdzają zresztą automatyczne lokalizatory. Nie spodziewałem się po prostu, że coś może tak szybko i bujnie się rozrastać. Cały czas mam wrażenie, że przez pomyłkę zjechaliśmy z głównego szlaku w jakąś pasterską dróżkę.

Obaj mężczyźni pochylili głowy na widok wiszących nisko gałęzi, które przesunęły się ponad kabiną Salamandry.

- Wszystko rośnie tu faktycznie szybko – zauważył Rawne – W końcu to puszcza tropikalna. Myślę, że to wina ostatniego deszczowego miesiąca.

Mkoll wyrzał z Salamandry szacując wzrokiem stan szlaku. Deszczowe lasy porastały najniższe części pogórza Świętych Szczytów, przez co droga biegła pod niewielkim kątem w górę. Jej środek uległ znaczącej erozji pod wpływem płynącego tamtędy okazyjnie strumienia, nanoszącego przy okazji przemy mułu, kamieni i połamanych gałęzi. Salamandry radziły sobie na takim podłożu znakomicie, podobnie jak Hydra, jednakże dwa czołgi zaczynały się co jakiś czas ślizgać. Co gorsza, pod ciężarem ich gąsienic droga ulegała postępującemu zniszczeniu. Mkoll z niepokojem myślał o reszcie konwoju, zwłaszcza zaś o ważących ponad pięćdziesiąt ton wielkich ciężarówkach, które nie miały ani mocy silnika czołgów ani przyczepności sekcji trakcyjnych transporterów.

Lśniące metalicznie żuki latały w powietrzu pomiędzy głowami majora i zwiadowcy. Rawne nie spuszczał jednego oka z ekranu skanera. I on i Mkoll wiedzieli doskonale, że część niedobitków Infardich uciekła po bitwie o stolicę właśnie w te lasy, dotąd nie natrafiono

jednak na żaden ich ślad. W sobie tylko znany sposób heretycy zdołali umiejętnie ukryć zarówno piechotę jak i ciężkie pojazdy.

W powietrzu rozległ się ostrzegawczy okrzyk, czujka stanęła w miejscu. Ogłaszając stan gotowości bojowej Rawne i Mkoll opuścili swój wóz i pobiegli w stronę czoła kolumny. Prowadząca czujkę Salamandra stała przed masywnym pnem drzewa tarasującym drogę. Zmurszała sykada musiała ważyć dobre kilka ton.

- Dasz radę zepchnąć to w bok ? – spytał kierowcę Rawne.
- Nie, droga idzie w górę pod zbyt dużym kątem – odparł Pardusyta – Musimy założyć łańcuchy, żeby odciągnąć pień w tył.
- A nie możemy go przeciąć albo wysadzić w powietrze ? – zaproponował szeregowiec Caober.

Mkoll zbliżył się do odsłoniętych korzeni sykady, pokrytych mchem i mrowiem białych gąsienic. Na niektórych korzeniach dostrzegł rdzawe ślady wżarte głęboko w drewno. Powąchał je.

- Może dałoby się przepchnąć do przodu Conquerora ? Użylibyśmy wtedy jego spychacza – zastanowił się na głos Brostin.

- Padnij ! Padnij ! – krzyknął Mkoll.

Dźwięk jego słów utonął w trzasku laserowej kanonady. Wiązki energii uderzały w burty pojazdów, rozdzierały okoliczne chaszczki. Kierowca czołowej Salamandry został trafiony w kark, osunął się na swój fotel z przeciągłym jękiem bólu.

Mkoll przypadł do ziemi za masywnym pnem sykady, tuż obok majora.

- Skąd wiedziałeś ? – wydyszał Rawne.
- Na korzeniach były ślady po materiałach wybuchowych. Użyli ładunku do wyrwania drzewa i zatarasowania nim drogi.
- Siedzimy tu jak zasrane cele na strzelnicy – Rawne zmełł w ustach przekleństwo.

Duchy odpowiadały ogniem, ale jak dotąd żaden z żołnierzy nawet nie dostrzegł zieleni mundurów Infardich. Ukryty w kabinie pierwszej Salamandry Lillo, mający do swej dyspozycji pokładowy skaner, nie potrafił namierzyć żadnego celu. Urządzenie nie wskazywało niczego prócz jednolitego poszycia tropikalnej puszczy.

- Działka ! – krzyknął do mikrofonu Rawne.

Zamontowane na pojazdach automatyczne działka i karabiny maszynowe ożyły niemal równocześnie drąc na strzępy zielen lasu. Chwilę później ich terkot utonął w ryku Hydry sierżanta Horkana. Czterolufowe działko przeciwlotnicze przeorało puszcę strugami pocisków smugowych ścinając drzewa, wrywając z korzeniami krzewy, zmieniając gęstą roślinność w parującą miazgę. Na trakt wtargnęła dusząca ludzi zielona mgiełka, pozostałość po zdeintegrowanym fragmencie lasu.

Po trzydziestu sekundach ciągłego ognia Hydra przerwała ostrzał. Zapadła cisza, przerywana jedynie kapaniem roślinnym soków i szcękaniem automatycznych podajników amunicyjnych Hydry. Działko transportera zostało zaprojektowane z myślą o polowaniu na latające z ogromną prędkością samoloty. Użyte przeciwko leśnemu poszyciu, wycięło w puszczy obszar głęboki na pięćdziesiąt metrów i szeroki na trzydzieści przeistaczając go w karczowisko. Pośród roślinnej miazgi sterczały nieliczne pniaki okaleczonych drzew.

Mkoll i Caober opuścili trakt badając ostrzelany obszar. Wśród zniszczonej roślinności natrafili na szczątki dwóch heretyckich żołnierzy.

Nie stwierdzili obecności innych rebeliantów.

To była mała zasadzka; standardowa taktyka opóźniająca.

- Zakładać na pień łańcuchy – rozkazał major Rawne. Przy tym tempie i ryzyku, że Infardi będą przewracać na drogę drzewa co kilka kilometrów, pokonanie deszczowych lasów mogło potrwać całe tygodnie.

a

Sto dwadzieścia kilometrów na południe od deszczowych lasów samotna Chimera toczyła się z łoskotem gąsienic po zakurzonej drodze biegnącej przez Mukret. Od chwili porannego postoju na jej burtach widniała wymalowana sprejem nazwa Ambulans.

Dzień zapowiadał się upalnie, toteż Greer uważnie obserwował wskaźniki zegarów. Turbiny wysłużonego transportera przegrzewały się co chwila i kierowca musiał dwukrotnie zarządzić postój w celu uzupełnienia zapasu wody w chłodnicy. Żołnierze zdobyli odpowiednią ilość płynu zaczerpując go hełmami w pobliskiej rzece. Efektem ubocznym tego zabiegu było tak silne rozrzedzenie znajdujących się pierwotnie w chłodnicy chemikaliów, że teraz układ chłodzący silnika opierał się niemal całkowicie na wodzie.

Greer zahamował w cieni przydrożnych drzew zanim strzałka wskaźnika temperatury turbiny doszła do punktu oznaczającego nieodwracalne uszkodzenie napędu.

- Piętnaście minut przerwy – zawołał przez uchylone drzwiczki do przedziału desantowego. Pardusyta miał zamiar rozprostować nieco nogi, a przy okazji przekazać Daurowi kilka informacji na temat prowadzenia Chimery. Kierowcażmiennik bardzo ułatwiłby sierżantowi życie.

Ludzie Corbeca wysiedli z transportera umykając czym prędzej w cień rzucany listowiem drzew. Klimatyzacja w przedziale desantowym nie działała, toteż podróż już zdążyła dać się pasażerom w znaki.

Corbec, Daur i Milo ślęczeli nad mapą.

- O zmroku powinniśmy dotrzeć do Rozdroży Nursera. To dobry czas. Sądzę, że konwój zaczął właśnie wjeżdżać w deszczowe lasy, a to znacznie zmniejszy jego prędkość. Od tej chwili zacniemy ich doganiać powiedział Corbec odkręcając jednocześnie korek swej manierki. Połknął dwie przeciwbólowe tabletki, popił je odrobiną obrzydliwie ciepłej wody.

- Niepokoi mnie przeciwna strona rzeki – oświadczył Daur – Prawdopodobnie tam Infardi gromadzą swe siły. Może się zrobić gorąco, kiedy przejedziemy przez bród na Rozdrożach.

- Też się tego obawiam – odparł Corbec – A co to takiego ?

Milo zerknął pod przytknięty do ekranu mapnika palec Colma. Pułkownik wskazywał siateczkę cienkich linii zmierzających wzdłuż skracającej na północ rzeki. Linie przecinały Święte Szczyty, w miarę wiernie, choć nie precyzyjnie odzwierciedlając meandry rzeki.

- Nie mam pojęcia – przyznał szeregowiec – W legendzie przy tym symbolu widnieje nazwa sooka. Muszę zapytać Sanian.

a

Vamberfeld stał po łydki w leniwych wodach rzeki rzucając w jej nurt płaskie kamyki. Lekka bryza szeleściła trzcina porastającą przeciwny brzeg, odcinając się bielą swych łodyg od lazuru nieba i zieleni wody.

Każdy ciśnięty w powietrze kamień odbijał się od powierzchni wody czterokrotnie przed zatonięciem. Koncentrowanie się na takich prostych czynnościach uspokajało umysł mężczyzny, jego ręka przestawała wówczas drżeć. Woda w cudowny sposób chłodziła odparzone stopy.

Rzucił następnym kamieniem. Zanim ten odbił się piąty raz od wody, jakiś dużo większy kawałek skały runął z pluskiem do rzeki wzbijając małą fontannę. Vamberfeld obejrzał się przez ramię.

Stojący na brzegu Bragg uśmiechnął się w jego stronę przyjaźnie.

- Ja tak nie potrafię – oświadczył olbrzym.

- Właśnie zauważyłem – odparł Verghastyta.

Bragg wszedł do wody, ostrożnie stawiając kroki, by nie pośliznąć się na pokrywających dno luźnych kamieniach.

- Nauczysz mnie ?

Vamberfeld zastanowił się przez chwilę, potem sięgnął do kieszeni spodni i wyjął z niej dwa płaskie kamyki. Jeden z nich podał wielkiemu Tanithijczykowi.

- Złap go w ten sposób.

- Tak ? – palce Bragg były znacznie większe od palców Vamberfelda.

- Nie, tak. Płasko w kierunku powierzchni wody. Wszystko zależy od ruchu nadgarstka. Kiedy rzucasz, musisz wykonać taki ruch.

Trzy odbicia. Paf, paf, paf.

- Ładnie – powiedział Bragg, po czym sam rzucił. Kamień wpadł do wody i natychmiast zatonął.

Vamberfeld wyjął z kieszeni następne dwa kamyki.

- Spróbuj ponownie, Bragg – zaproponował i dopiero śmiech olbrzyma uświadomił mu, że nieświadomie pozwolił sobie na zwyczajowy wśród Duchów żart.

Verghastyta rzucił kilka następnych kamyków, powolnymi demonstracyjnymi rzutami, Bragg zaczął je nieporadnie naśladować. Kamienie Bragga odbijały się od wody raz, Vamberfelda po cztery, pięć. Nicę po raz pierwszy od niepamiętnych czasów poczuł się odprężony, zrelaksowany. Stał po kolana w chłodnej wodzie, skąpany słonecznymi promieniami, ucząc sympatycznego mężczyznę bezużytecznej sztuki puszczenia żabek. Czynność ta nieodparcie kojarzyła mu się z dziecięcymi wypadami nad rzekę Hass, w towarzystwie braci. Przez dłuższą chwilę drżenie ręki Vamberfelda ustało niemal całkowicie. Skupiony Bragg spoglądał z ożywieniem na jego manipulujące kamykami dłonie.

Kątem oka Vamberfeld ujrzał poruszające się pod wpływem bryzy trzcina po drugiej stronie rzeki. Tylko, że od chwili nie powiewał żaden wiatr.

Nie chciał patrzeć w tamtą stronę.

- Ściśnij go trochę mocniej, o tak.

- Chyba zaczynam to łapać. Feth ! Dwa odbicia !

- Łapiesz. Spróbuj znowu.

Nie patrz tam. Nie patrz, a nic się nie stanie. Nie patrz. Nie patrz. Nie patrz.

- Tak ! Trzy ! Super !

Zignoruj te zielone kształty poruszające się wśród trzcina. Zignoruj je, a znikną. Moment spokoju nie skończy się, lęk nie powróci. Zignoruj je. Nie patrz tam.

- Dobry rzut, pięć żabek. Dasz radę zrobić sześć ?

Nie patrz tam. Zdław chęć podniesienia krzyku. Wiesz, co się wtedy stanie: lęk znów powróci. Bragg nic nie zauważył. Nikt nie zauważył. Oni sobie odejdą. Odejdą, bo tak naprawdę wcale ich tam nie ma.

- Spróbuj jeszcze raz, Bragg.

- Spoko. Hej, Vambs... czemu ci tak drży ręka ?

- Słucham ?

Nie patrz na nią. Wcale nie drży.

- Ręka ci znowu zaczęła dygotać, stary. Dobrze się czujesz ? Wyglądasz na chorego...

- Nic mi nie jest. Nic mi nie drży. Spróbuj raz jeszcze. Spróbuj raz jeszcze.

- Vambs ?

Nie, nie, nie, nie.

Gdzieś za plecami mężczyzn wystrzelił z głośnym trzaskiem laser, echo dźwięku odbiło się od płaskiej powierzchni rzeki. Bragg zawirował w miejscu, dostrzegł klęczącą na brzegu Nessę, trzymającą oparty o konar niskiego drzewka karabin. Dziewczyna wystrzeliła ponownie, celując w drugi brzeg rzeki.

- Co do cholery ? – krzyknął Bragg. Jego komunikator eksplodował wrzawą ludzkich głosów.

- Kto strzela ?! Kto strzela ?!

Bragg obejrzał się w stronę rzeki, dostrzegł postacie w zielonych uniformach brnące przez sitowie. Wśród trzciny pojawiły się rozbłyski światła, powietrze wokół lojalistów zaczęły ciąć wiązki laserowej energii.

- Feth ! – krzyknął tanithijski olbrzym. Nessa wystrzeliła trzeci raz. Czwarty. Za jej plecami pojawił się Derin, biegnący w stronę brzegu z odbezpieczonym karabinem w rękę.

- Infardi ! Infardi na przeciwnym brzegu ! – w eterze zabrzmiał jego podniesiony głos.

Laserowe wiązki punktowały powierzchnię wody, wzbijały obłoczki pary. Bragg spojrzął w stronę Vamberfelda i poczuł uścisk grozy na widok ogarniętego spazmami Vergastyty, stojącego w rzece z wywróconymi oczami. Po jego podbródku płynęła ślina zmieszana ze krwią, ciekącą zapewne z przegryzionego języka.

- Vams ! Och, dobry Boże !

Bragg chwycił oburącz sparaliżowanego Ducha i zarzucił go sobie na ramię. Przecinająca bark rana natychmiast zaczęła boleć, ale olbrzym zacisnął tylko zęby, sadząc wielkimi susami w stronę brzegu. Derin pruł seriami z ustawionego w tryb automatyczny lasera, wspierając ostrzeliwującą się zaciekle Nessę. Nieprzyjacielskie wiązki stępnowały pnie nadrzecznych drzewek.

Corbec, Daur i Milo wypadli z zarośli, wszyscy trzej pod bronią. Dorden poślizgnął się biegnąc w stronę brzegu, zjechał po niewielkiej stromiźnie na pośladkach, wpadł do wody pędząc w stronę Bragga.

- Połóż go tam, połóż tam ! Został trafiony ?

- Chyba nie, doktorze.

Wiązka lasera przypaliła udo Bragga, wielki Duch stęknął boleśnie. Druga syknęła złowieszczo przy głowie Dordena, trzecia trafiła prosto w pakiet medyczny lekarza spopielając spory kawałek torby.

Ciągnąc Vamberfelda we dwójkę Bragg i Dorden zdołali go jakoś wywlec z wody, zataszczyć na pobocze drogi. Piątka Duchów ubezpieczających brzeg strzelała do heretyków ukrytych w sitowiu. Spoglądający przez ramię Bragg dostrzegł co najmniej jedno ciało w zielonym mundurze unoszone leniwym nurtem rzeki.

Greer biegł od strony Chimery, dźwigając oburącz karabin maszynowy Bragga, po piętach deptała mu przestraszona Sanian.

- Co mu się stało ? – jęknął z grozą Pardusyta spoglądając okrągłymi oczami na szarpiącego się konwulsyjnie Vamberfelda. Dłonie Verghastyty przeistoczyły się w upiorne szpony, po jego spodniach rozlewała się plama moczu - O kurwa. Gość się złał.

- Zamknij mordę i pomóż mi – sarknął Dorden – Złap go za głowę, natychmiast ! Upewnij się, że jej sobie nie rozbije !

Bragg zabrał Greerowi kaem i pobiegł z powrotem w stronę rzeki szamocząc się równocześnie z taśmą amunicyjną. Ogień nieprzyjaciela nie słabł nawet na moment. Olbrzym naliczył dziesięciu, może dwunastu heretyckich strzelców. Kiedy odciągał rygiel zamka broni, dostrzegł kolejnego rebelianta wpadającego z pluskiem do wody, strąconego z brzegu strzałem Nessy. Nad trzcunami unosiły się kłęby dymu.

Bragg otworzył ogień. Jego pierwsza seria pocięła fontannami nurt rzeki, ale olbrzym natychmiast poprawił kąt celowania, przeorał pociskami sitowie ścinając z nóg trzech czy czterech heretyków.

- Przerwać ogień ! Przerwać ogień ! – krzyczał w eterze Corbec.

Ostrzał ze strony rebeliantów ustał chwilę wcześniej.

- Wszyscy w porządku ?

Szereg zdyszanych potwierdzeń.

- Biegiem do Chimery – rozkazał Corbec – Musimy stąd spadać.

a

Trzy kilometry na zachód od Mukretu zatrzymali się na krótki postój, wjeżdżając Chimera w niewielki zagajnik. Wszyscy oddychali ciężko, pośpiesznie, na ich skórze lśniły krople potu.

- Dobra robota, mała – Corbec zasygnalizował rękami pochwałę pod adresem Nessy.

Dziewczyna uśmiechnęła się, skinęła głową.

- Nie zauważyłeś ich wcześniej, Bragg

- Rozmawiałem z Vambsem, szefie. Chłopak zaczął się cały trząść, a zaraz potem wybuchła strzelanina.

- Doktorze ?

Lekarz podniósł głowę znad leżącego na kocu Vamberfelda, skulonego pośrodku przedziału desantowego.

- Drgawki ustały. Niebawem dojdzie do siebie.

- Co to było, znowu szok ?

- Tak mi się wydaje. Bardzo silna reakcja fizjologiczna. Ten biedny człowiek jest bardzo, bardzo chory, w sposób trudny do ogarnięcia rozumem.

- To czubek – mruknął Greer.

Corbec zeszywniał, odwrócił się w stronę Pardusyty.

- Jeszcze jeden taki tekst i rozwalę ci nos. On jest jednym z nas. Potrzebuje naszej pomocy. Udzielimy mu jej. Nie będziemy mu robić żadnych przykrości, kiedy już do siebie dojdzie. Ostatnią rzeczą, jakiej bym sobie życzył, byłoby dawanie mu do zrozumienia, że ktoś z nas jest przeciwko niemu.

- Powiedziałeś to jak prawdziwy lekarz, Colm – uśmiechnął się kącikami ust Dorden.

- Bo to prawda. Musimy go wesprzeć. Damy radę ? A ty, Greer ? To dobrze.

- Co teraz ? – zapytał Daur.

- Jedziemy do brodu. Problem w tym, że wróg zdaje już sobie sprawę z naszej obecności w okolicy. Od tej pory będziemy musieli zachowywać się bardzo ostrożnie.

a

Dojazd do Rozdroży Nursera zajął resztę popołudnia. Chimera toczyła się dość wolno, robiąc częste postoje. Milo tkwił cały czas przy wysłużonym radionadajniku łudząc się nadzieją na wywołanie konwoju, ale urządzenie milczało jak zakłète. Szeregowiec żałował, że w transporterze nie było radaru.

Ambulans stanął kilometr od brodu. Corbec, Milo i Nessa opuścili Chimera zabierając broń i udając się w stronę rzeki na piechotę. Sanian bardzo nalegała, by do nich dołączyć, toteż pułkownik wyraził zgodę na jej towarzystwo. Cała czwórka zeszła z drogi pokonując kilka rowów irygacyjnych i porośnięte wysoką trawą pastwisko, na którym tkwiły dwa szkielety chelonów, pożółkłe w promieniach słońca. Na skraju pastwiska widniały drewniane skrzynki, bogato zdobione, umieszczone na niewielkich palach. Corbec widział je już wcześniej na poboczach Drogi Tembarong.

- Co to takiego ? – zapytał Sanian.

- Urny – odparła dziewczyna – W ich środku znajdują się prochy kapłanówpielgrzymów, którzy ponieśli śmierć w czasie wędrówki. To uświęcone miejsca ostatecznego spoczynku.

Gwardziści prześlizgnęli się między urnami, przeszli z łąki na niewielką polankę otoczoną drzewami acrestusa. Sanian oddała pełen szacunku pokłon każdej drewnianej skrzynce.

Pielgrzymi, którzy ponieśli śmierć w czasie wędrówki, pomyślał Corbec. W dziwny sposób identyfikował się z tymi nieszczęśnikami, których prochy wypełniały teraz urny.

Mijając kolejny zagajnik Corbec odniósł wrażenie, że czuje zapach rzeki, lecz jego węch stępiły lata tytoniowego nałogi. Nessa miała lepszy węch.

- Promethium – zasygnalizowała językiem migowym.

Snajperka miała rację, w powietrzu unosił się zapach paliwa. Kilkaset metrów dalej zza zasłony drzew zaczął dobiegać niski pomruk silników.

Zwiadowcy pokonali biegnącą z południa na północ ścieżkę, ledwie widoczną w gęstej roślinności, padli na brzuch pokonując ostatni odcinek aaa podróży na czworakach.

Po drugiej stronie brodu długa kolumna czołgów i samochodów ciężarowych wytaczała się z równiny na Drogę Tembarong, jadąc od strony południowych bezdroży. Corbec naliczył pięćdziesiąt wozów, ale zdawał sobie sprawę z tego, że widzi tylko część kolumny. Żołnierze Infardich oblepiali kadłuby pojazdów, ponad rykiem silników unosił się dźwięk ich śpiewów, w szczególności refren zawierający w sobie imię Ojca Sina.

- Zastrany papa Sin – warknął ze złością Corbec.

Obserwujący zgrupowanie wroga Milo czuł, że krew lodowacieje mu w żyłach. Po walkach o Doctrinopolis, po klęsce w Cytadeli, lojaliści byli święcie przekonani, że Infardi zostali złamani, że na sawanny uciekły ich niedobitki. Tymczasem na północ zmierzała cała armia, a z rozblysków nocnej bitwy o Bhavnager można było wywnioskować, że Duchom przyszło się tam zmierzyć z tak samo silnym garnizonem wroga.

Milo nie potrafił się oprzeć wrażeniu, że Infardi rozmyślnie oddali imperialnym wojskom miasta Hagii dokonując jednocześnie przegrupowania swych sił w oczekiwaniu na przybycie floty. Była to dość ryzykowna hipoteza, ale zawierała w sobie sporą dozę prawdopodobieństwa. Żaden analityk nie mógł precyzyjnie przewidzieć zachowań czcicieli Chaosu. Czyżby faktycznie heretycy wycofali się z miast zakładając w nich pułapki na podobieństwo błuznierczej bomby w Cytadeli, a teraz szykowali się do drugiej fazy kampanii ?

Fazy, którą wedle wszelkich znaków mieli wygrać.

- Tędy się nie przedostaniemy – westchnął Corbec spoglądając w stronę swych towarzyszy. Pułkownik wyglądał na podłamanego swym odkryciem.

- Feth... możemy sobie odpuścić.

- A co, jeśli pójdziemy na północ wzdłuż rzeki, a nie dalej drogą ? – zapytał Milo.

- Tam nie ma żadnego szlaku, chłopcze.

- Jest, szefie. To te... jak one się nazywały... sooki. Ścieżki pasterskie, starsze od samej Drogi Tembarong. Hodowcy chelonów wykorzystują je do zapędzania stad na wysokogórskie pastwiska i spędu na miejskie targi każdego roku.

- I biegną aż do Świętych Szczytów ?

- Tak, ale są bardzo stare, nieprzejezdne dla transportera.

- To się dopiero okaże – w oczach Corbeca ponownie pojawił się błysk ożywienia.

Pułkownik klepnął Brina w ramię – Bystry chłopak z ciebie, Milo. Zobaczmy, co z tego wyjdzie.

a

W ten oto sposób Ambulans rozpoczął swą podróż na północ, tocząc się sooką równoległe do koryta skręcającej ku Świętym Szczytom rzeki. Ścieżka była bardzo wąska, wydeptana tysiącami lat spędów chelonów. Chimera podskakiwała ustawicznie, jej gaśienice zahaczały o krawędzie traktu. Co jakiś czas pasażerowie musieli opuszczać wnętrze pojazdu i w

rozświetlanych reflektorami ciemnościach nocy oczyszczać nawierzchnię dróżki z wielkich kamieni i krzewów.

Dezerterzy znajdowali się sto pięćdziesiąt kilometrów na wschód od straży honorowej, poruszając się wolniej od konwoju i cały czas odbijając lekko na północ.

Vamberfeld spał. Śniła musi się mała pasterka, jej chelony i jej przenikliwe oczy.

Rozdział XII – Święte Głęby

„One aching vista, everlasting” – święta Sabbat.

Duchy. Zakute w lodowe pancerze duchy. Niewiarygodnie wielkie olbrzymy majające w oddali.

Przeprawa przez gęste deszczowe lasy kosztowała straż honorową dwa dni. Po drodze doszło do szesnastu mało istotnych zasadzek, urządzonych przez heretyków, którzy pozostawili po sobie zaledwie kilka trupów. Napady kosztowały Gaunta dalszych osiemnastu żołnierzy, jedną zwiadowczą Salamandrę i jedną Chimere.

Lecz teraz, o świcie szóstego dnia podróży, kolumna wynurzyła się spośród wilgotnych mgieł tropikalnego lasu i zaczęła wspinać się na pogórze Świętych Szczytów. Górskie masywy wystrzeliwały w przestworza górując nad ludźmi niczym monumentalne potwory. Konwój znajdował się trzy tysiące metrów nad poziomem morza, ale niektóre z masywów przekraczały dziesięć tysięcy metrów wysokości.

Powietrze było zimne i suche, lekki wiatr omiatał płaskie doliny o nieurodzajnej, złotawej w kolorze glebie. Niewiele można tu było dostrzec roślinności, dominowały krzewy, porosty, mszaki. Temperatura była dodatnia, ale słoneczny skwar przestał już żołnierzom dokuczać. Widoczność sięgała pięćdziesięciu kilometrów, niebo było nieskazitelnie niebieskie, a linie górskich szczytów wyrastających ponad opary deszczowych lasów odcinały się wyraźnie na tle przestworzy.

Sześć tysięcy lat temu dziecko noszące imię Sabbat, córka pasterza chelonów, żyło w tej surowej, ale i pięknej zarazem krainie. Duch Imperatora objawił jej się, kiedy dorosła, nakłaniając do opuszczenia wysokogórskich pastwisk. Zeszła zatem poprzez gęste lasy rozpoczynając podróż, która doprowadziła ją poprzez ogień, stal i ceramit do odległych gwiazd i spektakularnych zwycięstw.

Sto pięć lat później wróciła tu z powrotem, niesiona w lektyce dzierzonyj rękami ośmiu Kosmicznych Marines z zakonu Białych Blizn. Prawdziwa święta jeszcze za życia, odprowadzona z pełnymi honorami do miejsca swego urodzenia przez największych wojowników Imperium.

Gromada gwiazd migoczących słabo na jaśniejącym szybko nieboskłonie została ochrzczona Jej imieniem. Dla uczczenia Jej pamięci macierzysta planeta Sabbat stała się światem świątynnym.

Święta Sabbat. Pasterka z gór Hagii, która poprowadziła jedną z największych i najszybciej zrealizowanych krucjat w historii późnego Imperium. Zdobyła ponad sto zamieszkałych systemów położonych na krańcu Segmentum Pacificus. Świąty Sabbat.

Gaunt stał wyprostowany w przedziale pasażerskim Salamandry, ogarniając wzrokiem majestat Świętych Szczytów, ciesząc się odświeżającym dotykiem wiatru na twarzy. Dwa dni spędzone w dusznym wilgotnym mikroklimacie tropikalnych lasów bardzo go zmęczyły.

Pułkownikkomisarz wspominał biografię świętej opowiedzianą mu przez Slaydo wiele lat temu, w dniach formowania krucjaty. Było to krótko po zwycięstwie na Khulenie. Wszyscy wyżsi rangą oficerowie Gwardii z ekscytacją dyskutowali w kątach o szykowanej wielkiej

operacji militarnej. Wielka Rada Terry zatwierdziła kandydaturę Slaydo do funkcji marszałka wojny właśnie przez wzgląd na Khulen. Był to niezwykle zaszczytny tytuł i prestiżowa nagroda.

Gaunt pamiętał doskonale ten moment, kiedy został wezwany do siedziby wielkiego lorda militanta. Nosił wówczas na uniformie insygnia zwykłego komisarza.

Sala odpraw znajdowała się na pokładzie okrętocyta Borealis, w cylindrycznej bibliotece wyłożonej drewnianymi panelami, liczącej dziewięć pięter i pięćdziesiąt dwa miliony skatalogowanych ksiąg. Gaunt był jednym z dwóch tysięcy czterdziestu oficerów zaproszonych na inauguracyjne spotkanie.

Slaydo – lekko zgarbiony, ale silnie zbudowany mężczyzna mający za sobą sto czterdzieści lat życia – wszedł na mównicę tkwiącą pośrodku biblioteki. Jego ciało okrywał ognienie żółty pancerz osobisty.

- Moi synowie – marszałek wojny mówił bez wzmacniacza, perfekcyjna akustyka biblioteki sprawiała, że jego głos docierał do wszystkich zgromadzonych w sali gości – Wygląda na to, że Wielka Rada Terry doceniła nasze dotychczasowe osiągnięcia.

Przez dziewięć pięter biblioteki przetoczył się owacyjny krzyk wojskowych.

Slaydo czekał cierpliwie, aż aplauz jego podkomendnych ucichnie.

- Otrzymaliśmy własną krucjatę, moi synowie. Świąty Sabbat !

Tym razem ryk tłumu dosłownie ogłuszał. Gaunt pamiętał, że krzyczał wtedy z dziką radością, aż ochrypl. Żaden inny wrzask nie wywarł na nim aaa do tej pory równie piorunującego wrażenia – ani przerażające wycie legionu sług Chaosu ani grzmot stąpających na polu bitwy Tytanów.

- Moi synowie, moi synowie – Slaydo uniósł w górę cybernetyczną dłoń prosząc o ciszę – Pozwólcie mi powiedzieć coś o Świątach Sabbat. Wpierw opowiem wam coś o samej świętej...

Marszałek wojny mówił z prawdziwą pasją zdradzającą, iż otacza świętą Sabbat autentycznym uwielbieniem. Slaydo był religijnym człowiekiem i oddawał hołd wszystkim świętym i męczennikom Imperium, ale właśnie Sabbat upodobał sobie najbardziej.

- Święta była wojowniczką – powiedział Gauntowi Slaydo kilka miesięcy później, podczas inwazji na Formal Prime – Stanowiła ucieleśnienie naszej wiary i ludzkiego ducha doskonalsze od każdego innego wzorca znajdującego się w imperialnej historii. Inspirowała mnie już od chłopięcych lat. Traktuję tę krucjatę jako prywatną sprawę, obowiązek znacznie ważniejszych od wszystkich tych, które do tej pory składała na me barki Wielka Rada Terry. Chcę spłacić tę inspirację, chcę kroczyć jej śladami i ponownie wyzwolić światy, które Ona zdobyła dla Imperium. Czuję się, jakbym był... pielgrzymem, Ibramie.

Ibram Gaunt nigdy tych słów nie zapomniał.

a

Ciągnący się pogórzem szeroki szlak umożliwił przyspieszenie jazdy, przez co konwój nadrabiał czas stracony w lasach, niemniej jednak żołnierze nie potrafili się uwolnić od poczucia bezbronności. Na równinach zmotoryzowana kolumna sprawiała wrażenie wielkiej i groźnej, dominującej nad swym otoczeniem. Tutaj, pośród majestatycznych gór, zmaląła wręcz namacalnie, gubiła się między strzelistymi turniami.

Lesp zdążył już odnotować kilka przypadków choroby wysokogórskiej. Zatrzymanie konwoju lub zmniejszenie prędkości w celu złagodzenia efektów ubocznych podróży na tak wysokim pułapie nie wchodziło rzecz jasna w grę, ale oficer medyczny Curth – trzeźwo myśląca pragmatyczka – zaopatrzyła jadący wraz z konwojem ambulans w spory zapas acetazolamidu. Lesp zaczął rozdawać ułatwiający oddychanie specyfik najgorzej znoszącym podróż żołnierzom.

Na pogórzach nie spotykało się zbyt wielu charakterystycznych elementów otoczenia i każdy taki obiekt stawał się szybko przedmiotem hipnotycznej wręcz fascynacji gwardzistów. Wszyscy gapili się w milczeniu na dostrzegane w oddali kształty, zbliżające się w stronę konwoju. W większości przypadków były to nieforemne, dziwaczne bryły skał będące pozostałością po zamierzonych ruchach lodowców, czasami pojawiały się też kamienne kopce znaczące miejsca czyjegoś pochówku. Wielu Duchów całymi godzinami śledziło wzrokiem te obiekty, oddalające się wolno w tyle kolumny.

W południe piątego dnia podróży temperatura spadła ponownie. Niebo wciąż pozostawało niebieskie, a słońce świeciło bardzo mocno – tak mocno, że kilka osób uległo poparzeniu nawet sobie z tego nie zdając sprawy. Lecz jednocześnie przybrał na sile wiatr, a lśniąca dotąd krystalicznie lodowe czapy gór przestały się błyszczeć w słonecznych promieniach, poszarzały zauważalnie.

- Śnieg – oświadczył podróżujący wraz z Gauntem ayatani Zweil. Kapłan wstał ze swojego miejsca na podłodze Salamandry, wciągnął w płuca wielki haust powietrza – Bez wątplenia to śnieg.

- Niebo wygląda na czyste – zauważył z powątpiewaniem Gaunt.

- Ale góry nie. Mają ciemne szczyty. Do końca dnia możemy się spodziewać śnieżyicy.

Faktycznie zrobiło się chłodniej. Gaunt zapiął swój płaszcz, poprawił naciągnięte na dłonie rękawiczki.

- Jak silna może być ta burza? Możesz to oszacować, ojciec?

- Może popadać sobie leciutko przez kilka godzin. Może sypać szaleńczo i pogrzebać nas tutaj żywcem. Góry są bardzo kapryśne, pułkownikukomisarzu.

- Ona nazywała je Świętymi Głębiniami – zauważył Duch.

- Owszem. Kilka razy użyła tego terminu w swych zapiskach. Pochodziła z wyższych partii gór i dopiero po kilkunastu latach zeszła na równiny. To typowe dla tutejszych górali, spoglądać na świat z góry. W Jej opinii Święte Szczyty przerastały wszystko inne, nawet kosmos i odległe światy.

- Zawsze sądziłem, że to jedna z metafor, oznaczająca wysokość, z której Imperator spogląda na nas wszystkich, trudzących się mozolnie w głębinach wszechświata.

Zweil wyszczerzył zęby bawiąc się jednocześnie swoją brodą.

- Cóż za pusty i pozbawiony piękna kosmos przyszło ci przemierzać, pułkownikukomisarzu. Nic dziwnego, że dla odwrócenia uwagi poświęciłeś się całkowicie żołnierskiemu rzemiosłu.

- A więc to jednak nie metafora.

- W pewnym sensie. Spójrz na ten otaczający nas widok. Oto prawdziwe znaczenie jej słów. Nie zapominaj, że święta była znacznie wrażliwsza na to, jak piękno natury od ciebie lub mnie.

- Sam nie wiem, czy potraktować to jako komplement czy uszczypliwość.

Zweil wskazał dłonią najbliższy górski grzbiet.

- Skoro już przy tym jesteśmy, tutaj nie wolno zapominać o jednej rzeczy.

- O czym?

- Że z takich wysokich szczytów bardzo długo się spada.

a

Kiedy nadszedł zmierzch, konwój zatrzymał się na nocny postój. Obóz rozbito u wylotu jednej z przełęcz, wedle szacunków Mkolla jakieś dwa dni drogi od Świątyni. Żołnierze wzniesli namioty, rozstawili silne warty. Włączono elektryczne grzejniki i chemiczne kochery. Nikt nie pomyślał wcześniej, by zabrać z lasu zapas opału, toteż gwardziści musieli się obejść bez ognisk.

Śnieg zaczął padać tuż przed zmierzchem, syjąc się bezszelestnie z nieba. Kilka minut później jeden z wartowników uznał, że dostrzega na ekranie przenośnego radaru jakieś obiekty. Zanim wezwani przez żołnierza Gaunt i Kleopas zdążyli dotrzeć do stanowiska obserwatora, śnieżna zadymka przybrała na sile i urządzenie straciło namiar.

Gwardzista pewien był, że widział sygnatury pojazdów. Mnóstwa pojazdów zmierzających na północ, znajdujących się dwadzieścia kilometrów za ostatnimi wozami konwoju.

a

- Cofnij się ! Cofnij się, teraz ! - krzyknął Brin Milo uskakując jednocześnie przed strumieniem błota wyrzucanym spod gąsienic Chimery. Turbiny transportera wyły przeraźliwie, wóz kołysał się z boku na bok próbując ruszyć z miejsca.

- Wyłącz silnik ! Zanim się coś spali ! - wrzasnął chrapliwie zdyszany Dorden. Turbiny jęknęły przenikliwie, ucichły. Na pasterskim szlaku rozległy się ponownie trele ptaków gnieźdzących się w okolicznych krzewach i w gałęziach karłowatych drzewek vipirium.

Greer wyskoczył z kabiny transportera i obszedł wóz chcąc sprawdzić, w czym tkwił problem. Rwący wartko potok spływający tuż obok sooki podmył pobocze szlaku i ciężka Chimera zsunęła się pod dużym kątem w wodę.

Ambulans od dwóch dni toczył się pasterską dróżką i nie był to pierwszy przestój wywołany trudnym terenem, z jakim przyszło się w tym czasie żołnierzom zmagać. Po raz pierwszy nie byli za to w stanie sobie poradzić.

Szlak biegł na północ równoległe do świętej rzeki i z każdym kilometrem stawał się bardziej stromy. W otaczających go lasach nie sposób było dostrzec najmniejszego śladu ludzkiej obecności. Wykorzystując wiedzę Sanian Corbec tak zaplanował trasę, by omijała najgęściejsze partie deszczowych lasów. Transporter piął się w górę pomiędzy zielonymi zagajnikami, pełnymi małych rzeczek, niewielkich wodospadów i katarakt.

Za każdym razem, kiedy wyjeżdżali ponad kolejny zagajnik, spoglądając w tył dostrzegali wielką zielonożółtą łatę basenu rzeki rozciągającą się daleko w dole.

- Może by znaleźć jakiś pień i podnieść wóz jak za pomocą dźwigni ? – zasugerował Bragg.

Greer spojrział na wielkiego Tanithijczyka, potem na Chimere, potem znowu na Ducha.

- Nawet ty nie dasz rady – skwitował pomysł.

- Czy to działa ? - zapytał Corbec wskazując palcem elektryczną zwijarkę podwieszoną do przedniego zderzaka Chimery.

- Żartujesz ? Pewnie, że nie.

- Spróbujmy napchać kamieni pod gąsienicę, ile tylko się da, potem Greer spróbuje znowu.

Wszyscy wzięli się za znoszenie dużych brył skały i wyciągniętych z potoku otoczków, Derin i Daur zaczęli upychać je pod sekcją trakcyjną Chimery. Kiedy robota dobiegła końca, Greer włączył silnik pojazdu. Gąsienice zagrzechotały na kamieniach, rozległ się trzask pękającej skały i wóz wytoczył się z potoku. Zmęczeni podróżni pozwolili sobie na słaby okrzyk tryumfu.

- Wsiadać – rozkazał Corbec.

- A gdzie Vamberfeld ? - zapytał Dorden. Verghastyta zamknął się w sobie od czasu incydentu w Mukrecie, praktycznie z nikim nie rozmawiał.

- Był tu przed momentem – zdziwił się Daur.

- Poszukam go – zaoferował się Milo.

- Nie, Brinny – pokręcił głową Bragg – Ja to zrobię.

Kiedy reszta żołnierzy wsiadała do Chimery, Bragg prześlizgnął się między rosnącymi gęsto drzewami wchodząc na niewielką polanę. Ptaki śpiewały głośno wśród gałęzi, przez które sączyły się promienie słonecznego światła.

- Vambs ? Gdzieś ty polazł, Vambs ? - Bragg samorzutnie otoczył opieką aaa

Vamberfelda od chwili nieszczęśliwego wypadku nad rzeką. Pułkownik prosił go co prawda o to, by miał na oku verghastyckiego Ducha, ale Bragg nie potrzebował polecenia dowódcy. Tanithijski olbrzym był niezwykle łagodnym, serdecznym człowiekiem i widok cierpiącego w samotności brata Ducha budził w nim głęboko skrywaną rozpacz.

- Vamsb ?! Wszyscy na ciebie czekają !

a

Za polanką rozciągało się szerokie pastwisko, upstrzone łąkami różnobarwnych kwiatów i bryłami skał. W jednym z rogów łąki, opodal linii niskich drzew, Bragg dostrzegł zrujnowany, stary pasterski szałas. Ruszył w jego stronę nawołując Vamberfelda.

a

Na pastwisko zerowało sporo chelonów, Vamberfeld z miejsca to zauważył. Nie były jeszcze dość duże, by opłacało się pędzić je na targi zwierząt, ale stanowiły załazek dobrego stada. Dorosłe samice pochrząkiwały moszcząc trąbami sterty liści, w których za kilka tygodni miały złożyć jaja.

Dziewczyna siedziała ze skrzyżowanymi nogami przed wejściem do swego szałasu. Na widok nadchodzącego Vamberfelda zerwała się z miejsca szybkim czujnym ruchem.

- Zaczekaj, zaczekaj proszę – zawołał. Dźwięk własnego głosu wydał mu się groteskowo obcy. Jego język wciąż był opuchnięty po przypadkowym ugryzieniu w czasie spazmatycznych konwulsji i utrudniał mówienie.

Dziewczyna znikła w szałasie. Vamberfeld wszedł do środka, ostrożnie, powoli.

Chatka była pusta, na jej klepisko leżało kilka pasterskich kijów i stert zaschłych liści. Przez chwilę mężczyzna sądził, że wieśniaczka ukryła się gdzieś, ale szałas był na to zbyt mały, a w jego tylnej części nie było żadnej dziury ani rozsuniętych gałęzi umożliwiających wyslizgnięcie się na zewnątrz. Para starych kijów leżała za progiem szałasu, a na niewielkim haczyku przy wejściu tkwiła zaokrąglona rączka złamanej drewnianej laski. Była niebywale stara, pokryta czarnym nalotem. Gwardzista zdjął ją z haczyka, zaczął obracać w dłoniach.

- Vamsb ? Vamsb ?

Dopiero po chwili uświadomił sobie, że ktoś wymawia jego nazwisko. Wyszedł z szałasu stając w promieniach słońca.

- Hej, tutaj jesteś – odetchnął z ulgą Bragg – Co tam robiłeś ?

- Tylko... tylko się rozglądałem – odparł Vamberfeld – Była tam dziewczynka, ale ona... – urwał w pół zdania uświadamiając sobie, że pastwisko jest całkowicie puste. Nie było na nim żadnych chelonów, żadnych zbudowanych z liści gniazd. Łąka zarastała wysokim zielskiem.

- Dziewczynka ?

- Nie, nic. Nie mówmy o tym.

- To chodź, musimy jechać dalej.

Wrócili na pasterski szlak i wsiedli do Chimery. Vamberfeld czuł się strasznie zmieszany i zaniepokojony. Dziewczyna, stado zwierząt... widział to na własne oczy, ale przecież...

Dopiero kiedy transporter ruszył z miejsca, Verghastyta uświadomił sobie, że wciąż ścisną w dłoni odłamany fragment laski. Nie wiedzieć czemu zaatakowała go nagle fala wstydu i poczucia winy. Lecz było już zbyt późno na odniesienie laski z powrotem do szałasu.

a

Pomimo szaleńczych wysiłków Any Curth kolejny z ciężko rannych pacjentów zmarł. Kolea pokiwał tylko głową, kiedy lekarka przyszła złożyć mu raport, kazał jej zrobić wpis do

dziennika misji. Nad Bhavnagerem zapadała noc – czwarta od chwili wyjazdu straży honorowej. Jak dotąd nie udało się nawiązać kontaktu radiowego z konwojem, Kolea zakładał jednak, że Gaunt dotarł już bezpiecznie w wyższe partie Świętych Szczytów.

Sierżant wrócił właśnie z inspekcji miasteczka i nie ukrywał swego zadowolenia ze stanu umocnień. Dwie pozostawione mu przez Gaunta Hydry pilnowały wylotu drogi, którą od strony Mukretu przyjechali lojaliści. Czołgi stały na rynku, czekając na ewentualne rozkazy, tylko Błazen Śmierci tkwił w ruinach opodal świątyni. Północny i południowy kraniec Bhavnageru był strzeżony przez ukrytych w okopach gwardzistów. Całą posiadaną amunicję rozdano, by uniknąć ryzyka zniszczenia przez wroga arsenału, a amunicyjne Chimery pełniły teraz rolę mobilnego wsparcia piechoty. Conquerory wykorzystały swe spychacze do spiętrzenia gruzu na dojazdowych drogach do miasteczka drastycznie ograniczając nieprzyjacielowi potencjalne kierunki natarcia. Kolea liczył się z faktem, iż może paść ofiarą ataku ze strony przeważającego liczebnie przeciwnika, ale zrobił wszystko, co w jego aa mocy, by przechylić szalę zwycięstwa na swoją stronę.

- Kiedy ostatni raz spałaś ? – zapytał Anę wskazując dłonią puste krzesło. Znajdowali się w niewielkim pokoju na parterze urzędu miejskiego, zaadoptowanym przez Koleę na potrzeby centrum dowodzenia. W jednym z kątów tkwił ciężki radiokomunikator dalekiego zasięgu, trzeszczący cicho, w innym na niewielkim stoliku leżały rozłożone mapy. Przez obłożone workami z piaskiem okna sączyło się blade światło zachodzącego słońca.

- Nie pamiętam – odpowiedziała Curth siadając i zdejmując buty. Rozmasowała ze skrzywioną miną stopę i dopiero wtedy uświadomiła sobie, co właściwie robi.

- Przepraszam, to było niegrzeczne.

Sierżant wyszczerzył zęby.

- Nic nie szkodzi.

Wyciągnęła nogi spoglądając leniwie na zrzuczone buty. Obcasy miała zdarte, nadawały się do wymiany.

- Gak ! Popatrz tylko na mnie ! I pomyśleć, że kiedyś byłam wysoko postawioną osobistością.

Kolea nalał do dwóch kieliszków sacry z butelki sprezentowanej mu przez Varla, jeden z nich podał Curth.

- Tu masz nade mną przewagę. Mnie nikt nigdy nie považał.

- Daj spokój – uśmiechnęła się ujmując w palce kieliszek – Dziękuję. Byłeś przecież przodownikiem pracy, szanowanym górnikiem, głową rodziny...

- Cóż...

- Gak ! – wykrztusiła nagle, z ustami pełnymi likieru. Jej piękna twarz w kształcie serca spoważniała nieoczekiwanie – Przepraszam, Gol, naprawdę przepraszam.

- Za co ?

- Za te słowa o rodzinie... to było okrutne z mojej strony...

- Odpręż się, wszystko w porządku. Tak sobie właśnie pomyślałem, że wojna w zadziwiający sposób zrównuje ze sobą ludzi. Gdyby nie wojna, nigdy byśmy się nie poznali. Nigdy nawet nie zamienilibyśmy ze sobą słowa. Nie wiedzielibyśmy, w którym sektorze metropolii oboje pracujemy. A już na pewno nie pilibyśmy razem alkoholu wymieniając się przy tym pod stołem butami.

- Czyżbyś twierdził, że byłam wtedy snobką ? – spytała ponownie się uśmiechając.

- Twierdzą, że byłem wtedy nisko urodzonym plebejuszem, jednym z tysięcy zwykłych robotli. A ty świetnym chirurgiem pracującym w ekskluzywnym centrum medycznym. Dobra edukacja, odpowiednie kręgi społeczne.

- Kiedy tak mówisz, zaczynam się czuć jak rozkapryszona bogaczka.

- Nie to miałem na myśli. No, popatrz sama, kim byliśmy wtedy, a kim jesteśmy teraz.

Wojna robi z ludźmi przedziwne rzeczy.

- Owszem – przyznała, skosztowała odrobinę alkoholu – Ale i tak nie byłam snobką.
Sierżant roześmiał się krótko.
- A ilu mieszkańców dzielnic robotniczych znałaś dostatecznie blisko, by zwracać się do nich po imieniu ?
Curth zastanowiła się na chwilę.
- Znam ich teraz – odparła po namyśle – i tylko to się liczy. Tylko to.
Duch podniósł kieliszek w geście toastu, kobieta odpowiedziała mu tym samym.
- Za Vervunhive – powiedział Kolea.
- Za Vervunhive i wszystkich jej mieszkańców – odparła – Gak, co to takiego ?
- Sacra. Ulubiona trucizna Tanithijczyków.
- Acha.
- Siedzieli przez chwilę w milczeniu, wsłuchując się w odgłosy rozmów i okazjonalne dźwięki komend dobiegające z zewnątrz.
- Powinnam wrócić do lazaretu – odezwała się Curth.
- Potrzebujesz odpoczynku, Ana. Mtane poradzi sobie świetnie przez te kilka godzin.
- Czy to rozkaz, sierżancie Kolea ?
- Owszem. Coraz bardziej przypada mi do gustu ich wydawanie.
- Czy... czy ciągle o nich myślisz ? – spytała znienacka.
- O kim ?
- O żonie. Dzieciach. Przepraszam, jeśli cię tym pytaniem zraniłam.
- W porządku. Oczywiście, że o nich myślę. Bardzo często, zwłaszcza w ciągu ostatnich kilku dni.
- Dlaczego ?
Mężczyzna westchnął ciężko, wstał z krzesła.
- Stało się coś niewiarygodnego. Nikomu jeszcze o tym nie mówiłem. Nie wiem nawet, co takiego powinienem w tej kwestii zrobić.
- Jestem szczerze zaintrygowana – lekarka pochyliła się do przodu i ujęła oburącz kieliszek.
- Moja kochana Livy i obaj synkowie... zginęli w ruinach Vervunhive. Oplakałem ich szczerze. Pomściłem wiele razy w walce. Sądzę, że to właśnie ta aa żądza zemsty trzymała mnie tak długo przy życiu. Ale teraz prawda wyszła na jaw... moje dzieci nie zginęły.
- Nie ? Jakim cudem ? Skąd to wiesz ?
- A to najbardziej niewiarygodny element tej historii. One są tutaj.
Curth rozejrzała się wokół z wyrazem niezrozumienia w oczach.
- Nie, nie w tym pokoju. Mam też nadzieję, że już nie na planecie. Ale one są z Duchami. Były z Duchami od Vervunhive. Po prostu nie miałem o tym pojęcia.
- Jakim cudem ? – powtórzyła Curth.
- Tona Criid. Znasz ją ?
- Znam Tonę.
- Ma dwójkę dzieci.
- Wiem. Przebywają z personelem cywilnym. Osobiście je szczepiłam. Zdrowa para, pełna... och, mój słodki Boże, Gol...
- To nie jej dzieci. Nie biologiczne. Niech ją Bóg wynagrodzi za to, co zrobiła. Znalazła dzieci w strefie walki i zaopiekowała się nimi. Strzegła przez całą wojnę i zabrała ze sobą, kiedy zaciągała się do Gwardii. Traktują ją jak matkę, bez zastrzeżeń i z miłością. Wiesz, są takie małe, takie malutkie. A Caffran jest dla nich niczym prawdziwy ojciec.
- Curth milczała przez dłuższą chwilę nie mogąc z siebie nic wykrztusić.
- Skąd się o tym dowiedziałeś ? – zapytała w końcu cicho.
- Przez czysty przypadek. Ona nosi przy sobie ich zdjęcia. Popytałem tu i ówdzie, bardzo ostrożnie, i tak poznałem całą historię. Tona Criid uratowała moje dzieci przed niechybną

śmiercią. Teraz towarzyszą jej w służbach cywilnych. Cena, jaką muszę zapłacić za ten cud to świadomość... że dla mnie są już na zawsze stracone.

- Musisz z nią porozmawiać, powiedzieć jej prawdę !
- I co jej powiem ? Dzieci przeżyły tak straszne chwile, że nie mogę zniecka zrujnować im nowego życia !

Potrząsając głową kobieta wyciągnęła w stronę sierżanta kieliszek prosząc go o dolanie alkoholu.

- Musisz coś zrobić... one są twoje.
- Napełnił jej naczynie sacrą.
- Są teraz szczęśliwe i są bezpieczne. Już sama wiadomość o tym, że żyją omal nie pozbawiła mnie zdrowych zmysłów. Teraz uciekłem w końcu od bólu. Na początku myślałem, że sobie z tym nie poradzę, ale już sobie wszystko poukładałem w głowie. To niesamowita ulga.

Curth zamyśliła się głęboko.

- Mam nadzieję, że to pozostanie między nami.
- Oczywiście, tajemnica lekarska. Od lat pełnię rolę ludzkiego powiernika.
- Proszę, abyś nie wspominała o tym nawet Dordenowi. To wspaniały facet, ale zarazem jeden z tych, którzy lubią brać sprawy w swoje ręce...

- Nikomu nie pisnę ani słowa – zaczęła lekarka, ale jej słowa przerwał pisk komunikatora. Kolea wyszedł szybko na zewnątrz, kobieta schyliła się wciągając pośpiesznie buty.

Ulicą nadbiegał Mkvenger, szef grupy zwiadowczej oddanej do dyspozycji Kolei.

- Obserwatorzy na południowych stanowiskach zarejestrowali ruch na skanerach. Spory ruch. W naszą stronę jedzie kolumna blisko stu pojazdów pancernych.

- Kurwa mać ! Jak są daleko ?!
- Dwadzieścia kilometrów.
- A... psiarew, muszę zadać to pytanie... to chyba jednak nie nasi ?

Na twarzy Mkvengera pojawił się jeden z jego osławionych lodowatych uśmiechów.

- Żadnych szans, sir.
- Przygotujcie się – polecił zwiadowcy Kolea, po czym włączył główny kanał komunikacyjny – Dziewiątka do wszystkich drużyn. Zgłaszać się.
- Szóstka do dziewiątki – odezwał się Varl.
- Osiemnastka do dziewiątki – Haller.
- Zgłasza się Woll, sierżancie.
- Wszystkie jednostki, gotowość bojowa. Odbezpieczyć broń. Rozmieścić czołgi na południowych peryferiach, według schematu alfa cztery. Nadjeżdżają Infardi. Powtarzam, nadjeżdżają Infardi.

Rozdział XIII – Ershuli wśród śniegów

„Więcej śnieżnych płatków spada każdego dnia na Święte Szczyty niżli mi jeszcze planet pozostało do zdobycia ” – święta Sabbat, Biographica Hagia.

Konwój znajdował się właśnie w połowie przełęczy, kiedy z nieba spadły pierwsze pociski nieprzyjaciela.

Była dziesiąta rano siódmego dnia podróży. Śnieg padał przez całą noc i warstwa białego puchu sięgała czterdziestu centymetrów, w niektórych zaś miejscach dochodziła nawet do metra. Śnieżycą ustała tuż przed świtem, kiedy Tanithijczycy i Pardusycy wciąż jeszcze dygotali z zimna w swych namiotach, temperatura spadła do dziewięciu stopni poniżej zera, odsłonięte elementy metalu pokryła warstwa lodu.

Słońce weszło ponad szczyty gór, ale jego jaskrawe promienie w niczym nie złagodziły przenikliwego zimna. Ludzie poruszali się ospale, niechętnie, przemarznięci do szpiku kości. Wrzucali plecaki na paki ciężarówek i wsiadali opornie na oblodzone metalowe ławeczki.

Kucharze rozdali gorącą zupę, a Feygor ugotował oficerom wielki dzban kawy. Gaunt wlał do każdego kubka odrobinę amasecu z własnych zapasów i nikt z pijących nie zaprotestował, nawet Hark.

Większość żołnierzy dogrzewała się przenośnymi kocherami i opatulą w rozdane na początku przeprawy przez góry kożuchy. Pracownicy Munitorium nie zlekceważyli kapryśnego klimatu Świętych Szczytów i zabrali ze sobą odpowiedni zapas ciepłych ubrań, ale to Duchy miały przy sobie kartę atutową. Ich kamuflujące płaszcze okazały się wyśmienitym elementem zimowego ubioru, doskonale chroniącym przez niską temperaturą. Zawinięci szczelnie w grube kożuchy Pardusyci spoglądali na płaszcze Duchów z zauważalną zazdrością.

Obóz został zwinięty o ósmej czterdzieści, kolumna ruszyła wolno przez zaśnieżone góry. Otoczenie było upiornie monotonne, odbijające się od śniegu promienie słońca raziły oczy ludzi tak silnie, że krótko po ruszeniu w drogę wydano rozkaz założenia przyciemnionych okularów.

Na radarach nie było śladu po tajemniczych fantomach zarejestrowanych w nocy. Konwój poruszał się z prędkością dziesięciu kilometrów na godzinę, tocząc się po szlaku i ślizgając ustawicznie.

Pierwszych kilka pocisków wyrzuciło w powietrze wielkie słupy śniegu przemieszanego z kawałkami skał. Jadący w przedniej części konwoju Gaunt usłyszał charakterystyczny świst na ułamek sekundy przed eksplozjami. Krzyknął do kierowcy nakazując mu zawrócić.

Nikt nie nawiązał wizualnego kontaktu z nieprzyjacielem, a radary nadal niczego nie zarejestrowały, ale Kleopas już wcześniej zastrzegł, że z powodu ekstremalnie niskiej temperatury urządzenia mogły przekłamywać lub w ogóle nie działać. Istniała też możliwość oglupienia radarów przez odbijające się w śnieżnej pokrywie impulsy, zmieniające raptownie położenie i liczebność, co doprowadzało do przeciążenia skanerów.

Salamandra Gaunta ruszyła wzdłuż konwoju pędząc ku jego tylnej straży, spod gąsienic transportera tryskały bryły śniegu. Pułkownikkomisarz dostrzegł ciemne punkty spadające z przestworzy, kolejne pociski rozerwały się pomiędzy pojazdami kolumny. Jeden z siodłowych ciągników został trafiony, eksplodował syjąc na wszystkie strony szrapnelami i kawałkami płonącej blachy.

- Jedyńka do czwórki !
- Czwórka do jedynki, słucham.
- Mkolll, utrzymuj dotychczasową prędkość, wiejcie do przodu.

Mkolll jechał w pierwszej Salamandrze, na samym początku kolumny.

- Czwórka, potwierdzam. Bez odbioru.

Gaunt przeskoczył na kanał zarezerwowany dla Pardusytów, wymienił kilka krótkich zdań z Kleopasem. Cztery czołgi wyłamały się z szyku, zawróciły w przeciwną stronę – Serce Zniszczenia, Lew Pardui, Zmów Modlitwę i Awanturnik.

- Zatrzymaj się ! – polecił kierowcy Gaunt. Z ust pułkownikkomisarza buchały kłęby pary. Kiedy lekki transporter zatrzymał się z jękiem silnika, dowódca Duchów spojrział w stronę ayataniego Zweila. Wiekowy kapłan jechał w Salamandrze Gaunta wraz z komisarzem Harkiem i zwiadowcą Boninem.

- Nie możesz dalej z nami jechać, ojczu. Bonin, pomóż wysiąść ayataniemu i odprowadź go do najbliższej ciężarówki.

- Proszę się o mnie nie martwić, pułkownikkomisarzu – uśmiechnął się Zweil – Myślę, że jednak zostanę z wami.

- Ale...

- Mówiąc szczerze, nawet siłą mnie stąd nie wyciągniecie.
- Cóż, niech i tak będzie.

W powietrzu gwizdnęły kolejne pociski. Jedna z wlokących się w tyle aaa amunicyjnych Chimer została trafiona, ale jakimś cudem nie wyleciała w powietrze. Wiatr rozwiał kłęby dymu odsłaniając sunący dalej do przodu transporter.

- Sygnał na radarze – oświadczył siedzący w głębi przedziału pasażerskiego Hark.
- Rozmiar ? Liczebność ?
- Dziewięć obiektów, szybko się zbliżają.

- Ruszaj ! – rzucił w stronę kierowcy Gaunt. Salamandra potoczyła się do przodu, w ślad za nią sunęły trzy Conquerory i Executioner. Nieprzyjaciel był już widoczny gołym okiem, wjeżdżając na przełęcz. Cztery sześciokołowe lekkie czołgi SteG 4, trzy czołgi średnie AT70 Reaver i dwie samobieżne haubice Usurper. Ich zielony kamuflaż odcinał się wyraźnie na tle nieskazitelnej bieli śniegu.

Pędzące na opiętych łańcuchami oponach SteGi zaczęły strzelać z czterdziestomilimetrowych działek, ich pociski śmignęły ponad Salamandrą. Gaunt pochwyił w uszy głuche stęknienia stuściomilimetrowek Reaverów i grzmot dział Usurperów. Śnieg wokół lojalistycznych pojazdów eksplodował gradem odłamków.

- Pancernownica ! – krzyknął do Bonina Gaunt. Od chwili szturm na Bhavnager pułkownikomisarz zawsze trzymał w swym transporterze naładowaną wyrzutnię. Zwiadowca zdjął broń z metalowych zaczepów na burcie pojazdu.

- Podjedź bliżej ! – zażądał od kierowcy Gaunt.

Jeden z AT70 zdołał trafić Zmów Modlitwę, ale jego pocisk rozerwał się nieszkodliwie na przednim panczeru Conquerora. Serce Zniszczenia i Lew Pardui wystrzeliły niemal jednocześnie. Kleopas chybił, za to Lew rozsadził celnym trafieniem jeden ze SteGów.

Gaunt zarzucił pancernownicę na ramię, spróbował wymierzyć do zbliżającego się szybko SteGa. Heretycki czołg strzelał cały czas z działka, ale nie potrafił odłożyć odpowiedniej poprawki do poruszającego się bez przerwy transportera.

- Uszy !

Gaunt nacisnął na spust.

Rakieta pomknęła szerokim łukiem gdzieś w głąb przełęcz.

- Strzela pan jeszcze gorzej od Bragga ! – wrzasnął Bonin.

Zweil roześmiał się mimowolnie.

- Ładuj ! – krzyknął zirytowany Gaunt.

- Gotowe !

Świat zawirował zniecka przed oczami pułkownikakomisarza – niebo, śnieg i górskie szczyty zlały się w jedno. Gaunt runął twarzą w biały puch, zaczął się w nim turlać.

Wystrzelony ze SteGa pocisk trafił w burtę Salamandry i omal nie przewrócił lekkiego wozu na bok. Chociaż transporter opadł z powrotem na gąsienice, zaskoczony utratą równowagi Gaunt wyleciał z przedziału pasażerskiego. Uszkodzona Salamandra zahamowała gwałtownie.

SteG jeszcze przyśpieszył, lufa jego wieżyczki wycelowała w nieruchomy transporter.

Gaunt podniósł się na nogi plując śniegiem, rozejrzał się wokół. Tuba pancernownicy wystawała ze śniegu jakieś dziesięć metrów dalej. Oficer skoczył w jej stronę, wyszarpnął broń z zasy, rozpaczliwymi ruchami rąk zaczął oczyszczać ze śniegu lufę i mechanizm spustowy.

Zarzucając wyrzutnię na ramię wycelował z niej w czołg, modląc się jednocześnie w duchu, by pancernownica nie uległa w wypadku uszkodzeniu. Jeśli tak faktycznie się stało, mogła eksplodować mu w rękach.

Pędzący szybko SteG zbliżył się do Salamandry na krytycznie bliski dystans. Gaunt widział Harka wychylającego się z kabiny transportera, strzelającego desperacko w kierunku nieprzyjacielskiego czołgu ze swego plazmowego pistoletu.

Duch naprowadził nitki celownika na SteGa, rozstawił szerzej nogi przygotowując się na odrzut broni.

Rebeliancki czołg eksplodował, rozleciał się na kawałki.

Gaunt nie zdążył nacisnąć spustu.

Serce Zniszczenia przetoczyło się obok pułkownikakomisarza, obsypało go przemielonym gąsienicami śniegiem. Z lufy Conquerora unosił się dym.

- Wszystko w porządku, sir ? – w słuchawce komunikatora rozległ się głos Kleopasa.

- Świetnie ! – zapewnił Gaunt biegnąc w stronę Salamandry. Hark pomógł mu dostać się na pokład transportera.

- Wszyscy wciąż żyją ?! – warknął tanithijski dowódca.

- Twój zwiadowca oberwał – odparł komisarz wskazując leżącego na podłodze Bonina.

Zweil uśmiechnął się szeroko, rozłożył ręce.

- Mnie nic się nie stało.

- Możesz się zająć Boninem, ojcze ? – słysząc słowa Ducha ayatani zanurkował żwawo w głąb transportera, pochylając się nad leżącym nieruchomo zwiadowcą.

- Jedź ! – ryknął Gaunt.

- Ssir ? – przerażony kierowca obejrzał się przez ramię. Hark obrócił się i wycelował z plazmowego pistoletu prosto w jego twarz.

- W imię Imperatora, gaz do dechy ! – krzyknął.

Salamandra runęła do przodu. Ściskając rękami krawędź burty Gaunt obrzucił wzrokiem pole bitwy.

Serce Zniszczenia i Lew Pardui rozprawiły się z ostatnimi SteGami, Awanturnik wysadził w powietrze Reavera. Zmów Modlitwę został dwukrotnie trafiony pociskami Usurperów i znieruchomiał w miejscu. Conqueror wyglądał na pozornie nietkniętego, ale spod kłapy jego silnika buchały kłęby dymu.

Kiedy Salamandra Gaunta zawracała szerokim łukiem, Awanturnik wystrzelił z plazmowego działa i zdetonował zapas amunicji przewożonej na pokładzie Usurpera, kawałki haubicy poleciały na kilkaset metrów we wszystkich kierunkach.

Pułkownikkomisarz zarzucił pancernownicę na ramię, wypalił z niej bez dłuższego celowania. Rakieta trafiła w bliższy AT70, rozerwała się na pancernej osłonie gąsienicy. Czołg przyhamował gwałtownie, zaczął obracać wieżyczkę, wypalił z działa. Pocisk rozerwał się za Salamandrą.

- Załaduj ! – wrzasnął Gaunt.

- Ładuję ! – odkrzyknął Hark i pułkownikkomisarz poczuł ciężar pakowanej do tuby rakiety.

Wymierzył w Reavera i pociągnął za spust. Ciągnąc za sobą smugę dymu raketowy pocisk grzmotnął w podstawę wieżyczki AT70. Wewnętrzna eksplozja wyrwała wszystkie włazy czołgu, chwilę potem drugi wybuch urwał lufę armaty.

Zweil zagwizdał na palcach.

- Ładuj !

- Ładuję !

Bitwa dobiegła w międzyczasie końca. Serce Zniszczenia i Lew Pardui niemal jednocześnie trafiły drugiego Usurpera niszcząc haubicę doszczętnie, a Zmów Modlitwę ożył zniecka z warkotem silnika i wysadził w powietrze ostatniego Reavera. Płonące wraki, buchające kłębami dymu, znaczyły nieskazitelną biel przełęcz.

Conqueror Kleopasa zawrócił w miejscu, podjechał z łoskotem gąsienic w stronę Salamandry. Major wychylił się z wieżyczki, zdjął z głowy swój hełmofon, coś tam przy nim przez chwilę robił, a potem rzucił Gauntowi jakiś mały przedmiot.

Pułkownikkomisarz chwycił zwinnie ciśnięty mu obiekt. Był to emblemat pardusyckich czołgistów, wykonany misternie ze srebra.

- Noś dumnie te insygnia, łowco czołgów ! – roześmiał się Kleopas. Jego czołg przyśpieszył, odjechał w stronę konwoju.

a

Kolea spoglądał przez lornetkę na wyjeżdżające z owocowych sadów Bhavnageru pojazdy nieprzyjaciela. Tak wiele wozów, tak wielu żołnierzy piechoty. Pomimo umocnień i solidnie przygotowanych stref ostrzału obrońcy Bhavnageru nie mogli się łudzić nadzieją na zatrzymanie wroga. To była horda, prawdziwa horda, z mnóstwem czołgów.

- Dziewiątka do wszystkich drużyn. Czekać na mój rozkaz. Czekać.

Legion Infardich ruszył na miasto, rozwinął szyki. Kolea wstrzymał oddech. Choć wiedział już, że zginie, miał nadzieję drogo sprzedać skórę.

- Czekać, czekać...

Nie oddając ani jednego strzał heretycy rozdzielili się na dwie kolumny, ominęli z obu stron Bhavnager. Kierowali się w stronę deszczowych lasów, trzydzieści minut później ostatni z nich znikli z pola widzenia gwardzistów.

- Skąd ta smutna mina ? – zapytała Curth – Zostawili nas w spokoju.

- Poszli za Gauntem – odpowiedział wolno Kolea.

Nie odrzekła nic więcej. Wiedziała, że sierżant ma rację.

a

Wyglądało to na powtórkę z Rozdroży Nursera. Przejazd okazał się zablokowany. Corbec spoglądał przez okular lornety na długą kolumnę pomalowanych na zielono czołgów i samochodów ciężarowych, sunących na północ szerokim suchym traktem. Prawdziwy legion.

Odczołgał się od krawędzi klifu, podniósł na nogi. Przez krótką chwilę walczył z zawrotami głowy. Lodowate, rozrzedzone powietrze wyczyniało dziwne rzeczy z organizmem pułkownika.

Ześlizgnął się w dół wzniesienia i wszedł na sookę, pośrodku której parkował "Ambulans". Zawinięci w płaszcze członkowie wyprawy spoglądali na niego wyczekująco.

- Możemy o tym zapomnieć – machnął ręką zrezygnowany Corbec – W stronę północy szlakiem ciągnie cholernie wielka kolumna zmotoryzowana.

- To co robimy ? - zapytał Greer.

Ekspedycja posuwała się przez wysokogórskie pastwiska w całkiem niezłym tempie, wysłużona Chimera sprawowała się znacznie lepiej w zimnym górskim mikroklimacie. Godzinę wcześniej transporter wyjechał ponad linię ostatnich drzew i teraz tkwił na stromym wiatrołomie. Spod rzadkiej warstwy ziemi wystawały bryły różowego bazaltu i bladopomarańczowego halitu, wśród roślinności królowały niepodzielnie mchy i porosty. Pasterski trakt wił się pomiędzy masywnymi blokami skał omijając głębokie rozpadliny i uskoki. Wiatr zawodził przenikliwie, ciął lodowatymi uderzeniami. Nad głowami wędrowców majaczyły wierzchołki Świętych Szczytów, rozmazane i szarobure, wedle słów Sanian przysłonięte burzowymi chmurami.

Pochylili się nad mapami rozpatrując dostępne opcje. Corbec wyczuwał narastającą frustrację w członkach grupy, szczególnie w Daurze i Dordenie, którzy jako jedyni oprócz samego pułkownika nękani byli poczuciem niezwyklej wagi misji.

- A to tutaj ? - Daur przytknął zziębnięty palec do ekranu elektronicznego mapnika – Co z tym szlakiem ? Skręca na wschód jakieś sześć kilometrów powyżej naszej pozycji.

- Wszyscy przesuwali wzrokiem po siatce sook wijących się przez góry niczym ich żyły.
- Być może – mruknął Milo.
- Sanian potrząsnęła przecząco głową.
- To nieaktualna mapa. Te sooki są stare, nieprzejezdne od lat. Pasterze wolą wypasać stada na zachodnich halach.
 - Nie damy rady oczyścić sobie przejazdu ?
 - Nie sądzę. Ta sekcja na przykład osunęła się dawno temu w przepaść.
 - Niech to szlag – wymamrotał Daur.
 - Istnieje pewna droga, ale jej nasz pojazd nie pokona.
 - To samo mówiłaś o sookach.
 - Tym razem możecie mi wierzyć na słowo. Tutaj. Drabina Niebios.

a

Pięć tysięcy kilometrów wyżej i sześćdziesiąt w linii prostej na północny zachód, kolumna straży honorowej pięła się ociążale w górę zaśniewzonego traktu. Zapadł już zmierzch siódmego dnia podróży, ale konwój wciąż jechał rozświetlając ciemności blaskiem reflektorów. Śnieżne tumany zasypywały szyby wozów, oblepiały lampy.

Ostatnie odczyty skanerów wskazywały na obecność ogromnego zgrupowania nieprzyjaciela odległego o zaledwie pół dnia drogi od straży honorowej.

Trakt, którym przemieszczała się gwardyjska kolumna, zwany Szlakiem Pielgrzymów, okazał się wyjątkowo zdradziecki. Stroma droga miała w najszerszym miejscu dwadzieścia metrów. Po lewej jej stronie w przestworza wystrzeliwały strome górskie ściany, po prawej rozciągała się niewidoczna w mroku przepaści sięgającej sześciuset metrów głębokości.

Kierowcy mieli nie lada kłopot z panowaniem nad pojazdami. Wszyscy jechali z napiętymi jak postronki nerwami, w każdej chwili oczekując błędnego ruchu kierownicy i wpadnięcia w otchłań. Zawsze istniało ryzyko, że wóz obsunie się na niestabilnej warstwie śniegu albo wpadnie w poślizg. Kiedy opony ciężarówek buksowały złowieszczo, siedzący na pakach gwardziści szykowali się w myślach na najgorsze – przerażający lot w przepaść.

- Musimy się zatrzymać, pułkownikukomisarzu ! - nalegał przez radio major Kleopas.
- Chciałbym to zrobić, ale co, jeśli śnieg będzie padał przez całą noc ? Pogrzebie nas tutaj, rano nie damy rady ruszyć z miejsca.

Jeszcze godzina, może dwie, powtarzał sobie w myślach Gaunt. Uznał, że warto podjąć takie ryzyko. W kwestii odległości Świątynia była na wyciągnięcie ręki, czas przejazdu dyktowały teraz niepodzielnie wyłącznie warunki pogodowe.

- Sabbat uwielbia poddawać swych pielgrzymów próbom – zachichotał Zweil, siedzący na grubym kocu na podłodze przedziału pasażerskiego Salamandry.

- W to nie wątpię – odparł Gaunt – Szlag by trafił te jej Święte Głębiny.

Stary kapłan zaczął śmiać się tak gromko, że aż się rozkaszał.

Śnieżyca jeszcze przybrała na sile.

W eterze wybuchła znienacka kakofonia niezrozumiałych komunikatów. W śnieżnych tumanach zapłonęły światła hamowania jadących przodem wozów.

- Stop ! - krzyknął Gaunt wyskakując z zatrzymującego się gwałtownie transportera. Ruszył wzdłuż kolumny, pod wiatr, poprzez głęboki na kilkadziesiąt centymetrów śnieg.

Szlak skręcał pod kątem czterdziestu pięciu stopni w bok, zdradziecko zamaskowany białą kurtyną śnieżycy. Nawet stojący na zakręcie pułkownikkomisarz ledwie dostrzegał w ciemnościach i zamieci krawędź przepaści. Jedna ze zwiadowczych Salamander prowadzących konwój wisiała nad przepaścią, jedna z jej gąsienic tkwiła w powietrzu ponad uskokiem. Gaunt aa

ruszył biegiem w jej stronę, dołączyły do niego Duchy i kilku pardusyckich czołgistów. Jaskrawe światło reflektorów wyłowiło z ciemności przerażone twarze czterech członków załogi Salamandry – pardusyckiego kierowcy, radiooperatora Raglona oraz zwiadowców Mktane i Baena. Wszyscy tkwili w pełnym grozy bezruchu, nie ważąc się nawet drgnąć. Pojazd kołysał się na krawędzi przepaści ze złowieszczym zgrzytaniem.

- Ostrożnie ! Ostrożnie, sir ! - syknął Raglon spoglądając w stronę zbliżającego się Gaunta. Warstwa lodu pod brzuchem transportera zatrzeszczała, pękła głośno w kilku miejscach.

- Dajcie linę ! Linę, szybko ! - wrzasnął Gaunt. Jeden z pardusyckich kierowców podbiegł do niego z metalowym hakiem w rękach, rozciągając grubą linkę holowniczą.

Pułkownikkomisarz zabrał mu hak i zaczepił go ostrożnie o uchwyt tkwiący w burcie Salamandry.

- Naciągać ! Naciągać ! - krzyknął i zwijarka ruszyła z elektrycznym pomrukiem napinając linkę. Transporter drgnął lekko, zaczął przesuwać się w stronę traktu.

- Wyskakujcie, teraz ! - rozkazał Gaunt. Raglon i jego towarzysze wysadzili wielkimi susami z pojazdu, klękając na śniegu i oddychając z niewysłowioną ulgą. Pardusyci zaczęli wciągać pusty wóz z powrotem na drogę.

Gaunt pomógł podnieść się z ziemi Mktane.

- Myśleliśmy, że już po nas, sir. Krótki moment i droga nagle znikła nam z oczu.

- A gdzie jest jedyńka ? - zapytał nagle Gaunt.

Wszyscy wokół umilkli i spojrzeli jednocześnie w stronę przepaści. Bezgranicznie pochłonięci ratowaniem jednego transportera nie zauważyli, że drugi przepadł bez śladu.

Przesadziłem, pomyślał Gaunt, chciałem zbyt wiele, a załoga Salamandry zapłaciła za mój upór życiem.

- Gaunt do konwoju. Wszyscy zatrzymać się. Dalej już dzisiaj nie pojedziemy.

- A może jednak – oświadczył znieścacka Zweil pojawiając się u boku pułkownikakomisarza. Starzec uniósł rękę pokazując coś w ciemnościach i śnieżycy. Gaunt spojrział w tamtą stronę i ujrzał punkt światła. Silne, żółte, budzące nadzieję – światło płonęło gdzieś w górze traktu, rozświetlając mrok nocy.

- Świątynia – oświadczył Zweil.

Rozdział XIV – Świątynia

„Tocząc wojnę musisz cały czas liczyć się z ryzykiem klęski. Porażka to najbardziej podstępny z wszystkich naszych wrogów. Uderza zawsze wtedy, kiedy najmniej się go spodziewam” – fragment Rozważań o naturze wojen pióra marszałka Slaydo.

Straż honorowa dotarła do Świątyni Sabbat Hagio o poranku, w pierwszych promieniach wschodzącego słońca. Śnieg przestał padać i roztaczająca się wokół panorama budziła podziw swym majestatem, skrzącą się oslepiająco bielą pokrywającą monumentalne szczyty.

Świątynia została wzniesiona na skalnym płaskowyżu wyrastającym z turni wielkiej góry. Wiodąca do kompleksu droga wiła się w stronę masywnej bramy osadzonej w zewnętrznym z pary wysokich murów. Za murami w niebo strzelały ściany i dachy monastynu tempelum ayatani oraz wielka kanciasta wieża o złotej kopule. Wotywnie flagi i sakralne proporce furkotały na wietrze przystrajając każdy metr kwadratowy ścian wieży. Wszystkie budowle wzniesiono z różowego bazaltu, ich okiennice i drzwi zostały pomalowane czerwoną farbą, futryny zaś białą. Za zabudowaniami monastynu i wieżą płaskowyż podnosił się nieco wystrzeliwując ponad ziejącą w dole przepaść. Na jego krańcu, praktycznie nad otchłanią, dostrzec można było masywny kamienny filar, u którego szczytu płonął wieczny ogień.

Gaunt wstrzymał kolumnę opodal głównej bramy i udał się pod nią na piechotę, w towarzystwie Kleopasa, Harka, Zweila, Rawne i sześciu Duchów tworzących eskortę. Zgodnie z przewidywaniami sierżanta Mkolla podróż zajęła osiem dni, co wymuszało pośpieszne wywiezienie świątynnych skarbów – do zakończenia procedury ewakuacji pozostało zaledwie dziesięć dni. Gaunt nie próbował jeszcze szacować, jak trudna miała się okazać podróż powrotna. Infardi deptali gwardzistom po piętach, a pułkownikkomisarz nie słyszał o żadnej innej drodze wiodącej ze Świątyn Szczytów do Doctrinopolis prócz tej, którą tu przybyli.

Gigantyczne czerwone wrota ozdobione emblematem Imperialnego Orła otworzyły się szeroko i goście weszli w ich cień wspinając się ku monastyrowi szerokimi gładkimi stopniami wyciętymi w powierzchni płaskowyzu. Sześciu ubranych w niebieskie szaty ayatani ukloniło im się nisko nie mówiąc ani słowa. Duchy pokonały odcinek odśnieżonych schodów dzielący zewnętrzną bramę od przejścia w drugim kręgu wałów, łączącego się z kamiennym korytarzem wejściowym wiodącym do wnętrza kompleksu.

Korytarz pogrążony był w półmroku, przez umieszczone wysoko okna wpadało nieco czystego, zimnego światła. Gaunt słyszał dobiegające z oddali śpiewy mnichów, dźwięk niewielkich dzwonek i gongów. Powietrze było gęste od zapachu kadzideł.

Pułkownikkomisarz zdjął swą czapkę i rozejrzał się wokół. Ściany pomieszczenia pokrywały barwne mozaiki przedstawiające wybrane momenty z życia świętej. Niewielkie holograficzne portrety palące się blado w kamiennych wnękach po jednej stronie sali prezentowały generałów, oficerów marynarki i braci Astartes służących pod rozkazami Sabbat. Wielki sztandar świętej, płachta starożytnego materiału, zwisał spod sufitu pomieszczenia.

Ayatani zamieszkujący górski monastyr weszli do sali przez przeciwne drzwi, zbliżając się do imperialnych gości i kłaniając z szacunkiem. Było ich dwunastu – dwunastu starców o kamiennych twarzach i pomarszczonej skórze, świadczącej o latach spędzonym w zimnych górach.

Gaunt przyłożył palce do skroni salutując.

- Jestem pułkownikkomisarz Ibram Gaunt, dowódca Pierwszego Tanithijskiego, Imperialna Gwardia. To moi oficerowie, major Rawne, major Kleopas i komisarz Hark. Przybywamy tutaj z rozkazu lorda generała Lugo.

- Bądźcie powitani w progach tej świątyni – oświadczył przywódca kapłanów, starzec odziany w szaty, których odcień przechodził w głęboki fiolet. Twarz mężczyzny była równie pobrużdżona jak jego współbraci, a oczy zostały kiedyś zastąpione optycznym szczepem w postaci podłużnego wizjera, za którym można było dostrzec mleczne gałki oczne.

- Nazywam się Cortona, jestem ayataniayt, przełożony tej świątyni. Pragnę wyrazić swe uznanie dla panów wytrwałości, podróż o tej porze roku musiała być ogromnym wyzwaniem. Czy mogę zaprosić wszystkich tu obecnych do spożycia z nami posiłku? Rzecz jasna kaplica jest dostępna dla tych osób, które zechcą oddać hołd relikwiom świętej.

- Dziękuję, ayataniayt. Chętnie skorzystamy z zaproszenia do wspólnego posiłku, jednakże nagląca istota naszego przyjazdu sprawia, iż niewiele czasu będziemy mogli poświęcić pobytowi w świątyni, w tym również modlitwie.

Imperialni oficerowie zostali wprowadzeni do sali biesiadnej, gdzie na niskich drewnianych stołach rozstawiono już miski z gorącą zupą i suszone owoce. Wszyscy mężczyźni usiedli: goście na niewielkich stołkach, mnisi –aa wśród nich Zweil - na wyplatanych z trzciny matach. Sztuce i naczynia roznosili młodzi studenci w białych szatach esholi.

- Jestem mile zaskoczony troską lorda generała Lugo o nasze bezpieczeństwo – ciągnął dalej Cortona – jednakże obawiam się, że panów przybycie tutaj jest marnotrawstwem środków i ludzi. Doskonale zdajemy sobie sprawę z faktu, iż nieprzyjaciel usiłuje zniewolić nasz świat,

lecz nie potrzebujemy tutaj obrońców. Jeśli wróg tutaj przybędzie, wejdzie do świątyni i nic go nie powstrzyma. Nasza patronka wierzyła gorąco w moc przeznaczenia. Jeśli taki właśnie został nam los przeznaczony – upadek Świątyni – tak się stanie. Karabiny i czołgi nie zdołają tego powstrzymać.

- Pozwolilibyście pomiotowi Chaosu wejść do środka ?! – wykrztusił zaskoczony major Rawne.

- Proszę się opanować, majorze – syknął cicho Hark.

- Ależ to w pełni zrozumiałe pytanie – uśmiechnął się wyrozumiale Cortona – Nasz system wierzeń może się wydawać absurdalny osobom całe życie kształcącym się w tajnikach prowadzenia wojen.

- Świąta Sabbat była wojowniczką, ayataniayt – zauważył Gaunt.

- Była. Być może najlepszą w całej tej galaktyce. Jednakże teraz spoczywa w pokoju.

- Twoje obawy są nieuzasadnione, ojcze – przeszedł do rzeczy pułkownikkomisarz – Źle zrozumiałeś motywy naszego przybycia. Nie wysłano nas po to, byśmy bronili Świątyni. Lord generał Lugo polecił nam przejąć szczątki świętej i przetransportować je z pełnymi honorami do Doctrinopolis, gdzie zostaną załadowane na pokład floty ewakuacyjnej.

Spokojny uśmiech nie opuszczał twarzy Cortony.

- Obawiam się, drogi pułkownikkomisarzu, że nigdy do czegoś takiego nie dopuszczę.

a

- Naprawdę mnie zamurowało – wymamrotał Zweil – Nigdy bym nie odgadł, że właśnie po coś takiego wyruszyłeś do Świątyni ! Na krew świętej, pułkownikkomisarzu ! Co ty sobie właściwie wyobrazasz ?!

- Że wykonuję swoje rozkazy – odparł Duch. Obaj mężczyźni stali na kamiennym tarasie u szczytu wewnętrznego muru, spoglądając w stronę zaszypanej śniegiem przełęczy.

- Byłem przekonany, że masz zamiar bronić tego miejsca. Wiedziałem od początku, że tutejsi ayatani nie będą zachwyceni militarną interwencją, ale obłaskawienie ich pozostawiłem w twojej gestii.

- A gdybym wcześniej wyjawiał ci prawdziwy cel naszej misji, zaleciłbyś mi zawrócenie w połowie drogi ?

- Powiedziałbym ci to samo, co usłyszałeś z ust ayataniayt. Ciało świętej nie może opuścić Hagii. To przecież jedna z najstarszych doktryn, żądanie wygłoszone na Jej łożu śmierci. Nawet ten twój generał Lugo czy wielki marszałek Macaroth byłiby skończonymi głupcami próbując złamać ten zakaz !

- Czytałem o tym. Wiesz zresztą dobrze jak dokładnie przestudiowałem Jej zapiski. Byłem przekonany, że to taka... zachcianka. Drobnny detal.

Zweil pokręcił w zadumie głową.

- Chyba już wiem, gdzie popełniasz błąd, mój chłopcze. Połowę czasu poświęcanego lekturze marnujesz na analizę czysto literalnego znaczenia tekstów świętej, drugą połowę na dopatrywanie się w nich ukrytych przesłań. Proroczych interpretacji. Potrzeba ci równowagi. Wciąż jeszcze nie pojąłeś pewnych fundamentalnych pojęć naszej wiary. Jeśli oczekujesz od ayatanych wiernego trzymania się sakralnych dogmatów, musisz się zarazem pogodzić z faktem, iż będą oni trwać nieustępliwie w obronie ich wyznaczników.

- Zapiski mówią – zaczął Gaunt – że jeśli szczątki świętej Sabbat opuszczą powierzchnię Hagii, rozmyślnie lub przez przypadek, Świąty Sabbat bezpowrotnie wpadną w ręce Chaosu.

- I co w tym takiego niewiarygodnego ?

- Bo to kolorowy mit mający wzmocnić siłę wiary ! Coś takiego nie ma prawa się zdarzyć !

- Nie ? – Zweil powiódł wzrokiem po Świątych Szczytach – Dlaczego nie ? Przecież wierzysz w świętą, w jej dzieła i czyny, w jej mistycyzm. Wyczuwam to w tobie wyraźnie. To

dzięki niej tutaj przybyłeś, więc dlaczego nie potrafisz przyjąć do wiadomości prawdy zawartej w ostatnim przesłaniu świętej ?

Gaunt wzruszył ramionami.

- Ponieważ to... to jest zbyt szalone, zbyt niewiarygodne ! Konsekwencje musiałyby osiągnąć niewiarygodną skalę...

- Załóżmy, że masz rację. Czy gotów jesteś zatem przetestować wiarygodność przepowiedni zabierając relikwie świętej z Hagii ?

Gaunt nic nie odrzekł.

- No dalej, synu. Czyżbyś wiedział coś więcej od najbardziej czczonej w tym sektorze świętej ? A może wie to generał Lugo lub sam marszałek wojaa

ny ? Czy zaryzykujesz utratę tysiąca imperialnych światów, bezpowrotną utratę ? Pomijając kompetencje i szarżę twoich przełożonych, czy którykolwiek z nich ma prawo do wydania takich rozkazów ?

- Nie sądzę. Nie sądzę, by mieli prawo mnie do tego zmuszać – odparł po bardzo długiej chwili Gaunt.

- Nie potrafię uwierzyć w to, że zaczął pan kwestionować założenia tej misji – oświadczył podchodzący do rozmówców Hark – Rozkazy wydane przez lorda generała Lugo są wyjątkowo precyzyjne, nie pozostawiają żadnego miejsca na interpretacje.

- Lugo popełnił błąd – Gaunt wbił w oczy komisarza twarde spojrzenie – Nie zamierzam liczyć się dłużej z jego opinią.

- Zamierza pan złamać rozkazy, sir ? – spytał Hark.

- Tak, zamierzam. Zresztą to nie ma już większego znaczenia. Moja kariera dobiegła końca, regiment został skazany na rozwiązanie, a nic nie wskazuje na to, byśmy stąd uszli z życiem. Zamierzam złamać swe rozkazy z pełną świadomością konsekwencji, ponieważ przyszedł już czas, by okazać zdrowy rozsądek i przestać ślepo wykonywać polecenia niekompetentnego dowódcy !

Zweil taksował zafascynowanym wzrokiem postacie obu imperialnych oficerów, chłonąc każde padające słowo. Hark powolnym ruchem ręki założył na głowę trzymaną dotąd w dłoni czapkę, westchnął ciężko i zaczął rozpinać skórzaną kaburę przytroczoną do pasa.

- Och, nawet się nie wysilaj, Hark – sarknął pogardliwie Gaunt, odwracając się na pięcie i odchodząc w stronę budynku.

a

Znaleźli się dostatecznie wysoko, by śnieg, przed którym ostrzegała ich Sanian stał się przykrą rzeczywistością. Padał niezbyt silnie, ale nieprzerwanie, pokrywając ubrania i skórę wędrowców cieniutką warstwą zimnego puchu. W wyższych partiach gór bure chmury były tak gęste, że całkowicie zasłaniały szczyty masywu.

Ekspedycja pożegnała się z „Ambulansem” dobre dwie godziny wcześniej, porzucając transporter w miejscu, gdzie pasterski trakt został zniszczony skalną lawiną. Ładując na plecy cały przydatny ekwipunek uczestnicy wyprawy ruszyli w dalszą drogę na piechotę.

Zrujnowany naturalnym kataklizmem trakt był wąski i usłany bryłami skał, rozrzedzone powietrze utrudniało oddychanie. Po prawej stronie ku niebu wystrzeliwały turnie najwyższej części Świętych Szczytów, po lewej strome skalne rumowisko opadało ku ziejącej czernią przepaści. Co kilka kroków trącane butami kamyki spadały ze ścieżki tocząc się z grzechotem w stronę otchłani.

Drabina Niebios została zbudowana rękami samych pielgrzymów około sześciu tysięcy lat temu, krótko po złożeniu ciała Sabbath w górskim sanktuarium. Pracowali z religijnym zapalem, traktując swe zadanie jako akt wiary i świętą misję. Wycięli pięćdziesiąt kilometrów schodów wznoszących się na cztery tysiące metrów w górę, wprost do Świątyni. Niewielu

pielgrzymów korzystało obecnie z tej drogi, poinformowała żołnierzy Sanian, ponieważ wspinaczka wymagała świetnej kondycji i psychicznej wytrzymałości, a nawet zaprawieni w pielgrzymkach wierni woleli korzystać ze szlaku wiodącego przez przełęcz. Dla grupki gwardzistów łatwiejsza opcja nie wchodziła w grę.

Sanian doprowadziła swych towarzyszy do wejścia na Drabinę Niebios w tej samej chwili, kiedy z przestworzy posypały się płatki śniegu.

W pierwszej chwili szlak pielgrzymów nie robił specjalnego wrażenia – wąskie strome schodki wycięte w gołej skale, zerodowane upływem tysięcy lat. Mszaki porastały ich powierzchnię niczym rdza wrak starego pojazdu. Każdy stopień miał szesnaście centymetrów wysokości, był szeroki na jakieś dwa metry, z wyjątkiem miejsc, gdzie szlak skręcał w lewo lub prawo. Schody biegły w górę znikając kilkaset metrów dalej z pola widzenia wędrowców.

- Wygląda to dość zachęcająco – oświadczył Greer pokonując pierwsze kilka stopni.

- Ale nie jest, możesz być tego pewien. Zwłaszcza w obliczu takiej pogody jak dzisiaj. Pielgrzymi wybierają tę drogę w geście zamierzonej pokuty – stwierdziła Sanian.

Wędrowcy ruszyli w górę schodów, Greer szedł pierwszy, za nim Daur, Corbec i Dorden, potem Milo i Sanian, Derin i Nessa, na końcu zaś Vamberfeld i Bragg.

- Zabije samego siebie, jeśli nie obierze wolniejszego tempa – powiedziała studentka wskazując palcem niemal biegnącego po schodach Greera.

Ludzie szybko zaczęli wpadać w jednostajny rytm wspinaczki. Po blisko dwudziestu minutach marszu Corbec uznał skrycie, że monotonia wędrówki może okazać się wyjątkowo dokuczliwa. Pozwolił błędzić myślom chcąc oderwać się od nudy wspinaczki, rozpatrzył pewne odległości i pułapy, skonfrontował je z wysokością i szerokością schodów. W umyśle pułkownika

ka pojawiło się kilka istotnych liczb.

- Ile stopni liczy Drabina Niebios ? – zawołał przez ramię do idącej z tyłu Sanian.

- Podobno dwadzieścia pięć tysięcy.

Dorden nie zdołał powstrzymać cichego jęku.

- Tyle właśnie wyliczyłem w pamięci – uśmiechnął się nieznacznie zadowolony z siebie Corbec.

Pięćdziesiąt kilometrów. Średnio obciążony ekwipunkiem żołnierz mógł ten dystans pokonać w przeciągu jednego dnia. Ale pięćdziesiąt kilometrów wspinaczki po schodach...

To mogło potrwać kilka dni. Ciężkich, bolesnych, wyczerpujących dni.

- Być może powinienem był spytać o to pięćset metrów niżej, Sanian, ale zdradz mi jeszcze, ile czasu pochłania zazwyczaj przejście tą trasą ?

- To zależy od kondycji fizycznej. W przypadku zdeterminowanych i zdrowych wiernych... pięć lub sześć dni.

- Święty feth ! – odezwał się ponownie Dorden.

Corbec ponownie skoncentrował się na śledzeniu wzrokiem skalnych stopni. Śnieg zaczynał powoli przykrywać schody cienką warstwą bieli. Po pięciu lub sześciu dniach niezbędnych na pokonanie Drabiny Niebios grupka Duchów znajdzie się w pustej Świątyni – Gaunt bez wątpienia będzie już wtedy jechał z powrotem do Doctrinopolis, by zdążyć na czas do strefy ewakuacji. Wspinaczka okazała się znienacka marnotrawstwem czasu.

Lecz z drugiej strony, pułkownik nie miał pojęcia, w jaki sposób Gaunt mógłby przebić się przez mrowie heretyków zmierzających w kierunku górskich przełęczy. Istniało całkiem spore prawdopodobieństwo, że wbrew rozkazom zrezygnuje z powrotu do stolicy i okopie się w Świątyni.

Musieli kontynuować wspinaczkę, zawracanie w tym miejscu nie miało najmniejszego sensu. Żaden z członków grupy nie miał już gdzie wracać.

Ibram Gaunt przesunął w bok metalową sztabę i otworzył ostrożnie drzwi głównej kaplicy. Gdzieś z oddali jego uszu dobiegał śpiew męskiego chóru esholi, harmonijny, nakładający się melodyjnie na dźwięk zimnego wiatru hulającego w głębokich kominach monasteru.

Nie miał pojęcia, czego właściwie oczekiwać po tej wizycie, bo uświadomił sobie z pełnym zmieszaniem zdziwieniem, że nigdy tak naprawdę nie liczył na to, iż znajdzie się w tym miejscu. Slaydo, niech Imperator ma w opiece jego duszę, byłby na jego miejscu zapewne uszczęśliwiony.

Kaplica okazała się zadziwiająco mała, pogrążona w głębokim półmroku. Wyłożone czarnym corundum ściany nie obijały blasku płonących tu i ówdzie świeczników. Powietrze przesycone było zapachem dymu i starożytności.

Pułkownikkomisarz przekroczył próg sali, zamknął za sobą drzwi, stanął na posadzce wyłożonej lśniąco czarnymi płytkami, które zniekształcały w dziwny sposób dźwięk kroków człowieka. Dopiero po chwili Duch pojął, że wykonano je ze skóry chelonów, o perłowej barwie, wypolerowanej do granic możliwości.

Po obu stronach wejścia znajdowały się głębokie alkowy wycięte w czarnym kamieniu ścian, w każdej z nich świecił naturalnych rozmiarów hologram przedstawiający Kosmicznego Marine z zakonu Białych Bliźni, unoszącego energetyczne ostrze w geście pełnego smutku tryumfu.

Gaunt ruszył w głąb kaplicy. Dokładnie przed twarzą oficera wznosił się ołtarz: wyłożony płytkami ze skóry chelonów, emanujący delikatną poświatą. Na jego frontonie widniała przepiękna mozaika wykonana z barwionych płytek, przedstawiająca Światy Sabbat. Gaunt nawet przez chwilę nie wątpił, że umieszczone na mapie planety zaprezentowane zostały z kartograficzną precyzją. Za ołtarzem znajdowała się wielka kopuła przykrywająca częściowo również i sam ołtarz. Wykonano ją ze stwardniałej na podobieństwo chityny skóry pojedynczego chelona – zwierzęcia ogromnego, dalece przewyższającego swymi rozmiarami największe bestie tego gatunku widziane dotąd przez Gaunta. Pod kopułą znajdował się relikwiarz: rozświetlona blaskiem świec pieczara rozciągająca się w cieniu twardej jak skała skóry. Na dwóch regałach o przeszklonych półkach można było dostrzec oryginały zwoje z kazaniem świętej.

Pułkownikkomisarz poczuł, że jego serce przyśpieszyło rytm, widok relikwiarza wywarł na Duchu niewiarygodne wrażenie.

Mężczyzna przeszedł obok regałów ze zwojami, przesunął wzrokiem po umieszczonej na lewo drewnianej skrzyni, w której na grubej warstwie satyny wyłożono przedmioty należące do Sabbat: miskę, zastrzone pióro, starty latami użytku kij pasterski, kilka innych artefaktów, których przeznaczenia pułkownikkomisarz nie zdołał odgadnąć.

Po prawej stronie, na szczycie niewielkiego postumentu, spoczywał pancierz siłowy typu Imperator, w niebieskobiałym kolorze. Jego ceramit znaczyły starożytne szramy i dziury, rysy i ślady po odprysniętej farbie. Dziewięć otworów będących świadectwem dziewięciu śmiertelnych ran. W panaa cerzu było coś dziwnego, coś nietypowego... Gaunt dopiero po chwili uświadomił sobie, że zdumiały go rozmiary zbroi. Zbudowano ją dla osoby znacznie mniejszej od przeciętnego Kosmicznego Marine.

Na samym końcu relikwiarza znajdował się szklany sarkofag.

W jego wnętrzu spoczywała święta Sabbat.

Nie życzyła sobie ochrony pod postacią pól czasowych, a mimo to po sześciu tysiącach lat wciąż zachowała swój wygląd. Jej rysy twarzy były pociągłe, zniekształcone zaszuszoną skórą o ciemnej barwie, na czaszce dostrzec można było pozostałości po włosach. Gaunt spostrzegł szczupłe zmumifikowane palce, zaciśnięte na medalionie z grawerunkiem w postaci

Imperialnego Orła. Barwy niebieskiej niegdyś sukni wyblakły niemal całkowicie, a złożone w sarkofagu górskie kwiaty przeistoczyły się w kupki prochu.

Gaunt nie widział, co robić. Uklęknął niczym zahipnotyzowany, nie potrafiąc oderwać wzroku od kruchego, ale emanującego namacalną wręcz aurą potęgi ciała.

- Sabbat. Męczenniczko – wykrztusił.
- Nie zdoła ci w żaden sposób odpowiedzieć, wiesz o tym.

Gaunt obejrzał się przez ramię. Za jego plecami stał ayatani Zweil, obserwujący pułkownikakomisarza uważnie. Duch uklonił się pełnym szacunku gestem szczątkom świętej, po czym podszedł do kapłana.

- Nie przyszedłem tu po odpowiedzi – wyszeptał.
- Przyszedłeś. Przyznałeś mi się do tego już w Mukrecie.
- To było wcześniej. Dokonałem już wyboru.
- Wybory i pytania to nie to samo. Lecz faktycznie, wyboru dokonałeś. I muszę dodać, że właściwego. Dzielnego. Prawego.
- Wiem. Jeśli nawet wątpiłem w to wcześniej, ta wizyta moje wątpliwości rozwiała. Nie będziemy jej stąd zabierać, pozostanie tutaj tak długo, jak my długo będziemy w stanie jej chronić.

Zweil skinął głową, poklepał Gaunta lekko po ramieniu.

- To nie jest najpopularniejsza z dostępnych ci decyzji. Biedny Hark chyba odejdzie od zmysłów, kiedy mu to powiesz – Zweil urwał na chwilę, spojrzał w stronę relikwiarza – Wybacz mi nieprzystojne słowa, święta. Jestem tylko nierozgarniętym imhava ayatani, który nigdy nie wiedział jak należy się zachowywać w tak dostojnym przybytku.

Opuścili kaplicę razem, kierując się kamiennym korytarzem w stronę pomieszczeń mieszkalnych.

- Kiedy reszta ludzi pozna twą decyzję ?
- Niebawem, o ile Hark już jej wszystkim wkoło nie rozgłosił.
- Może próbować pozbawić cię dowództwa.
- Może. Jeśli spróbuje, posunę się do czegoś gorszego od zwykłego złamania rozkazów.

a

Wraz z nocnymi ciemnościami nadeszła kolejna śnieżna zawierucha. Ayatani Cortona zezwolił imperialnym żołnierzom na wejście za wewnętrzny mur Świątyni, toteż przestrzeń pomiędzy oboma pasami wałów szybko zapełniła się połowymi namiotami. Cywilne pojazdy należące do konwoju zostały zaparkowane tuż pod zewnętrznym murem, natomiast wozy bojowe zajęły pozycje pozwalające pokryć ogniem dział wylot prowadzącej na płaskowyż przełęczy. Żołnierze wykopali szereg głębokich rowów w śniegu, ubijając biały puch i tworząc prowizoryczne stanowiska broni ciężkiej. Każdy cel próbujący sforsować przełęcz narażał się na gorące powitanie.

Gaunt zwołał zebranie oficerów straży honorowej w jednej z sal monasteru. Mieszkający w Świątyni esholi przynieśli uczestnikom spotkania ciepłą herbatę, a ayatani udawali, że nie widzą krążących z rąk do rąk kubków sacry i amasecu. Sam ayatani Cortona dołączył do swych gości na czele gromadki wysokich rangą kapłanów. Ogniki knotów w lampach podskakiwały wesoło, wiatr trzaskał drewnianymi okiennicami. Hark stał w tylnej części sali, samotny, zachmurzony.

Przed rozpoczęciem zebrania Gaunt ujął pod ramię majora Rawne i wyprowadził go na niewielki korytarzyk chcąc porozmawiać w cztery oczy.

- Życzę sobie, byś ty pierwszy poznał moją decyzję – oświadczył pułkownikkomisarz – Zamierzam zignorować rozkazy Lugo. Nie zabierzemy świętej z sanktuarium.

Rawne uniósł nieco brwi.

- Z powodu tej cholernej antycznej przepowiedni ?
- Dokładnie z powodu tej cholernej antycznej przepowiedni, majorze.
- A czy aby powód nie tkwi w samym tobie ?
- Mógłbyś to nieco jaśniej sformułować ?
 Rawne wzruszył ramionami.
- Wszyscy wiemy, że Lugo załatwił cię na dobre. Kiedy wrócisz do Doctrinopolis, z kośćmi tej kobiety lub bez nich, zostaniesz zdegradowany i pozbawiony dowództwa nad regimentem. To już koniec twojej kariery. Tak aaaa
 więc odnoszę wrażenie, że nie masz już nic do stracenia. Jeśli powiesz Lugo, żeby sobie wsadził w dupę rozkaz ewakuacji, w niczym chyba nie pogorszysz już swej sytuacji. A mówiąc szczerze, chyba nawet będziesz czuł się lepiej, kiedy jego komisarze powloką cię za kraty.
- Sądzisz, że robię to, bo przestało mi na czymkolwiek zależeć ?
- A myślę się ? W przeciągu ostatniego tygodniu w niczym nie przypominałeś człowieka, który objął swego czasu komendę nad Tanithijczykami. Alkohol. Napady gniewu. Obrażona mina. Zawaliłeś sprawę, w fatalny sposób. W Doctrinopolis dosłownie się udubiłeś. Od tamtego dnia stałeś się żywym wrakiem. A...
- A ? – wycedził przez zęby Gaunt.
- Mogę mówić szczerze ? Bez względu na hierarchię wojskową ?
- Przecież zawsze to robiłeś, Rawne.
- Mam nadzieję, że się nie mylę. Wciąż pijesz ?
- Cóż, ja...
- Chcesz, bym uwierzył w twe dobre intencje. Chcesz mnie przekonać, że robisz to z realnych powodów, a nie zbrodniczego kaprysu człowieka, który nie ma już nic do stracenia. Postaraj się zatem, wyłuszczyć swe motywy. Nigdy cię nie lubiłem, Gaunt.
- Wiem.
- Ale zarazem zawsze cię szanowałem. Jesteś profesjonalistą w każdym calu, żołnierzem posiadającym swój własny kodeks postępowania. To przez niego spłonęło Tanith, ale po zagładzie naszego świata ani razu nie złamałeś kryteriów swego działania, ani razu nie postąpiłeś wbrew swemu kodeksowi. Jesteś człowiekiem honoru.
- To oświadczenie niepokojąco przypomina mi komplement, majorze – chrząknął Gaunt.
- Przepraszam, to się więcej nie powtórzy. Ale ja muszę to wiedzieć... czy tu chodzi o kodeks ? O honor ? Ta przeklęta misja ma charakter straży honorowej. Czy faktycznie zasługujemy na to miano ?
- Tak.
- Więc mi to udowodnij, udowodnij to nam wszystkim. Niech się stanie jasne, że nie stoi za tobą nienawiść do Lugo i pełen rozgoryczenia żal. Przekonaj ludzi, że nie jesteś pijanym wrakiem staczającym się szybko w dół i ciągnącym za sobą wszystkich, którzy znajdują się zbyt blisko. Dla ciebie wszystko już skończone, ale dla nas nie. Jeśli pójdziemy za tobą, lord generał Lugo każe rozstrzelać nas wszystkich. Chcemy wiedzieć, dla czego musimy nadstawić głowy.
- Rozumiem – pułkownikkomisarz umilkł na chwilę, zapatrzył się na płatki śniegu opadające za oknami korytarzyka.
- Słucham.
- Chcesz wiedzieć, dlaczego to dla mnie takie ważne, Rawne ? Dlaczego tak ciężko zniosłem porażkę w Doctrinopolis ?
- Będę zafascynowany tą opowieścią.
- Większą część ostatnich dwóch dekad poświęciłem tej krucjacie. Walczyłem ciężko na każdym jej etapie. Tutaj, na Hagii, ślepa bezmyślność jednego człowieka... naszego kochanego lorda generała... zrujnowała całą moją pracę. Lecz nie chodzi wyłącznie o to.

Krucjata, której poświęciłem tyle lat swego życia, toczona jest w imię świętej Sabbat, ma doprowadzić do wyzwolenia światów, które Ona przywiodła pod władzę Imperium sześć tysięcy lat temu. Oddaję Jej cześć i wielbię, a ten przeklęty Lugo zmusił mnie, bym zawiódł na Jej ojczystej ziemi. Ja nie zawałem sprawy w trakcie misji bojowej, majorze. Zawałem sprawę w trakcie akcji bojowej na macierzystym świecie Świętej. Lecz to nie wszystko.

Gaunt umilkł na chwilę, oczyścił chrząknięciem gardło. Rawne spoglądał na niego w milczeniu.

- Byłem jednym z wybrańców Slaydo, osobiście przez niego dobranym do grona swych zaufanych oficerów. On był największym geniuszem wojskowości, jakiego miałem sposobność poznać. Traktował tę krucjatę z niebywałym pietyzmem właśnie poprzez bezgraniczne umiłowanie świętej Sabbat. Ona była dla niego idolem, inspiracją, wzorcem, na którym budował całą swą karierę. Powiedział mi kiedyś, że właśnie uważa krucjatę za formę spłaty zobowiązań zaciągniętych tytułem tej inspiracji. Nie zhańbię jego pamięci dopuszczając na Hagii do ostatecznej klęski.

- Niech zgadnę – powiedział cicho Rawne – To jeszcze nie wszystko.

Gaunt skinął lekko głową.

- Na Formal Prime, w pierwszych miesiącach krucjaty, brałem u boku Slaydo udział w zacieklej walkach o tamtejsze miastakopce. Był to jeden z pierwszych wielkich sukcesów naszej kampanii. W czasie zwycięskiej fety zebrał wokół siebie wszystkich zaufanych oficerów. Było nas czterdziestu ośmiu. Piliśmy, jedliśmy, świętowaliśmy. Wszyscy byliśmy lekko wstawieni, również Slaydo. I wtedy... wtedy on nagle stał się przygnębiony, niczym człowiek, którego lęki nachodzą w chwili, kiedy jest pijany. Zapytaliśmy go, co się stało, a on odparł, że się boi. Przywitaliśmy te słowa pełnym niedowierzania śmiechem. Wielki marszałek wojny Slaydo się boi? Podniósł się z krzesła chwiejnie. Miał wtedy sto pięćdziesiąt lat, a nie były to aaa

lata zbytku i spokojnego życia. Powiedział nam, że boi się umrzeć przed ukończeniem swego dzieła. Że nie dożyje chwili, w której wyswobodzimy ostatnie światy świętej. Slaydo miał tylko jedno marzenie, tylko jeden cel w życiu i lękał się skrycie, że nie zdoła go zrealizować.

- Wszyscy zaprotestowaliśmy zgodnie: będzie żył dłużej od nas wszystkich! Pokręcił tylko głową i wyznał, że jedynym sposobem na ukończenie tego zadania, jedynym sposobem na zdobycie nieśmiertelności u boku świętej była nasza pomoc. Wezwał nas do złożenia przysięgi. Przysięgi krwi. Użyliśmy kordów i noży kuchennych do nacięcia skóry na swych dłoniach i upuszczenia krwi. Jeden po drugim ujmowaliśmy jego krwawiącą dłoń wypowiadając słowa przyrzeczenia. Poprzysięgliśmy na nasze życia i nieśmiertelne dusze, Rawne. Dokończymy jego pracę, doprowadzimy tę krucjatę do finalnego zwycięstwa. I będziemy strzec świętej przed każdym, który spróbuje ją tknąć.

Gaunt uniósł odwróconą spodem prawą dłoń. W migotliwym blasku świeczników Rawne ujrzał na jego skórze starą podłużną bliznę.

- Slaydo zginął na Balhaucie, w matce wszystkich bitew, tak jak się tego bał. Lecz jego przysięga wciąż w nas żyje, a wraz z nią również on sam.

- Lugo zmusił cię do jej złamania.

- Lugo zmusił mnie do zrównania z ziemią starożytnych świątyń świętej. Teraz chce, abym naruszył jej wieczysty spokój i zabrał z miejsca, w którym nakazała się pochować.

Przepraszam, że tak ciężko wszyscy odebraliście moje chwile załamania, ale może już rozumiesz, dlaczego zachowywałem się w taki, a nie inny sposób.

Rawne skinął bardzo wolno głową.

- Porozmawiaj z resztą – powiedział cicho.

a

Gaunt wszedł na środek sali, podziękował grzecznie za podsuniętą mu przez jednego z esholi szklankę napoju, chrząknął znacząco. W pomieszczeniu zapadła cisza, oczy wszystkich spoczęły na postaci pułkownikakomisarza.

- W obliczu rozwoju sytuacji taktycznej... oraz kilku innych czynników, zmuszony jestem was poinformować, że zamierzam dokonać znaczącej zmiany w naszym planie działania.

Przez tłumek żołnierzy przebiegł stłumiony pomruk.

- Nie wykonamy rozkazów lorda generała Lugo. Nie zabierzemy ze Świątyni relikwii. Na moje polecenie straż honorowa okopie się w sanktuarium i będzie go bronić do chwili, w której wydam inne rozkazy.

Salę wypełniła wrzawa podniesionych ludzkich głosów. Hark nic nie mówił, milczał niepokojąco.

- Ale rozkazy lorda generała... – zaczął major Kleopas.

- Nie są już dłużej adekwatne do naszej sytuacji. Jako dowódca tego kontyngentu niniejszym je unieważniam.

Intendent Elthan zerwał się z krzesła drżąc z gniewu.

- Zginiemy tutaj ! Musimy powrócić do Doctrinopolis w wyznaczonym terminie albo nie zdążymy na ewakuację ! Wiesz, co zbliża się do tej planety, pułkownikukomisarzu ! Jak śmiesz podejmować taką decyzję ?!

- Usiądź, Elthan. Pewnie niezbyt cię pocieszy świadomość, że przykro mi z powodu cywilnych kierowców uwięzionych wraz z konwojem, ale wszyscy jesteście sługami Imperium. Czasami na wasze barki spadają obowiązki równie ciężkie jak nasze.

Podporządkujecie się rozkazowi. Imperator strzeże.

Kilku oficerów i wszyscy ayatani powtórzyli formułę.

- Sir, nie wolno nam złamać rozkazu – głos porucznika Pauka dźwięczał nutą silnego niepokoju. Kleopas poparł słowa podwładnego pełnym aprobaty skinieniem głowy – Wszyscy poniesiemy najwyższe konsekwencje. Lord generał Lugo wydał precyzyjne rozkazy, nie możemy ich zignorować.

- A widziałeś może, co nadciąga za nami od strony przełęczy, Pauk ? – odezwał się czyjś głos. Wszyscy spojrzeli w jego kierunku. Kapitan LeGuin stał oparty plecami o ścianę sali – Biorąc pod uwagę ostatnie wydarzenia, popieram decyzję pułkownikakomisarza. Nie przebijemy się do Doctrinopolis nawet, gdybyśmy tego próbowali.

- Dziękuję, kapitanie – Gaunt podziękował Pardusycie za wsparcie.

- Wsadź sobie w tyłek ten pomysł, LeGuin ! – krzyknął kapitan Marchese, dowódca Conquerora P48J – Zawsze możemy spróbować ! Tego oczekują od nas lord generał i marszałek wojny ! Jeśli tutaj zostaniemy, damy radę bronić się przez tydzień, ale w chwili przybycia nieprzyjacielskiej floty będziemy martwi !

Kilku oficerów, również tanithijskich, poparło słowa Marchese pomrukami aprobaty.

- Wykonamy rozkazy ! Zabierzemy relikwie i przebijemy się przez wroga ! Przynajmniej spróbujmy ! Lepiej zginąć w taki sposób, w otwartej walce, niż czekać tutaj na pewną śmierć !

Aplauz przybrał na sile.

- Kapitanie Marchese, powinien pan zostać komisarzem. Piękne, podniosłe frazy – Gaunt uśmiechnął się nieznacznie – Lecz prawda jest taka, że to ja pełnię funkcję komisarza. I to ja tutaj dowodzę. Zostaniemy tu, by bronić Świątyni.

- Proszę to raz jeszcze przemyśleć, Gaunt ! – krzyknął Kleopas.

- Wszyscy tutaj zginiemy, sir ! – dodał kapral Meryn.

- I to w bezsensowny sposób – zachnął się Feygor.

- Czy nie zasługujemy na szansę, sir ? – zapytał sierżant Soric wstając z krzesła i gniotąc w palcach swą czapkę.

- Na każdą, którą tylko mamy, Soric – odparł Gaunt – Rozważyłem bardzo starannie wszystkie dostępne nam opcje. Podjęta przeze mnie decyzja daje nam największe szanse.

- Postradałeś zmysły ! – krzyknął ponownie Elthan, po czym obejrzał się przez ramię w stronę Harka – Komisarzu ! Na litość boską, niech pan coś zrobi !

Hark postąpił krok do przodu i w sali zapadła nieprzenikniona cisza.

- Gaunt. Wiem, że postrzegasz mnie za swojego osobistego wroga. Rozumiem twoje obiekcje, choć BógImperator wie jak bardzo się w tej kwestii mylisz. Cenię cię i szanuję od lat. Przestudiowałem dokładnie wszystkie zapiski dotyczące twoich poprzednich kampanii. Nigdy nie obawiałeś zakwestionować błędnych zaleceń dowództwa.

Hark przesunął wzrokiem po zebranych w sali ludziach, potem spojrzął ponownie na pułkownikakomisarza.

- Załatwiłem dla ciebie tę misję, Gaunt. Służę w sztabie lorda generała Lugo od roku i zdążyłem się przekonać, jakim jest on człowiekiem. Chce cię obciążyć odpowiedzialnością za klęskę w Doctrinopolis, by ukryć w ten sposób własną niekompetencję.

- Po katastrofie w Cytadeli Lugo zamierzał cię z miejsca zdegradować, ale ja wiedziałem, że jesteś zbyt wiele wart, by pozwolić na takie poniżenie. Podsunąłem mu pomysł tej misji, straży honorowej. Sądziłem, że dzięki temu zdołasz złagodzić nieco złe wrażenie albo przynajmniej zakończysz karierę z chwalebny wpisem do dossier. Miałem nawet skrytą nadzieję, że Lugo przemyśli swą decyzję i zrezygnuje z ukarania cię. Udana akcja ratunkowa porywająca szczątki imperialnej świętej sprzed nosa przeważającego liczebnie nieprzyjaciela mogłaby przy odrobinie szczęścia zmienić się w propagandowe zwycięstwo. Lugo okryłby się wówczas laurami bohatera, a ty uszedłbyś z tego zamieszania z całą głową.

Hark westchnął, poprawił swój mundur, strzepnął z rękawów nieistniejący pyłek.

- W oficjalny sposób złamałeś rozkazy, przed tym nie ma już ucieczki. Sam wepchnąłeś się prosto w łapy Lugo. On potrzebował kozła ofiarnego, a ty ochoczo na to przystałeś. Jako oficer polityczny tego regimentu nie mogę czegoś takiego tolerować. Przykro mi, Gaunt. Przez cały ten czas byłem po twojej stronie, ale ty odrzuciłeś moją pomoc. Niniejszym przejmuję komendę nad strażą honorową, zgodnie z paragrafem 145/f regulaminu Komisarjatu. Nasze pierwotne rozkazy zostaną wykonane co do joty. Nie chciałem, by do tego doszło, Gaunt. Majorze Rawne, proszę rozbroić pułkownikakomisarza.

Rawne podniósł się ze swego krzesła, przeszedł przez salę i stanął u boku Gaunta mierząc Harka chłodnym spojrzeniem.

- Nie sądzę, by to miało jakikolwiek sens, komisarzu – oświadczył.

- To niesubordynacja, majorze – syknął Hark – Proszę wykonać moje polecenie i rozbroić pułkownikakomisarza albo poniesie pan konsekwencje dyscyplinarne.

- Nie wyraziłem się dostatecznie jasno – odrzekł Rawne – Odpierdol się.

Hark przymknął na chwilę oczy, odetchnął i wyciągnął z kabury plazmowy pistolet. Podnosząc broń wolnym gestem wymierzył ją w majora.

- To ostatnia szansa, Rawne.

- Dla kogo, Hark ? Rozejrzyj się wokół.

Komisarz zastosował się do sugestii majora. W jego głowę mierzył tuzin pistoletów, dzierzonych przez Duchy oraz kilku Pardusytów, wśród nich majora Kleopasa i kapitana LeGuina.

Hark schował broń do kabury.

- Widzę, że nie dajecie mi wyboru. Jeśli przeżyjemy misję, drobiazgowy opis tego incydentu zostanie przekazany odpowiedniej komórce Komisarjatu.

- Będę się tym martwił, jeśli przeżyjemy – odparł Gaunt – A teraz porozmawiajmy na temat planu obrony.

a

Wśród tumanów niesionego wiatrem śniegu, w punkcie 00.20 – u wylotu przełęczy – Bonin, Larkin i Lillo tkwili w zbudowanym z brył lodu prowizorycznym bunkrze. Mieli co prawda do swej dyspozycji chemiczny grzejnik, ale i tak marzli niemiłosiernie. Bonin gapił się na ekran przenośnego radaru, Larkin przepatrywał ciemność przez okular noktowizjera, a Lillo aaaa

zacierał zziębnięte ręce opierając się o rozstawiony na trójnogu ciężki karabin maszynowy.

- Ruch – odezwał się ledwie słyszalnie Larkin.
- Na radarze niczego nie ma – odparł Bonin spoglądając uważniej na pulsujący słabym blaskiem ekran urządzenia.
- Sam zobacz – Larkin przesunął się w bok robiąc zwiadowcy dostatecznie dużo miejsca, by ten mógł zerknąć przez lunetę ustawionego w szczelinie obserwacyjnej karabinu.
- Gdzie ?
- Z lewej.
- O kurwa – syknął Bonin. W zielonkawej poświacie noktowizjera dostrzegł wyraźnie liczne światełka poruszające się w głębi przełęczy. Setki latarek tańczyły w mroku, towarzyszyły im snopa światła rzucane przez reflektory pojazdów.
- Sporo ich – mruknął zwiadowca.
- Nie widziałeś nawet połowy – wycedził przez zęby Lillo, pochylony nad radarem. Na ekranie urządzenia płonęło mrowie żółtych punktów. Wyświetlany w rogu licznik dotarł do trzystu niezależnych celów i nadal rósł.
- Włączcie radio – polecił Larkin – Przekażcie Gauntowi, że wali na nas całe piekło.

Rozdział XV – Oczekiwanie

„Walka to ulotna cząstka wojny. Większość swego czasu żołnierz spędza na czekaniu” – fragment Rozważań o naturze wojen pióra marszałka Slaydo.

Śnieżyca ustała tuż przed świtem i wtedy właśnie forpoczta armii Infardich rozpoczęła pierwsze uderzenie poprzez przełęcz. Wstępne bombardowanie w wykonaniu ich czołgów i haubic samobieżnych nie naruszyło znacząco fortyfikacji Świątyni, większość pocisków spadła na przedpole pozycji obrońców. Sześć SteGów i osiem Reaverów zaczęło toczyć się po śniegu w kierunku świątynnego wzniesienia, biegło za nimi około czterystu heretyckich żołnierzy.

Napotkali na swej drodze pardusyckie czołgi i starannie okopanych Tanithijczyków. Szary Venger zdołał zniszczyć cztery pierwsze pojazdy napastników, zanim jeszcze heretyckie czołgi zdążyły wytoczyć się zza śnieżnej kurtyny. Ich płonące wraki znaczyły warstwę białego puchu poczerniałymi kawałkami rozerwanych blach.

Stanowiska broni ciężkiej otworzyły ogień chwilę potem. W przeciągu piętnastu minut płaskowyż przed Świątynią został zasłany zwłokami postaci w zielonych mundurach.

Jeden SteG i towarzyszący mu AT70 zdołały przebić się przez zewnętrzny kordon obrońców wchodząc w martwe pole ognia Szarego Vengera. Drogę w stronę kompleksu zagroziły im Serce Zniszczenia majora Kleopasa i P48J kapitana Marchese.

Widząc płonące pojazdy żywi wciąż Infardi rzucili się do ucieczki.

a

Gaunt wszedł do namiotu, w którym gwardziści pilnowali oficera Infardich wziętego do niewoli w Bhavnagerze. Pobity i odarty z munduru heretyk dygotał z zimna.

Pułkownikkomisarz polecił strażnikom zdjęcie kajdanek więźnia i wręczył mu elektroniczny notes.

- Zanieś to swoim braciom – oświadczył krótko.

Infardi podniósł się z ziemi i splunął officerowi w twarz.

Błyskawiczny cios pięścią złamał mu nos i posłał mężczyznę z powrotem na ziemię.

- Zanieś to swoim braciom – powtórzył Gaunt wyciągając ponownie rękę, w której trzymał notes.

- Co to ?

- Wezwanie do kapitulacji.

Zakrwawiony Infardi roześmiał się szyderczo.

- Daję ci ostatnią szansę. Wynoś się.

Heretyk pozbierał się z ziemi, zabrał nośnik danych i wybiegł za bramę świątynnych umocnień kierując się poprzez głęboki śnieg w stronę przełęczy.

Kiedy lojaliści ujrzeli go ponownie, wisiał rozkrzyżowany na przednim pancerzu AT70 toczonego się powoli w stronę Świątyni. Czołg zatrzymał się w bezpiecznej odległości od kompleksu, prychając kłębami spalin w prowokujący sposób – jakby jego załoga zakładała, że obrońcy przynajmniej spróbują ostrzelać maszynę albo uważniej się przyjrzą zarówno jej jak i niefortunnemu posłańcowi.

Po dłuższej chwili oczekiwania AT70 wystrzelił z głównego działa. Wylot lufy broni zasłonięty był torsem skutego, krzyczącego coś przeraźliwie heretyka, toteż biały śnieg przed czołgiem pokryła w ułamku sekundy jaskrawa warstwa krwi. Pojazd zawrócił w miejscu i odjechał w stronę przełęczy.

- Sądzę, że to ich odpowiedź – mruknął do stojącego obok majora Rawne Gaunt.

a

Na Drabinie, w jednej czwartej jej długości, grupa Corbeca zaczęła budzić się ze snu okrywając swe ciała przysypane do połowy warstwą świeżego śniegu. Wszyscy członkowie wyprawy położyli się na schodach zawinięci w śpiwory i teraz zwijali je trzęsąc się z zimna, na wskroś przenikani lodowatym dotykiem silnego wiatru. Corbec podniósł głowę mierząc wzrokiem pnące się w górę schody.

Wyprawa coraz bardziej kojarzyła mu się z samobójstwem.

a

Przez pięć dni Infardi nie podjęli żadnych agresywnych działań i pułkownikkomisarz zaczął podejrzewać, że nieprzyjaciel zamierza trwać na swych pozycjach do chwili przybycia własnej floty. Dla lojalistów pełne niepokoju oczekiwanie stawało się coraz trudniejszym do zniesienia obciążeniem.

I wtedy, w południe czternastego dnia misji, wrogowie uderzyli ponownie.

Heretyckie czołgi runęły poprzez przełęcz, poprzedzała je silna nawałnica artyleryjska. W pierwszych minutach wymiany ognia obrońcy stracili Conquerora Zmów Swą Modlitwę i dwie Chimery. Dym buchający ze zniszczonego Lemana Russa wzbijał się wysoko w przestworza. Reszta pardusyckich czołgów związała walką nieprzyjacielskie wozy i szybko zmusiła je do odwrotu. Duchy pod komendą Sorica i Mkolla opuściły swe wykopane w zmrożonej ziemi okopy i spotkała piechotę nieprzyjaciela na krawędzi płaskowyżu.

Tkwiący na swych stanowiskach tanithijscy snajperzy rozpoczęli krwawe zawody. Larkin bez trudu zostawił w tyle Luhana, ale Banda okazała się twardym orzechem do zgryzienia. Widząc zawziętą rywalizację między małym snajperem i upartą żołnierką Cuu zaczął obstawiać finansowo swego faworyta. Larkin wpadł w furję odkrywając, że faworytem tym była verghastycka dziewczyna.

Obrońcy potrzebowali dwóch godzin na odparcie szturm.

a

Szesnastego dnia Infardi uderzyli ponownie, tym razem większymi siłami. Artyleryjskie pociski uderzyły w mury i wieżę Świątyni, lawina laserowego ognia zaczęła znaczyć ognistymi rozbłyskami pozycje obrońców. Widząc podnoszący na duchu efekt ostrzału Infardi runęli do szarży – pięć do sześciu tysięcy fanatycznych wojowników, brnących przez śnieg pomiędzy kanciastymi bryłami czołgów. Stojący na murze Gaunt śledził wzrokiem poruszające się mrowie kształtów.

Nadciągała krwawa konfrontacja.

a

Gdzieś wysoko na pozornie nie mających końca schodach Drabiny Niebios Corbec przystanął na moment próbując złapać oddech. Nigdy wcześniej nie czuł tak potwornego wyczerpania ani tak przenikliwego bólu mięśni i kości. Przyklęknął na zaśnieżonym kamiennym stopniu.

- Nawet... nawet nie próbuj... nie próbuj teraz rezygnować! – wysapał Dorden. Obłoczki pary buchały z ust starego lekarza, kiedy próbował wesprzeć pułkownika na swym ramieniu. Oficer medyczny był upiornie blady, jego policzki zapadnięte, ciało zgarbione pod wpływem zmęczenia i zimna.

- Ale doktorze... nie powinniśmy... nie powinniśmy byli nawet próbować...

- Nie waż się, Corbec! Nie waż się!

- Słuchajcie! Słuchajcie! – krzyknął nagle Daur. Kapitan i towarzyszący mu Derin znajdowali się jakieś czterdzieści stopni powyżej grupy, ich sylwetki rysowały się wyraźnie na tle jasnego nieba.

Niemal natychmiast wszyscy pochwycili w uszy ledwie postrzegalny pomruk, który nie miał nic wspólnego z zawodzeniem górskiego wiatru. Stłumiony grzmot artyleryjskiej kanonady mieszał się z dźwiękiem wydawanym przez gardła tysięcy śpiewających coś ludzi.

Corbec podniósł się z klęczek. Niczego nie pragnął tak gorąco jak położenia się na schodach i biernego oczekiwania na śmierć. W ogóle nie czuł już swoich nóg. Lecz mimo wszystko zmusił się do powstania i wsparcia na ramieniu Dordena.

- Chyba zbliżamy się do celu, stary druhu. I to w dość ważnym momencie.

Kilka stopni niżej zebrali się pozostali członkowie grupy, wszyscy z wyjątkiem Greera, który włókł się daleko w tyle. Bragg i Nessa usiedli na schodach próbując złapać oddech. Vamberfeld stał z zamkniętymi oczami sapiąc ciężko. Milo spojrział na Sanian, błędnie interpretując wyraz jej twarzy jako grymas smutku.

Mylił się. Był to grymas gniewu.

- To dźwięk wojny – wyszeptła – Wiem o tym. Nie dość tego, że wojna zawitała na mój świat, nie dość tego, że zrujnowała moje rodzinne miasto. Teraz przybyła tutaj, do najświętszego z wszystkich miejsc, gdzie tylko pokój winien gościć po wsze czasy!

Odwróciła głowę spoglądając w stronę Dordena.

- Miałam rację, widzisz teraz, doktorze. Wojna konsumuje wszystko i wszystkich. Istnieje wyłącznie wojna. Nic więcej się nie liczy.

a

Pięli się w górę ostatnich kilkuset schodów, potwornie wymęczeni, głodni i balansujący na granicy śpiączki. Świadomość rychłego dotarcia do celu dodawała im sił. Dźwięk wojny przybierał na sile, potęgowany echem odbijającym się od górskich grani.

Wszyscy odbezpieczyli dygoczącymi z zimna rękami broń, Corbec i Bragg wysunęli się na prowadzenie grupy, idąc zawsze kilka schodów z przodu.

Schody kończyły się u szczytu zasłanej śniegiem skalnej platformy ponad górskim klifem, ogrodzonej pasem starożytnego muru. Płaskowyż wyrastał ze zbocza góry niczym gigantyczna półka zawieszona ponad przepaścią. Przywodząca na myśl zamek budowla, nie mogąca być niczym innym jak jedynie Świątynią, wznosiła się po ich lewej stronie, dominując nad płaskowyżem. Pomiedzy fortyfikacjami budowli i miejscem, gdzie skalna półka przechodziła w górską przełęcz, toczyła się dzika walka. Członkowie grupy stali się jej bezwolnymi obserwatorami, znajdującymi się pół kilometra od linii frontu. Kłęby gęstego dymu buchały w zimne górskie przestworza.

Fala heretyckich żołnierzy i pojazdów pancernych toczyła się nieubłaganie w stronę Świątyni, niczym żywy lodowiec, przelewając się pozornie bez końca przez przełęcz. Na przedpolach kamiennego wału otaczającego sanktuarium pierwsze grupki heretyków toczyły już walkę wręcz z obrońcami. W murze ziały wielkie dziury po artyleryjskich pociskach, wraki pojazdów płonęły z trzaskiem. Skala zmagania była tak wielka, że świadkowie bitwy mieli trudności z ogarnięciem jej chaosu.

- Chodźcie – powiedział Corbec.

- Mamy tam iść ? – jęknął Greer – Ledwie powłóczymy nogami, ty szalony bękartie !

- Dla ciebie jestem Pułkownik Szalony Bękart, synku. Nie, nie idziemy tam. Nie prosto w bitwę. Przesuniemy się wzdłuż krawędzi klifu, lecz prędzej czy później i tak znajdziemy się w Świątyni. Mogę umierać ze zmęczenia, ale zbyt wiele z siebie dałem, by nie dotrzeć teraz do celu.

a

Gaunt znajdował się w samym sercu bitwy, pod zewnętrznym pasem umocnień. Nie miał sposobności uczestniczyć w równie zażartej i bezlitosnej konfrontacji od czasów Balhautu. Dźwięki walki dosłownie ogłuszały jej uczestników.

Stojący opodal Executioner porucznika Pauka posyłał jedną wiązkę plazmowej energii za drugą, przeistaczając szeregi nacierających Infardich w dymiące zwłoki zaścielające na wpół stopiony śnieg. Zarówno Serce Zniszczenia jak i Szczęśliwy Sukinsyn wyczerpały już całkowicie zapas amunicji do dział, toteż teraz mogły wspierać Duchy jedynie ogniem broni maszynowej i masą własnych kadłubów. Brostin, Neskon i reszta operatorów miotaczy ognia walczyła na prawej flance, jęzory żółtych płomieni tryskały z luf ich broni obracając śnieg w parę i podpalając uniformy krzyczących przeraźliwie heretyków.

Lojaliści utrzymywali swe pozycje, ale w tak piekielnym chaosie istniało poważne zagrożenie dla poprawności funkcjonowania łańcucha dowodzenia. Kolejne fale żołnierzy Infardich uderzały w umocnienia obrońców.

Gaunt dostrzegł pierwszych dwóch oficerów wroga – dwa rozmazane kształty przemieszczające się szybko pośród tłumu najeźdźców, chronione migotliwymi tarczami osobistych pól siłowych. Nic prócz bezpośredniego trafienia czołgowym pociskiem nie mogło zagrozić ludziom ukrytym pod taką ochroną. Przesuwając wzrokiem po heretyckich szeregach

Gaunt zlokalizował jeszcze trzech innych oficerów. Każdy z nich mógł być niesławnym Ojcem Sinem, przybywającym do Świątyni w godzinie swego największego tryumfu.

- Wsparcie ! – krzyknął do swej obstawy pułkownikkomisarz i cała grupa runęła biegiem do przodu, strzelając z bioder, chwilami zwierając się z nieprzyjacielem wręcz. Boltowy pistolet Gaunta rzygał ogniem, dzierzony w drugiej dłoni energetyczny miecz Heironymo Sondara syczał złowieszczą.

Dwa ubezpieczające dowódcę Duchy runęły bez życia w śnieg, trzeci przykleknął ściskając dłonią kikut drugiej ręki, oderwanej pociskiem na wysokości łokcia.

- Za Tanith ! Za Verghast ! Za Sabbat ! – krzyknął Gaunt, a z jego ust buchały obłoczki pary – Pierwszy i Jedyny ! Pierwszy i Jedyny !

Po swej lewej miał świetne wsparcie. Caffran, Criid, Beltayn, Adare, Memmo i Mkillian. Ich z kolei ubezpieczała sekcja sierżanta Bray'a i resztki drużyny kaprala Maroy'a. Tnąc jak oszalały swym mieczem Gaunt martwił się jednocześnie o prawą stronę szpicy. Widział na własne oczy jak ginie sierżant Mkteeg, a nigdzie nie potrafił dojrzeć ani drużyny Obela ani Sorica, który wraz z Kollem trzymał komendę nad tą sekcją linii obrony.

Jeden z heretyckich oficerów znalazł się niespodziewanie opodal pułkownikkomisarza, śmiejąc się maniakalnie za tarczą swego pola, uderzaną przez niezdolne przebić ścianę energii wiązki imperialnych laserów. Używaaa

jąc ciała swego przywódcy jako mobilnej osłony żołnierze Ershuli strzelali z wszystkich luf do nadbiegających Duchów. Memmo upadł z przestrzeloną głową, martwy, sekundę później w śnieg runął Mkillian, ugodzony wiązkami w udo i biodro.

- Caffran ! Wysadź go ! – krzyknął Gaunt.

- Ładunek nie przełamie tarczy, sir !

- Wrzuć mu go pod nogi ! Przewróć skurwysyna !

Caffran cisnął w powietrze pakiet wybuchowy. Ładunek zawirował niczym bączek i spadł w śnieg tuż obok prawej stopy eksplodując z donośnym hukiem.

Wybuch nie uczynił krzywdy oficerowi Ershuli, ale dosłownie wyrwał ziemię spod nóg mężczyzny doprowadzając do jego niekontrolowanego upadku. Generator pola siłowego syczał głośno próbując odtworzyć kształt ochronnego bąbla.

Gaunt znalazł się natychmiast nad leżącym heretykiem, krzycząc wściekle i dżgając w dół dzierzonym oburącz energetycznym ostrzem. Criid, Beltayn i Adare osłaniali swego dowódcę likwidując seriami z laserów straż przyboczną oficera Ershuli.

Energetyczny miecz zetknął się z tarczą pola siłowego. Generator pola był modelem produkowanym na zajętych przez Chaos świecie zbrojeniowym Ermune – konstrukcja niezwykle silna i efektywna. Miecz Gaunta dla odmiany był tak stary, że nikt nie znał jego pochodzenia. Przebił tarczę pola niczym igła przeszywająca balon.

Kokon energii zgasł z głośnym syczeniem i ostrze miecza opadło niżej, przebijając wyjącego przeraźliwie heretyka.

Pułkownikkomisarz wyrwał klingę z trupa i uniósł ją wysoko ponad głowę. Wciąż jeszcze żywi Infardi należący do straży przybocznej oficera zawrócili rzucając się do panicznej ucieczki. Ujrzana własnymi oczami śmierć przełożonego zdołała nadkruszyć ich szaleńczą pewność siebie.

a

Był to zaledwie znikomy tryumf w piekle bitewnego chaosu. Major Rawne, dowodzący linią obrony w obrębie głównej bramy, nie dostrzegwał nawet śladu chwilowego wytchnienia w opętanym szturmie heretyków. Infardi parli na jego ukrytych w śnieżnych okopach i na wale żołnierzy szybciej niż lojaliści nadążali z ich zabijaniem. Kilka samobieżnych haubic toczyło się za plecami napastników strzelając w trakcie ruchu, ich pociski spadały z wizgiem

na pozycje lojalistów wyrzucając w powietrze bryły ziemi i lodu. Dwa rozerwały się w obrębie zewnętrznego muru Świątyni, jeden z nich uderzył bezpośrednio w wał demolując go na długości dziesięciu metrów.

Rawne spostrzegł Szarego Vengera sunącego poprzez śnieg, posyłającego snopy jaskrawego światła w kierunku odległych Usurperów. Jedna z haubic została trafiona kolosalną wiązką lasera, wyleciała z ogłuszającym hukiem w powietrze. Wystrzelwane z ręcznych granatników ładunki odbijały się ze szczękiem od kadłuba Destroyera. Lew Pardui staranował swym ciężarem grupę heretyków, pędząc do przodu z opuszczonym spychaczem, próbując wyjść na pozycję odpowiednią do oddania strzału w stronę wrogich haubic. Artyleryjski pocisk nadleciał Imperator jeden wie skąd zrywając lewą gąsienicę czołgu i maszyna zatrzymała się w miejscu. Wyjacy przeraźliwie Infardi obleźli Lemana Russa niczym stado wielkich mrówek, ich zielone uniformy przysłoniły kadłub pojazdu. Rawne zaczął krzyczeć chcąc skierować część bezpośredniego ognia swych ludzi na unieruchomiony czołg, lecz dzieliła ich od wozu zbyt duża odległość, by zdolali przepędzić napastników. Włazy maszyny zostały otwarte siłą lub wysadzone za pomocą granatów i zdziczała banda zaczęła wywlekać na zewnątrz wrzeszczących czołgistów.

- Feth, nie ! – jęknął z rozpaczą Rawne.

Kolejny pocisk śmignął bez ostrzeżenia w powietrzu i rozsadził Lwa Pardui od środka uśmiercając przy okazji kilka tuzinów heretyckich żołnierzy. Żądza zniszczenia imperialnych czołgów opętała artylerzystów Ershuli bez reszty.

Tkwiący w okopie dziesięć metrów na lewo od majora szeregowiec Larkin kłął i krzyczał równocześnie, domagając się ubezpieczenia ogniowego. Snajper zsunął się ze stanowiska strzeleckiego, Cuu i Tokar bez słowa zajęli jego miejsce.

Lufa snajperki Larkin uległa stopieniowi. Duch zdjął błyskawicznie tłumik światła zamontowany na końcu broni, po czym przekręcił i wyrzucił uszkodzoną lufę. Tanithijczyk był tak dalece doświadczony w demontażu swej broni, że potrafił wymienić lufę typu XC 52/3 w niecałą minutę. Lecz jego torba była już pusta.

- Feth ! – snajper podczołgał się do strzelającej kawałek dalej Bandy – Verghastytko ! Gdzie masz zapasowe lufy ?!

Banda wystrzeliła ponownie, a potem sięgnęła dłonią w dół otwierając swoją torbę.

- W środku ! Z boku ! – krzyknęła.

Larkin przypadł do torby i wyjął z niej zawinięty w natłuszczone szmatki pakunek. Odwinął materiał odsłaniając trzy lufy XC 52/3.

- To wszystko, co masz ?

- Twestish miał tylko tyle.

Larkin założył na swą broń jedną z luf, przekręcił ją i zamontował pośpiesznie tłumik światła.

- Zapas nie wystarczy nam na długo ! – krzyknął.

- Mamy więcej w magazynie, Tanithijczyku ! – zawołał Cuu zatraskując w swym karabinie nowy akumulator.

- Pewnie, tylko kto poleci teraz do Świątyni po nowe lufy ?!

- W sumie racja – wymamrotał Cuu przykładając kolbę broni do ramienia.

Larkin dmuchnął kilkakrotnie na swe zmarznięte dłonie i powrócił do strzelania.

- Jaki masz wynik ?! – syknął.

- Dwudziestu trzech – odparła Banda nie odrywając oka od celownika.

Dwóch mniej od niego samego. Feth, była naprawdę dobra.

Lecz z drugiej strony, jaki sens miała cała ta rywalizacja, skoro na przedpolu Świątyni kłębił się tak liczny tłum najeźdźców ?

Rawne zdołał zgromadzić przy sobie drużynę Duchów, ukrytą za płonącym wrakiem jednej z Chimer. Lillo, Gutem, Coccoer i Baen klęczeli w śniegu obok majora strzelając poprzez kłęby dymu buchające z dopalającego się transportera. Chwilę później Luhana, Filain, Caill i Mazzedo podbiegli do reszty grupy otwierając ogień krzyżowy koordynowany przez Feygora.

Rawne machnął ręką nakazując trzeciej sekcji – w której skład wchodził Orul, Sangul, Dorro, Raess i Muril – obejście wraku z drugiej strony. Gwardziści dotarli na wyznaczone pozycje w tej samej chwili, kiedy Ershuli runęli do kolejnego ataku. Dwa wystrzelone z AT70 pociski eksplodowały niczym miniaturowe wulkany pośród Duchów obracając Filaina i Mazzedo w krwawe strzępy. Coccoer został pocięty gorącymi szrapnelami, runął w śnieg krzycząc z bólu. Jego krew parowała w mroźnym powietrzu. Gutem i Baen rzucili się do przodu chcąc wciągnąć rannego Tanithijczyka pod osłonę Chimery, ale niemal natychmiast Gutes upadł postrzelony w nogę. Baen odwrócił głowę zaskoczony upadkiem towarzysza i wtedy został dwukrotnie trafiony w tors. Padł bez słowa na twarz.

Infardi runęli na lojalistów od lewej, lufy ich broni błyskały rytmicznie. W zacieklej wymianie ognia zginęli Orul i Sangul, wiązki energii przepaliły wielokrotnie ich chronione lekkimi kamizelkami ciała. Dorro zdołał wciągnąć za wrak transportera Coccoera i Baena, ale sam chwilę potem został z taką siłą postrzelony w szczękę, że impet tego trafienia złamał mu z suchym trzaskiem kark.

Rawne leżał w śniegu z Luhanem, Feygorem, Caillem i Lillo, osłaniając ogniem Raess i Muril, klęczące przy trójce rannych Duchów.

- Trójka ! Mówi trójka ! Jesteśmy przyciśnięci ogniem !

Dymiący pięćdziesiąt metrów dalej wrak ciężarówki Munitorium zadygotał i przewrócił się na burtę uderzony przez coś ciężkiego. Przez ułamek chwili Rawne poczuł ogromną ulgę sądząc, że z pomocą nadjeżdża jeden z pardusyckich Conquerorów.

Major nie miał racji. Nadjeżdżał SteG 4, toczący się poprzez głęboki śnieg na szerokich oponach brudnych od oleju i krwi.

- Feth ! Cofać się, cofać !

- A niby kurwa gdzie ?! – zawył Lillo.

SteG wypalił z działka, pocisk przebił na wylot wrak Chimery.

Za plecami majora rozległ się dziwny przenikliwy dźwięk. Na poły zwierzęcy, na poły hydrauliczny wizg zniżał coraz bardziej ton i wiązka potężnej energii uderzyła w przód SteGa. Boczne burty pojazdu dosłownie odpadły od konstrukcji, wóz stanął w miejscu buchając kłębami dymu.

- Cofać się, do mnie ! – krzyknął komisarz Hark strzelając ponownie z plazmowego pistoletu, tym razem prosto w grupę nadbiegających heretyków. Gwardziści pochwycili Gutesa, Coccoera i Baena wlokąc rannych towarzyszy do odległego o dwadzieścia metrów okopu.

- Jestem zaskoczony, że pana widzę – oświadczył chłodno Rawne mierząc Harka wzrokiem.

- Och, z pewnością, majorze. Lecz nie miałem zamiaru siedzieć w Świątyni w beczynnym oczekiwaniu na koniec.

- Nie przyjdzie panu czekać na ten moment długo – oświadczył Rawne wymieniając baterię w karabinie – Jest pan bez wątplenia zachwycony, że to właśnie teraz, nieprawdaż ? To ostatnia bitwa Gaunta i jego Duchów.

- Ja... - zaczął Hark, ale nie dokończył. Jako komisarz, nawet nie lubiany, nawet skrajnie niepopularny, miał obowiązek inspirować ludzi i tłumić w zarodku tak defetystyczne opinie jak ta wygłoszona przez majora. Lecz teraz nie potrafił tego uczynić. Spoglądając na nadciągające rzesze heretyków nie potrafił zanegować usłyszanych słów.

Irytujący major miał całkowitą rację.

Gaunt również był tego świadom. Żołnierze padali wokół niego jeden za drugim. Widział Caffrana, rannego w nogę, ciągniętego za kołnierz przez szukającą rozpaczliwie osłony Criid. Widział jak trafiony dwukrotnie Adare przewraca się na śnieg drgając konwulsyjnie. Jak dwa verghastyckie Duchy wylatują w powietrze ciśnięte w górę eksplozją artyleryjskiego pocisku. Omal nie potknął się o wykręcone nienaturalnie ciało szeregowca Brehla, pokryte zamrożonymi kropelkami krwi przywodzącymi na myśl miniaturowe szmaragdy.

Laserowa wiązka trafiła pułkownikakomisarza w lewe ramię omal nie zbijając go z nóg. Druga ułamek sekundy potem przepaliła na wylot luźny rękaw płaszcza.

- Pierwszy i Jedyne ! – krzyknął na całe gardło Gaunt – Pierwszy i Jedyne !

a

Coś zaczęło się dziać na niebie. Do tej pory lodowato niebieskie, zmieniło nieoczekiwanie barwę na całą gamę odcieni żółci, przenikających się wzajemnie, pełne skotłowanych chmur. Z głębi przełęczy uderzyła fala silnego wiatru, nienaturalnie ciepłego o tej porze roku.

- Co to takiego, kurwa mać ? – wymamrotała wstrząśnięta Banda.

- Och, nie – wyjąkał Larkin – Szaleństwo Chaosu. Cholerne szaleństwo Chaosu.

Purpurowoszkarlatne zorze zapłonęły osobliwym blaskiem w przestworzach, krwawe wiry zawirowały na niebie przywodząc na myśl płamy poruszającego się atramentu.

Fioletowobiałe błyskawice zaczęły ciąć niebiosa, towarzyszące im grzmoty wprawiły szczyty gór w drżenie.

Dzikie walki ustały niemal natychmiast. Zaskoczeni Infardi uciekali w stronę przełęczy, porzucając na pastwę losu swych rannych i uszkodzone pojazdy. Masowy odwrót przybrał tak paniczne rozmiary, że przedpole Świątyni opustoszało całkowicie w niecałe dziesięć minut.

Imperialni żołnierze dygotali z przerażenia na swych stanowiskach. Systemy łączności przestały działać, na wszystkich częstotliwościach niósł się ten sam radiowy pisk. Wielu gwardzistów wyrывało słuchawki z uszu z okrzykami bólu; Raglanowi pękły bębni, zanim zdążył zdjąć swoje słuchawki z głowy. Napięcie statyczne trzaskało donośnie, po obudowach karabinów skakały ogniki elektrycznych łuków, ludzkie włosy stawały dęba. Na szczytach dachów Świątyni zapłonęły chorobliwie zielone zimne ognie.

W obliczu nieuniknionej porażki coś uratowało nieoczekiwanie Gaunta, a przynajmniej odwróciło na pewien czas chwilę zagłady straży honorowej.

Ironia losu sprawiła, że czymś tym był sam Chaos.

a

- Skonsultowałem się w tej sprawie ze świątynnymi astropatami – oświadczył ayataniayt Cortona – To burza podprzestrzenna, lokalne zaburzenie pływów Osnowy. Ogarnęła całą okolicę hagiańskiego systemu.

Gaunt siedział na stołku w jednej z głównych komnat gościnnych Świątyni, rozebrany do pasa. Lesp zszywał w milczeniu ranę na jego ramieniu.

- Przyczyna ? – zapytał pułkownikkomisarz.

- Flota Arcynieprzyjaciela – odparł Cortona.

Gaunt uniósł pytająco brew.

- Podobno nie miała dotrzeć do nas wcześniej niż za pięć dni ?

- I nie sądzę, by przyleciała wcześniej. Niemniej jednak armada tak wielkich rozmiarów, poruszająca się w ciasnym szyku poprzez Osnowę, potrafi wykształcić silne zaburzenia, na podobieństwo kilwatu pozostającego za morskim okrętem.

- I ta właśnie fala wyprzedziła flotę uderzając w Hagię ? Rozumiem – Gaunt wstał ze stołka i poruszył na próbę obandażowanym ramieniem – Dziękuję, Lesp. Jak zwykle pierwszorzędna robota.

- Sir. Zakładam, że prośba o dłuższy odpoczynek nie ma teraz większego sensu.

- Nic z tego. Jeśli ujdziemy stąd z głową, wszyscy odpoczniemy.

- Sir.

- Idź teraz do stacji medycznej i zajmij się innymi, wielu ludzi potrzebuje jeszcze pomocy.

Sanitariusz zasalutował, zarzucił na ramię swoją torbę i wyszedł pośpiesznie z sali. Gaunt wciągnął na siebie podkoszulek i razem z Cortoną podszedł do jednego z otwartych okien pomieszczenia, by ogarnąć wzrokiem szalejącą w niebiosach ponad Świętymi Wzgórzami.

- Nie ma już stąd ucieczki.

- Pułkownikukomisarzu ?

Gaunt odwrócił głowę spoglądając na starszego wiekiem kapłana.

- Nie ma nic dobrego w tym sztormie, ayataniayt, ale mimo wszystko czerpię z niego masochistyczną satysfakcję. Gdybym trzymał się swych rozkazów i powrócił do Doctrinopolis, i tak bym do dzisiaj tam nie dojechał, nawet z pełną prędkością i bez przeszkód po drodze. Więc i tak zostalibyśmy aa uwięzieni na powierzchni planety.

- Podobnie jak Lugo i kilkaset ostatnich statków transportowych – oświadczył Hark pojawiając się zniemacka bez ostrzeżenia. Cały komisarz Hark.

- Mógłbym przysiąc, że jesteś wręcz zadowolony – odezwał się po chwili namysłu Gaunt.

- Hagia zostanie zniszczona z orbity, sir. Zadowolenie nie jest w tym przypadku właściwym określeniem. Lecz podobnie jak ty czerpię dziwną satysfakcję na samą myśl o tym, że lord generał Lugo będzie musiał dzielić nasze cierpienie.

Gaunt zaczął zapinać guziki swej kurtki.

- Major Rawne, oficer dość obcesowy i skąpy w pochwałach, poinformował mnie, że przyniosłeś nam dzisiaj powody do dumy. Że uratowałeś zarówno jego jak i paru innych dobrych ludzi.

- Nie zrobiłem tego dla ciebie. Służę Złotemu Tronowi Terry. Jestem żołnierzem Imperatora i będę pełnił swe obowiązki aż do śmierci. Imperator strzeże.

- Imperator strzeże – powtórzył Gaunt – Posłuchaj, komisarzu... chociaż nie wiem, ile warte będą te słowa. Nigdy nie wątpiłem w twoją odwagę, lojalność i kompetencje. Walczyłeś dzielnie od początku naszej znajomości. Wykonywałeś swoje obowiązki bez względu na moją niechęć i dezaprobatę. Muszę przyznać, że wyjście na środek tego pokoju i próba odebrania mi komendy nad jednostką wymagały prawdziwych jaj.

- Jaja nie miały z tym nic wspólnego.

- Jaja decydują o wszystkim. Chcę, abyś wiedział, że nie napiszę na twój temat żadnego negatywnego raportu... o ile w ogóle będę miał szansę jakiś napisać. Bez względu na to, jaki meldunek ty złożysz. Nie żywię wobec ciebie żadnych złych intencji. Zawsze traktowałem swoje obowiązki względem Imperium cholernie poważnie. Cholernie poważnie. Nie wiem jak mógłbym żywić urazę do kogoś, kto w identyczny sposób podchodzi do swoich zadań.

- Ja... chciałbym podziękować za tę otwartość i szczerłość. Życzyłbym sobie, żeby istniała taka możliwość... a chyba ciągle istnieje... abyśmy zmienili charakter naszych wzajemnych stosunków. To byłby zaszczyt móc służyć z tobą i Pierwszym Tanithijskim bez tego piętna niechęci nad moją głową.

Gaunt wyciągnął przed siebie rękę, Hark uściśnął ją krótko.

- Też tak sądzę.

Drzwi wejściowe do sali otworzyły się szeroko, do środka pomieszczenia wtargnęło zimne powietrze. Przez próg przekroczyli major Kleopas, kapitan LeGuin, kapitan Marchese oraz

oficerowie Duchów – Soric, Mkoll, Bray, Meryn, Theiss i Obel. Wytrzepali podeszwy butów i strząsnęli płatki śniegu z rękawów.

- Dołącz do mnie – powiedział do Harka Gaunt. Komisarz stanął u boku dowódcy Duchów.
- Panowie, witajcie. Gdzie jest Rawne ?
- Wartownicy ogłosili jakiś alarm na peryferiach, sir Poszedł to sprawdzić – wyjaśnił Meryn. Pułkownikkomisarz skinął głową.
- Czy kapral Mkteeg faktycznie przeżył ?
- Odnaleziono go żywego, ale jest w bardzo ciężkim stanie. Jego drużyna została praktycznie wybita, ocalało tylko dwóch żołnierzy – odezwał się Soric.
- Co się stało, sir ? – zapytał kapral Obel – Co przepędziło Infardich ? Myślałem, że już po nas, naprawdę.
- Omal nas nie wykończyli, kapralu. Naprawdę. Niewiele brakowało do klęski – Gaunt szybko wyjaśnił naturę nadnaturalnego sztormu posługując się terminami, które nawet jemu brzmiały obco – Sądzę, że ta nieoczekiwana burza zszokowała Ershuli. Prawdopodobnie uznali, że to jakiś apokaliptyczny znak od ich bogów... i wpadli w panikę. Rzecz jasna nie miejmy wątpliwości, że jest to znak ich bogów. To efekt uboczny tego nagłego zjawiska. Kiedy już się przegrupują, na pewno tutaj wrócą i możecie mi wierzyć, że nastąpi to już niedługo. Teraz będą już wiedzieli, że całe piekło stoi po ich stronie.
- Więc znów uderzą ? – zapytał samego siebie Marchese.
- Uważam, że mamy spokój do zmierzchu, kapitanie. Musimy odtworzyć linię obrony, żeby zdążyć przed Ershuli.
- To tak ich teraz nazywamy, sir ? – spytał Soric.
- Nazywaj ich sobie jak chcesz, Soric.
- Bękarty ? – zaproponował Kleopas.
- Skurwysyny ? – dodał Theiss.
- Cele ? – odezwał się cicho Mkoll.
- Wszyscy mężczyźni roześmiali się zgodnie.
- Wybierzcie sobie, co chcecie – oświadczył Gaunt. Dobrze, wciąż nie zbywało im poczucia humoru.
- Bray ? Obel ? Przynieście tutaj tamten stół. Kapitan LeGuin, widzę, że przyniósł pan mapy. Biermy się zatem do roboty.
- Akurat skończyli rozkładać na blacie mapy, kiedy komunikator Gaunta aaa zapiszczał przeciągle.
- Jedyńka, słucham ?
- Na linii był oficer radiowy Beltayn.
- Major Rawne właśnie się zgłosił z przedniej linii, sir. To coś niezwykłego.
- Niezwykłego. Zawsze to nerwowe, pełne niepokoju określenie.
- A co tym razem wydarzyło się niezwykłego, Beltayn ?
- Sir... to pułkownik, sir !

a

Gaunt zbiegł po schodach i runął pędem poprzez śnieg zalegający na odkrytej przestrzeni pomiędzy pasami wałów. Rawne i grupa jego żołnierzy właśnie przechodziła przez zewnętrzną bramę prowadząc między sobą dziesięć obdartych, ślaniających się na nogach postaci, niemiłosiernie brudnych, wynędzniałych i błądych.

Pułkownikkomisarz otworzył szeroko oczy nie dowierzając wzrokowi, zamarł w bezruchu.

Szeregowiec Derin. Bragg. Verghastyckie Duchy Vamberfeld i Nessa. Kapitan Daur, wspierający na ramieniu jakiegoś pardusyckiego oficera, którego Gaunt nie znał. Dorden... BożeImperatorze ! Dorden ! I Milo, niosący w ramionach hagiańską dziewczynę.

- A z przodu, na czele grupy, szedł pułkownik Colm Corbec.
- Colm ? Colm, co ty do diabła tutaj robisz ?! – wykrztusił Gaunt.
 - Czy... czy przeoczyliśmy całą zabawę, sir ? – zapytał słabym głosem Corbec i stracił przytomność.

Rozdział XVI – Infardi

„To była zawsze jej najskuteczniejsza broń. Można to w zasadzie nazwać zaskoczeniem. Zdolność do zupełnie nieoczekiwanego działania. Zdolność przeistoczenia oczywistej klęski w zwycięstwo. Widziałem to wielokrotnie na własne oczy. Coś z niczego, tryumf zamiast przegranej. Aż do samego końca, kiedy już nie mogła uczynić żadnego ze swych cudów. Wtedy upadła” – marszałek wojny Kiodrus, Ścieżka Dziewięciu Ran: Historia Służby dla Świętej.

Po szesnastym dniu nadeszła noc, lecz nie zapadły bynajmniej ciemności. Energia Osnowy rozpaliała przestworza ponad świątynią pulsującym chorobliwie kalejdoskopem barw i elektromagnetycznych zakłóceń. Śnieg przestał padać, toteż stojący na murach świątyni obrońcy mogli w milczeniu spoglądać na obraz barwnego sztormu odbijający się w lodzie pokrywającym szczyty Świętych Szczytów.

Panowała niewzruszona, wręcz nabożna cisza. Pastelowe kolory mieszały się ze sobą na niebie tworząc coraz to nowe, rozmazane kształty. Nawet wiatr przestał wiać, a temperatura podniosła się do poziomu nieco ponad zero stopni, być może z powodu nadnaturalnego charakteru widowiska rozgrywającego się w przestworzach.

W jednej z sal gościnnych monasteru kilku ayatani zapaliło olejne lampy, po czym wyszło bez słowa z pomieszczenia. Gaunt zdjął swoją czapkę i rękawiczki, odłożył je na blat drewnianego stolika.

- Jestem... jestem niezmiernie rad, że mogę was widzieć, ale ta część mego umysłu, która jest komisarzem bardzo chciałaby poznać przyczyny tego spotkania. Cholera, Colm ! Jesteś ranny, a przy tym otrzymałeś wyraźny rozkaz ewakuacji !

Corbec siedział na niskim łóżku przystawionym do jednej ze ścian pomieszczenia, opatulony szczelnie swym kamuflującym płaszczem i ściskający w dłoniach miskę gorącej zupy.

- To prawda, sir. Obawiam się, że nie mogę tego wyjaśnić.
- Nie możesz wyjaśnić ?
- Nie, sir. Nie w taki sposób, by uniknąć posądzenia o utratę zmysłów, zakucia w kajdany i natychmiastowego umieszczenia w izolatce.
- Cóż, może jednak zaryzykujemy – oświadczył Gaunt. Pułkownikkomisarz nalał sobie szklankę sacry, ale zaraz uznał, że nie ma na alkohol ochoty. Wyciągnął naczynie w stronę majora Rawne, ten jednak tylko pokręcił przecząco głową. Szklankę przyjął Dorden, upił z niej nieco płynu. Główny oficer medyczny regimentu siedział opodal rozpalonego kominka. Gaunt jeszcze nigdy nie widział go tak zmęczonym i postarzałym jak w tym momencie.
- Powiedz mu, Colm – rzekł lekarz – Powiedz mu, do cholery. Ja też ci za pierwszym razem nie uwierzyłem, pamiętasz ?
- Owszem, nie uwierzyłem – przyznał Corbec. Dopił swoją zupę, odłożył miskę i wyjął z kieszeni munduru paczkę cygar, po czym wyciągnął ją przed siebie w geście propozycji.
- Jeśli można – odezwał się nieoczekiwanie ayatani Zweil, wstając ze swej rozłożonej na podłodze maty. Corbec podał mu cygaro z zaskoczonym uśmiechem na ustach, przypalił je zapalniczką.

- Nie kurzyłem od lat – przyznał się Zweil wciągając tytoniowy dym w płuca – Cóż takiego może mi ten nałóg zrobić ? Zabić ?
- To teraz najmniejsze z twoich zmartwień, ojczy – odparł Rawne.
- Szczera prawda.
- Wciąż czekam na wyjaśnienia, Colm – powiedział Gaunt.
- Więc... pozwól mi... jakby to ująć... cóż, chodzi o to... na początku...
- Święta do niego przemówiła – oświadczył zniechęca Dorden.
- Zweil zakrztusił się i zaczął spazmatycznie kaszleć. Corbec pochylił się do przodu klepiąc starego kapłana po plecach.
- Corbec ? – warknął pułkownikkomisarz.
- No przecież zrobiła to, prawda ? – westchnął Dorden przenosząc spojrzenie na Gaunta i Rawne – Nie patrzcie na mnie w ten sposób, obaj. Wiem doskonale jak niewiarygodnie to zabrzmiało. Tak samo się poczułem, kiedy Colm opowiedział to mnie. Lecz powiedzcie sami... na boskiego Imperatora, w jaki sposób tak stary człowiek jak ja zdołałby zgodzić się dobrowolnie na całą tę podróż ? Przeklęta Drabina Niebios ! Omal nas wszystkich nie zabiła ! Lecz żaden z nas nie jest szalony. Żaden, nawet Colm.
- Serdeczne dzięki – mruknął pod nosem Corbec.
- Potrzebuję bardziej rzeczowych wyjaśnień – oświadczył Gaunt.
- Cholernie bardziej rzeczowych – zgodził się Rawne sięgając po butelkę z sacrą.
- Miałem sny. O moim ojcu. O Tanith i Pryze County – przyznał Corbec.
- A więc tutaj zmierzamy... - mruknął Rawne.

- Wynoś się, jeśli nie chcesz słuchać ! – warknął podniesionym głosem Dorden. Major wzruszył ramionami i usiadł na swym krześle. Jeszcze nigdy nie zdarzyło się, by oficer medyczny potraktował go w podobny sposób.
- Ojciec próbował mi coś powiedzieć – ciągnął dalej Corbec – Te sny pojawiły się krótko po moim uwolnieniu z rąk Ojca Sina.
- Efekt uboczny psychicznego wstrząsu ? – zasugerował Gaunt.
- Cóż, całkiem możliwe. Jeśli to ułatwi całą sprawę, możemy przyjąć, że pokonałem te cholerne trzysta kilometrów po to, by stanąć razem z wami na ostatniej rubieży Tanithijczyków. A towarzyszący mi ludzie okazali się dostatecznie głupi, by pójść w moje ślady.
- To dość wiarygodne założenie – zgodził się cierpko Rawne.
- Popieram, majorze – kiwnął głową Gaunt – Niemniej jednak spraw nam przyjemność, Colm, i opowiedz resztę tej historii.
- Poprzez mojego ojca przemówiła do mnie święta. Nie mogę tego w żaden sposób udowodnić, ale wiem, że tak się właśnie stało. Wezwała mnie. Nie wiedziałem, co mam robić. Myślałem, że to początek szaleństwa, dopóki nie odkryłem, że Daur czuje coś podobnego. Od chwili, kiedy został ranny, miał nieodparte przecucie, którego nie potrafił się w żaden sposób pozbyć.
- Kapitanie ? – chrząknął Gaunt. Daur siedział w kącie pokoju i do tej pory nie zabierał głosu w dyskusji. Wyziębienie organizmu i potworny wysiłek włożony w podróż ogromnie go wyczerpały.
- Było dokładnie tak jak powiedział pułkownik. Miałem... przecucie.
- W porządku – Gaunt przeniósł spojrzenie z powrotem na Corbeca – I co dalej ? Wasze przecucia okazały się tak silne, że razem z Daurem złamaliście rozkazy, dokonując dezercji i zabierając ze sobą resztę grupy ?
- Coś w tym stylu – przyznał kiwnięciem głowy Corbec.
- Złamanie rozkazów... gdzie ja niedawno coś podobnego słyszałem ? – wymamrotał Zweil zapalając ponownie swe cygaro.

- Zamknij się, ojczy – burknął Gaunt.
- Corbec powiedział mi o swoich planach – wtrącił cicho Dorden – Opowiedział o tym, co działo się w jego głowie i o swoich zamiarach. Wiedziałem, że próbował przeciągnąć na swoją stronę zdolnych do walki żołnierzy. Próbowałem go powstrzymać. Ale...
- Ale ?
- Ale wtedy święta przemówiła też do mnie.
- O kurwa ! – sapnął major Rawne.
- Przemówiła do ciebie, Tolinie ? – zapytał opanowanym głosem Gaunt.
Lekarz skinął głową.
- Wiem jak to brzmi. Ale pamiętam dobrze te sny. O moim synu. Mikalu.
- To zrozumiałe, doktorze. Jego śmierć była niepowetowaną stratą dla Duchów i dla ciebie samego.
- Dziękuję, sir. Lecz im dłużej Colm opowiadał mi o swoich snach, tym bardziej uświadamiałem sobie, jak moje są do nich podobne. Jego nieżyjący ojciec. Mój nieżyjący syn. Przybywający do nas z taką samą wiadomością. Kapitan Daur odczuwał coś zbliżonego do naszych wrażeń. Ktoś... coś... próbowało się z nami skontaktować.
- Więc wszyscy trzej zdezerterowaliście ?
- Tak, sir – przyznał Daur.
Gaunt odetchnął głęboko.
- A co z resztą ? Oni też doznali objawienia ?
- O ile mi wiadomo, nie – odpowiedział Corbec – Po prostu ich zwerbowałem. Milo przyjechał z rannymi i za wszelką cenę chciał dołączyć z powrotem do kompanii, więc w jego przypadku nie mieliśmy żadnych problemów. Zabrał ze sobą tę dziewczynę, Sanian. To esholi. Wiedzieliśmy już wcześniej, że będziemy potrzebować lokalnego przewodnika, ale bez jej pomocy na pewno nigdy nie dotarlibyśmy tutaj żywi. Albo zginęlibyśmy w walce albo w śnieżycy.
- Odnalazła dla nas naszą ścieżkę – uśmiechnął się posępnie Dorden – Modłę się do Złotego Tronu, by odnalazła też swoją własną.
- Bragg. Cóż, znasz go przecież dobrze. Zrobi wszystko, o co go poproszę – podjął wątek Corbec – Był szczęśliwy, że może nam pomóc. Derin też. Vamberfeld, Nessa. Kiedy pułkownik, kapitan i główny lekarz proszą ich o złamanie zasad i pomoc w sprawie decydującej o życiu lub śmierci, rezultat jest łatwy do przewidzenia. Żadnego z nich nie należy o nic oskarżać. Żadnego karać. Dali z siebie wszystko. Dla ciebie.
- Dla mnie ? – chrząknął Gaunt.
- Dlatego właśnie zrobili to wszystko. Przekonaliśmy ich, że wezmą udział w misji specjalnej o niezwyklej wadze. Misji, którą osobiście zaaprobowalesz. Której wykonania od nich oczekiwałeś. Dla dobra Duchów i Imperium.
- Mówiłeś o przekonywaniu, Corbec – odezwał się Rawne – Budzi to dziwne skojarzenia z kłamstwem.
- Nikt z nas nie skłamał, majorze – parsknął Daur – Wiedzieliśmy, co musimy zrobić i powiedzieliśmy o tym pozostałym. Poszli za nami, ponieważ byli lojalnymi Duchami.
- A co z tym Pardusytą ? Sierżantem Greerem ?
- Potrzebowaliśmy kierowcy, sir – wyjaśnił Daur – Poznałem Greera krótko wcześniej. Nie trzeba go było zbyt długo przekonywać.
- Opowiedziałeś mu o świętej i jej objawieniach ?
- Tak, sir. Rzecz jasna w nic nie uwierzył.
- Rzecz jasna – mruknął pod nosem Rawne.
- Tak więc... - Daur urwał na moment wyraźnie zawstydzony – Powiedziałem mu, że zdezerterowaliśmy, ponieważ zamierzamy odnaleźć i zagarnąć złoto przechowywane przez ayatani ze Świętych Szczytów. Wtedy z chęcią do nas przystał – kapitan strzelił palcami.

- Nareszcie – Rawne podniósł się z krzesła i podszedł do stolika, by napełnić swoją szklanę
- To jest wyjaśnienie, które potrafię zrozumieć.
- Ayatani przechowują jakieś złoto w Świętych Szczytach ? – Zweil wypuścił z ust niewielkie, perfekcyjnie okrągłe kółko tytoniowego dymu.
- Raczej bym w to nie wierzył, ojcie – wymamrotał Daur.
- Dobrze. Doznałbym szoku na wieść o tym, że byłem ostatnią osobą, która poznała ten fakt.
- Gaunt usiadł na krześle tuż obok drzwi, ale niemal natychmiast podniósł się z powrotem na nogi. Corbec wyczuwał jego nerwowość i niepewność.
- Przykro mi, Ibramie... - zaczął. Gaunt przerwał mu szybkim ruchem dłoni.
- Poczekaj, Colm. Powiedz mi jedno... Załóżmy, że uwierzę w całą tę waszą historię. Co wydarzy się teraz ? Po co ściągnięto tu was wszystkich ?
- Corbec spojrział na Dordena, ten tylko wzruszył ramionami. Daur skrył twarz w dłoniach.
- Sądziliśmy, że tutaj wszystko się wyjaśni – oświadczył pułkownik.
- Tu się wyjaśni ? – parsknął Rawne – Wybacz mi, Gaunt, ale sądzę, że nasza sytuacja już dawno się wyjaśniła.
- Być może, majorze... więc żaden z was nie ma pojęcia, po co właściwie tutaj przybyliście ?
- Nie, sir – oświadczył Daur.
- Żadnego – dodał Corbec.
- Przykro mi – Dorden zwiesił głowę.
- W porządku – westchnął Gaunt – Udajcie się do wyznaczonych kwater i odpocznijcie.
- Trzej niedoszli dezernerzy skinęli w milczeniu głowami i zaczęli podnosić się z krzesel.
- Nie, nie, nie ! – odezwał się zniecierpliwiony Zweil – To się nie skończy w taki sposób ! Nic z tego !
- Ojcie – zaczął Gaunt – Jest już późno, a jutro rano najpewniej wszyscy umrzemy. Niech idą spać.
- Nie pozwalam – syknął Zweil gasząc niedopałek cygara w popielniczce – Świętny tytoń, pułkowniku, dziękuję. A teraz siadajcie i opowiedzcie mi więcej.
- Nie ma ku temu odpowiedniego czasu, ojcie – nie ustępował Gaunt.
- A właśnie, że jest. Jeśli nie teraz, to diabli wiedzą, kiedy indziej trafi się kolejna sposobność. Święta przemówiła do tych ludzi i przysłała ich do nas w błogosławionej misji !
- Proszę – jęknął zrezygnowany Rawne.
- Błogosławiona misja ! Czy wam się to podoba czy nie, czy w to wierzycie czy nie, ci ludzie to Infardi !
- Kim oni są ?! – krzyknął Rawne zrywając się z krzesła i sięgając po swój pistolet.
- Infardi ! Infardi ! Jak wy to mówicie... pielgrzymi ! To cholerni pielgrzymi ! Pokonali całą tę drogę dzięki opatrności świętej. Nie odrzucajcie lekką ręką ich poświęcenia !
- Siadaj, Rawne, i odłóż ten pistolet. Co zatem sugerujesz nam uczynić, ojcie Zweil ?
- Zadaj im oczywiste pytanie, pułkownikukomisarzu.
- Które brzmi ?
- Co takiego powiedziała im święta ?
- Gaunt przecesał palcami swoje jasne włosy, jego dłonie drżały nieznacznie.
- W porządku. Dla celów protokolarnych zadam to pytanie... co takiego powiedziała wam święta ?
- Męczeństwo Sabbat – odpowiedzieli równocześnie Dorden, Corbec i Daur.
- Gaunt opadł na swoje krzesło z wyrazem bezbrzeżnego zdumienia na twarzy.
- Och, feth – wymamrotał.
- Sir ? – odezwał się Rawne odwracając z niepokojem głowę – Co to oznacza ?
- To znaczy, że do mnie prawdopodobnie też przemówiła.

a

- Sanian ? – zawołał Milo przemierzając ciemne korytarze świątyni. Wiatr zawodził w wąskich kominach budowli, odbłask nienaturalnej zorzy rozpalającej niebios a iluminował gładko wypolerowane ściany i posadzki pomieszczeń. Żołnierz spostrzegł niewielką postać siedzącą na jednej z ławek ustawionych w sali modlitewnej.

- Sanian ?

- Cześć, Milo.

- Co tutaj robisz ?

Widział wyraźnie, co takiego robiła. Powolnymi, niewprawnymi ruchami próbowała rozłożyć i złożyć z powrotem laserowy karabin. Spojrzała na nadchodzącego gwardzistę, odłożyła na krawędź ławki obudowę komory i zabrudzoną olejem szmatkę, po czym znieacka pocałowała Brina w policzek. Jej długie palce pozostawiły smugę oleju na skórze jego podbródka.

- Za co to ?

- Za twoją pomoc.

- Jaką pomoc ?

Nie odpowiedziała od razu. Przygryzając wargi próbowała zamontować lufę broni, ale wkręcała ją w niewłaściwy sposób.

- Pozwól mi to zrobić – oświadczył Milo wyciągając części karabinu z jej rąk – Cóż to za pomoc, za którą jesteś mi wdzięczna ?

Patrzyła jak zdradzającymi doświadczenie ruchami szybko składa poszczególne elementy lasera.

- Bądź błogosławiony, Brin. Niechaj święta cię wynagrodzi.

- Dlaczego ? Czym sobie na to zasłużyłem ? – oddał jej posłusznie broń widząc wyciągnięte dłonie dziewczyny.

- Ty – uśmiechnęła się błyskając zębami – Ty i twoje Duchy. Dzięki wam odnalazłam swoją drogę. Nie jestem już esholi. Ujrzałam swą przyszłość. Ujrzałam swoje przeznaczenie.

- Twoją przyszłość ? I... czym ona jest ?

Za oknami sali modlitewnej nocne przestworza kłębiły się w ferii przerażających epileptycznych barw.

- To jedyna droga dla nas wszystkich – odparła dziewczyna.

a

- Przykro mi to mówić, ale to szaleństwo ! – krzyknął Rawne próbując nadążyć za Gauntem, Dordenem, Zweilem i Daurem, podążającymi śpiesznym krokiem w kierunku głównej kaplicy kompleksu.

- Co to za zamieszanie ? – zapytał jakiś ayatani wychodząc zza podwójnych drzwi mijanego pokoju.

- Wracaj z powrotem do łóżka – zganiał go obcesowo Zweil.

Gaunt zatrzymał się raptownie i cała reszta grupy wpadła z rozpędu na jego plecy. Pułkownikomisarz obrócił się na piętach.

- Rawne ma rację ! To jakaś absolutna bzdura ! Tam nic nie ma !

- Przecież sam przyznałeś, że jakiś głos powtarzał ci kilka razy słowa „Męczeństwo Sabbat” – przypomniał zdyszany głosem Dordena.

- Powtarzał ! Wydaje mi się, że powtarzał ! Feth, to jakieś szaleństwo !

- Jak długo my myśleliśmy, że to szaleństwo ? – zapytał Dordena spoglądając na Corbeca.

- Nieważne jak głupio to brzmi ! – syknął Zweil – Wejdz tam ! Do kaplicy ! Sprawdź to !

- Już tam byłem, przecież o tym wiesz ! – oświadczył Gaunt.

- Owszem, sam. Nie w towarzystwie innych Infardi.
- Życzyłbym sobie, żebyś przestał używać tego słowa, ojczulku ! – warknął Rawne.
- Życzyłbym sobie, żebyś się odpierdolił ! – odparował Zweil.
- Przestańcie ! Wszyscy natychmiast się zamknijcie ! – wybuchnął Gaunt – Dobra, wejdźmy tam i zobaczymy, co się stanie...

a

- Vams ? – wyszeptał Bragg otwierając ciężkie, pomalowane na czerwono drzwi kaplicy. Mężczyzna nie był do końca pewien, gdzie właściwie zawędrował, ale wygląd pomieszczenia podpowiadał mu, że nie było to raczej miejsce przeznaczone do spacerów.

Wielkie pomieszczenie było pogrążone w półmroku. Olbrzym ruszył ostrożnie do przodu, starannie następując na wyłożoną miniaturowymi płytkami posadzkę. Błyszcząca podłoga sprawiała wrażenie bardzo cennej, zbyt cennej, by można ją było narażać na kontakt z jego wielkimi butami.

- Vams ? Hej, stary ?

Budzące lęk holograficzne podobizny Kosmicznych Marines pulsowały bladym światłem w zaciemnionych alkowach sali.

- Psiakrew ! Vams !

Za lśniącym gładkością ołtarzem Bragg dostrzegł klęczącego na posadzce Vamberfelda, pochylonego nad czymś, co przypominało drewnianą skrzynkę.

- Vams ? – Bragg podszedł ostrożnie do ołtarza – Co ty tutaj robisz ?

- Popatrz, Bragg ! – odparł podekscytowany Duch podnosząc w rękach jakiś wyjęty ze skrzynki obiekt – To jej pasterski kij, wykonany z gałęzi jiddi ! Sabbat używała go do zapędzania chelonów na targ !

- To wspaniałe, ale... chyba powinieneś odłożyć to z powrotem – wyjąkał zaniepokojony olbrzym.

- Powiniennem ? Być może... Ale popatrz tylko na to, Bragg ! Pamiętasz ten złamany uchwyt, który znalazłem ? Pasuje idealnie do rączki tego kija ! Potrafisz w to uwierzyć ? Idealnie ! Myślę, że znalazłem uchwyt laski świętej !

- Myślę, że powinieneś wrócić do łóżka, stary – oświadczył ostrożnie Bragg – Nie powinno nas tu być.

- Myślę, że powinniśmy. Myślę, że ja powinienem.

Drzwi za ich plecami skrzyknęły cicho.

- Feth ! Ktoś tu idzie – syknął wyraźnie zmartwiony Bragg – Zostań tutaj. Niczego nie dotykaj, w porządku ? Niczego – olbrzym wycofał się skrycie do ołtarza kaplicy.

- Co ty tutaj robisz ? – kilka sekund później Vamberfeld usłyszał podniesiony głos swego towarzysza.

Oderwał wzrok od relikwiarza spoglądając w stronę środka kaplicy. Bragg najwyraźniej z kimś rozmawiał.

- To samo, co ty, Tanithijczyku. Przyszedłem po złoto.

- Złoto ? Jakie złoto ? – Vamberfeld usłyszał zdumione pytanie Bragga.

- Nie próbuj mnie wykiwać, drażalu ! – oświadczył podniesiony męski głos.

- Nie zamierzam cię wykiwać. Odłóż broń, Greer. To wcale nie jest śmieszne.

Nie. Nie tutaj, proszę, pomyślał Vamberfeld. Jego dłonie ponownie zaczęły drżeć.

Podniósł się z kolan i wyszedł z relikwiarza. Greer stał pod zamkniętymi za sobą czerwonymi drzwiami. Wyglądał na chorego, zmęczonego i bardzo zdesperowanego. Celował do Bragga ze ścisiskanego w dłoń automatycznego pistoletu.

Dostrzegając postać Vamberfelda sierżant przeniósł lufę broni na drugiego intruza.

- Jesteście we dwóch, co ? Tego się spodziewałem, dlatego właśnie tutaj przyszedłem. Próbujecie mnie obrobić z mojej działki ? Daur was tu wysłał czy już zdążyliście poderznąć mu gardło ?

- O czym ty bredzisz, do kurwy nędzy ? – wykrztusił Bragg.

- O złocie ! O cholernym złocie ! Przestań zgrywać idiotę !

- Tutaj nie ma złota – oświadczył Vamberfeld próbując opanować drżenie rąk – Już ci to mówiłem.

- Zamknij się ! Masz we łbie popieprzone, świrze ! Nie chcę cię słuchać !

- Czemu nie odłożysz tej broni, Greer ? – zapytał Bragg robiąc krok do przodu. Lufa pistoletu natychmiast wycelowała w jego głowę.

- Nie ruszaj się. Nie próbuj żadnych sztuczek. Pokaż mi złoto, natychmiast ! Przyszliście tutaj wcześniej, musieliście je już znaleźć !

- Tu nie ma złota – powtórzył Vamberfeld.

- Zamknij się ! – zawył Greer celując ponownie w Verghastytę.

- To się robi nieciekawe – oświadczył spokojnie Bragg – Wszyscy musimy się uspokoić...

- W porządku, w porządku – skinął z aprobatą Greer – Podzielimy znaleźne na trzy części. Złoto jest ciężkie, sam wszystkiego nie uniosę, a nie zamierzam zostawać tu na noc. Lada godzina Chaos pochłonie tę zapadłą norę. Dzielimy na trzy części, bierzemy tyle, ile zdołamy udźwignąć. Pomożecie mi zatańczyć złoto po Drabinie do Chimery. Co wy na to ?

- Co ja na to ? Po pierwsze, dobrze wiesz, że nie zdołamy przejść z powrotem przez Drabinę, zwłaszcza z dodatkowym obciążeniem. Po drugie, cała planeta ulega Chaosowi, nie ma dokąd uciekać. I po trzecie, tutaj nie ma żadnego pieprzonego złota.

- No to pocałujcie mnie w dupę ! Wezmę sam tyle, ile zdołam ! Tyle złota, ile dam radę !

- Tu nie ma złota – powiedział Vamberfeld.

- Zamknij się, psychołu ! – wrzasnął Greer – Każ mu się zamknąć, Tanithijczyku ! Niech przestanie to powtarzać !

- Ale to prawda – nie ustępował Vamberfeld. Jego ręka drżała tak silnie, że próbując powstrzymać ten tik wsunął ją pod kamizelkę.

- Co jest, kurwa ?? Szukasz broni ?? – palec Greera zeszywniał na spuście pistoletu.

- Nie ! – krzyknął Bragg rzucając się do przodu i próbując pochwycić broń Pardusyty.

Pistolet wypalił z hukiem. Pocisk trafił Vamberfelda w środek klatki piersiowej i cisnął nim o posadzkę kaplicy.

- Vams ! – wydyszał zdjęty grozą Bragg – Niech cię Imperator przeklnie, ty skurwielu !

Potężna lewa pięść gwardzisty grzmotnęła Greera w twarz, sierżant odleciał do tyłu krztusząc się krwią tryskającą z rozciętych ust i wybitymi zębami.

Pistolet wypalił dalsze dwa razy. Pierwszy pocisk przebił prawe udo Bragga, drugi uderzył w ornamentowany kośćmi chelonów ołtarz. W powietrzu rozsypały się kawałki zniszczonych płaskorzeźb.

Bragg runął na Greera z szeroko rozłożonymi rękami.

Wystrzelona przez pardusyckiego sierżanta kula nie zdołała zatrzymać szarżującego olbrzyma, chociaż przeszła na wylot jego tors. Drugi pocisk utkwiał w ciele gwardzisty, ten jednak nadal nie zwalniał kroku. Dopiero trzecia kula powaliła wielkiego mężczyznę na twarz, tuż przed czubkami butów Greera.

- Durne sukinsyny ! – sarknął sierżant próbując zatamować ciekącą z nosa krew.

Verghastyta leżał na posadzce za ciałem Bragga, wpatrując się niewidzącymi oczami w pełny cieni sufit kaplicy. Dwie coraz większe kałuże krwi rozlewały się po błyszczących podłogowych płytkach. Pardusycki sierżant przestąpił ponad swymi ofiarami zmierzając w stronę ołtarza.

a

- Co do diabła?! Słyszeliście to?! – krzyknął Corbec.

- Strzały! W kaplicy! – zawołał Gaunt. Wyszarpnął z kabury swój boltowy pistolet i rzucił się biegiem w stronę sanktuarium. Pozostali mężczyźni popędzili w ślad za nim, grupę zamykał kuśtykający ze zmęczenia Dorden.

Pułkownikkomisarz otworzył drzwi kaplicy silnym kopniakiem, przeskoczył przez próg komnaty.

- Och, nie! Feth! Doktorze! – wrzasnął Corbec dostrzegając nieruchome ciała i plamiącą posadzkę krew.

- Kto to zrobił? – wydyszał Zweil.

- Tam! Padnij! – krzyknął ostrzegawczo Rawne. W ręce majora trzasnął odbezpieczony pistolet.

Kucający w relikwiarzu Greer wślizgnął się za krawędź ołtarza. W trakcie desperackich poszukiwań sierżant przewrócił drewnianą skrzynkę wysypując na podłogę starożytne relikwie. Antyczny pancerz siłowy typu Imperator wisiał przekrzywiony w swej częściowo rozbitej gablocie.

- Gdzie ono jest?! Gdzie jest złoto, wy skurwysyny?! – zawył Pardusyta oddając na oślep kilka strzałów. Rawne krzyknął z bólu zwijając się wpół. Gaunt chwycił Zweila i przygniótł starego kapłana swym ciałem do ziemi czyniąc z siebie żywą tarczę. Corbec i Daur odskoczyli w półmrok pod ścianami kaplicy, dobiegający do drzwi Dorden skrył się natomiast przezornie za futryną.

- Greer! Greer! Co ty robisz?! – zaryczał Corbec.

- Wynoście się! Wynoście się stąd albo wszystkich was pozabijam! – wrzasnął Greer pociągając jeszcze trzy razy za spust. Kule utkwily w drzwiach kaplicy.

- Greer! – krzyknął Daur – To ja! Daur! Co ty wyczyniasz?!
Kula gwizdnęła nad jego głową.
Kapitan ścisnął w dłoni laserowy pistolet. Zerknął na Corbec, kucającego tuż obok.
Było to pełne zadumy zerknięcie.

- Greer! Wszystko zniszczysz! Zrujnujesz nasz plan!

- Gdzie ono jest, Daur?! – odkrzyknął sierżant wkładając do pistoletu nowy magazynek – Tutaj go nie ma!

- Jest! Ty kretynie, Greer! Wszystko popsujesz!

- Psuje ci plany? – wyszczał przez zaciśnięte zęby Rawne. Dorden odciągał go pośpiesznie za próg kaplicy zaciskając jednocześnie palce na ranie postrzałowej znaczącej przedramię majora.

- Nie miałeś niczego zaczynać bez mojego pozwolenia! – warknął głośno Daur próbując jednocześnie podkraść się bliżej ołtarza. Greer wystrzelił ponownie, pocisk wyżłobił podłużną rysę w liczących sobie sześć tysięcy lat płytkach posadzki.

- Zmiana planów! Ty i twoi kumple mieliście zamiar mnie wydymać!

- Nie! Ciągłe jeszcze możemy to zrobić! Słyszysz mnie?! Chcesz tego? Mogę ci pokazać złoto! Chodź ze mną!

- Nie wierzę...

- Chodź! – wrzasnął Daur podrywając się na nogi i wymierzając lufę pistoletu w głowę Corbeca.

- Rzućcie swoją broń! Rzućcie ją natychmiast!

- Co? – wymamrotał Gaunt.

- Udupiłeś nas, Daur – wycedził lodowatym tonem Corbec rzucając na posadzkę swój pistolet i spoglądając z wykrzywionymi ustami na pułkownikakomisarza.

- Uziemiłem ich, Greer! Chodź! Może nam się udać! Chodź! Zabierzemy złoto i damy stąd nogę, a te sukinsyny niech tutaj zdychają! Greer!

- Sierżant wychylił się zza ołtarza z pistoletem w ręku.
- Naprawdę wiesz, gdzie jest złoto ? – zapytał.
- Daur zawirował w półobrocie przesuając lufę broni z zastygłych w bezruchu sylwetek Duchów na Greera.
- Tu nie ma złota, ty głupi skurwielu ! – warknął i strzelił sierżantowi między dzy oczy.
- Dorden wpadł do komnaty i pochylił się nad ciałami Bragga i Vamberfelda.
- Są w stanie krytycznym, ale wciąż wyczuwam wyraźny puls ! Dziękujemy Imperatorowi, że ten szalenciec nie miał przy sobie lasera. Potrzebujemy natychmiast ekipy medycznej !
- Rawne przysunął do ust mikrofon swego modułu łączności.
- Mówi trójka ! Jestem w głównej kaplicy ! Potrzebuję tu pomoc medyczną, w ekspresowym tempie !
- Gaunt pozbierał się z podłogi, pomógł wstać Zweilowi.
- Kapitanie Daur, proszę mnie uprzedzić, kiedy następnym razem będzie pan próbował zastosować tego rodzaju fortel. Omal cię nie zastrzeliłem, człowieku.
- Daur odwrócił się w stronę pułkownikakomisarza i wyciągnął w jego stronę swój pistolet, ujęty palcami za koniec lufy.
- Nie sądzę, by kiedykolwiek doszło do następnego razu, sir. To moja wina, ja doprowadziłem Greera do tego stanu. Wiedziałem już wcześniej, że jest niebezpiecznym człowiekiem, ale nie zdawałem sobie do końca sprawy, jak bardzo.
 - Co próbujesz zasugerować, Daur ? – zapytał Gaunt spoglądając pytająco na broń kapitana.
 - To rażące naruszenie regulaminu wojskowego, sir. Oddaję się do dyspozycji sądu wojennego.
 - No, wreszcie – uśmiechnął się szeroko Corbec – Już samo celowanie w stronę przełożonego kwalifikuje cię pod pluton egzekucyjny.
 - Miły gest – skrzywił się sarkastycznie Rawne – Nigdy nie posądzalbym cię o takie podejście do kwestii dyscypliny, kapitanie.
 - Porozmawiamy o tym później – zdecydował pułkownikkomisarz mijając uszkodzony ołtarz i rozkrzyżowane na posadzce ciało parduskiego sierżanta. Skrzywił z gniewną rozpaczą usta na widok poczynionego przez Greera zniszczenia.
 - Chciałbym się jednak do końca upewnić – odezwał się zniżonym tonem Zweil zerkając porozumiewawczo na Daura – Faktycznie ayatani nie mają tutaj żadnego złota ?
- Kapitan pokręcił przecząco głową.
- W porządku, tak tylko pytałem.
- Gaunt ustawił przewróconą na bok skrzynkę na relikwie i zaczął do niej władać rozrzucone po posadzce artefakty.
- Gdzie jest Lesp ? – zawarczał Dorden próbując zatrzymać dłońmi najpoważniejszy krwotok Bragga – Potrzebny mi pakiet medyczny ! Obaj wykrwawiają się na śmierć ! Colm ! Uciśnij ranę na piersi Vamberfelda ! Nie tam, trochę wyżej !
- Za progiem drzwi kaplicy rozległ się dźwięk pośpiesznych kroków. Milo i Sanian wpadli z rozpędu do środka pomieszczenia nieruchomiejąc w pełnym przerażenia bezruchu.
- Słyszałem strzały ! – wyrzucił z siebie Milo – BożeImperatorze ! Co się stało ?! Bragg !
 - Wszystko pod kontrolą, chłopcze – odpowiedział Corbec, klęczący przy Vamberfeldzie z rękami unurzany w jego krwi. W głosie pułkownika nie brzmiało zbyt wiele przekonania we własne słowa. Na twarzy pracującego w relikwiarzu Gaunta malował się wyraz fizycznego wręcz cierpienia, jego ręce poruszały się z zauważalnym drżeniem porządkując święte przedmioty.
 - Co to takiego ? – zapytał zniecierpliwiony Rawne podnosząc głowę i rozglądając się na boki.
 - Co niby ? – odparł pytaniem Corbec.
 - Ten dźwięk. Ten pomruk.

- Nic nie... tak. Co to ?
- Wibracja – zauważył major – Całe to miejsce zaczyna drgać !
- Infardi musieli rozpocząć atak ! – krzyknął Milo.
- Nie – zaprzeczył dziwnie opanowanym głosem Zweil – Sądzę, że wszyscy Infardi weszli równocześnie do kaplicy.

Pałace się w różnych miejscach kaplicy świeczniki zgasły w ułamku chwili. Błede wszechobecne światło rozjaśniło całe pomieszczenie, zielonkawe, namacalnie niemal chłodne. Hologramy Adeptus Astartes przygasły, znikły, w ich miejscu zapłonęły potężne kolumny białego blasku sięgające od posadzki po sufit kaplicy. Na wykonanych z czarnego kamienia ścianach zaczęła się skraplać wilgoć, a niewidoczne wcześniej geometryczne wzory wyryte w odległej przeszłości w smolistych blokach budowli rozjarzyły się nieziemską błękitną poświatą. Posadzka komnaty zaczęła drżeć w rytm ultradźwiękowej wibracji.

- Co tu się dzieje, psiamać ?! – wykrztusił Rawne.
- Słyszę... - zaczął Daur.
- Ja też – przerwał mu Dorden rozszerzając ze zdumienia oczy i spoglądając w górę. Widmowe światła przypominające kule unosiły się nad głowami obu mężczyzn nie wydając z siebie żadnego dźwięku.
- Słyszę śpiew – powiedział Corbec – Mój tata śpiewa... - w oczach pułako

kownika załśniły łzy.

Tkwiący wciąż w relikwiarzu Gaunt podniósł się z kolan i wlepił zaskoczone spojrzenie w spoczywające na kamiennym cokole ciało świętej Sabbat.

Mógłby przysiąc, że czuje słodki, charakterystyczny zapach kadzidła, acestusa i islumbiny. Ciało świętej zaczęło jaśnieć nadnaturalnym blaskiem, coraz silniejszym, coraz bardziej oślepiającym.

- Beati... - wyszeptał Gaunt.

Blask emanujący od cokołu stał się tak silny, że obecni w kaplicy ludzie musieli zamknąć oczy. Ostatnią rzeczą, jaką Corbec spostrzegł przed spazmatycznym zaciśnięciem powiek była ciemna sylwetka Gaunta, klękającego przed ciałem świętej, przeistaczającej się w gorejącą upiornie białym blaskiem gwiazdę.

a

Poświata zgasła i kaplica powróciła do swego pierwotnego stanu. Wciąż jeszcze częściowo oślepieni, niezdolni wykrztusić ani słowa ludzie patrzyli na siebie wzajemnie ze zdumieniem.

Przez kilka sekund łagodny, ale niebywale silny impuls mentalny przenikał umysły zgromadzonych w kaplicy mężczyzn.

- Cud – wymamrotał Zweil siadając z wrażenia na posadzce – Prawdziwy cud. Autentyczny cud. Poczuliście to wszyscy, prawda ?

- Tak – chlipnęła Sanian wycierając mokre od łez oczy.

Dorden skinął tylko głową.

- Oczywiście, że poczuliśmy – wyszeptał Corbec.
- Nie mam pojęcia, co to było, ale jeszcze nigdy w życiu się tak nie wystraszyłem – dodał Rawne.
- Mówiłem już, majorze Rawne, to był cud – oświadczył ponownie Zweil.
- Nie – zaprzeczył Gaunt wychodząc z relikwiarza – To nie cud.

Rozdział XVII – Męczennik świętej

„Nie ma cudów. Są tylko ludzie” – św. Sabbat, pamiętniki.

Ostatni szturm Ershuli rozpoczął się punktualnie o drugiej w nocy siedemnastego dnia bitwy. W nieprzeniknionej ciszy, w blasku kłębiących się w przestworzach wirów Osnowy, heretycka armia runęła do ostatecznego ataku na Świątynię. Przez cały poprzedni dzień poprzez przełęcz nadciągały kolejne posiłki, dzięki czemu do szturm stanął cały legion. Dziewięć tysięcy fanatycznie oddanych sprawie żołnierzy. Pięćset siedemdziesiąt pojazdów pancernych.

Świątyni broniły niecałe dwa tysiące zdolnych nosić broń lojalistów, wspartych przez cztery Conquerory, jednego Executionera, jednego Destroyera oraz garstkę Chimer, Salamander i Hydr. Obrońcy mieli po swojej stronie jedynie mury monasteru oraz wąską drogą wiodącą ku budowlu.

Bombardowanie Ershuli runęło z ogłuszającym łoskotem na pozycje lojalistów. Członkowie straży honorowej nie odpowiedzieli ogniem, brakowało im tak dalece amunicji, że musieli do ostatniej chwili czekać z rozpoczęciem ostrzału. Heretycy ruszyli do szturm.

Stojąc na wewnętrznym murze świątyni Gaunt lustrował przez teleskop zbliżające się szeregi nieprzyjaciela. Obrońcy nie mieli szans na przetrwanie tego uderzenia, mogli utrzymać swe pozycje co najwyżej przez dwadzieścia, trzydzieści minut. Odwrócił się w miejscu, spojrzął na Harka i Rawne. Ramię majora było solidnie owinięte bandażem.

- Nie sądzę, by technika obrony miała w tych okolicznościach jakieś znaczenie, ale mimo wszystko chciałbym, byście zeszli na dół do naszych ludzi i przewodzili im tak długo jak tylko zdołacie. Róbcie wszystko, co w waszej mocy, by kupić nam wszystkim więcej czasu.

Obaj oficerowie skinęli niemo głowami.

- Imperator strzeże – dodał Gaunt ściskając każdemu z osobna dłoń.

- Jeszcze nie pora się żegnać, sir – oświadczył Hark.

- Wiem, komisarzu... lecz sam pamiętasz: czasami carniv dopada ciebie.

Hark i Rawne odeszli razem, ramię w ramię schodząc po kamiennych schodkach muru.

Idą ku śmierci, pomyślał Gaunt odprowadzając wzrokiem sylwetki majora i komisarza. A ja niebawem dołączę do nich. Odwrócił się i poszedł śpiesznym krokiem ku świątyni, gdzie już go oczekiwano.

a

- To cud ! – zadeklarował ponownie ayataniayt Cortona, otoczony grupą swych przybocznych kleryków.

- Kolejny raz powtarzam ci, że nie ma w tym cudu – zaprotestował Zweil – Mam na to wystarczające dowody.

- Jesteś zwykłym imhava ! Co ty takiego możesz wiedzieć ?! – sarknął Cortona.

- Od cholery więcej od ciebie, tempelum ! – odparł zirytowany Zweil.

- Zbyt długo obracałeś się w nieodpowiednim towarzystwie, w dodatku zdążyłeś zapożyczyć sporo nieodpowiedniego słownictwa – skomentował Corbec.

- Efekt uboczny pełnego poświęceń żywota – odrzekł niewzruszony docinkiem kapłan.

Wszyscy spojrzeli na przekraczającego prób kaplicy Gaunta.

- Mamy bardzo mało czasu, toteż będę się streszczał. To nie był cud.

- Ależ wszyscy to poczuliliśmy ! W całej świątyni ! Błogosławioną moc wibrującą w naszych umysłach ! –Cortona podniósł swój głos do krzyku.

- To był psioniczny sygnał testowy. Sygnatura aktywacji starożytnego urządzenia, które w mym mniemaniu znajduje się głęboko pod kompleksem.

- Sygnatura czego ? – wykrztusił jeden z ayatani.

- Miejsce spoczynku świętej zbudowali Adeptus Mechanicus. Uważam, że cały górski masyw pod naszymi nogami naszpikowany jest uśpioną psioniczną technologią, której mocy i przeznaczenia zapewne nigdy nie odgadniemy. Czy tylko ja zdołałem to odczytać z mentalnego sygnału ? Przekaz wydawał się bardzo czytelny.

- Jaką rolę miałyby pełnić ta technologia ? – wyszczał Cortona.

- Strzec świętej. W przypadku skrajnego zagrożenia, jak choćby takiego podprzestrzennego sztormu. By uchronić jej dziedzictwo.

- To niewiarygodne ! Dlaczego nic o tym nie wiedzieliśmy ? – wybuchnął inny z kapłanów – Jesteśmy jej wybrańcami, jej synami.

- Sześć tysięcy lat to długi czas – zauważył Corbec – Wystarczająco długi, by zapomnieć. Taki okres czasu sprawia, że fakty przemieniają się w mity.

- Lecz dlaczego teraz ? Właśnie w tej chwili ? – zapytał Cortona.

- Ponieważ wszyscy przybyliśmy. My, jej Infardi. Zebrani razem w kaplicy, uruchomiliśmy mechanizm.

- W jaki sposób ?

- Ponieważ nasze umysły odpowiedziały na wezwanie. Ponieważ przybyliśmy na wyznaczone miejsce. Ponieważ dzięki naszej obecności mechanizm rozpoznał moment aktywacji.

- To brednie ! A może nawet bluźnierstwo ! – wrzasnął ayataniayt – Sugerujesz, że twoi żołnierze okazali się bardziej błogosławieni od uświęconego braterstwa kapłanów ? Dlaczego mechanizm nie wybrał nas ?!

- Ponieważ nie zostaliście oświeceni. Nie w wymagany sposób – oświadczył Zweil budząc falę syknięć i pomruków – Czuwalicie, pościliście, czytaliście święte teksty. Lecz wszystko, co robiliście wynikało ze zwyczajów i ceremoniałów, a nie autentycznej wiary. To ci ludzie tak naprawdę uwierzyli – kleryk wskazał dłonią Corbeca, Daura i Gaunta.

W kaplicy wybuchła wrzawa oburzonych głosów.

- Nie mamy czasu, by dłużej dyskutować na ten temat. Słyszycie mnie ? Armia Chaosu stoi u naszych bram ! To jedyna szansa, by móc jeszcze wykorzystać pozostawioną do naszej dyspozycji technologię. Obyśmy tylko zdążyli odkryć sposób, w jaki musimy to zrobić !

- Razem z Sanian przestudiowaliśmy wszystkie hologramy, sir – odezwał się Milo wskazując dłonią pionowe lampy wmurowane w ściany kaplicy, jedyne oświetlenie, które wciąż jeszcze działało.

- To opis jej świętej krucjaty – oświadczyła Sanian kierując uwagę słuchaczy na szereg wybranych runicznych transkrypcji – Zwycięstwa na Frengholdzie, Aeskarii i Harkalonie. Wspomnienie jej zaufanych doradców. Tutaj dla przykładu widnieje nazwisko lorda militanta Kiodrusa...

- Będziesz musiała się streszczać – przerwał wywód Gaunt – Zostało nam zaledwie kilka minut.

Sanian skinęła potakująco głową.

- Opis mechanizmu aktywującego omawianą technologię znajduje się tutaj – dziewczyna wskazała palcem niewielką runiczną tablicę emitującą bladą poświatę – Kolumna wiecznego płomienia, na szczycie świątynnego podwyższenia.

- W jaki sposób możemy ją wykorzystać ?

- Coś musi być umieszczone we właściwym miejscu – Sanian zmarszczyła niepewnie czoło – Jakiś aktywator. Nie jestem pewna, co takiego obrazuje ten hologram.

- Ja wiem – odezwał się Daur. Kapitan wstał z krzesła i wyciągnął z kieszeni srebrną figurkę – Sądzę, że tego właśnie potrzebujemy.

- Wyglądasz na bardzo pewnego siebie, Ban – zauważył Gaunt.

- Nigdy jeszcze nie byłem tak pewien swych słów jak teraz, sir.

- W porządku, dość tych dysput. Oddaj mi to, a ja...

- Sir – chrząknął Daur – Wręczono mi to do rąk własnych. Sądzę, że właśnie ja powinienem to zrobić.

Gaunt skinął niemo głową.

- Dobrze, Ban. Lecz idę z tobą.

a

- Na stanowiska ! Na stanowiska, moi chłopcy i dziewczęta ! – ryczał Soric próbując przekrzyczeć huk artyleryjskich detonacji. Pociski Infardich rozerwały bramę i spory fragment zewnętrznego muru – Po to właśnie się zrodziliśmy ! Odebrać tryumf Nieprzyjacielowi ! Odebrać mu teraz !

a

Gaunt, Corbec, Milo, Sanian i Daur podeszli do tylnej bramy w zewnętrznym murze kompleksu. Dobiegający zza obwałowania huk wystrzałów wydawał się ogłuszający.

Sprawdzili swą broń, Sanian podniosła ku twarzy ściskany w rękach karabin.

- Zaraz będziemy musieli zabijać – szepnął do niej Milo – Jesteś pewna, że się na to przygotowałaś ?

- To właśnie moja droga, pamiętasz ? Wojna. Wojna to jedyna prawdziwa droga, muszę ją odnaleźć.

- Za Sabbat ! – krzyknął Gaunt otwierając szeroko bramę.

a

- Akumulatory wysiadły ! – zawołał celowniczy Pauka.

- Zresetuj układ ! Zresetuj ! – wrzasnął porucznik.

- Obwody się przepaliły ! Zbyt silnie je obciążyliście !

- Cholera, musi być jakiś sposób na... - zaczął Pauk.

Nigdy nie dokończył zdania. Wystrzelone z Usurperów pociski w ułamku sekundy doszczętnie unicestwiły wysłużonego Executionera.

- Wycofać się na drugą linię ! Feygor, wycofaj ludzi na drugą linię ! – wrzeszczał major Rawne. Ershuli wdzierali się na pozycje lojalistów na całej długości muru.

a

Kolumna wiecznego płomienia wydawała się majaczyć dobre sto kilometrów dalej, na samym krańcu skalistego podwyższenia. Gaunt i jego towarzysze biegli poprzez gęsty śnieg, laserowe wiązki nieprzyjaciela śmigały wokół ich sylwetek.

- Szybciej ! – krzyknął Gaunt strzelając z boltowego pistoletu i powalając na śnieg pokrytego zielonym płaszczem Ershuli, próbującego przeciąć drogę lojalistów.

- Nie, nie ! – jęknął Corbec, kiedy laserowa krecha trafiła go w udo zbijając z nóg. Sanian obróciła się w miejscu i zaczęła strzelać z ustawionego w trybie automatycznego ognia karabinu. Nie spodziewając się odrzutu broni runęła jak długa w śnieg.

- Sanian ! Sanian ! – Milo doskoczył do dziewczyny próbując podnieść ją na nogi. Gaunt i Daur minęli go w biegu – Wstawaj ! Odprowadzę cię z powrotem do kaplicy i...

Kolba jej karabinu trafiła Brina w skroń. Młody gwardzista osunął się nieprzytomny na ziemię.

- Wybacz, Milo, ale nie pozwolę, byś mi to odebrał – wyszeptała dziewczyna – Muszę to zrobić, w imię świętej. Nie próbuj mnie powstrzymywać. Wybacz mi.

Ruszyła biegiem za resztą grupy pozostawiając skulonego w kłębek Brina.

Dwadzieścia metrów z przodu Daur zachwiał się trafiony z lasera. Upadł bokiem w śnieg wyjąc z bólu i bezradnej wściekłości. Gaunt zatrzymał się w miejscu, zawrócił w stronę kapitana. Vervuńczyk został postrzelony w bok, rana okazała się zbyt poważna, by oficer mógł ustać na własnych nogach.

- Ban ! Daj mi statuetkę ! Ban !

Daur zacisnął zakrwawione palce na srebrnej figurce.

- Ktokolwiek to zrobi, umrze – wycedził przez zaciśnięte z bólu zęby.

- Wiem o tym.

- Psioniczny przekaz o tym wspomniał. Aktywacja wymaga ofiary. Aktu męczeństwa.

- Wiem o tym.

- Ktoś musi stać się męczennikiem świętej.

- Wiem o tym, Ban.

- Imperator strzeże, Ibramie.

- Imperator strzeże – Gaunt ujął w dłoń statuetkę i podjął bieg w stronę kolumny. Ban Daur uniósł się na łokciach, by lepiej widzieć sylwetkę swego dowódcy. Blask laserowych wyładowań wydawał mu się oślepiający.

a

Iście apokaliptyczny grzmot wprawiał grube ściany świątyni w nieustające drzenie. Operując lepkimi od krwi palcami Dorden walczył zaciekle o życie Bragga.

- Klamry ! Tutaj !

Lesp natychmiast wykonał polecenie.

To daremne wysiłki, pomyślał zniechęcony Dorden. Nawet jeśli życie Bragga zostanie uratowane, wszyscy imperialni żołnierze znajdujący się w obrębie świątyni byli już tak naprawdę martwi.

- Foskin ! – zawołał lekarz nie przerywając swej pracy – Jak z Vamberfeldem ?

- Myślałem, że pan go operuje – Foskin podniósł głowę znad swojego białego i leżącego na nim pacjenta.

- Tutaj go nie ma – pokręcił głową Chayker.

- Na fetha, to gdzie on zniknął ?! – krzyknął Dorden.

a

Poprzez pryzmatyczny okular swego peryskopu LeGuin ujrzał P48J kapitana Marchese wylatujący w powietrzu pośród kłębow smolistego dymu i jęzorów ognia. Zaledwie sekundę później ten sam AT70, który uśmiercił Marchese i jego załogę wystrzelił prosto w burtę Szarego Vengera. Ładowniczy i celowniczy LeGuina ulegli natychmiastowej dezintegracji. Destroyer zadygotał i zatrzymał się z jękiem gasnącego silnika, jego sekcja napędowa zawiodła ostatni raz. Płomienie ogarnęły wnętrze czołgu, trzaskały tuż pod stopami siedzącego w swym fotelu oficera.

Podniósł ręce próbując otworzyć górny właz. Kłapa była zaklinowana.

Opadając z rezygnacją na swój fotel kapitan LeGuin zdecydował się czekać na śmierć.

Właz szczękniętą donośnie i twarz czołgisty owiał podmuch lodowatego aaa

powietrza.

- Wyłaż ! Wyłaż ! – sierżant Mkoll zajął do środka pojazdu wyciągając w dół swe ręce. LeGuin przesunął raz jeszcze wzrokiem po wnętrzu zniszczonego czołgu.
- Żegnaj – wyszeptał, a potem wyrzucił w górę ręce i pozwolił Mkollowi wyciągnąć się na zewnątrz wozu.

Obaj mężczyźni zdążyli odbiec na dystans dwudziestu metrów, zanim Szary Venger eksplodował. Fala wybuchu cisnęła nimi o ziemię.

a

- Jest ich zbyt wielu ! Zbyt wielu ! – wrzasnął z rozpaczą Larkin strzelając przez swoją ostatnią lufę. Stojący za jego plecami szeregowiec Cuu został postrzelony w ramię, przewrócił się na zbryzgany krwią śnieg.

- Och, feth ! Zbyt wielu ! – powtórzył Larkin.
- Nie, Tanithjczyku – uśmiechnęła się klęcząca tuż obok Banda – Nie dość wielu.
- Sądzę, że wygram mój zakład – wymamrotał Cuu podnosząc wzrok ku smaganemu nadnaturalnymi błyskawicami niebu – Pewne, że pewne.

a

Gaunt znajdował się niecałe trzydzieści metrów od kolumny, mknąc poprzez szaleńczą plataninę laserowych wiązek. Infardi pędzili w jego stronę strzelając w biegu. Nie poczuł ładunku, który trafił go w nogę poniżej kolana, ale zorientował się, że został ranny, kiedy tracąc panowanie nad kończyną runął ciężko w głęboki śnieg.

- Nie ! – krzyknął dziko – Nie, proszę...

Jakaś postać wyrosła tuż nad jego głową. Sanian, z lufą lasera wymierzoną ku nadbiegającym heretykom. Posłała w ich stronę krótką serię, po czym pochyliła się nad pułkownikiem-komisarzem.

- Ja ją wezmę. Pozwól mi.

Gaunt wiedział, że nie dotrze do postumentu bez pomocy.

- Po prostu mnie wesprzyj, kobieto. Dam radę.

- Daj mi figurkę ! W pojedynkę dotrę tam szybciej ! Święta tego chce !

Nie ważąc się na dalszą kłótnię mężczyzna wyciągnął dzierżącą statuetkę dłoń.

- Zatem zrób to, dziewczyno – wycedził przez zaciśnięte zęby.

Wzięła srebrny kształt.

- Nie martw się, ja...

Śnieg wokół ich postaci eksplodował zniecałkami topionymi krechami laserowego światła.

Trzej Ershuli byli zaledwie kilka metrów dalej.

Sanian obróciła się w miejscu, z trudem wymierzyła lufę obcego jej dłoniom karabinu.

Najbliższy Ershuli był szybszy, zdążył wycelować swą broń przed nią. Rzuciła się płasko na brzuch, z rezygnacją i rozpaczą.

Precyzyjnie oddane strzały powaliły w śnieg wszystkich trzech heretyków.

Biegący z zakrwawioną głową Milo strzelał z biodra, szybko zbliżając się do dziewczyny i leżącego przy niej dowódcy.

- Dobra robota, Milo – wydyszał ciężko Gaunt opierając się na zgiętym łokciu i strzelając w leżącej pozycji ze swego pistoletu.

- Figurka ! Gdzie ona jest ?! – krzyknął Brin kręcąc desperacko głową – Dam radę ! To już niedaleko ! Feth, gdzie ona jest ?!

- Była tutaj ! Miałam ją w dłoni ! – jęknęła Sanian przeczesując palcami śnieg wokół swojego ciała.

- Gdzie ona jest ?! Och, słodki Imperatorze, gdzie upadła ?!

a

Major Kleopas uśmiechał się mściwie. Nie potrzebował już dłużej swojego optycznego implantu, obraz dostrzeżony w peryskopie czołgu był wystarczająco wyraźny. Ostatni wystrzelony przez Serce Zniszczenia pocisk przeistoczył Reavera w kulę żarłoczych płomieni.

Lecz to był ostatni pocisk. Amunicja właśnie się skończyła.

Dzielna załoga majora już nie żyła. Języki ognia rozpełzały się po wnętrzu czołgu, lizały kombinezon oficera. Nie był w stanie uciec z wieżyczki, szrapnele poszatkowały mu obie nogi i uszkodziły kręgosłup.

- Idźcie. Wszyscy. Do. Piekła – wyrecytował słowo po słowie podczas gdy płomienie wspiwały się coraz wyżej pogrążając go w porażającym żarze.

a

Duchy zaczęły wycofywać się w panice, niezdolne już dłużej wstrzymać naporu przeważającego liczebnie nieprzyjaciela.

- Nie ma gdzie uciekać – powiedział sam do siebie komisarz Hark. Krew aaa ciekła z rany na jego głowie brudząc prawy policzek, zgubił gdzieś swoją czapkę. Oficer Ershuli, rozmazana postać ukryta za kulą energetycznego pola, wychynął spośród mrowia heretyków tuż przed oczami komisarza. Hark zdążył zabić do tej pory trzech podobnych przywódców wroga. Miał nadzieję, że tym razem natknął się na samego Ojca Sina.

- Za świętą ! Za Duchy ! Za Gaunta ! – wykrzyczał z całych sił.

Wypalił z plazmowego pistoletu i energetyczne pole eksplodowało przecięzione silnym ładunkiem.

a

Na wpół zagrzebana w śniegu, Sanian przekrzywiła głowę i krzyknęła:

- Och, mój Boże ! Patrzcie ! Patrzcie !

Nie zdejmując palców ze spustów Gaunt i Milo odwrócili głowy we wskazanym kierunku.

- Och, mój Boże – wyszeptał pułkownikkomisarz.

a

Na krańcu podwyższenia panował przenikliwy ziąb, lodowate górskie wiatry cięły bezlitośnie niczym noże. Wysoko w górze zniekształcone chorobliwymi barwami przestworza kotłowały się w dzikim kalejdoskopie.

Postument znajdował się praktycznie na wyciągnięcie ręki – wielka kolumna odlana z corundum, z migotliwym płomieniem u szczytu.

Tak blisko.

Było mu tak ciężko, został kilkakrotnie raniony. Wliczając postrzał z broni Greera miał na sobie siedem ran. Laserowe wiązki Ershuli kaleczyły go niemiłosiernie na dystansie ostatnich dziesięciu metrów. W rękach ścisnął desperacko srebrną figurkę Daura. Znalazł ją w śniegu, leżącą w sposób, który sugerował nieodparcie, że czekała właśnie na niego.

Krecha laserowej energii przepaliła mu przedramię. Osiem.

Niemal dotarł na miejsce.

Ujrzał ponownie jej przenikliwe oczy. Oczy małej dziewczynki, pasterki. Czuł ostry zapach sierści chelonów i chłód wiatru poruszającego trawami górskich pastwisk. Mógłby przysiąc, że wyczuwa w nim nutę acrestusa i dzikiej islumbiny.

Vamberfeld oparł się całym ciałem o zimną powierzchnię kolumny wiecznego płomienia. Rozwarł oplatające statuetkę palce kładąc ją ostrożnie w niewielkim zagłębieniu – dokładnie w ten sposób, który ujrzał w swym widzeniu.

Jego dłoń już nie drżała.

To dobrze.

Wystrzelony przez któregoś z Ershuli boltowy pocisk rozerwał mu tył głowy.

Vamberfeld upadł plecami w śnieg, na jego ustach zastygł smutny uśmiech.

Dziewiąta rana.

Rozdział XVIII – Straż honorowa

„Zważywszy na wszelkie okoliczności, byliśmy po prostu szaleni. Mówiąc szczerze, jestem przekonany, że tkwiliśmy w tym stanie szaleństwa przez większość czasu i skończymy już z tym tematem” – Colm Corbec, na Hagii.

Umieszczone głęboko w skorupie planety antyczne mechanizmy ożyły realizując prastare instrukcje świętej. Potężne psioniczne wzmacniacze wyemitowały silny sygnał.

Tylko na ułamek chwili.

Ułamek chwili wystarczający do zasiania panicznego strachu w sercach i duszach czcicieli Chaosu rozsianych na powierzchni całej planety.

Ułamek chwili wystarczający do spopielenia mózgow Ershuli tłoczących się przedpolu Świątyni.

Ułamek chwili wystarczający do rozproszenia sztormu Osnowy z taką siłą, iż lecąca w kierunku Hagii nieprzyjacielska armada uległa chaotycznemu rozproszeniu.

Ułamek chwili wystarczający na to, by Tolin Dorden raz jeszcze ujrzał swego uśmiechniętego syna, Colm Corbec swego ojca, a Ban Daur starą kobietę o szokująco śnieżnobiałych włosach stojącą pośród tłumu uchodźców.

By szeregowiec Niceg Vamberfeld w ostatnim momencie swego życia ujrzał raz jeszcze przenikliwe oczy pasterki chelonów.

a

Odrywając wzrok od zimnych niebieskich przestworzy Ibram Gaunt zaczął schodzić w dół rumowiska złożonego z kamiennych brył i bloków zamrożonego śniegu, piętrzącego się w miejscu, gdzie jeszcze niedawno widniały wiodące do Świątyni schody. Miał na sobie pełny regulaminowy uniform.

Resztki konwoju czekały na niego w dole.

Za plecami żołnierzy, porozrzucane w śniegach płaskowyżu, tkwiły osmalone szkielety dziewięciu tysięcy skażonych piętnem Chaosu heretyków oraz poczerniałe wraki ponad pięciuset pojazdów.

- Hark ?

Komisarz Hark wystąpił z szeregu i zasalutował.

- Wszystkie pododdziały w szyku, stan liczebny poprawny, sir.

- Bardzo dobrze – odpowiedział Gaunt, po czym spojrzał w kierunku świątynnego podwyższenia i wznoszącego się na nim samotnego kopca, wzniesionego rękami tempelum ayatani z brył skały i lodu tuż za kolumną, u której szczytu migotały języki wiecznego ognia.

Pułkownikkomisarz wszedł do czekającej na niego Salamandry.

- Straż honorowa, załadunek !

- Na rozkaz dowódcy, wsiadać ! – krzyknął Hark. Odpowiedziały mu potwierdzenia gwardzistów.

- Kolumna gotowa do wyjazdu, sir – zameldował Hark.

Gaunt pomyślał o Slaydo i starym pakcie krwi, dotknął czubkiem palca blizny na swej dłoni. Spojrzał po raz ostatni na samotny grobowiec Vamberfelda.

- Straż honorowa, ruszamy ! – zawołał wykonując jednocześnie dłonią szybkie cięcie w powietrzu.

Pojazdy zaczęły nabierać prędkości, tocząc się z rykiem silników pod bezchmurnym błękitnym niebem, prosto w kierunku przełęczy.

KONIEC